

AMY EWING

KLEJNOT



ROZDZIAŁ 1

Oto nadszedł ostatni dzień istnienia Violet Lasting. Jest wczesny ranek i na ulicach Bagna panuje cisza przerywana od czasu do czasu stukotem oślich kopyt i pobrzękiwaniem butelek mleka, gdy nieopodal mojego okna przejeżdża akurat wózek mleczarza. Odrzucam okrycie i sięgam po szlafrok. Ciemnoniebieską, przetartą już na łokciach szatę dostałam w prezencie od mamy. Kiedyś była na mnie za duża, w rękawach mogłam skryć całe dłonie, a rąbek ciągnął się za mną po ziemi. Dorosłam i teraz szlafrok pasuje na mnie tak, jak kiedyś pasował na mamę. Uwielbiam go. To jedna z niewielu rzeczy, które mogłam zabrać ze sobą do Południowej Bramy. Miałam szczęście, że mi na to pozwolono. Inne Magazyny nie traktują prywatnej własności tak pobłaż-

liwie. Te z nas, które trafiły do Bramy Północnej, musiały oddać wszystko.

Zakładam na siebie szlafrok i podchodzę do okna. Przyciskam twarz do żelaznych krat. Wykuto je w ozdobne kształty pędów winorośli i róż, zupełnie jakby forma mogła ukryć, czym naprawdę są.

Brudne ulice Bagna połyskują lekko w świetle wschodzącego słońca i prawie mogę sobie wyobrazić, że jestem w innym, lepszym, czystszy miejscu. To właśnie tym ulicom Bagno zawdzięcza swoją nazwę. Kamień, beton i asfalt trafiły do bogatszych dzielnic, tu pozostało tylko cuchnące morzem i siarką błoto.

Moje serce bije bardzo szybko, mam wrażenie, jakbym w piersi miała skrzydła. Dziś zobaczę moją rodzinę. Po raz pierwszy od czterech lat. Zobaczę mamę, Ochre a i małą Harriet, która pewnie nie jest już wcale taka mała. Zastanawiam się, czy i oni pragną tego tak bardzo jak ja, czy może stałam się dla nich kimś obcym. Czy wciąż jestem tą samą osobą? Nie mam pewności, czy pamiętam, kim wtedy byłam. Nie wiem, czy w ogóle mnie rozpoznają.

Gdy słońce wspina się coraz wyżej ponad otaczającym Samotne Miasto murem, mój niepokój narasta. Wielki Mur chroni nas przed niszczycielskim żywiołem, przed dzikim, okrutnym oceanem. To Mur zapewnia nam bezpieczeństwo. Uwielbiam poranki nawet bardziej niż zachody słońca. W budzącym się w feerii światła życiu jest coś pokrzepiającego, nadzieja. Cieszę się, że mogę patrzeć na wstęgi różu i lawendy, na złoto, purpurę i czerwień. Ciekawe, czy kiedy zacznę nowe życie w Klejnocie, wciąż będę mogła oglądać wschody słońca.

Czasem żałuję, że urodziłam się surogatką.

Kiedy przychodzi po mnie Patience, leżę zwinięta w kłębek na łóżku i staram się zapamiętać mój pokój. Nie ma w nim wiele, jedynie niewielkie łóżko, komoda i drewniany, wyblakły ze starości kredens. W kącie, na stojaku, spoczywa wiolonczela. Na komodzie stoją, wymieniane codziennie, kwiaty, a obok nich leżą szczotka, grzebień, pęk kolorowych wstążek oraz łańcuszek z zawieszoną na nim obrączką taty. Dała mi go mama tuż po tym, jak mnie zdiagnozowano, zanim przyszli po mnie nieznający litości Gwardziści.

Dręczy mnie pytanie, czy przez cały ten czas tęskniła za mną tak bardzo, jak ja tęskniłam za nią. Ze zdenerwowania zaczyna mnie mdlić.

Od dnia, w którym tu przybyłam, pokój prawie wcale się nie zmienił. Nie ma żadnych obrazków. Nie ma lustra. W Magazynach lustra są zakazane. Jedynym nowym elementem jest wiolonczela, która nawet nie należy do mnie. Południowa Brama tylko mi ją wypożyczyła. Przez chwilę zastanawiam się, do kogo teraz trafi... Zabawne, mój pokój jest skromny i pozbawiony duszy, a jednak będzie mi go brakowało.

- Jak się czujesz, kochanie? - pyta Patience. Zawsze zwraca się do nas w podobny sposób. Nazywa nas „słoneczkami”, „cukierczkami”, „maleństwami”, zupełnie jakby bała się używać naszych prawdziwych imion. Może nie chce się przywiązywać. Od wielu lat jest główną opiekunką w Południowej Bramie i pewnie widziała setki rezydentek tego pokoju.

- W porządku - kłamię, bo nie ma sensu mówić jej, jak naprawdę się czuję, o tym, że tracę poczucie realności, że nerwy mam napięte do granic możliwości, a w moim żołądku zalega ciężar.

Patience lustruje mnie wzrokiem od stóp do głów i wydyma lekko wargi. Jest dość pulchna, we włosach ma siwe pasma, a wyraz jej twarzy jest tak łatwy do odczytania, że wiem, o co zapyta, nim to robi.

- Jesteś pewna, że chcesz wystąpić w t y m ?

Potakuję, mnąc w palcach delikatny materiał szlafroka, a potem zsuwam się z łóżka. Bycie surogatką ma pewne zalety. Możemy ubierać się w to, co chcemy, jeść to, co chcemy i w weekendy spać do późna. Otrzymujemy również edukację. Bardzo dobrą edukację. Jemy świeże jedzenie, pijemy czystą wodę, mamy prąd i nie musimy pracować. Nie grozi nam bieda, a opiekunki zapewniają, że gdy zamieszkamy w Klejnocie, otrzymamy nawet więcej.

Dostaniemy wszystko, tylko nie wolność. O wolności nikt tu nie mówi.

Patience szybkim krokiem wychodzi z pokoju. Podążam za nią. Korytarze Magazynu Południowej Bramy wyłożone są tekowym i różanym drewnem. Na ścianach wiszą obrazy, wielobarwne, nieprzedstawiające niczego abstrakcje. Wszystkie drzwi są identyczne, domyślam się jednak, dokąd zmierzamy. Patience budzi nas tylko wtedy, gdy czeka nas spotkanie z lekarzem, gdy wydarza się coś niezwykłego, no i w Dniu Obrachunku. Na tym piętrze jest prócz mnie tylko jedna dziewczyna, która trafi na jutrzejszą Aukcję. Moja najlepsza przyjaciółka. Raven.

Drzwi do jej pokoju stoją otworem. Raven czeka na nas ubrana w beżowe spodnie z wysokim stanem i białą bluzkę z dekoltem w szpic. Nie umiem powiedzieć, czy jest ładniejsza ode mnie, bo od czterech lat nie widziałam swego odbicia w lustrze, mogę jednak z całym przekonaniem stwierdzić, że jest jedną z najpiękniejszych surogatek w Południowej Bra-

mie. Obydwie mamy czarne włosy, ale Raven nosi krótką fryzurę, a jej kosmyki, proste, jakby odrysowane od linijki, połyskują jak krucze pióra. Moje loki sięgają aż do pasa. Skóra Raven ma ciepły odcień karmelu, a jej ciemne, osadzone w idealnie owalnej twarzy oczy, kształtem przypominają migdały. Jest wyższa ode mnie, a przecież nie należę do niskich osób. Jesteśmy różne. Ja mam bladą, alabastrową cerę, silnie kontrastującą ze smolście czarnymi włosami i fiołkowe oczy. Nie potrzebuję lustra, by to wiedzieć. To właśnie dziwnej barwie tęczy zakocham się.

- Wielki dzień, co? - mówi Raven, wychodząc na korytarz. - Nie przebierzesz się?

Ignoruję drugie pytanie.

- Jutrzejszy będzie jeszcze większy.

- Racja, tyle że jutro nie pozwolą nam wybrać ciuchów. Ani pojutrze. Ani za tydzień. Ani... no cóż, już nigdy. - Odgarnia włosy za uszy. - Mam nadzieję, że ktokolwiek mnie kupi, pozwoli mi nosić spodnie.

- Na twoim miejscu nie robiłabym sobie wielkich nadziei, maleńka - wtrąca się Patience.

Muszę się z nią zgodzić. Klejnot nie wygląda na miejsce, w którym kobiety noszą spodnie. Jeśli komuś się na nie pozwala, to zapewne służącym, których nikt nigdy nie ogląda. Nawet jeśli zostaniemy sprzedane jakiejś rodzinie kupieckiej z Banku, pewnie i tak będą od nas wymagać chodzenia w sukniach.

Samotne Miasto podzielone jest na pięć kręgów, każdy oddzielony murem. Wszystkie, poza Bagnem, nazwano od dominującej w danej dzielnicy gałęzi przemysłu. Bagno jest kręgiem zewnętrznym. Ponieważ nie ma tu żadnych zakładów, panuje bieda, a mieszkańcy pracują głównie w innych krę-

gach. Czwarty krąg to Farma - to stamtąd pochodzi cała żywność. Później jest Dym, w którym znajdują się fabryki. Drugi krąg nazwano Bankiem, bo tam odbywa się wymiana handlowa, a kupcy prowadzą sklepy. Ostatni, a właściwie pierwszy, wewnętrzny krąg to Klejnot. Serce miasta i siedziba arystokracji. To właśnie tam już pojutrze będziemy mieszkać.

Podążamy za Patience w dół szerokich drewnianych schodów. W powietrzu unoszą się dobiegające z niedalekiej kuchni zapachy - aromat świeżego pieczywa i cynamonu. Pamiętam jak mama piekła małe słodkie bułeczki na moje urodziny. Składniki były drogie, więc bardzo rzadko było nas stać na taki luksus. Teraz mogę jeść bułeczki, kiedy tylko zapragnę, nie smakują już jednak tak samo.

Mijamy jedną z klas. Drzwi są otwarte, przystaję więc, by chwilę popatrzeć. Dziewczynki są jeszcze małe, mają może po dziesięć, jedenaście lat. Nowy narybek. Kiedyś też byłam jedną z tych nowych. Wtedy *auguria* była po prostu słowem, dopiero potem wyjaśniono mi, że jestem kimś specjalnym. Ze wszystkie dziewczyny w Południowej Bramie takie są. Że dzięki jakiemuś genetycznemu zrządzeniu losu posiadłyśmy coś, co może uratować arystokrację.

Dziewczęta siedzą grzecznie w ławkach, a przed każdą z nich leży pięć ułożonych w linię czerwonych klocków. Oprócz nich na blatach są jeszcze niewielkie wiaderka i starannie złożone chusteczki. Opiekunka siedzi za biurkiem i robi notatki. Na tablicy za jej plecami widnieje wielkie słowo ZIELONE. To test z pierwszej Augurii, Koloru. Uśmiecham się krzywo, przypominając sobie wszystkie sprawdziany, które sama przeszłam. Przyglądam się dziewczynie siedzącej najbliżej drzwi, obracając w myślach nieistniejący klocek tak, jak ona obraca w palcach fizyczny przedmiot.

Najpierw ujrzyj, jaki jest. Potem ujrzyj w myślach swych. Wreszcie wola skrępuj go.

Żyłki zieleni, niczym pędy winorośli **zaczynają** pełznąć po klocek w miejscach, w których dotykają go palce dziewczyny. Mruży oczy, skoncentrowana. Auguria sprawia jej ból, z którym ze wszystkich sił walczy. Wiem, że jeśli da radę wytrzymać jeszcze kilka sekund, osiągnie cel. Ból jednak jest zbyt silny. Dziewczyna z okrzykiem wypuszcza klocek, który na powrót powleka się czerwienią, chwyta wiaderko i wykrztusza do niego mieszaninę krwi i śliny, a potem sięga po chusteczkę, by wytrzeć cienką strużkę szkarłatu spływającą jej z nosa.

Wzdycham cicho. Pierwsza Auguria jest najłatwiejsza z Trójki, ale dziewczyna zdołała przemienić tylko dwie z pięciu kostek. Czeka ją długi dzień.

- Violet! - woła mnie Raven, porzucam więc prowadzące donikąd obserwacje i spieszę za nią.

Jadalnia jest w połowie pusta, bo większość dziewcząt rozeszła się już na zajęcia. Kiedy wchodzimy wraz z Raven do pomieszczenia, milkną wszystkie rozmowy. Zebrane odkładają sztuce i kubki, a potem wstają, krzyżują palce prawych rąk i przyciskają je do piersi. To tradycja. W Dniu Obrachunku wszystkie mieszkanki Magazynu pozdrawiają te, które już niebawem trafią na Aukcję. Sama robiłam to rokrocznie, a jednak teraz czuję się dziwnie, patrząc na tę oznakę szacunku. Ściska mnie w gardle, a do oczu napływają łzy. Czuję jak za moimi plecami Raven sztywnieje. Wiele z dziewcząt, które przerwały śniadanie, również zostanie jutro zlicytowana.

Zajmujemy nasze zwyczajowe miejsca przy stoliku tuż obok okna. Przygryzam wargę, gdy dociera do mnie, że już niedługo to nie będzie „nasz” stolik. To moje ostatnie śnia-

danie w Południowej Bramie. Jutro o tej porze będę siedzieć w pociągu.

Kiedy siadamy, siada również reszta sali. Dziewczyny wracają do przerwanych rozmów, teraz jednak mówią cichszymi głosami.

- Wiem, że to oznaka szacunku - mruczy pod nosem Raven - ale z drugiej strony wyglądało to znacznie zabawniej.

Młodziutka opiekunka imieniem Mercy podbiega do nas ze srebrnym dzbankiem kawy.

- Powodzenia jutro - szepce. Z trudem zmuszam się do uśmiechu. Raven nie jest w stanie zdobyć się nawet na taki wysiłek. Twarz Mercy pokrywa się rumieńcem. - Na co macie dzisiaj ochotę?

- Poproszę o dwa smażone jajka, kaszankę, tost z masłem i dżemem truskawkowym i jeszcze bekon. Dobrze wysmażony, ale nie przypalony. - Raven wyrzuca z siebie słowa, jakby miała na wypowiedź ograniczony czas. Może ma nadzieję, że Mercy coś pomyli? Nie zdziwiłabym się. Raven lubi bawić się ludźmi. Zwłaszcza, gdy sama się denerwuje.

Opiekunka po prostu się uśmiecha i spogląda na mnie.

- A dla ciebie, Violet?

- Sałatkę owocową - odpowiadam. - Naprawdę masz zamiar to wszystko zjeść? - pytam, gdy Mercy znika w kuchni. - Mam wrażenie, jakby przez ostatnią noc skurczył mi się żołądek.

- Jak zwykle za bardzo się martwisz - rzuca Raven, wsypując do filiżanki kawy dwie kopiaste łyżki cukru. - Przysięgam, kiedyś dostaniesz od tego wrzodów.

Popijając powoli gorącą kawę, przyglądam się zebrany w jadalni dziewczętom, zwłaszcza tym, które jutro również trafią na Aukcję. Część z nich wygląda podobnie do mnie:

również sprawiają wrażenie, jakby najchętniej wpełzły z powrotem do łóżka. Większość sprawia jednak wrażenie podniekscytowanych, pochylają się ku sobie i dyskutują z ożywieniem. Nie potrafię tego pojąć. Nigdy nie potrafiłam. Zupełnie nie rozumiem tych dziewcząt, które tak po prostu uwierzyły we wszystko, co mówią opiekunki, w to, że jesteśmy szalenie ważne, że jesteśmy częścią długiej, szlachetnej tradycji... Zapytałam kiedyś Patience, dlaczego po urodzeniu dziecka su-rogatka nie może po prostu wrócić do domu.

— Jesteście zbyt cenne dla arystokracji - powiedziała. — Są gotowi dbać o was do końca życia. Czy to nie wspaniałe? Ich hojność nie zna granic.

Odrzekłam, że wolałabym raczej mieszkać z rodziną niż korzystać z gościnności szlachty. Patience nie była zachwycona.

Jedna z młodszych dziewcząt zaczyna krzyczeć. Szklanka wody w jej dłoni zamieniła się w lód. Dziewczyna upuszcza naczynie, które z głośnym trzaskiem rozbija się na posadzce na milion kawałków. Biedactwo. Z nosa cieknie jej krew, plamiąc sukienkę. Po omacku chwyta chusteczkę i wybiega z sali, wymijając opiekunkę uzbrojoną w zestaw do sprzątania.

— Cieszę się, że to mamy już za sobą - rzuca Raven. Na samym początku nauki Augurie są straszliwie ciężkie do opanowania i lubią wymykać się spod kontroli, a ból sprawia najwięcej kłopotu, gdy nadciąga niezapowiedziany. Za pierwszym razem, gdy zobaczyłam na chusteczce krew, byłam przekonana, że umieram. Po jakimś roku czy dwóch skutki uboczne stały się łatwiejsze do zniesienia. Teraz miewam tylko krwotoki z nosa, a i to rzadko.

— Pamiętasz, jak przemalowałam cały koszyk truskawek na niebiesko? - pyta Raven z ledwie powstrzymanym parsknięciem.

Wzdrygam się na to wspomnienie. Na początku było zabawnie, potem zrobiło się strasznie. Raven nie potrafiła tego powstrzymać. Przez kilka godzin wszystko, czego dotknęła, stawało się niebieskie. Ciężko to odchorowała i lekarze musieli ją odizolować.

Teraz patrzę, jak ze spokojem dolewa mleka do kawy. Nie wiem, jak mam bez niej żyć.

- Dostałaś już numer? - zmieniam temat.

Łyzeczka uderza w cienką porcelanę. Ręka Raven drży przez ułamki sekund, ale przyjaciółka szybko odzyskuje nad sobą kontrolę.

-Tak.

To głupie pytanie. Zeszłej nocy wszystkie dostałyśmy numery. Chcę wiedzieć, który ma. Chcę wiedzieć, jak długo jeszcze będziemy razem.

-No i?

- 192. A ty?

Wypuszczam wstrzymywane w płucach powietrze.

- 197.

Raven uśmiecha się szyderczo.

- Wychodzi na to, że jesteśmy naprawdę gorącym towarem.

Na każdej Aukcji licytowana jest inna liczba surogatek. Każda z dziewczyn ma swój numer, im wyższy, tym wyższa jest jej wartość. Ostatnich dziesięć surogatek to kwiat Aukcji, najbardziej pożądane i najdroższe egzemplarze. W tym roku Aukcja jest wyjątkowo duża. Będzie nas aż dwieście.

Nie obchodzi mnie zbytnio moje miejsce w rankingu, bo wolałabym trafić raczej do jakiejś miłej pary z Banku niż do majątnych okrutników. Cieszę się jednak, że będziemy z Raven razem prawie do samego końca.

W jadalni zapada cisza, gdy do pomieszczenia wchodzi trzy dziewczyny. Wstajemy, by je uhonorować. One też będą z nami jutro w pociągu. Dwie z nich kierują się w stronę stolika ustawionego pod ciężkim ozdobnym żyrandolem, a jedna, drobna blondynka o ogromnych błękitnych oczach, podbiega do nas.

- Cześć, dziewczyny - rzuca, siadając na obitym pluszem krześle. W dłoni ściska plotkarski magazyn. - Nie jesteście podekscytowane? Bo ja bardzo! Już jutro zobaczymy Klejnot. Wyobrażacie to sobie?

Lubię Lily nawet pomimo jej przytłaczającego entuzjazmu. Jest jedną z tych dziewcząt, których nie jestem w stanie zrozumieć, ale nie umniejsza to mojej sympatii. Ona również pochodzi z Bagna, ale jej rodzina nie należy do najprzystojniejszych. Ojciec Lily często ją bił, a matka nadużywała alkoholu. Może dla niej diagnoza lekarza okazała się wybaczeniem?

- O tak, na pewno będzie to coś nowego - mówi oschłym tonem Raven.

- Wiem! — Lily nie zauważa sarkazmu.

- Odwiedzisz swój dom? - pytam. Nie wyobrażam sobie, żeby chciała raz jeszcze spotkać się z rodziną.

- Patience powiedziała, że nie muszę, ale chciałabym zobaczyć mamę. Będę miała eskortę Gwardzistów, więc tatuś nie zrobi mi krzywdy. - Uśmiecha się szeroko. Przeszywa mnie dreszcz żalu, a może litości.

- Dostałaś numer?

- Och. No tak, dostałam. Niestety, jestem pięćdziesiąta trzecia. Z dwustu! Fatalnie, prawda? Najpewniej wylicytuje mnie jakaś kupiecka rodzina z Banku. - Szlachta zezwala na to, by pochodzące z Banku rodziny również brały udział

w aukcjach, jednak wolno im licytować tylko surogatki sklasyfikowane najniżej w rankingu. Tamtejsze kobiety są w stanie samodzielnie donosić ciążę i rodzić zdrowe dzieci, jesteśmy więc dla nich jedynie symbolem społecznego statusu. - A wy? Co dostałyście?

- 192 - mówi Raven.

- 197.

- Wiedziała! Wiedziała, że obydwie dostaniecie najlepsze numery! Och, ale wam zazdroszczę!

Do stolika podchodzi Mercy, dźwigając tacę z naszymi śniadaniem.

- Dzień dobry, Lily. I powodzenia jutro - rzuca. Twarz Lily rozjaśnia się w szerokim uśmiechu.

- Dziękuję, Mercy. Och! Mogłabym dostać placki z jagodami? I sok ananasowy? I kilka plasterków mango?

Opiekunka kiwa głową.

- O rany. Idziesz w tym? - pyta nagle Lily, marszcząc brwi w autentycznym zdumieniu. Wcześniej najwyraźniej nie zarejestrowała tego, co mam na sobie.

- Tak - odpowiadam głośno, bo czuję się zmęczona słuchaniem wciąż tego samego pytania. - Właśnie w tym. Ten szlafrok to moja ulubiona rzecz i, skoro mam ostatnią okazję, by ubrać się, jak mi się podoba, to ubiorę się w to. Lubię ten szlafrok, kocham go, należy do mnie i zupełnie mnie nie obchodzi, jak w nim wyglądam.

Raven ukrywa uśmiech, pakując sobie do ust górę jajek i kaszanki. Lily wygląda na zmieszaną, ale już po chwili jej twarz znowu się wypogadza.

- Słyszeliście? To znaczy o Wybrance? - Spogląda na nas pełnymi nadziei oczyma, ale Raven bardziej zainteresowana jest zawartością własnego talerza, a ja nigdy nie pasjonowa-

łam się dworską polityką. Niektóre dziewczęta są na bieżąco z plotkami. Ja do nich nie należę.

- Nie — odpowiadam grzecznie, nabijając na widelec kawałek melona.

Lily kładzie magazyn na stole. Z okładki patrzy na nas młodziutka twarz Wybranki. Nad jej głową, wersalikami biegnie tytuł: WYBRANKA WEŹMIE UDZIAŁ W AUKCJI.

-To niesamowite, prawda? Wybranka na naszej Aukcji!
-Mam wrażenie, że Lily za moment pęknie z radości. Uwielbia Wybrankę, co nie jest niczym dziwnym. Wiele dziewczyn ją kocha. Jej historia jest dość nietypowa. Wybranka nie pochodzi z arystokracji, urodziła się w Banku, ale Hierarcha ujrzał ją w czasie wizyty w jednym ze sklepów należących do jej ojca. Zakochał się i wzięli ślub. Bardzo romantyczne. Cała jej rodzina otrzymała tytuły szlacheckie i wszyscy mieszkają w Klejnocie. Wiele surogatek dostrzega w tej opowieści szansę na cudowną odmianę własnego losu. Ja nie pojmuję, co złego jest w byciu córką bogatego kupca.

- Nie sądziłam, że przyjdzie - ciągnie Lily. - Bo przecież jej synek urodził się ledwie kilka miesięcy temu. Wyobraźcie to sobie, może wybrać jedną z nas na matkę swojego następnego dziecka!

Mam ochotę paznokciami rozszarpać obrus na strzępy. W ustach Lily urodzenie cudzego dziecka brzmi jak wielki zaszczyt, zupełnie jakbyśmy same wybrały swój los. Wcale nie chcę zachodzić w ciążę, nie chcę rodzić dzieci, nieważne, czy Wybrance, czy komukolwiek innemu. Nie chcę zostać sprzedana.

A Lily... Lily jest podekscytowana, jakby naprawdę istniał bodaj cień możliwości, że Wybranka będzie ją licytować. Numer 53? Bez szans.

Numer? Nienawidzę siebie, gdy myślę tak o koleżance. Ona nie jest numerem. Nazywa się Lily Deering. Uwielbia czekoladę, plotki, różowe sukienki z kołnierzykami z koronki i grę na skrzypcach. Urodziła się w koszmarnej rodzinie,

0 czym nikt nie pamięta, bo Lily ma dla każdego dobre słowo. Lily Deering nie jest numerem 53. Jest sobą.

A jednak jutro zostanie sprzedana. Trafi do obcego domu i będzie musiała przestrzegać zasad jakiejś obcej kobiety. Kobiety, która może jej nie zrozumieć, która może nie pojąć jej ogromnego entuzjazmu i nie dostrzec jej ciepła. Kobiety, której prawdziwa Lily może zupełnie nie obchodzić i która nie będzie potrafiła z nią rozmawiać.

Ta kobieta zmusi Lily, by nosiła pod sercem i urodziła jej dziecko, niezależnie od tego, czy Lily będzie tego pragnąć, czy nie.

Mam wrażenie, że gniew rozerwie mnie od środka. Zaciskam pięści i podrywam się od stołu.

- Co się... - zaczyna Lily, ale jej nie słucham. Kątem oka widzę zdumienie na twarzy Raven. Nie mogę zostać w jadalni, boję się, że wybuchnę. Bez słowa ruszam w kierunku drzwi, ścigana zdumionymi, zaciekawionymi spojrzeniami zebranych w sali dziewcząt. Na korytarzu puszczam się biegiem i nie zwalniam, póki drzwi mojego pokoju nie zatraskują się za mną z hukiem.

Ślubna obrączka taty jest na mnie za duża. Zakładam ją na kciuk, ale i tak spada, z całych sił ściskam więc łańcuszek, a paznokcie wbijają mi się we wnętrze dłoni.

Jestem jak zamknięte w klatce zwierzę. Pokój jest mały, od ściany do ściany ledwie kilka kroków. Chodzę i chodzę

i nie mogę uwierzyć w to, że rano myślałam, że będzie mi go brakować. Przecież to więzienie! To Magazyn, w którym

przechowują mnie do dnia, w którym trafię do jakiejś obcej kobiety, by stać się żyjącym inkubatorem. Mam wrażenie, że się uduszę, że ściany pokoju zbliżają się do mnie i za chwilę zabraknie mi powietrza. Doskakuję do kredensu i zrzucam wszystko, co na nim stoi. Szczotka i grzebień uderzają z cichym stukotem o posadzkę, a wazon rozbija się w drobny mak. Wszędzie leżą kwiaty. Mam ochotę je podeptać.

Drzwi otwierają się zniecierliwie. Stoi w nich Raven. Patrzy to na mnie, to na bałagan. Słyszę tylko łomoczącą w skroniach krew, a całe moje ciało drży. Przyjaciółka podchodzi do mnie i obejmuje mnie mocno. Dopiero wtedy mogę płakać. Gorące łzy spływają mi po policzkach i kapią na jej białą bluzkę.

Długo milczymy.

- Jestem przerażona - szepczę wreszcie. - Raven, jestem przerażona.

Przyciąga mnie jeszcze bliżej, a potem puszcza i zaczyna zbierać z podłogi kawałki szkła. Wstydzę się tego, co zrobiłam, wybuchu gniewu i bałaganu, przyklękam więc i zaczynam jej pomagać.

Odkładamy szczątki wazy z powrotem na kredens. Raven wyciera dłonie w spodnie.

- Musimy doprowadzić cię do porządku - mówi.

Kiwam głową. Ramię w ramię idziemy do łazienki, sporej wielkości pomieszczenia za jednymi z identycznych drzwi. Okazuje się, że nie jest puste - jest tu dziewczyna, która w trakcie śniadania przemieniła wodę w lód. Kiedy wchodzimy, przykładą do nosa zwilżoną szmatkę. Już nie krwawi, ale jej skóra pokryta jest cienką warstwą potu. Na nasz widok wyraźnie się wzdryga.

- Wyjdź - rzuca Raven. Dziewczyna upuszcza chusteczkę i wybiega z łazienki.

Raven bierze z półki czysty ręcznik i namacza go w wodzie z lawendowym mydłem.

- Denerwujesz się? - Chciałam zapytać o Aukcję, ale w ostatniej chwili zmieniam zdanie. - Tym, że zobaczysz swoją rodzinę?

- Dlaczego miałabym się denerwować? - odpowiada, wycierając mi twarz wilgotnym materiałem. Zapach lawendy działa kojąco.

- Bo nie widziałas ich od pięciu lat - mówię łagodnie. Raven jest w Południowej Bramie dłużej niż ja.

Wzrusza ramionami, dotykając delikatnie moich policzków. Znam ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie ma co ciągnąć tematu. Po chwili odkłada szmatkę i zaczyna rozczesywać mi włosy. Serce wali mi na myśl o tym, co stanie się jutro.

- Nie chcę tam iść - wyznaję cicho. - Nie chcę iść na Aukcję.

- Oczywiście, że nie chcesz - odpowiada. - Nie jesteś stuknięta jak Lily.

- To było wredne. Nie mów tak.

Raven przewraca oczyma, odkłada szczotkę i układa mi włosy na ramionach.

- Co się z nami stanie? - pytam.

Chwyta mnie za brodę i zmusza do uniesienia głowy.

- Posłuchaj, Violet Lasting - cedzi, patrząc mi prosto w oczy. - Nic nam nie będzie. Jesteśmy silne. Jesteśmy mądre. Nic. Nam. Nie. Będzie.

Kiwam głową, choć drży mi dolna warga. Raven rozluźnia się trochę i poprawia ostatni niesforny kosmyk moich włosów.

- Znakomicie - oświadcza. - A teraz spotkajmy się z naszymi rodzinami.

ROZDZIAŁ 2

Elektryczny dyliżans szybko przemierza zakurzone ulice. Ciężkie welurowe zasłony chronią nas przed unoszącymi się w powietrzu płatkami zeschniętego błota, tego samego, które w dzieciństwie osiadało mi na skórze. Nie mogę się powstrzymać przed wyglądaniem przez okno. Spoglądam na Bagno przez szparę w zasłonach, dziwiąc się wszystkiemu, na co patrzę. Ostatni raz byłam za murami Magazynu w wieku dwunastu lat.

Po obydwu stronach ulicy ciągną się podobne do siebie, brązowe budynki z glinianych, wzmocnianych słomą cegieł. Dachy niektórych gniją, inne zapadły się do środka. Wszędzie biegają półnagie dzieciaki, a w bocznych alejkach stoją i piją alkohol mężczyźni dźwigający przed sobą ciężkie kał-

duny. Mijamy zamknięty dzisiaj przytułek, którego zaryglowane drzwi sprawiają odstręczające wrażenie. W niedzielę wzdłuż tej ulicy ustawi się długa kolejka ludzi. Całe rodziny będą czekać, by otrzymać wsparcie, ubrania, jedzenie i leki, które szlachta w swej niezmiernie łaskawości przeznaczyła na pomoc pechowcom. Historia wygląda zawsze tak samo. Nieważne, ile darów przybywa do Bagna, nigdy nie jest ich dość, by obdzielić wszystkich potrzebujących.

Kilka ulic dalej dostrzegam trzech Gwardzistów, którzy odciągają od stoiska z warzywami wychudzonego chłopca. Tak wiele czasu minęło od dnia, w którym widziałam jakichś mężczyzn, którzy nie są lekarzami. Gwardziści są młodzi, mają szerokie ramiona, duże dłonie i wielkie nosy. Gdy dyliżans zbliża się do nich, puszczają chłopaka i stają na baczność. Ciekawe, czy zauważyli, jak im się przyglądałam. Pospiesznie zaciągam zasłony.

Jesteśmy w dyliżansie we cztery, ale nie ma ze mną Raven. Jej rodzina mieszka po drugiej stronie Południowej Bramy. Bagno jest niczym opona na rowerowym kole, otacza całe Samotne Miasto. Jeśli Wielki Mur kiedyś skruszeje, odejdziemy jako pierwsi, pochłonięci przez bezwzględny, roztaczający się aż po horyzont ocean.

Każdy krąg miasta, nie licząc Klejnotu, podzielony jest na cztery części - Północną, Południową, Wschodnią i Zachodnią, jakby przez miasto przechodziło wielkie X. W centrum każdej ćwiartki Bagna znajduje się Magazyn. Rodzina Raven mieszka po wschodniej stronie Południowej Bramy, moja po zachodniej. Gdyby nie zdiagnozowano nas jako surogatki, najpewniej nigdy byśmy się nie spotkały.

Nikt w pojeździe się nie odzywa i chyba się z tego cieszą. Odruchowo dotykam nadgarstka, czując pod opuszką

mi palców twardy krążek transmitera, który wszczepiono mi pod skórę przed opuszczeniem Magazynu. Każda z nas taki dostała. To nic trwałego, rozpuści się w ciągu ośmiu godzin. W ten sposób Brama Południowa zmusza nas do przestrzegania zasad. Nie wolno nam mówić o tym, co dzieje się w Magazynie. Nie wolno rozmawiać o Auguriach. Nie wolno choćby wspomnieć o Aukcji.

Dyżurni jeździ od domu do domu. Ja wysiądę jako ostatnia.

Trzęsę się jak osika, gdy podjeżdżamy pod dobrze znany mi budynek. Skamieniała, nasłuchuję jakiegoś znaku świadczącego o tym, że rodzina na mnie czeka, jednak jedyne, co słyszę, to łomot serca. Sięgnięcie do klamki wymaga ode mnie nadludzkiej siły. Przez krótki moment wydaje mi się, że nie dam rady. A co, jeśli okaże się, że już mnie nie kochają? Co, jeśli mnie zapomnieli?

I wtedy właśnie słyszę głos mojej matki.

- Violet?! - woła nieśmiało.

Otwieram drzwi.

Stoją tam, jedno obok drugiego, w karnej, prostej linii, odziani w swoje najlepsze ubrania. Otwieram szeroko oczy, dostrzegając, że Ochrę przerósł mamę. Jego pierś i ramiona są muskularne, włosy przycięt krótko, a jego opalona skóra wydaje się dziwnie gruba i wytrzymała. Najpewniej dostał pracę w Farmie.

Mama wydaje się znacznie starsza niż ją zapamiętałam, jednak w jej złocistorudych włosach nie widać zbyt wielu śladów siwizny. Ma za to głębokie zmarszczki okalające oczy i usta.

Hazel zaś... Hazel zmieniła się nie do poznania. Gdy opuszczałam dom, miała ledwie siedem lat, teraz jest chudą, złożoną z patykowatych rąk i nóg jedenastolatką. Wiel-

krotnie cerowana, spłowiła tunika wisi na niej jak na szkielecie. Jej twarz... Mam wrażenie, jakbym patrzyła w twarz ojca. Hazel ma jego oczy i moje włosy. Uśmiecham się lekko. Natychmiast przysuwa się bliżej Ochre'a.

- Violet? - powtarza mama.

- Dzień dobry - mówię grzecznie. Wszystko jest takie formalne. Wychodzę z dyliżansu, a gdy stawiam stopy na ziemi, natychmiast czuję wpełzające pomiędzy palce lepkie błoto. Hazel wytrzeszcza oczy. Nie wiem, czego się spodziewała, ale na pewno nie tego, że wystąpię w nocnej koszuli i starym szlafroku. Nikt z rodziny nie nosi butów, dlatego i ja ich nie założyłam. Chcę poczuć pod nogami ten brud, w którym się wychowałam. Chcę poczuć dom.

Przez kilka sekund stoimy w niezręcznym milczeniu, aż wreszcie mama wyrywa się ku mnie i zarzuca mi ręce na szyję. Jest szczuplutka, wiotka jak nigdy wcześniej.

- Och, moje dziecko - wzdycha. - Tak się cieszę, że cię widzę! Wdycham jej zapach, mieszankę woni chleba, soli i potu.

- Tęskniłam za tobą - szepczę.

Ociera z oczu łzy i odsuwa mnie na odległość ramienia.

- Ile mamy czasu?

- Do ósmej.

Otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, po czym zamyka je i potrząsa lekko głową.

- No cóż. W takim razie musimy go dobrze wykorzystać. - Obraca się w kierunku mojego rodzeństwa. - Ochre, Hazel, uściskajcie siostrę.

Ochre podchodzi do mnie i po raz kolejny zadaję sobie pytanie, kiedy tak strasznie wyrósł? Miał dziesięć lat, gdy mnie zabrano, a teraz jest mężczyzną.

- Cześć - mamrocze i natychmiast zagryza wargę, jakby bał się, że do surogatek nie wolno zwracać się w tak poufaly sposób.

- Ochre, jesteś wielki! - docinam mu. - Czym mama cie karmiła?

- Mam sześć stóp - oznajmia z dumą.

- Prawdziwy z ciebie potwór!

Na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

- Hazel - prosi mama. - Przywitaj się z siostrą.

Ale Hazel, moja mała Hazel, której śpiewałam nocami, której przemycałam ciasteczka i z którą na podwórku grałam w Klejnot w Koronie, obraca się do mnie plecami i bez słowa wbiega do domu.

- Po prostu potrzebuje trochę czasu — mówi kilka minut później mama, nalewając mi kubek chryzantemowej herbaty.

Akurat czas jest tym, czego nie mam.

Upijam łyk i siłą powstrzymuję grymas obrzydzenia. Zapomniałam gorzkawy, cierpki posmak tego napoju. Moje kubki smakowe przyzwyczyły się do kawy i świeżo wyciskanych soków. Zmuszam się, by przełknąć, czując jak narasta we mnie poczucie winy.

Siedzimy wraz z mamą przy drewnianym stole, który kiedyś własnoręcznie wykonał tata. Dom wydaje się mniejszy niż zapamiętałam. Kuchnia łączy się z pokojem. Jest tu zlew, mały piecyk olejowy i drugi, mniejszy stolik z ukrytą pod blatem szafką, w której stoją talerze i rondle. W pomieszczeniu jest tylko jedna kanapa, tak zniszczona, że gdzieniegdzie spod jej obicia wyłazi gąbka, oraz chybotające się krzesło. Pamiętam, jak mama siadała na nim i robiła na drutach. Ciekawe, czy nadal tak robi.

- Hazel mnie nie pamięta - mówię ponuro.

- Ależ pamięta - zapewnia mnie mama. - Tylko... Nie do końca wie, kim teraz jesteś. Mam na myśli... Violet, spójrz na siebie.

Spoglądam. Czy naprawdę tak strasznie się zmieniłam? Na pewno nie jestem już taka chuda, a moja skóra ma zdrowy, różowawy odcień.

- Twoja twarz, kochanie. - Mama chichocze cicho. Gardło mi się zaciska.

- Ja... Od dawna nie widziałam mojej twarzy. Mama zaciska usta.

- Chciałabyś ją zobaczyć?

Nie mogę przełknąć. Wsuwam dłoń do kieszeni szlafroka i kurczowo zaciskam w niej pierścionek taty.

- Nie - szepczę wreszcie. Nie wiem dlaczego, ale wizja ujżenia własnej twarzy okropnie mnie przeraża. Spoglądam na dłonie mamy leżące luźno na jej kolanach. Przypominają rzeźby z drewna. Wykrzywił je artretyzm, a nabrzmiałe żyły na ich grzbietach wyglądają jak wstęgi rzek na topograficznej mapie.

- Gdzie twój pierścionek? - pytam.

Jej policzki czerwienieją. Wzrusza ramionami.

- Mamo - naciskam - co się stało z pierścionkiem?

- Sprzedałam go.

Wytrzeszczam oczy tak mocno, że mało nie wypadną mi z głowy.

- Co takiego? Dlaczego?

Mama patrzy na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, zaczepnie.

- Bo potrzebowaliśmy pieniędzy.

- Ale... - potrząsam głową, wciąż oszołomiona. - A co ze stypendium?

Co roku rodziny dziewcząt zdiagnozowanych jako surogatki dostają stypendium, pewną ilość pieniędzy, która ma im osłodzić utratę córki.

Mama wzdycha ciężko.

- Stypendium nie wystarcza, Violet. Myślisz, że z jakiego powodu Ochrę zostawił szkołę? Spójrz na moje ręce, kochanie, nie mogę pracować tak dużo, jak kiedyś. Chciałabyś, żebym wysłała Hazel do jakiejś fabryki? Albo do sadów?

- Oczywiście, że nie! - Nie mogę uwierzyć, że coś takiego w ogóle przyszło jej to głowy. Hazel jest za mała, żeby wytrzymać wymagającą ogromnej ciężkiej fizycznej pracę w Farmie. Jej ciało składa się właściwie z samych kostek. Choć tam miałyby chociaż cień szansy... Gdyby trafiła do Dymu, wykończyliby ją w mgnieniu oka. Wzdrygam się na myśl o tym, jak drobnymi dłońmi operuje jakąś ciężką maszyną, a jej płuca mielą i mielą unoszący się w powietrzu pył.

- Nie osądzaj więc tego, co robię, Violet. Twój ojciec, niech spoczywa w pokoju, na pewno by to zrozumiał. To tylko kawałek złota. - Opiera łokcie na stole i opiera czoło na dłoniach. - To tylko kawałek złota - powtarza zduszonym głosem.

Nie wiem, dlaczego czuję się tak rozczarowana. Ma rację, pierścionek to tylko przedmiot. Pierścionek to nie mój ojciec.

Po raz ostatni zaciskam palce na obrączce. Potem wyciągam ją z kieszeni i kładę na stole.

- Mamo, proszę, weź ją. Ja i tak będę musiała ją oddać. Po wyrazie jej twarzy poznaję, jak wiele wysiłku kosztowało ją pozbycie się własnej obrączki.

- Dziękuję - mówi cichym głosem.

- Mogę zatrzymać szlafrok?

Wybuch krótkim śmiechem, choć w jej oczach wciąż błyszczą łzy. Cudownie słyszeć w jej głosie radość.

- Oczywiście. Świetnie na ciebie pasuje.

- Pewnie w końcu i tak go wyrzucą, ale chciałabym go zatrzymać tak długo, jak tylko się da.

Ujmuje moje dłonie i lekko ściska. -Jest twój. Jestem zaskoczona, że pozwolili ci odwiedzić nas w piżamie.

- Możemy nosić to, co chcemy. Zwłaszcza dzisiaj. Cisza, która zapada po tych słowach jest niczym miękka,

ciemna tkanina, pod której dotykiem rozpływa się wszystko, co chciałam jeszcze powiedzieć. Przez okno nad zlewem do domu wlatuje mucha. Bzyczenie trochę mnie rozprasza. Mama delikatnie gładzi palcem wierzch mojej dłoni. Na jej twarzy maluje się niepokój.

- Ale dobrze się tobą opiekowali, prawda? - pyta. Wzruszam ramionami i odwracam wzrok. Nie mogę mówić o Południowej Bramie.

- Violet, proszę. Proszę, powiedz mi. Nie wyobrażasz sobie, jak mi było ciężko. Jak nam było ciężko. Najpierw twój ojciec, a potem... Popatrz na siebie, Violet, dorosłaś, a ja... Ja to przegapiłam. - Pojedyncza łza spływa jej z oka i rzeźbi na policzku błyszczącą linię. - Nie chciałam, kochanie. Jak mam z tym żyć?

W gardle mam lepką gulę.

- To nie twoja wina - mówię, patrząc na jej wykrzywione dłonie. - Nie miałaś wyboru.

- Nie, nie miałam - szepce mama. - Straciłam cię. Powiedz mi, proszę, że wynikło z tego coś dobrego. Że będziesz miała lepsze życie.

Chciałabym móc wszystko jej opowiedzieć. Chciałabym móc powiedzieć jej prawdę o trzech Auguriach, o latach nieznośnego bólu, niezliczonych testach i o wizytach u lekarzy. Chciałabym powiedzieć jej, jak straszliwie za nią tęskniłam i o tym, że w jednym jej dotyku jest więcej czułości niż we wszystkich opiekunkach Magazynu. Chciałabym móc powiedzieć jej, jak bardzo kocham grać na wiolonczeli i że jestem w tym naprawdę dobra. Na pewno byłaby ze mnie dumna. Na pewno chciałyby to usłyszeć.

Gula w gardle jest tak wielka, że zdumiewa mnie, iż wciąż mogę oddychać. Wracam myślami do tamtego straszego dnia, kiedy w domu pojawili się Gwardziści. To stare wspomnienie, jakby z innego życia, przypomina raczej niepasujący do niczego kawałek układanki niż coś, co wydarzyło się naprawdę. Krzyczałam, płakałam, błagałam mamę, żeby nie pozwoliła im mnie zabrać. Hazel trzymała mnie kurczowo za podartą sukienkę, a jej oczy wyrażały nieme błaganie... Pamiętam błysk słońca na wypolerowanym pistolecie gwardzisty. Pamiętam jak mama przycisnęła wargi do mojego czoła i płakała prosto w moje włosy.

- Musisz z nimi iść, Violet - mówiła. - Musisz z nimi iść. Brakuje mi powietrza. Pokój jest za ciasny, jest zbyt ciepło.

- Muszę... Muszę odetchnąć - wyduszam z siebie, a potem odpycham krzesło i wybiegam z domu tylnymi drzwiami.

Podwórko to po prostu niewielki spłachetek suchej ziemi porosłej tu i ówdzie pożółkłą trawą, ale i tak czuję ogromną ulgę, gdy twarz omiatają mi podmuchy chłodnego powietrza. W kącie, tuż pod płotem, rośnie małe cytrynowe drzewko, którego liście szeleszczą uspokajająco. Nigdy nie urodziło żadnej cytryny. Jak brzmiała ta piosenka, którą śpiewał nam tata?

Cytrynowe drzewko, takie ładne Jakże słodkie są jego kwiaty
Chodziło chyba o niebezpieczną, zwodniczą naturę miłości, ale ilekroć tata śpiewał, myślałam o czymś zupełnie innym niż dziwne analogie. Chciałam zjeść cytrynę. I zrobiłam to. Cytryna była pierwszą rzeczą, której spróbowałam po przybyciu do Południowej Bramy. Podekscytowana wgryzłam się prosto w gruby plaster i oczy prawie wyskoczyły mi z orbit.

- Wyglądasz inaczej.

Obracam się. Hazel siedzi na obróconym do góry dnem wiadrze i opiera się plecami o ścianę. Nie zauważyłam jej.

- Mama też tak mówi. - Mój głos jest dziwnie stłumiony.

Przez kilka chwil po prostu mi się przygląda. Jej oczy są skupione i błyszczą inteligencją. Podobieństwo do ojca jest uderzające.

- Mówi też, że jutro jedziesz na Aukcję. Że właśnie dlatego pozwolili ci się z nami zobaczyć.

Kiwam głową.

- Nazywają to Dniem Obrachunku - wyjaśniam. - Bo... Bo powinnaś rozliczyć się z przeszłością, nim zaczniesz przyszłość. - Nie wiem, po co to mówię. Opiekunki po wielokroć powtarzały tę frazę. Kiedy sama ją wymawiam, okazuje się gorzka jak piołun.

Hazel podrywa się na nogi.

- Tym właśnie jesteśmy? Czymś, co musisz zaliczyć zanim trafisz do jakiegoś pałacu w Klejnocie?

- Nie! - wykrzykuję wstrząśnięta. — Oczywiście, że nie. Hazel zwija dłonie w pięści. Też tak robię, gdy jestem wściekła.

- To po co tu jesteś? Zszokowana, potrząsam głową.

- Dlaczego? Hazel, przyjechałam tu, bo was kocham. Bo za wami tęskniłam. Za tobą i marną, i Ochre'em. Tęskniłam każdego dnia.

- To dlaczego do mnie nie pisałaś? - krzyczy Hazel łamiącym się głosem. Słyszę jej ból i prawie pęka mi serce. - Przecież obiecałaś! Mówiłaś, że nieważne, co się stanie, będziesz pisać. Codziennie miałam nadzieję, codziennie czekałam, ale ty nie napisałaś ani słowa. Ani słowa!

Czuję się, jakbym dostała prosto w splot słoneczny. Miałam nadzieję, że zapomni o tej obietnicy. Gdy tylko przybyłam do Magazynu, zrozumiałam, że nigdy jej nie spełnię.

- Hazel, nie mogłam. Nie pozwalali nam.

- Pewnie nawet nie próbowałaś! - Prawie wypluwa te słowa. - Po prostu chciałaś tego wszystkiego, prawda? Wymyślnych ciuchów, świeżego jedzenia, czystej wody. To po to tam poszłaś, więc przestań kłamać.

- Tak, dostałam to wszystko. Ale oddałabym to w jednej chwili, gdyby tylko w zamian pozwolili mi wrócić. Gdybym tylko mogła dalej okrywać cię do snu i nucić ci do ucha. Mogłybyśmy robić babki z błota i rzucać nimi w Ochre'a, kiedy nie patrzy... - Kolejne obrazy przesuwają mi się przed oczyma. Oto życie, które straciłam. Może i biedne, ale za to szczęśliwe.

- Naprawdę wierzysz w to, że zostawiłam was dla bieżącej wody i nowych ubrań? Nie miałam wyboru - dodaję. - Nikt nie pytał mnie o zdanie.

Hazel się nie odzywa, ale nie wygląda już na tak pewną siebie. Podchodzę bliżej.

- Co roku obchodzę twoje urodziny - mówię, dotykając nadgarstka. Wyłączenie transmitera jest ryzykowne, ale w tej

chwili mało mnie to interesuje. - Opiekunki pieką wtedy ciasto czekoladowe z kremem waniliowym, na górze wypisują na zielono twoje imię i wtykają świeczkę. Potem razem z Raven, moją koleżanką, śpiewamy ci życzenia i zdmuchujemy ją. - Robimy tak także dla Ochre'a i brata Raven. Hazel mruga.

- Naprawdę?

Po moich policzkach spływają łzy. W kącikach ust czuję smak soli.

- Czasem rozmawiam z tobą przed snem. Opowiadam ci żarty, które usłyszałam albo historie o znajomych i życiu w Magazynie. Tęsknię za tobą Hazel. Każdego dnia.

Nagle Hazel podbiega do mnie i zarzuca mi ramiona na szyję. Przyciskam mocno do siebie jej drobne, drżące od szlochu ciało. Nie mogę powstrzymać płaczu. Moje łzy skrzą się w jej włosach jak diamenty.

- Myślałam, że o mnie zapomniałaś. - Wyrzuca z siebie prosto w mój szlafrok. - Myślałam, że mnie zostawiłaś.

- Nie - szepczę. - Zawsze będę cię kochać, Hazel. Obiecuję. Cieszę się, że dostałam tę chwilę, ten maleńki wycinek czasu. Nieważne, co stanie się później, nieważne, kto mnie kupi, jestem wdzięczna za to, że mogłam tu przyjechać i jeszcze raz przytulić siostrę.

Na kolację jest maleńka, koścista kaczka, gotowane ziemniaki i kilka przywędłych fasolek.

Czuję się winna, wspominając wszystkie te wystawne kolacje, które zjadłam, nieprzebraną różnorodność świeżych, po mistrzowsku przyrządzonych potraw. Dla mojej rodziny ten skromny posiłek jest jak uczta na cześć Wybranki.

- Ochre przyniósł z mleczarni śmietanę - oświadcza Hazel, ciągnąc mnie za rękaw. - To znaczy, że na deser będą lody.

- Świetnie trafiłam - odpowiadam, uśmiechając się do niej, a potem podaję miskę z ziemniakami Ochre'emu. — Czyli pracujesz w mleczarniach?

Ochre przytakuje.

- Przez większość czasu - wyjaśnia, nakładając sobie na talerz potężną porcję ziemniaków. Mama odbiera mu miskę, nim zgarnie wszystkie. - Lubię pracować ze zwierzętami. Przo-downik powiedział, że za jakiś rok będę już mógł orać pola. -Jego pierś unosi się lekko, gdy to mówi. - Tak długo, jak będę pracować dla Domu Płomienia, wszystko będzie w porządku. Bardzo dobrze nas traktują, pozwalają na porządne przerwy, nie każą nam siedzieć za długo... Pamiętacie Sable'a Tersinga? On trafił do Domu Światła i ciągle się skarży. Podobno przo-downicy mają baty, których chętnie używają i obcinają wynagrodzenie, jeśli złapią kogoś na paleniu, a poza tym...

- Dlaczego Sable Tersing pali? Co mu odbiło? - Pod miazdzącym spojrzeniem mamy Ochre robi się czerwony.

- Nie miałem na myśli Terse'a, tylko...

- Ochre, przysięgam na grób twojego ojca, że jeśli przyłapię cię z papierosem...

- Mamo! - Ochre przewraca oczyma. - Chciałem tylko powiedzieć, że to nie w porządku w stosunku do pracowników, że nie wiedzą, jak będzie ich traktował Dom, pod którego skrzydła trafią. Powinny być jakieś zasady, a ludzie powinni móc odwoływać się do Hierarchy, jeśli ktoś ich nie przestrzega.

- No jasne! Jestem pewna, że Hierarcha nie ma nic lepszego do roboty niż wysłuchiwać narzekań grupki nastolatków.

Głos mamy brzmi ostro, ale nie umiem powstrzymać uśmiechu.

- Brzmisz jak tata - mówię do brata.

Ochre w zamyśleniu drapie się po szyi, po czym pakuje sobie do ust kopiec ziemniaków.

- W paru sprawach miał rację - mamrocze niezbyt wyraźnie.

Hazel, spragniona uwagi, znów ciągnie mnie za rękaw.

- Jestem najlepsza w klasie - oświadcza w z dumą.

- Pewnie, że tak! W końcu jesteś moją siostrą, prawda? Mama parska śmiechem.

- Och, Violet, ty nie przysparzałaś mi tylu problemów. Rok ledwie się zaczął, a ona już wzięła udział w dwóch bójkach.

- W bójkach? - Marszczę brwi, patrząc na chudziutką Hazel. - Z kim walczyłaś?

Hazel posyła mamie ponure spojrzenie.

- Z nikim. Z jakimiś głupimi chłopakami.

- Otóż to. Kolejny taki wybryk i na tydzień zamienisz przyjemności na obowiązki. Żadnych zabaw, tylko praca -zapowiada mama.

Hazel wbija wzrok w talerz i wydyma wargi.

Kiedy słucham o ich przyziemnej codzienności, skręca mnie zazdrość. Ponad tym stołem, gęsta niczym melasa, unosi się miłość. Mam wrażenie, że cały dom pulsuje ciepłem i życiem. Patrzę, jak Ochre i Hazel przekomarzają się ze sobą, a mama parska śmiechem i próbuje ich uciszyć. Wiem, że pasowałabym tutaj i bez trudu wyobrażam sobie, jakby to było, gdyby Gwardziści mnie nie zabrali.

Czuję przemożną potrzebę zapewnienia mamy, że wszystko będzie w porządku, nawet jeśli podświadomie wiem, że to nieprawda. Nie chcę, by cokolwiek rzucało cień na prostą radość mojej rodziny.

- Nie musicie się o mnie martwić - zaczynam. Rozmowy milkną jak ucięte nożem. Wszyscy na mnie patrzą. Pew-

nie nie powinnam była mówić wprost. - To znaczy... — Spoglądam na mamę. - Nic mi nie będzie. - Mama odkłada widelec. Zmuszam się do uśmiechu. Mam nadzieję, że wygląda naturalnie. - Jutro zamieszkać w Klejnocie. To niesamowite, prawda? Jestem pewna, że będą się mną opiekować. - Hazel ma oczy wielkie jak spodki. - Chciałam tylko powiedzieć... Chciałam, żebyście wiedzieli... Kocham was. Bardzo was kocham. - Głos mi się łamie, upijam więc łyk wody. Oczy mamy znów wypełniają się łzami. Odruchowo dotyka palcami ust. - Gdyby tylko istniał jakiś sposób... Gdybym mogła tu zostać, to bym została. Ja... Jestem dumna, że jestem częścią tej rodziny. Chciałam, żebyście o tym wiedzieli.

Ich spojrzenia sprawiają mi fizyczny wręcz ból. Boję się, że za moment rozsypię się na kawałki. Ogień w kominku przygasł i w pokoju panuje półmrok.

- Trzeba dorzucić drewna - mówię niezręcznie, wstając. — Przyniosę.

Wybiegam przez tylne drzwi. Nocne powietrze jest chłodne, wręcz zimne.

Nie płacz, powtarzam sobie, przyciskając do boków trzęsące się ręce. Nie mogę się rozplakać, bo wtedy wszyscy zobaczą, jak bardzo się boję, a przecież powinni myśleć, że jestem szczęśliwa. Nie wolno mi zniszczyć ich radości.

Opieram się ciężko o ścianę domu i spoglądam w wygwieżdzone niebo. Nieważne, dokąd trafię po Aukcji, gwiazdy pozostaną na swych miejscach, będą takie same dla mnie i dla Hazel.

Podchodzę do sterty bierwion, a wtedy mój wzrok pada na srebrzyste w świetle księżycy cytrynowe drzewko. Przychodzi mi do głowy pewien pomysł.

Trzecia Auguria, Wzrost.

Podbiegam do drzewka i kładę dłonie na aksamitnej korze. Będzie bolało, ale nie przejmuję się tym. Zawsze boli, ale tym razem ten ból będzie miał przynajmniej sens. Wiem, że potrafię to zrobić. W trzeciej Augurii nie ma w Południowej Bramie nikogo lepszego ode mnie.

Dotykam palcami niewielkiego wybrzuszenia na jednej z gałęzi i zaciskam na nim dłoń, powtarzając w myślach: *Najpierw ujrzyj, jaki jest. Potem ujrzyj w myślach swych. Wreszcie wolą skrepuj go.*

Wyobrażam sobie dokładnie to, co chcę uzyskać. Moja dłoń zaczyna pulsować ciepłem, a w tyle głowy narasta ból. Czuję życie tego małego drzewka, płynie poprzez pień i gałęzie niczym szmerzący strumień. Chwytam je w dłoń, zamieniam w coś bardziej stałego, coś, co przypomina linki doczepione do kończyn marionetki. Pociągam. Najpierw pod korą formuje się mały guzek, a już po chwili spomiędzy moich palców wyłania się delikatny liść. Drzewo stawia opór, nie mam jednak problemu, by go przełamać. Łapczywie chwytam zimne powietrze, gdy ból spływa z głowy aż na kręgosłup. Mam wrażenie, jakby ktoś wbijał mi w ciało tysiące grubych igieł. Wyginam plecy i potrząsam odruchowo głową. To nic. Bywało gorzej, a teraz mam bardzo silną motywację. Zmuszam się do zachowania koncentracji. Przygryzam wargę, żeby głośno nie zaszlochać i powoli rozplątuję nici życia, jakby to były nitki ażurowej pajęczyny, prostuję je i zaplatam na nowo, póki guzek nie staje się duży i nie mogę schwycić go w dłoń.

Cytryna.

Puszczam ją i opadam na kolana, drąc paznokciami wyschniętą ziemię. Drzę. Kilka kropel krwi kapie mi z nosa i opa-

da w kurz. Ocieram twarz grzbietem dłoni i przytykam czoło do chłodnej kory, licząc w myślach od dziesięciu do jednego. Nauczyła nas tego Patience, to prosty sposób na opanowanie bólu i powrót do pełni świadomości. Sekunda po sekundzie ból staje się coraz mniejszy i mniejszy, aż wreszcie zamienia się w tępe pulsowanie gdzieś za prawym uchem. Wstaję, choć wciąż jeszcze drżą mi kolana.

Wisząca na gałęzi cytryna jest doskonała, ma piękny żółty kolor i błyszczącą skórkę. Hazel będzie zachwycona.

Gdzieś głęboko w sobie wciąż jeszcze czuję życie drzewa. Wiem, że to była wymiana, że musiałam oddać coś własnego - drzewko nigdy już nie będzie jałowe.

Zabieram kilka szczap i wracam do domu, do mojej rodziny.

ROZDZIAŁ 3

Cały Magazyn zebrał się na peronie, by nas pożegnać. Wszystkie Bramy mają swoje własne stacje kolejowe. W tym miejscu kończy się południowa linia - pociągi dojeżdżają tylko do Magazynów. Robotnicy pracujący w innych kręgach muszą korzystać ze stacji położonych bliżej muru oddzielającego Bagno od Farmy. Pamiętam, że kiedyś, kiedy byłam bardzo mała, odprowadziłam tatę aż na stację. Przerazał mnie wtedy wielki czarny, wydający z siebie przenikliwy gwizd potwór i chmury białego dymu, które się z niego wydobywały.

Jest wczesny poranek, słońce ledwie wzeszło i większość młodszych dziewcząt zaspana chwieje się na nogach, tłumiąc ziewanie. Ceremonia jest jednak obowiązkowa dla wszyst-

kich. Przypominam sobie pierwszą, w której brałam udział. Panował przenikliwy ziąb, byłam niewyspana, nie znałam żadnej z udających się na Aukcję dziewczyn i marzyłam tylko o tym, by wrócić do łóżka.

To dziwne uczucie, stać po drugiej stronie peronu. Nie wiemy, w co ubiorą nas w gotowalni Domu Aukcyjnego, wszystkie więc mamy na sobie to samo - sięgające kolan tuniki z wyszytymi po lewej stronie literami BP (jak Brama Południowa) i numerami.

Oficjalnie jestem teraz numerem 197. Violet Lasting znikła.

Przedstawiciel Klejnotu stoi na podium i wygłasza tradycyjną przemowę. To wysoki, potężny mężczyzna w drucianych okularach i brokatowej kurcie. Na lewej dłoni ma pierścień z wielkim, przypominającym dojrzałą wiśnię rubinem otoczonym przez skrzące się diamenty. Nie mogę oderwać wzroku od tej błyskotki. Można byłoby za nią wykarmić trzy rodziny z Bagna. Przez rok!

Mężczyzna mówi monotonnym, pozbawionym emocji głosem, a większa część jego słów ulatuje, porywana przez wiatr. I tak go nie słucham. Taką samą przemowę wygłosił rok wcześniej i dwa lata temu... Przypomina wszystkim, jak szlachetna jest tradycja surogatek, jak ważne jesteśmy dla arystokracji i jak wielkim będziemy cieszyć się szacunkiem w oczach innych mieszkańców Samotnego Miasta.

Nie wiem, jak jest z Klejnotem i Bankiem, ale jestem pewna, że całej reszty miasta surogatki zupełnie nie obchodzą. Nie liczę oczywiście Bagna - trudno zachować obojętność, gdy tracisz córkę. Żaden z niższych kręgów, z Dymu, Farmy i Bagna, nie ma pozwolenia na posiadanie surogatek. Czasem rodzice próbują chronić swoje dzieci, ukrywają je

albo oferują łapówki lekarzom. Badanie krwi jest obowiązkowe dla wszystkich dziewcząt w Bagnie. Gdy tylko dojrzejają, muszą poddać się testom. Nikt nie wie, dlaczego tylko mieszkanki najbiedniejszego z kręgów miewają dziwną genetyczną mutację, która pozwala im na posługiwanie się Augurią, ale szlachta bardzo pilnuje, by żadna z nich im się nie wymknęła. Jeśli przyłapią kogoś na próbie uniknięcia badania, karą jest śmierć.

Wzdrygam się na wspomnienie pierwszej publicznej egzekucji, której byłam świadkiem. To było siedem miesięcy temu. Dziewczyna, którą skazano, ukrywała się przez kilka lat. Zebrałyśmy się na placu nieopodal wejścia do Bramy Południowej. Stałyśmy za ekranami, zza których mogłyśmy obserwować, co się dzieje, same nie będąc widziane przez coraz gęstszy tłum. Wypatrywałam w nim matki, ale jej nie znalazłam. Najpewniej wcale nie przyszła, z domu do Magazynu jest ponad godzina marszu. Poza tym przypuszczam, że chciała trzymać z daleka od egzekucji Hazel i Ochre'a. Ani ona ani tata nigdy nie chcieli brać udziału w tych ponurych wydarzeniach. Tata mówił, że są „groteskowe”, pamiętam jednak, że wtedy byłam ciekawa, jak to naprawdę wygląda.

Wystarczyła jedna egzekucja, żebym zrozumiała ojca.

Dziewczyna miała długie, splątane włosy i oczy w przedziwnym, bardzo intensywnym odcieniu błękitu. W jej wyglądzie było coś dzikiego, nieujarzmionego, choć mogła mieć ledwie kilka lat więcej niż ja.

Nie walczyła z dwoma Gwardzistami, którzy ją trzymali. Nie próbowała stawiać oporu. Nie płakała. Nie krzyczała. Była dziwnie spokojna, a gdy Gwardziści położyli jej głowę na kamiennym podwyższeniu, uśmiechnęła się smutno. Sędzia zapytał ją o ostatnie słowa.

- To dopiero początek, od tego wszystko się zacznie — powiedziała. — Nie boję się. — Na jej twarzy pojawił się wyraz żalu. - Powiedzcie Cobaltowi, że go kocham - dodała.

Potem obcięli jej głowę.

Zmusiłam się, by patrzeć na jej zdekapitowane ciało. Nie odwróciłam się i nie zasłoniłam oczu, jak zrobiła to Lily i wiele innych dziewczyn. Miałam wrażenie, że muszę jakoś uhonorować jej wybór, że zasłużyła na to, by świadkiem jej śmierci był ktoś równie odważny jak ona, jakby w jakiś sposób mogło to przydać sensu jej życiu. Zapewne nie był to najlepszy pomysł, bo tygodniami dręczyły mnie koszmary, nie żałuję jednak, że to zrobiłam.

Zawsze, gdy ją wspominam, ciekawi mnie, kim był, a może jest, Cobalt i czy dowiedział się, że był ostatnią osobą, o której myślała przed śmiercią błękitnooka dziewczyna.

Mrugam i na powrót koncentruję się na przedstawicielu Klejnotu, który zdążył już skończyć przemowę i wyciera okulary jedwabną chusteczką.

W tym roku Brama Południowa wysyła na Aukcję tylko dwadzieścia dwie surogatki. Większość dziewczyn przybędzie z Bramy Północnej i Zachodniej. Nasz pociąg, parowiec w kolorze dojrzałej śliwki, ma tylko trzy wagony i wygląda o wiele milej niż rozdęte, brudne maszyny wożące robotników.

Nasz główny lekarz, doktor Steele, potrząsa dłońią mówcy i obraca się w naszą stronę. Wszystko w nim jest szare i długie - ma pociągłą twarz, długi nos, długie ręce, długie nogi, szare włosy, szare brwi, szare oczy... Nawet jego skóra wydaje się szarawa. Kiedyś Lily podzieliła się ze mną plotką o tym, że doktor Steele jest uzależniony od opiatów i że to właśnie one tak wyprały go z wszelkiego koloru.

- A teraz, drogie panie - zwraca się do nas doktor cichym, drżącym głosem — pora odjeżdżać.

Macha dłonią o długich palcach i drzwi pociągu otwierają się z głośnym sykiem. Surogatki zaczynają wsiadać do przedziałów. Spoglądam przez ramię i widzę, jak Mercy ociera oczy, a Patience stoi niewzruszona, z twarzą nie wyrażającą żadnych emocji. Widzę ukształtowane na podobieństwo róż kraty w oknach pokojów i dormitoriów osadzone w różowawym kamieniu, z którego zbudowano Magazyn. Widzę również twarze innych surogatek, dziewcząt, które już za chwilę wrócą do ciepłych pomieszczeń i na zawsze o nas zapomną. Na końcu moje spojrzenie pada na brązowooką, może dwunastoletnią dziewczynkę. Jest strasznie chuda, już na pierwszy rzut oka wygląda na niedożywioną. Nowa. Kiedy nasze oczy się spotykają, dziewczyna unosi dłoń i, krzyżując palce, kładzie ją na sercu.

Wchodzę do pociągu i za moimi plecami zamykają się drzwi.

Przedział jest tak samo przytulny i pełen ciepła jak nasze sypialnie w Południowej Bramie.

W oknach wiszą purpurowe zasłony, a pod ścianami umieszczono drewniane ławki wyłożone pasującymi kolorystycznie poduszkami. W tym akurat przedziale jest nas siedem i przez kilka chwil stoimy w krępującej ciszy, niepewne, co mamy robić.

Kiedy pociąg rusza, dzielimy się na dwie grupy. Raven, Lily i ja siadamy w jednym z rogów. Raven odsuwa zasłony.

- Wolno nam? - pyta nerwowo Lily.

- A co nam zrobią? - odpowiada zaczepnie Raven. - Zastrzelą nas?

Lily, wciąż zmartwiona, przygryza wargę.

Podróż do Klejnotu zajmuje około dwóch godzin. To oszałamiające, jak szybko tracę pewność siebie. To oszałamiające, jak szybko rozpada się całe życie. Jestem pewna, że przejedziemy tym pociągiem przez Farmę, Dym i Bank, by znaleźć się w Domu Aukcyjnym w Klejnocie. Jestem pewna, że tam zabiorą mnie do gotowalni, a potem na Aukcję. I... To wszystko. Wszystko, co mi pozostało. Nieznana przyszłość rozpościera się przede mną jak wielka, czysta pergaminowa karta.

Wyglądam przez okno, za którym przesuwały się domy z glinianych cegieł, brązowe klocki na tle bladoszarego nieba.

- Nie bardzo jest co podziwiać, nie? - rzuca Raven. Ściągam buty i podwijam nogi pod siebie.

- Nie - mamroczę. - Ale to dom. Moja przyjaciółka wybuchła śmiechem.

- Ależ jesteś sentymentalna.

Raven jest świetną aktorką, ale zbyt dobrze ją znam, by mogła mnie nabrać. Ona również będzie tęsknić.

- Jak ci minął Dzień Obrachunku?

Wzrusza ramionami, ale jej usta zaciskają się w cienką linię.

- Całkiem nieźle. No wiesz, mama była zachwycona tym, jak zdrowo wyglądam, jak wyrosłam i w ogóle. Poza tym uznała, że muszę umierać z ciekawości, jak wygląda Klejnot. Zupełnie jakbym jechała tam na wakacje. A jak u ciebie?

- Co z Crowem? - pytam. Crow jest bratem Raven. Nerwowo przeczesuje włosy. Proste, lśniące kosmyki opadają jej na twarz.

- Prawie się nie odzywał - mówi cichym głosem.

- Myślałam... To znaczy miałam nadzieję... - Znów wzrusza ramionami. - Chyba po prostu nie wiedział, jak rozmawiać z surogatką.

Próbuję sobie przypomnieć, co sądziłam o surogatkach, gdy jeszcze nie byłam jedną z nich. Chyba, że są inne niż wszyscy, niepowtarzalne, wyjątkowe... Zabawne, że teraz wcale nie czuję się wyjątkowa.

Nim wymyślę, co powiedzieć, Lily chwyta mnie za rękę drobną dłonią i zaczyna śpiewać. Jej oczy błyszczą dziwnie, gdy wpatruje się w przesuwający się za oknem krajobraz. Wybrała tradycyjną, znaną w całym Bagnie, piosenkę. Jej głos jest słodki jak miód.

Dziewczęta miłe, dobre dziewczęta Ostrożnie dzielcie serca swe

Dołączają do niej dwie z pozostałych dziewcząt. Raven przewraca oczyma.

- Niezbyt pasuje na tę okazję, prawda? - mruczy pod nosem.

- Nie - szepczę. - Wcale. - Większość piosenek z Bagna opowiada albo o dziewczynach, które zmarły tragicznie w młodym wieku, albo zostały porzucone przez kochanków. Nas to nie dotyczy. - Ale i tak miło posłuchać.

Piękna jest miłość, słodka jak miód Pozornie wieczna, tak krótko trwa Miłość starzeje się i blednie By się rozpuścić niczym mgła

Gdy dziewczęta milkną, w przedziale zapada gęsta cisza, przerywana tylko miarowym stukotem kół. Wreszcie Lily jeszcze mocniej ściska mnie za rękę i wybucha śmiechem, histerycznym, przypominającym bardziej płacz niż chichot.

Uświadamiam sobie, że prawdopodobnie już nigdy nie usłyszę żadnej ze znanych od dzieciństwa piosenek.

Pociąg zwalnia i do naszych uszu dociera głośny odgłos metalu szorującego o kamień. To otwierają się wielkie wrota w murze oddzielającym Bagno od Farmy. Czytałam o Farmie, wszystkie uczyłyśmy się o kręgach na lekcjach historii, ale między wiedzą teoretyczną a ujrzeniem czegoś na własne oczy ziele ogromna przepaść.

Pierwsze, co mnie uderza, to bogactwo kolorów. Nie wiedziałam, że w naturze istnieje aż tak wiele odcieni zieleni. Nie tylko zresztą zieleni! Czerwieni, żółci, różu, pomarańczy.

..

Ochrę jest pewnie w jednej z mleczarni. Mam nadzieję, że będzie dalej pracował dla Domu Płomienia. Dręczy mnie myśl, że już niedługo zostanie jedynym żywicielem rodziny.

Drugą niezwykłą rzeczą w tym kręgu jest krajobraz. W Bagnie wszystko jest płaskie, tutaj nie ma chyba jednej prostej linii. Pociąg przetacza się przez most zbudowany nad rzeką rozdzielającą dwa wzgórza. Na ich zboczach, w równych szeregach, pną się po rozpiętych między palikami drutach winorośle. Pamiętam, że takie uprawy nazywa się winnicami, to tutaj dojrzewają przerabiane później na wino winogrona. Kilka razy miałam okazję skosztować wina - opiekunki pozwalały nam na kieliszek w dniu urodzin oraz w trakcie obchodów Najdłuższej Nocy.

- Ależ to jest wielkie - mówi Raven.

Ma rację. Farma wydaje się ciągnąć i ciągnąć bez końca, aż prawie zapominam, że jest jeszcze coś poza nią. Przez kilka minut wyobrażam sobie, że ten bezkres natury to jedyne, co istnieje.

Gdy tylko mijamy wrota oddzielające Farmę od Dymu światło staje się przytłumione, jakby ktoś przygasił wspinające się po niebie słońce.

Pociąg sunie powoli przez labirynt przypominających potwory, wielkich fabryk, które górują ponad ulicami. Z nieprzeliczonych kominów bije zasnuwający okolice wielobarwny dym - ciemnoszary, biały, zielonkawy, czerwony... Pełno tu ludzi o skrzywionych twarzach i plecach ugiętych, jakby dźwigali na nich ogromny ciężar. Są tu mężczyźni w każdym wieku, kobiety, a także dzieci. Gdy rozbrzmiewa przenikliwy gwizd, wszyscy grzecznie rozchodzą się do fabryk.

Serce podskakuje mi w piersi, gdy uświadamiam sobie, że został tylko jeden krąg. Ile jeszcze czasu mamy, nim dotrzemy do Klejnotu? Jak wiele minut wolności mi pozostało?

- Och! - Gdy wjeżdżamy do Banku, Lily wydaje z siebie zachwycone westchnienie. - Jak pięknie.

Słońce znów wróciło do pierwotnego kształtu, a jego złoty blask odbija się od okien ciągnących się wzdłuż wyłożonych małymi kamykami ulic sklepów. Odruchowo przesłaniam oczy, jasność zdaje się trudna do wytrzymania. Po chwili przyzwyczajam się do blasku i wreszcie spostrzegam cały przepych Banku. Domy mają wielkie, łukowate okna ze srebrnymi okiennicami, a ponad drzwiami zwieszają się kute w złocie symbole. Panuje tu spory ruch, wszędzie widać elektryczne dyliżanse, a mężczyźni w eleganckich surdutach i cylindrach spacerują z odzianymi w eleganckie, jedwabne i satynowe suknie, kobietami. Nawet drzewa sprawiają wrażenie uporządkowanych - ich korony przycięto w idealne kule.

- Wychodzi na to, że Patience miała rację - rzucam niezobowiązująco. - Nie widziałam żadnej damy w spodniach.

Raven mruczy pod nosem coś niezrozumiałego.

- Cudowne, prawda? - Lily opiera czoło o okienną szybę. - Wyobraźcie to sobie, może właśnie w jednym z tych sklepów Hierarcha poznał Wybranę.

-To szaleństwo - odzywa się Raven, tym razem głośniej. Wyraźnie oszołomiona, potrząsa głową. - Szaleństwo. Mam na myśli to, że... Niby widziałam obrazy i w ogóle, ale... Oni mają tyle pieniędzy!

- A nawet nie widzieliśmy jeszcze Klejnotu - mruczę z niechęcią.

- No dobrze, dziewczyny, siadajcie - przykazuje nam wchodząca do przedziału starsza opiekunka Charity. Tuż za nią pojawia się doktor Steele. Wnoszą do środka srebrną tacę, na której leżą, uszeregowane w kilka równych rzędów, różnokolorowe tabletki.

Rzucam Raven zaniepokojone spojrzenie.

- A to po co? - pytam szeptem.

W odpowiedzi Raven wymownie wzrusza ramionami.

- Zaciągnijcie, proszę, zasłony - mówi Charity.

Lily od razu zabiera się do pracy, widzę jednak, że niektóre z dziewcząt spoglądają po sobie nerwowo. Po kilku chwilach w przedziale zapada półmrok. Stłumione purpurowe światło sprawia złowieszcze wrażenie.

- Nie ma czym się niepokoić - zapewnia doktor Steele wypranym z emocji głosem, w którym próżno szukać jakiegokolwiek pocieszenia. - To tylko kilka tabletek, które pomogą się wam rozluźnić przed tym ważnym wydarzeniem. Nie wstawajcie.

Po plecach przebiega mi dreszcz. Odruchowo sięgam po dłoń Raven. Doktor ze spokojem chodzi po przedziale. Każda tabletką przypisana jest do konkretnego numeru i dziewczyny grzecznie otwierają usta, by Steele, korzystając ze srebr-

nych szczypiec, mógł umieścić na ich językach odpowiednie proszki. Niektóre z dziewcząt kaszłą, inne oblizują wargi i krzywią się, jakby zjadły coś kwaśnego, ale nic więcej się nie dzieje.

Doktor podchodzi do Raven.

- 192 - mówi, unosząc w szczypcach niebieską tabletkę. Przez chwilę Raven wpatruje się w niego ogromnymi czarnymi oczyma i podświadomie spodziewam się, że odmówi przyjęcia leku. Potem jednak otwiera usta i tabletkę ląduje na jej języku. Raven nie odwraca wzroku, w ogóle nie reaguje. Tylko w ten sposób może się opierać.

Doktor Steele nawet nie zauważa tej manifestacji.

- 197 - mówi do mnie.

Otwieram usta, a on kładzie mi na języku purpurową pigułkę. Trochę piecze. Tabletkę jest kwaśna i przypomina mi się ten pierwszy raz, gdy spróbowałam cytryny. Po kilku sekundach proszek zupełnie się rozpuszcza. Przesuwam językiem po zębach i przetykam ślinę. Jedyne, co zostało po lekarstwie, to uczucie swędzenia w gardle.

Doktor kiwa głową.

- Dziękuję paniom - mówi, po czym wychodzi z przedziału. Charity idzie za nim.

- Co to było? - pyta Raven.

- Nie mam pojęcia, ale nie smakowało za dobrze. - Krzywię się. - Przez chwilę myślałam, że tego nie weźmiesz.

- Ja też. Ale to byłoby bezcelowe, prawda? Gdybym się sprzeciwiła, pewnie po prostu...

Cokolwiek mówi Raven, już tego nie słyszę. Nagle świat staje się zupełnie czarny i tracę przytomność.

ROZDZIAŁ 4

Gdy się budzę, jestem zupełnie sama.

Mrugam i zaciskam powieki. Światło jest przenikliwe, rani moje oczy. Leżę na czymś twardym i zimnym. Nie mogę się ruszyć, moje ręce i nogi zdają się przypięte do czegoś pasami. Zachłystuję się paniką, gdy dociera do mnie, że zabrano mi tunikę i jestem zupełnie naga.

Odruchowo napinam ciało, starając się zerwać równocześnie więzy i czymś okryć. Krzyk narasta mi w gardle, nim jednak sięga krtani ktoś odzywa się uspokajającym głosem.

- Nie denerwuj się. Zaraz je zdejmę. Przypiąłem cię dla bezpieczeństwa.

- Gdzie ja jestem? - Chcę wrzeszczeć, ale z ust wydobywa mi się tylko schrypnięty szept.

- W gotowalni. Uspokój się, 197. Nie mogę zdjąć pasów, póki tego nie zrobisz.

Głos jest dziwny, nie umiem go przyporządkować. Zbyt wysoki, jak na mężczyznę i za niski na kobietę. Nabieram głęboko tchu. Staram się rozluźnić mięśnie i nie myśleć o tym, jak bardzo czuję się odsłonięta i bezradna.

- Od razu lepiej. - Głos wydaje się zbliżać. - 197, obiecuję, że nic ci się nie stanie. Nie chcę cię skrzywdzić.

Czuję ucisk na ramieniu, a potem coś zimnego naciska na wewnętrzną stronę łokcia.

- Pobieram próbkę krwi - wyjaśnia spokojnie głos. Ucisk zmniejsza się, a potem znika zupełnie. Słyszę jak długopis skrobie o papier. - Możesz na mnie spojrzeć?

Nie mogę się ruszyć, otwieram więc oczy i patrzę w jeden punkt. Nieoczekiwanie coś rozbłyskuje nad lewą, a potem nad prawą stroną twarzy. Mrugam intensywnie. Mam wrażenie, że wypaliło mi siatkówkę. Jedyne, co widzę, to zielonkawa poświata.

Długopis znów skrobie.

- Bardzo dobrze, 197. Prawie skończyliśmy. Teraz cię dotknę. Obiecuję, że nie będzie bolało.

Spinam się cała i zaczynam mrugać jeszcze gwałtowniej, ale wzrok nadal odmawia posłuszeństwa. Ktoś dotyka mojego brzucha, czuję nacisk najpierw po lewej, a potem po prawej stronie.

-Już po wszystkim. - Głos brzmi uspokajająco.

Bardzo powoli zielonkawa poświata blednie i zaczynam widzieć człowieka, który do mnie mówi.

To mężczyzna, ale jego rysy są nienaturalnie miękkie. Ma wąski nos, blade, cienkie wargi i gładką, jasną skórę. Jest łysy, nie licząc niewielkiego pęku włosów pozostawionych na czub-

ku głowy i związanych w elegancki węzeł. Pamiętam tę fryzurę z zajęć o kulturze i życiu arystokracji. To dworka.

Dworki to nie tylko najważniejsi ze służących na dworze, często bywają również powiernikami i doradcami arystokratów. Od najmłodszych lat przechodzą skomplikowany trening. Choć większość z nich to kobiety, zdarzają się wśród nich mężczyźni. Ci zostają wykastrowani, by nie stanowili żadnego zagrożenia dla szlachetnie urodzonych dam i by mogli dla nich pracować.

Jestem naga i wyeksponowana, a on, jakkolwiek by było, jest mężczyzną. Oblewa mnie kolejna fala upokorzenia i instynktownie staram się uwolnić. Dworka nie reaguje. Patrzy na moją twarz, ignorując zupełnie całą resztę. Coś w wyrazie jego twarzy sprawia, że zastanawiam się, czy zna towarzyszące mi uczucie, czy wie, co myślę. Przestaję się wyrywać. Wtedy się uśmiecha.

- Witaj. Jestem Lucien. Odepnę cię, dobrze?

Straciłam zdolność mowy, ale on i tak nie czeka na odpowiedź. Gdy nachyla się nade mną, zauważam, że odziany jest w obszerną białą szatę z wysokim kołnierzem i długimi rękawami. Ma bardzo zadbane dłonie i paznokcie, a jego ciało jest szczupłe i sprawia wrażenie miękkiego, zupełnie jakby w ogóle nie miał mięśni.

- Masz przepiękne oczy - mówi, odpinając ostatnią klamrę. - Może usiądziesz, a ja przyniosę ci ubranie?

Zmuszam się do tego, by się podnieść, a w tym czasie Lucien gdzieś znika. Przyciągam kolana do piersi, by osłonić ciało. Wciąż jeszcze mam problemy z widzeniem, światło wydaje mi się tak ostre, że zakrywam oczy.

- Och, właśnie, zróbmy coś z tą iluminacją - mówi Lucien i nagle w pomieszczeniu zapada ciemność. Na początku

mrok zdaje mi się przerażający, po chwili jednak nieprzenikniona czerń z wolna jaśnieje pod naporem delikatnej poświaty. Różnokolorowe kule umieszczone w kinkietach zaczynają emanować blaskiem. Barwy mieszają się ze sobą, aż wreszcie pokój wypełnia przytłumione, różowawożółte światło.

- Proszę. - Lucien podaje mi szlafrok z bladoniebieskiego jedwabiu. Szybko się nim okrywam, starając się wyobrazić sobie, że to ubranie mojej mamy. Kiedy podaje mi dłoń, oferując pomoc w zejściu ze stołu, ignoruję go. Choć drżą mi nogi, sama zeskakuję na podłogę.

- Po kolei. Najpierw pozbadźmy się tego upiornego katafalku. - Posyła mi porozumiewawcze spojrzenie, spodziewając się zapewne jakiejś reakcji. Mięśnie mojej twarzy nie chcą mnie słuchać, więc po prostu patrzę na niego bez zrozumienia. Lucien naciska jakiś przycisk na ścianie i nagle podłoga pod stołem zaczyna się obniżać. Po chwili prostokątną dziurę przesłaniają dwie drewniane płyty spasowane tak dokładnie, że gdybym na własne oczy nie widziała otworu, nigdy nie zgadłabym, że tu jest. - Podejrzewam, że w Bagnie nie ma zbyt wielu zapadni.

Mrugam, spoglądając to na Luciena, to na gładką teraz posadzkę. Czuję się, jakbym znowu miała dwanaście lat i właśnie przybyła do Południowej Bramy. Wtedy wszystko wokół wydawało mi się nowe, dziwne i szalenie wyrafinowane.

Lucien wzdycha.

- Nie jesteś zbyt rozmowna, prawda 197? Odchrząkuję nerwowo.

- Mam na imię...

Unosi w górę palec i potrząsa głową.

- Przykro mi, skarbie, ale nie wolno mi poznać twojego imienia.

Choć przecież nie znam tego mężczyzny i najpewniej nigdy więcej go nie spotkam, to, że nie może poznać mojego imienia - imienia, a nie numeru - sprawia, że do oczu napływają mi łzy, a gardło kurczowo się zaciska.

- Nie płacz - prosi Lucien łagodnym, dziwnie nagłym głosem. - Proszę.

Biorę głęboki oddech i zmuszam się, by zachować spokój. Łzy wracają tam, skąd przypląnęły - do bezdennej, smutnej studni gdzieś wewnątrz mnie. Po kilku sekundach oczy mam zupełnie suche.

Płacz niczego nie zmieni. Jest bezużyteczny.

- Dobrze - mówię spokojnie. - Nie płaczę. Lucien unosi jedną brew.

- Rzeczywiście nie płaczesz. Grzeczna dziewczynka. - To dziwne, ale nie wyczuwam w nim protekcjonalności. Wydaje się raczej pod wrażeniem.

- No więc... — Mam nadzieję, że brzmię bardziej odważnie niż się czuję. - Co teraz?

- Teraz spojrzysz w lustro.

W ułamku sekundy serce opada mi do stóp. Moja głowa zdaje się wypchana watą. Wielobarwne światło lamp wiruje mi przed oczyma i ze wszystkich sił staram się oddychać normalnie.

Lucien kładzie mi dłoń na ramieniu.

- Wszystko w porządku, zaufaj mi. Spodoba ci się to, co zobaczysz.

Prowadzi mnie w róg komnaty, gdzie, na niewielkim podwyższeniu stoi jakiś okryty materiałem przedmiot, a potem gestem wskazuje, żebym przed nim stanęła. Wciąż drżą mi nogi.

- Wolisz najpierw zamknąć oczy? - pyta.

- A to pomaga?

- Czasami.

Przytakuje i zaciskam mocno powieki. Stojąc w absolutnej ciemności, nie widząc niczego wokół, przypominam sobie ostatni raz, gdy widziałam własne odbicie. Miałam dwanaście lat. Szczotkowałam włosy, siedząc w pokoju, który dzieliłam z Hazel i przeglądałam się w stojącym na komodzie lusterku. Wszystko we mnie było wtedy cienkie i ostre. Mój nos, kości policzkowe, brwi, usta, czubek brody. Wszystko, poza oczami. Wielkie, intensywnie fioletowe, zdawały się dominować w drobnej twarzy. Ale to wspomnienie jest stare, przywoływałam je tak często, że wreszcie stało się niczym czytany tysiące razy list, pomarszczony, zniszczony i nie do końca czytelny.

Słyszę szelest materiału i powiew powietrza.

- Kiedy tylko będziesz gotowa - mówi Lucien. Wstrzymuję oddech, czując, jak łomocze mi serce. Łup.

Łup. Łup. Mogę to zrobić. Muszę to zrobić. Nie będę się bać. Otwieram oczy.

Otoczają mnie trzy identyczne kobiety. Jedna patrzy wprost na mnie, dwie pozostałe lekko na boki. W ich twarzach nie ma prawie niczego ostrego poza lekko wystającymi kośćmi policzkowymi. Ich policzki są krągłe, a ich usta pełne i otwarte w zdumieniu. Kruczoczarne włosy spadają im na ramiona w kaskadach loków. Ich oczy... Znam te oczy. Nic się w nich nie zmieniło.

Te kobiety są obce. Te kobiety są mną.

Staram się jakoś pogodzić ze sobą te dwie zupełnie sprzeczne myśli. Unoszę dłoń, by dotknąć twarzy i wybucham głośnym śmiechem. Nie umiem się powstrzymać. Trzy kobiety robią dokładnie to samo, co ja i z jakiegoś powodu wydaje mi się to szalenie zabawne.

- To dość niezwykła reakcja - komentuje Lucien. - Ale lepsze to niż krzyk.

Jego słowa natychmiast mnie otrzeźwiają.

- Niektóre dziewczyny krzyczą? Lucien zaciska wargi.

- No, no, nie mamy całego dnia. Musimy cię przygotować. Usiądź, proszę.

Wskazuje mi krzesło stojące tuż obok stołu uginającego się pod różnymi kosmetykami. Rzucam nieznajomym z lustra ostatnie spojrzenie, po czym odchodzę od zwierciadła i siadam na wyznaczonym miejscu. Jestem zaskoczona ilością rozmaitych tubek, kremów, pudru i rzeczy, których nie potrafię nawet nazwać. Nie wyobrażam sobie, że można użyć wszystkich tych preparatów na jednej osobie. Ponad stołem, na małej półce, stoją trzy klepsydry. Różnią się od siebie wielkością i kolorem piasku.

Lucien zanurza dłonie w misce ze słodko pachnącą wodą, po czym osusza je puszystym białym ręcznikiem. Później bardzo ostrożnie obraca pierwszą i największą z klepsydr wypełnioną bladozielonym piaskiem.

- No dobrze - mówi cicho. - Pora zaczynać. Niejednokrotnie wyobrażałam sobie, jak może wyglądać przygotowywanie surogatki do Aukcji. Myślałam, że czas spędzony w gotowalni może się okazać jedyną przyjemnością, jakiej zaznam. Ktoś zajmie się moimi włosami, zrobi mi makijaż i tak dalej.

Okazuje się, że to potwornie nudne.

Prawie nie widzę, co robi Lucien poza tymi chwilami, gdy zajmuje się manicurem, poleruje mi paznokcie u stóp i obsypuje mnie całą srebrzystym pyłem. Do tego ostatniego muszę rozebrać, co wciąż jest dość krępujące. Kiedy koń-

czy, błyskawicznie opatulam się szlafrokiem. Przez większość czasu po prostu siedzę na krześle. Zastanawiam się, jak Raven znosi to, co się z nią dzieje i nad tym, kto ją przygotowuje. Na pewno strasznie ją to wszystko wkurza.

- Gdzie są inne gotowalnie? - pytam, gdy Lucien nakłada kolejną cienką warstwę pudru na moje ramiona i szyję.

- Na tym piętrze i piętro niżej — odpowiada, marszcząc brwi na widok jakiejś niedoskonałości.

- A kiedy zaczyna się Aukcja? - Staram się brzmieć, jakbym rozmawiała o pogodzie.

- Już się zaczęła.

Czuję się, jakby ktoś z całej siły uderzył mnie w brzuch. Nie mam pojęcia, jak długo byłam nieprzytomna. Nie mam pojęcia, która jest godzina.

- Długo już trwa?

Lucien miesza dwa różne odcienie pudru na małej palcie.

- Tak. Długo - odpowiada miękkim, łagodnym tonem.

Wbijam paznokcie w pokryte skórą poręcz krzesła i staram się zachować kamienną twarz. Myślę tylko o jednym: Lily została już sprzedana.

Lily odeszła.

- Muszę popracować nad twoją twarzą - odzywa się Lucien. - Postaraj się nie ruszać. I zamknij oczy.

To zupełnie tak, jakby podarował mi maleńki prezent, jakby pozwolił mi wyłączyć świat i skryć się w ciemnościach. Myślę o mamie, o Hazel i o Ochre'em. Oczyma wyobraźni widzę nasz dom i mamę, która robi na drutach przed kominkiem. Brat jest w pracy, a Hazel w szkole. Ciekawa jestem, czy znalazła już cytrynę.

Myślę również o Raven, o tym, jak spotkałyśmy się po raz pierwszy. Miała trzynaście lat i już od roku przebywała z Po-

łudniowej Bramie, wciąż jednak oblewała kolejne sprawdziany z Augurii (celowo, jak mi później wyjaśniła). Uczyłam się pierwszej z Augurii, a Raven była ze mną w klasie. Próbowałam i próbowałam, ale nie potrafiłam zmienić niebieskiej kostki w zieloną. Wszystkie zaczynamy od jednego klocka, dopiero, gdy uda nam się zaliczyć pierwszy test, możemy ruszać dalej. Nie rozumiałam, czego się ode mnie wymaga. Nie wiedziałam, co powinnam robić. To Raven mi pomogła. Nauczyła mnie, jak oczyścić umysł i skoncentrować się na zadaniu, jak ujrzeć coś, co dopiero ma się zdarzyć, a gdy wykastywałam krew i ślinę, trzymała mi kubek. To ona podawała mi chusteczkę, żebym otarła twarz, pokazała, jak ścisnąć grzbiet nosa, by krwotok trwał krócej i obiecywała, że później będzie lepiej. W głowie mi łupało i bolało mnie całe ciało, jednak pod koniec dnia ta nieszczęsna kostka była żółta jak słońce.

Nie mam pojęcia, co Lucien wyczynia z moją twarzą, mam jednak nadzieję, że wciąż będę wyglądać jak ja. Czuję jak nakłada kolejne warstwy na moje policzki, wargi, powieki, brwi, nawet na uszy. Szczególnie długo zajmuje się oczami, używa jakichś delikatnych proszków, zimnego kremu i czegoś ostrego i twardego jak ołówki.

- Gotowe - mówi wreszcie po jakiejś wieczności. - Godna podziwu cierpliwość, 197.

- Co teraz? - Włosy.

Patrzę na klepsydrę, drobny zielony piasek powoli wypełnia dolną komorę. Dłonie Luciena są delikatne i pewne. Używa gorącego żelazka i wałków parowych. Mam nadzieję, że gdy po raz kolejny spojrzę w lustro, nie puszczą mi nerwy. A może nie będę musiała się oglądać? Może trafię wprost na Aukcję?

Aukcja... Żołądek zaciska mi się w twardą kulę.

- Mogę ci zadać pytanie, 197? - mruczy cicho Lucien. Wolałabym, żeby mnie tak nie nazywał.

- Pewnie.

Milczy tak długo, że zastanawiam się, czy przypadkiem nie zapomniał, o co chciał zapytać. Wreszcie, słyszę jego słowa, ledwie głośniejsze od szeptu.

- Pragniesz tego życia?

Moje mięśnie spinają się jak stalowe liny. Czuję, że to pytanie jest zakazane. Nie wolno go zadawać. Nie wolno go nawet pomyśleć. Nie tutaj, nie w Klejnocie. Kogóż obchodzi to, czego pragną surogatki? A jednak Lucien zapytał... Może więc będzie chciał poznać również moje imię.

- Nie - odpowiadam równie cicho. Kończy mnie czesać w milczeniu.

Druga klepsydra jest mniejsza i wypełnia ją purpurowy piasek.

Stoję przed trzema wielkimi szafami, a Lucien ściąga z wieszaków kolejne kreacje i każe mi je przymierzać. Wybiera te, które są nieco przyciasne, żeby, jak wyjaśnia „podkreśliły moje krągłości”. Niektóre z sukienek są naprawdę dziwaczne, przypominają raczej dzieło szalonego krawca, który uznał, że nic nie pasuje kobiecie lepiej niż wielkie błyszczące skrzydła albo równie wielkie i równie błyszczące płetwy. Na szczęście Lucien szybko porzuca pomysł przebrania mnie za jakieś egzotyczne stworzenie.

- Absolutnie nie w twoim stylu — oznajmia. Nie mam pojęcia, jaki jest mój styl, o ile jest jakikolwiek, cieszę się jednak, że Lucien w tej kwestii się ze mną zgadza.

Przymierzam kilka kreacji uszytych z ciężkiego brokatu i z prawdziwą ulgą przyjmuję to, że Lucien ich nie aprobu-

je. Mam wrażenie, że każda z nich waży przynajmniej tonę. Sukienek jest mnóstwo. Są takie z długimi rękawami i bez rękawów, sięgające ziemi i nie sięgające kolan, są jedwabne, z tafty, koronki i adamaszku, we wszelkich kolorach i wzorach, jakie tylko można sobie wyobrazić. Przymierzam jedną za drugą, sterta odrzuconych kreacji rośnie, a czoło Luciena marszczy się coraz bardziej i pokrywa cienką warstewką potu. Obydwoje spoglądamy nerwowo na klepsydrę, w której jest coraz mniej piasku. Kończy nam się czas.

Nagle Lucien uśmiecha się szeroko i patrzy na mnie w taki sposób, że natychmiast robię się podejrzliwa.

- Wiesz co? - rzuca, ciskając na podłogę suknię z czerwonego aksamitu. - Ty wybierz.

Mrugam, skonsternowana.

- Co takiego?

- Wybierz coś. Pogrzeb w szafach i znajdź coś, co ci się spodoba.

Jestem tak zdumiona, że przez kilka sekund w ogóle się nie ruszam. Moment, czy to nie jest przypadkiem bardzo ważna sprawa? To znaczy odzienie na Aukcję? Czy mój strój nie wpłynie na kupujących? Przecież to Lucien powinien... To jego praca!

Po chwili przychodzi mi do głowy, że może to kolejny z darów, podobny do ciemności, w którą mogłam odpłynąć, gdy Lucien zajmował się makijażem. Pamiętam, co powiedziała wczoraj Raven - Dzień Obrachunku jest ostatnim, kiedy możemy same wybrać, co chcemy założyć. Lucien chce mi podarować jeszcze jeden wybór.

- Dobrze - mówię.

Zupełnie ignoruję pierwszą z szaf, pełną ryb, motyli i innych dziwów, i kieruję się wprost do drugiej. Przesuwam

dłonią po wieszakach, starając się znaleźć materiał jak najmiększy w dotyku. Zauważam, że każda kolejna suknia jest mniej strojna od poprzedniej.

Gdy tylko muskam ją palcami, wiem, że to ta.

Jest z muślinu w barwie fioletu tak bladego, że przypomina mi wczorajszy wschód słońca i odcień nieba na chwilę przed tym, jak eksplodowało milionem kolorów. To prosta, sięgająca ziemi sukienka z podwyższoną talią. Nie ma żadnych ozdób i nawet nie wygląda na specjalnie kosztowną.

Podoba mi się.

Widząc co wybrałam, Lucien wybucha śmiechem.

- Przymierz - zachęca.

Gdy staję przed nim otulona muślinem, znów zaczyna się śmiać, a potem klaszcze w dłonie.

- Nie wiem, czy ktokolwiek założył kiedyś na Aukcję tę sukienkę - mówi. - Ale, kochanie, wygląda, jakby uszyto ją specjalnie dla ciebie.

ROZDZIAŁ 5

Co teraz? - pytam. - Teraz znów spojrzysz w lustro. Z truciem przełykam ślinę.

- A muszę?

Lucien ujmuje moją rękę w obie dłonie. Jego skóra jest miękka i delikatna jak skóra dziecka.

- Tak, musisz to zrobić. Widziałaś' wcześniejszą siebie, a teraz musisz zaakceptować nową siebie, przyjąć nowe życie i nową przyszłość.

- Mam wrażenie, jakby recytował wyuczone na pamięć słowa, ale coś w jego oczach zaprzecza temu, co mówi. Słyszę w jego głosie żal.

- W porządku.

Gdy podchodzę do zwierciadła, udaje mi się zachować spokojny oddech. Z pochyloną głową wchodzę na podwyższenie, liczę do trzech i unoszę wzrok.

Obca w lustrze została odmieniona.

Mrugam gwałtownie, starając się połączyć to, co widzę z tym, jaką siebie zapamiętałam. Z ładną, choć lekko pulchną dziewczyną o pełnej twarzy i ogromnych oczach. Kobieta, która spogląda na mnie z tafli szkła, jest piękna. Oszalamiająca. Jej policzki wydają się szczuplejsze, a kości policzkowe wyższe, bardziej szlachetne. Jej brwi unoszą się łagodnymi łukami ponad błyszczącymi, podkreślonymi purpurą, fioletem i złotem oczyma. Jej usta połyskują delikatnym różem, a czarne loki spływają na ramiona, uniesione z jednej strony wysadzaną ametystami spinką w kształcie motyla. Skóra kobiety mieni się lekko, zupełnie jakby emanowała własnym światłem. Kolor sukienki idealnie pasuje do makijażu, a prostota jej kroju dodatkowo podkreśla zalety figury.

- Co o tym sądzisz? - pyta Lucien. Odebrało mi mowę.

Lucien staje koło mnie tak, że widzę teraz odbicie dwóch osób.

- Chciałem, żebyś wciąż wyglądała jak ty - mówi cicho.

- Dziękuję - szepczę.

Uśmiecha się, a potem podchodzi do stołu i sięga po ostatnią klepsydrę.

- Ta jest dla ciebie - wyjaśnia. - Masz chwilę na to, by zrobić, co tylko zapragniesz. Podziwiaj się w lustrze. Śpiewaj. Medytuj. Wszystko, bylebyś tylko nie zniszczyła makijażu i fryzury.

- A ty co będziesz robił?

Rzuca mi smutne, pełne troski spojrzenie.

- Zostawię cię, 197. Gdy przyjdzie czas, Gwardzista odprowadzi cię do Pokoju Oczekiwania.

Serce podjeżdża mi do gardła.

- Zostawisz mnie? Lucien kiwa głową.

- Wybacz, proszę ten bałagan - mówi, omiatając wzrokiem sterty sukienek i ubrudzony kosmetykami stół. - Służba oczywiście się tym zajmie, ale dopiero po twoim wyjściu. - Na jego wargach pojawia się cień uśmiechu. - To była przyjemność zajmować się tobą, 197.

Odwraca klepsydrę i rusza w kierunku drzwi.

- Lucien, poczekaj. Zatrzymuje się.

Jestem tak zdenerwowana, że najchętniej przygryzłabym wargę, boję się jednak zniszczyć ten nieszczęsny makijaż. Nie wiem, co mam ze sobą zrobić w trakcie tych ostatnich kilku minut zanim mnie sprzedadzą, wiem jednak, że nie chcę być sama.

- Powiedziałeś... Powiedziałeś, że mogę zrobić, co tylko zechcę?

-Tak.

- Dobrze. W takim razie chcę z tobą porozmawiać. Chcę, żebyś został.

Lucien marszczy brwi, jakby nie rozumiał moich słów. Po chwili jego wargi rozciągają się w uśmiechu.

- No cóż - mruczy, muskając dłonią węzeł na głowie. -To coś nowego.

Siada na jednej ze stojących na lwich łapach kanap, krzyżuje z gracją nogi i wskazuje mi miejsce obok siebie. Ja również się uśmiecham. Po raz pierwszy, od kiedy się tu znalazłam.

- Ach! - wzdycha. — Tego właśnie brakowało. Teraz wyglądasz doskonale.

Opadam na miękkie siedzisko. W ciszy, która zapada prawie mogę usłyszeć szum przesypującego się w klepsydrze piasku.

- O czym chciałabyś porozmawiać? - pyta Lucien.

- Nie wiem - wyznaję. - Ja... Po prostu nie chciałam, żebyś mnie zostawił.

Jego spojrzenie łagodnieje.

- Daj znać, kiedy coś wymyślisz.

Głodzi opuszkami palców biały jedwab szaty. Po raz kolejny zdumiewa mnie, jak gładką ma skórę.

- Ile masz lat? - pytam.

Lucien wybucha głośnym śmiechem. .

- Och, kochanie, nie możesz zaczynać rozmowy w taki sposób. Nie przetrwasz tu nawet godziny.

Na moje policzki wypełza krwawy rumieniec.

- Przepraszam — mamroczę pod nosem.

Tak długo żyłam w miejscu, w którym wiek nie był drażliwym tematem i w którym śmierć przychodziła wcześniej, że nie przyszło mi do głowy, iż w takim pytaniu może być coś niestosownego.

Lucien uspokajająco poklepuje moją dłoń.

- Nie przejmuj się tym. I tak radzisz sobie o wiele lepiej niż większość dziewcząt, którymi się opiekowałem.

- Od dawna się tym zajmujesz?

- Od dziewięciu lat. Ale nie biorę udziału we wszystkich Aukcjach. Zajmuję się tym na tyle długo, że mogę sam wybierać, z kim chcę pracować - wyjaśnia, a jego rzęsy trzepoczą jak wachlarze.

- Wybrałeś mnie?

-Tak.

- Dlaczego? — Nie umiem sobie wyobrazić, co sprawiło, że zdecydował się właśnie na mnie. Skąd mógł wiedzieć, kim jestem?

- Twoje oczy - odpowiada po krótkiej chwili wahania. -To przez nie.

Nic z tego nie rozumiem.

- Widziałeś mnie?

- Dostajemy zdjęcia wszystkich dziewcząt biorących udział w Aukcji. Razem z waszymi wymiarami, rzecz jasna. Jak inaczej mógłbym otrzymać trzy szafy sukienek dokładnie w twoim rozmiarze?

Wyobrażam sobie Luciena jak przegląda katalog ze zdjęciami dziewcząt opisanych jedynie numerami. Numerem na Aukcji i rozmiarem ubrania. Nagle czuję się strasznie mała.

Rzucam okiem na klepsydrę. Połowa czasu już minęła.

- Boisz się? - pyta Lucien.

- Nie wiem. - Słowa wyrywają się z moich ust nim zdążę się zastanowić. Ale to prawda. Nie wiem, czy się boję. Nie wiem, czy strach to właściwe słowo. Czuję się dziwnie obco we własnej skórze. Zupełnie jakby to wszystko nie działo się naprawdę, jakby przydarzało się komuś innemu.

- Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale uważam, że dasz sobie radę.

Nie jestem pewna, co odpowiedzieć. Szelest przesypującego się w klepsydrze piasku brzmi głośno w moich uszach.

- Co tam jest? - wyrzucam z siebie wreszcie.

Nim Lucien zdążył się odezwać, spada ostatnie purpurowe ziarenko. Słyszę szcęk otwieranego zamka. Czas się skończył.

- Numer 197. - Głos Gwardzisty jest niski i głęboki. Mężczyzna zdaje się wypełniać sobą całe drzwi, czerwona mundurowa kurtka napina się na szerokich ramionach. Mierzy mnie beznamiętnym, chłodnym spojrzeniem ciemnych oczu. — Proszę ze mną.

W ustach zupełnie mi zaschło. Dźwignięcie się na nogi graniczy z cudem. Lucien również wstaje. Przez moment, gdy jego ciało zasłania gwardziście widok, ściska mnie za rękę. Sekundę później przyodziewa maskę chłodnej obojętności.

Od kanapy do drzwi jest dziewięć kroków. Każdy z nich wydaje mi się trwać wiecznie. Gdy podchodzę, Gwardzista bez słowa odwraca się na pięcie i rusza przed siebie. Zmuszam się, by podążyć za nim.

Korytarz, którym idziemy, wyłożony jest ciemnoróżowym dywanem tak grubym i miękkim, że ani moje satynowe kapcie, ani buty Gwardzisty nie robią najmniejszego hałasu. Ściany, na których zamontowano takie same kule jak w gotowalni, pomalowane są na fiołkowy kolor. Od czasu do czasu mijamy drzwi, za którymi ciągnie się podobny korytarz, nigdzie jednak nie widać ludzi. Jest zupełnie pusto. I cicho. Po plecach przechodzi mi zimny dreszcz.

Gwardzista zatrzymuje się tak gwałtownie, że niemal na niego wpadam. Drzwi, przed którymi stoimy nie różnią się niczym od pozostałych - proste, drewniane z miedzianą klamką. Mężczyzna strzela obcasami i staje na baczność. Chciałabym, żeby coś powiedział, żeby wyjaśnił mi, co powinnam robić.

Mijam go i powoli otwieram drzwi. Uderza we mnie fala dźwięku, zupełnie jakby w pokoju bzyczały setki much.

Gdy wchodzę, na sekundę zapada cisza, po czym hałas jeszcze się wzmacnia.

W pokoju aż kipi od kolorów i potrzebuję kilku chwil, by uświadomić sobie, że nie patrzę na wielkie lalki, tylko na dziewczyny takie jak ja. Na surogatki. Jedna z nich wyraźnie się wyróżnia - piękna blondynka, wyższa od innych o dobrych kilka cali, a to za sprawą skomplikowanej, upiętej wysoko, złożonej z drobnych loczków fryzury. Jej suknia z różowej koronki spływa falbanami na ziemię, wielka i podobna do pokrytego lukrem urodzinowego tortu. Nieznajoma rozmawia z wyglądającą wyniośle czarnowłosą i ciemnoskórą dziewczyną, która z jakiegoś powodu kojarzy mi się z lwicą. Lwica ma na sobie jeden z tych szalonych kostiumów; góra, wykonana z jakiegoś sztywnego złotego materiału, przechodzi płynnie w mieniące się przy każdym ruchu frędzle. Włosy dziewczyny zaplecione są w warkocze, każdy przystrojony złotymi i srebrnymi ozdobami. Całość wygląda imponująco. Dziewczyna spostrzega, że gapię się na nią i jej oczy zwięzają się. Obcina mnie wzrokiem od stóp do głów.

Odwracam się i spostrzegam drobną, niepozorną postać stojącą w najodleglejszym kącie pokoju. Nagle ktoś chwytam mnie za ramię. Podskakuję.

- Nareszcie! - Na dźwięk znajomego głosu Raven, ogarnia mnie takie poczucie ulgi, że aż uginają się pode mną nogi. - Byłam ciekawa, kiedy się tu zjawisz.

Przyglądam się jej, starając się dopasować jej nowy wizerunek do obrazu najlepszej przyjaciółki, który mam w głowie. Raven ma na sobie długą, stylizowaną na kimono, uszytą z miękkiego, opływającego jej ciało materiału, szatę. Podniesiona talia podkreśla jej długie nogi, a czarne i złote wzory

zapierają dech w piersi. Migdałowe oczy mojej przyjaciółki obrysowane czarną kredką, wydają się jeszcze bardziej tajemnicze, a jej wargi, pomalowane tylko na środku żywo czerwoną pomadką, wyglądają jakby układały się do pocałunku. Najbardziej zaskakująca jest jednak jej fryzura - czarne włosy zaczesano do góry i uformowano w kształt sięgającego od ucha do ucha wachlarza. W uszach Raven połyskują, niczym krople krwi, oprawione w złoto rubiny.

Otwieram usta, a potem je zamykam. Brakuje mi słów.

- Wiem, wiem, wyglądam idiotycznie — mruczy Raven. Chcę się śmiać. Chcę płakać. Chcę robić jedno i drugie

naraz. To wciąż Raven. Nawet pod tym wymyślnym ubraniem, pod makijażem, to wciąż ona.

- Wyglądasz niesamowicie - mówię. - Te kolczyki muszą być warte fortunę.

- I tak nie są nasze. A ty przynajmniej wyglądasz jak ty. Jak ci się udało przekonać do tego artystkę?

- Nie musiałam. Sam to wymyślił. Oczy Raven o mało nie wyskakują z orbit.

- Wymyślił? On? Dostałaś mężczyznę? Zapomniałam, że tego rodzaju informacja może okazać

się szokująca. Nie myślę o Lucienie jak o mężczyźnie. Luden to... Lucien.

- Jest dworką - wyjaśniam.

Raven patrzy na mnie z niedowierzaniem. Dziwnie się czuję, widząc jej twarz tak odmienioną. - Jaki był?

- Był... - Szukam odpowiednich słów. - Uprzejmy. Był dla mnie miły. A jak było u ciebie?

- Nawet nie pytaj! Dostałam jakąś starożytną matronę, która pewnie byłaby w stanie sama utrzymać cały ten zwią-

zany z makijażem biznes. Paskudna. - Wzrusza ramionami. -
Tak czy siak, to mamy już za sobą.

- Długo tu jesteś?

- Bo ja wiem? Jakieś pięć minut? Wcześniej nie było tu tak tłoczno.

- Więc jesteśmy ostatnie - mówię, rozglądając się po pokoju.

- No, ba! Numery od 190 do 200, prawdziwe klejnoty tej uroczej Aukcji. - Raven potrząsa głową. Wachlarz z włosów ani drgnie. - Szczerze mówiąc, wszystkie wyglądają absurdalnie. Poza tobą, oczywiście.

Nagle otwierają się drzwi po przeciwnej stronie pokoju. Starszy Gwardzista z włosami obsypanymi siwizną omiata zebrane obojętnym spojrzeniem.

- Numer 190 - wywołuje. - Numer 190.

Wyglądająca na zabiedzoną dziewczyna w srebrnej, mieniącej się od łusek sukni rusza w stronę drzwi. Jej głowa wydaje się dziwnie duża, jakby nieproporcjonalna w stosunku do szczupłutkich ramion i rąk. Gwardzista wykonuje sztywny ukłon i obraca się na pięcie. Już po chwili dziewczyna i jej błyszcząca kreacja znikają mi z oczu.

Bierzemy się z Raven za ręce.

- To jest właśnie to - szepce moje przyjaciółka.

- Spotkamy się jeszcze — mówię. - Musimy.

Drzwi znów się otwierają. Tym razem Gwardzista jest młody.

-Numer 191. Numer 191.

Tym razem pokój opuszcza potężnie zbudowana dziewczyna w czarnej aksamitnej sukni i przepyszny stroiku we włosach. Tak mocno ściskam dłoń Raven, że pewnie sprawiam jej ból.

Drzwi znów się otwierają.

- Nigdy cię nie zapomnę - oznajmia Raven. - Pamiętaj o tym, Violet. Nigdy cię nie zapomnę.

- Numer 192. Numer 192.

Raven przechodzi przez tłum z wysoko uniesioną głową. A potem znika.

Czuję jak coś we mnie pęka. Pokój zaczyna wirować i muszę przypomnieć sobie, że powinnam oddychać. Raven odeszła.

Trzęsę się. Nawet się z nią nie pożegnałam. Dlaczego się z nią nie pożegnałam?

- To była twoja przyjaciółka?

Wzdrygam się i spoglądam w dół na dziewczynę, którą widziałam już wcześniej, samotną w rogu komnaty. Nie może mieć więcej niż trzynaście lat. Jej włosy przypominają płomienie, jej ciało jest drobne i wiotkie. Mrugam z zaskoczeniem, gdy dociera do mnie, że ma na sobie podartą i brudną tunikę. Na jej twarzy prawie nie widać makijażu, tylko na policzkach ma cień różu, a na wargach bezbarwny błyszczak. Jest taka maleńka. Taka... prosta. W jej ogromnych brązowych oczach widzę współczucie.

- Tak - odpowiadam schrypniętym głosem. - Przyjaciółka.

Dziewczyna kiwa głową.

-Ja też przyjechałam z najlepszą przyjaciółką, ale ona była 131. Ostatni raz widziałam ją w pociągu.

- Z którego jesteś Magazynu?

- Z Bramy Północnej. One też. — Wskazuje brodą różowy tort i groźną lwicę. — Ale się nie przyjaźnimy.

- Jestem Violet - przedstawiam się. Otwiera szeroko oczy.

- Wolno nam mówić, jak się nazywamy?

- Och. Pewnie nie. - Wzdycham. Dziewczyna przygryza wargę.

—Jestem Dahlia — mówi po chwili namysłu, a na jej ustach pojawia się nieśmiały uśmiech. - Myślę, że jesteś najładniejsza z nas wszystkich. Masz niesamowite oczy. Ten, kto cię przygotowywał, naprawdę się postarał.

- Bardzo - zgadzam się z nią. - A jak było u ciebie? - Nie wygląda, jakby ktokolwiek w ogóle jej dotykał.

- Ta kobieta... Chciała, żebym wyglądała tak załóżnie, jak to tylko możliwe. Tak przynajmniej mówiła. Żeby zaintrygować kupujących. - Dahlia nerwowo obgryza paznokiec kciuka.

Drzwi, za którymi znikła Raven znowu się otwierają. Numer 193 wychodzi. Kilka sekund później podąża za nim numer 194.

Zostało nas tylko sześć. Pokój wydaje się teraz większy. Z sufitu zwieszają się bogato zdobione różowymi kryształami żyrandole. Wszystko skąpane jest w różanym blasku. Nie ma tu mebli, tylko ciemnoróżowy dywan i nagie, pomalowane na fiołkowy kolor ściany. Mam wrażenie, że znajduję się w gigantycznych, upiornych ustach.

- Boisz się? - pyta cicho Dahlia.

Teraz to uczucie, które towarzyszyło mi już w gotowalni, nabiera intensywności, odrzuca maskę. To nie lęk. To czyste przerażenie. Wgryza się w moje trzewia, rani moje płuca, wbija szpony w podstawę czaszki. Mam wrażenie, że to coś zupełnie niezależnego ode mnie, jakiś zewnętrzny byt, który stoi tuż za moimi plecami. Swędzą mnie dłonie, a po plecach spływa kropla potu.

- Tak - wyduszam z siebie.

- Ja też. - Dahlia zdrapuje zębami lakier z paznokcia. Zauważam, że obgryzła wszystkie aż do żywego ciała.

- Jaki masz numer? - rzucam. Jej ciało nieruchomieje.

- **A** ty?

- 197.

Drapie się po nosie i wbija wzrok w podłogę.

- 200 - mamrocze niewyraźnie.

Nim jestem w stanie połączyć jakoś' zabiedzoną dziewczynkę w podartej tunice z najbardziej pożądaną surogatką na całej Aukcji, drzwi znów się otwierają.

Czas zdaje się przyspieszać. Patrząc, jak, jedna po drugiej, z komnaty wychodzą numery 195 i 196. Mam ochotę krzyknąć, że to za szybko. Przecież nie powinny zniknąć jedna po drugiej. Między innymi dziewczętami przerwy były dłuższe... Nagle w drzwiach staje ciemnooki Gwardzista, który przyprowadził mnie do tej komnaty. Powtarza mój numer, ale moje stopy jakby przyrosły do podłogi.

Dahlia trąca mnie lekko.

- Musisz iść, Violet.

Lwica uśmiecha się złośliwie i szepce coś do Lukrowanego Tortu, która zaczyna chichotać. Mrugam.

- Miło było cię poznać, Dahlia - szepcę i zmuszam ciało do posłuszeństwa. Stawiając krok za krokiem, boleśnie powoli zbliżam się do Gwardzisty, aż wreszcie jego barczysta sylwetka góruje nade mną niczym wieża. Nasze oczy spotykają się i czuję, jak lęk i niepewność zwijają się w ciasny węzeł i uwierają mnie w gardle. Przetykam gęstą ślinę.

Gwardzista kłania mi się i odwraca bez słowa. Podążam za nim w ciemność.

ROZDZIAŁ 6

Drzwi automatycznie zamykają się za moimi plecami i przez kilka przerażających chwil niczego nie widzę.

Nagle do moich uszu dociera cichutki szum i wąski korytarz rozświetla się mdłym blaskiem dwóch rzędów kwadratowych lamp umieszczonych w podłodze. Żółtozielone światło ukazuje mi, dokąd mam się udać, nie ujawniając zbyt wielu szczegółów otoczenia. Sylwetka Gwardzisty staje się tylko czarną, pozbawioną szczegółów plamą. Mężczyzna idzie wolnym, pewnym krokiem. Z każdym kolejnym metrem coraz bardziej wali mi serce. Ściany zdają się przybliżać do mnie, mam wrażenie, że za moment zostanę zgnieciona jak pechowy owad. Staram się pamiętać o słowach Luciena, który mó-

wił, że dam sobie radę i o Raven szepcącej, że nigdy mnie nie zapomni. To są moje talizmany, jedyne, co pomaga mi walczyć ze strachem.

Korytarz zakręca w lewo, a potem lampy nagle się kończą. Gwardzista przystaje. Cisza aż dzwoni w uszach.

- Gdzie jesteśmy? - pytam cichym, zdławionym głosem. Przez dziesięć długich sekund mężczyzna stoi bez ruchu, po czym, jakby na czyjś niesłyszalny rozkaz, obraca się w moją stronę.

- Dziękuję ci, numerze 197 za twoją służbę na rzecz arystokracji. Twoje miejsce zostało oznakowane. Nie będę ci towarzyszył. - Składa kolejny, tym razem znacznie głębszy ukłon i wycofuje się, by stanąć za mną.

Łukowate, pozłacane ozdobione licznymi znakami rodów szlacheckich drzwi zaczynają lekko świecić. Nie mam pojęcia, co się za nimi znajduje. Boję się. Nigdy wcześniej aż tak się nie bałam. Ale przecież Raven przeszła przez te drzwi. A przed nią zrobiła to Lily.

Drżą mi dłonie, gdy opuszkami palców muskam fantazyjne zdobienia. Drzwi otwierają się nagle, zupełnie jakby czekały na mój dotyk. Krzywię się, gdy oślepiające światło atakuje moje przyzwyczajone do półmroku oczy.

- Szanowne panie, przed nami numer 197. 197, proszę, zajmij wyznaczone miejsce.

Głos jest uprzejmy, wręcz miły, mam jednak problem ze zrozumieniem tego, co mówi.

Znajduję się w czymś na kształt amfiteatru i z miejsca, w którym się zatrzymałam widzę rzędy umieszczonych jeden za drugim foteli. Ale to nie są normalne fotele. Są tu szezlongi, eleganckie sofy, przepastne, wyłożone poduchami siedziska, a nawet coś, co wygląda jak tron. Patrzą na mnie

dziesiątki, a może setki oczu. Na sali są chyba same kobiety, a każda z nich odziana jest z przepychem, jakiego nigdy dotąd nie widziałam. Na tle ich kreacji błędną nawet najbardziej niesamowite kostiumy ukryte w szafach w gotowal-ni. Patrząc na wielobarwne, szumiące morze satyny, jedwabiu, koronek, piór, krynolin. Jedna z dam ma na sobie coś, co wygląda jak płynne złoto upstrzone gwiazdami klejnotów. Aristokratki w niczym nie przypominają żywych lalek z Pokoju Oczekiwania. Są niczym dzieła sztuki, oddychające pomniki bogactwa i wyrafinowania.

- Numerze 197, proszę, zajmij swoje miejsce - ponagła mnie głos. Teraz wreszcie dostrzegam, kto do mnie mówi. Odziany w smoking mężczyzna stoi za drewnianym podium. Jest bardzo wysoki, włosy ma gładko zaczesane do tyłu. Gdy nasze spojrzenia się spotykają, ledwie widocznym ruchem głowy wskazuje mi, dokąd mam się udać.

Na środku okrągłej sceny jest wielkie srebrzyste X. Mam wrażenie, że ten ostatni spacer jest najdłuższy ze wszystkich. Ledwie kilka kroków, a jakby mijały wieki. Gdy wreszcie, na trzęsących się nogach, stoję w wyznaczonym miejscu, przez widownię przepływa fala szeptów. Mężczyzna w smokingu wyciąga ze skrytki w podium świecę i umieszcza ją w mosiężnym świeczniku. Omiata spojrzeniem zebrane, jakby chciał upewnić się, że wszystkie spojrzenia spoczywają na scenie, po czym podpala knot. Płomień jest niebieski.

- Numer 197. Szesnaście lat, pięć stóp i siedem cali wzrostu, waga sto trzydzieści funtów. Jak możecie panie dostrzec, dość niezwykły kolor oczu. Cztery lata szkolenia, oceny 9,6 z pierwszej Augurii, 9,4 z drugiej i, to dość niezwykle, 10,0 z trzeciej. Godne odnotowania talenty muzyczne, zwłaszcza instrumenty smyczkowe. Specjalność: wiolonczela.

To naprawdę dziwne, słyszeć takie podsumowanie własnej osoby. Statystyka, kilka numerów, nazwa instrumentu i nic więcej.

- Cena wywoławcza pięćset tysięcy diamentów. Czy ktoś daje pięćset tysięcy?

Kobieta w błękitnych jedwabiach z wielkim diamentowym naszyjnikiem ciasno opasującym jej szyję unosi srebrne pióro.

- Pięćset tysięcy diamentów od Pani Wzgórz. Czy ktoś daje pięćset pięćdziesiąt tysięcy?

Ciemnoskóra kobieta, nie przestając popijać szampana z kryształowego kielicha, unosi lekko małą błyskotkę z brązowych łusek.

- Jest pięćset pięćdziesiąt tysięcy. Kto da sześćset tysięcy?

Licytacja trwa. Moja wartość wzrasta do siedmiuset tysięcy, potem ośmiuset, wreszcie do dziewięciuset tysięcy diamentów. To oszałamiająca suma, majątek, który ciężko mi w ogóle sobie wyobrazić. Coraz trudniej mi oddychać, mam wrażenie, że moja płuca zaciskają się coraz bardziej, zupełnie jakby zabrakło dla nich miejsca w klatce piersiowej. Kobiety milczą, unoszą po prostu symbole swoich Domów. Nie umiem rozpoznać wszystkich, a prowadzący licytację nie zawsze posługuje się tytułami. Zaczynam żałować, że nie przykładałam większej wagi do nauki szlacheckiej kultury.

- Dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy. Czy ktoś da milion?

Młoda kobieta zasiadająca na przypominającym tron krześle unosi berło zwieńczone diamentem wielkości kurzego jaja. Cała sala wydaje z siebie westchnienie, a mężczyzna w smokingu rzuca spojrzenie na świecę. Wypaliła się do połowy.

- Milion diamentów od Jej Wysokości, Wybranki. Czy słyszę półtora miliona?

Wybranka. Jestem zaskoczona, jak młodo wygląda. Młódziej nawet niż na zdjęciach, na których kojarzyła mi się z przebrany w dorosłe ubrania dzieckiem. Jej suknia ma bufiaste rękawy i sutą, brokatową spódnicę. Patrząc na nią, staram się dostrzec choćby cień dziedzictwa Banku, z którego pochodzi, jednak Wybranka wygląda jak cała reszta zebranych. Jaskrawoczerwona szminka dziwnie kontrastuje z jej delikatną twarzą.

Kątem oka zauważam kobietę siedzącą o rząd wyżej - kształt jej oczu przypomina mi Raven.

- Półtora miliona od Hrabiny Róży - ogłasza mężczyzna i wracam do rzeczywistości. Starsza dama, pólżąc na szezlongu, unosi w dłoni złoty kwiat. Ze swojego miejsca kilka foteli dalej, przygląda się jej potężna kobieta. Nie, potężna to niewłaściwe słowo. Raczej puszysta, rozlewająca się. Jej nagie, galaretowane ramiona wystają z czarnej satynowej i nieco zbyt opiętej sukni. Jej twarz jest okrągła i pulchna, a oczy... okrutne. Żadne inne słowo nie opisałoby ich lepiej.

- Czy mamy dwa miliony? - pyta prowadzący. Natychmiast unosi się brylantowe berło. A potem róża.

I berło. Prawie nie słyszę licytacji, łomot krwi w skroniach skutecznie ją zagłusza. Czy naprawdę mogę zostać sprzedana Wybrance? Może to głupie, ale nigdy nie brałam takiej możliwości pod uwagę. Po co Jej Wysokość miałaby licytować numer 197, skoro są trzy dziewczyny lepsze ode mnie? Nie powinna postawić na numer 200?

Świeca już prawie się wypaliła, mlecznobiały воск spływa po kandelabrze. Teraz, pod koniec, płomień wydaje się jaśniejszy, jakby chciał jak najszybciej pożreć pozostały jeszcze knot. Licytują coraz szybciej, moja wartość wzrasta do pięciu milionów. Pięć milionów! To nieprawdopodobne...

Wiem, że trafię albo do Wybranki, albo do Hrabiny Róży, bo tylko one pozostały na placu boju. Oddycham płytko, walcząc z chęcią zagryzienia dolnej wargi. I wtedy dzieje się coś dziwnego.

- Czy mamy sześć milionów? Sześć milionów? Kobieta o oczach Raven unosi małe lustro. Świeca gaśnie.

- Sprzedana - wykrzykuje mężczyzna w smokingu i mam wrażenie, że za sekundę zemdleję. — Sprzedana za sześć milionów diamentów Diuszesie Jeziora.

Sprzedana.

Słowo odbija mi się wewnątrz czaszki, nie niosąc ze sobą najmniejszego sensu. Zostałam sprzedana.

Przez ułamek sekundy patrzę prosto w ciemne oczy kobiety, która mnie kupiła, Diuszesy Jeziora. Potem zaczynam tonąć.

Platforma na której stoję obniża się coraz bardziej, po chwili scena i widownia znikają mi z oczu. Tym razem witam ciemność z ulgą. Mrok wydaje mi się bezpieczniejszy niż jasne światła. Zadzieram głowę, patrząc, jak w miejsce, gdzie byłam jeszcze przed chwilą wsuwa się inna platforma. Wrażenie jest dziwne, zupełnie jakbym podziwiała zaćmienie. Nim skryje mnie zupełna ciemność, słyszę jeszcze słowa prowadzącego.

- A oto numer 198. - Jestem ciekawa, która z dziewczyn wchodzi właśnie na scenę, Lwica, czy Tort. - Numerze 198, zajmij proszę swoje miejsce.

Aukcja trwa. -Numer 197?

Wzdrygam się, gdy dociera do mnie, że platforma się zatrzymała. W pomieszczeniu nie jest zupełnie ciemno, panu

je w nim jednak półmrok. Jestem w dużej okrągłej komnacie o ścianach z surowego betonu. Jest tu mnóstwo drzwi.

- Numer 197? - Kobieta w prostej szarej sukni patrzy na mnie, marszcząc brwi. W dłoniach trzyma podkładkę z przypiętymi do niej papierami.

Nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu, więc po prostu kiwam głową.

- Diuszesa Jeziora. Tędy - oznajmia nieznajoma, podchodząc do jednych z drzwi.

Podążam za nią wąskim korytarzem. W tym nie ma świetlnych kul, jedynym źródłem światła są umieszczone na ścianach pochodnie. W ich kapryśnym blasku nasze cienie zdają się żyć własnym życiem. To miejsce jest zupełnie inne niż gotowalnia albo Pokój Oczekiwania. Wstrząsa mną dreszcz niepokoju.

Korytarz kończy się pozbawionymi jakichkolwiek ozdób drewnianymi drzwiami. Komnata, do której wchodzimy, znacznie mniejsza od poprzedniej, wyłożona jest ośmiokątnymi płytami. Mam wrażenie, jakbym znalazła się w ulu. Pełgający w palenisku ogień rzuca nikłe światło na krzesło

i prosty stół, na którym leży kłęb szorstkiego, czarnego materiału. W pokoju nie ma niczego więcej.

- Usiądź - rozkazuje kobieta. Gdy tylko wypełniam jej polecenia, moje mięśnie zaczynają w niekontrolowany sposób drżeć. Nie mogę się powstrzymać i ukrywam twarz w słoniach. *Oddychaj, powtarzam sobie, oddychaj.*

Zostałam sprzedana. Jestem czyjąś własnością. Już nigdy nie zobaczę mojej rodziny, Bramy Południowej ani Bagna.

- Spokojnie - rzuca nieznajoma martwym, pozbawionym emocji głosem. Pewnie robiła to już setki razy. - Nic się nie stało.

Oczywiście, że się stało. Stało się coś, co na zawsze określa moje życie. Z całej siły przyciskam grzbiety dłoni do oczu, nie dbając o to, czy nie rozmażę pięknego makijażu Luciena. Chcę wrócić do domu.

Zimne palce zaciskają się na moich nadgarstkach.

- Posłuchaj mnie uważnie. - Coś słowach kobiety, nieobecne wcześniej ciepło, każe mi unieść wzrok. Nieznajoma klęczy przede mną i patrzy mi prosto w oczy. - Nikogo nie obchodzi moje zdanie na temat tego wszystkiego. To nie ja ustalam zasady. Arystokracja uznała, że żadna z surogatek nie może być świadoma w trakcie podróży z albo do Domu Aukcyjnego. - Czuję mdłości, gdy podchodzi do stołu i wyjmuję spod czarnego materiału fiolkę błękitnego płynu oraz strzykawkę. - Obiecuję, że nie będzie bolało. Możemy to załatwić na dwa sposoby, twój wybór. Wiem, że wcześniej go nie miałaś. Możesz pozwolić mi się uśpić i to jest ta łatwiejsza metoda. Możesz mi nie pozwolić, a wtedy nacisnę przycisk i wpadnie tu czterech Gwardzistów, żeby cię przytrzymać, a potem i tak cię uśpię. Rozumiesz?

Przełykam gęstą ślinę i przytakuję.

- To jak?

Pewnie powinnam być wdzięczna, że w ogóle mam jakiś wybór.

- W porządku - chrypię. - Wolę tę pierwszą metodę. Wargi kobiety unoszą się w najmniejszym z uśmiechów.

Wypełnia strzykawkę płynem, po czym chwyta mnie za przedramię, by odnaleźć żyłę w zagięciu ręki. Mrugam, kiedy igła przebija skórę. Nie wiem, ile razy miałam do czynienia z igłami, ale wciąż się do nich nie przyzwyczaiłam.

- Wyglądasz na bystrą dziewczynę. Możesz jesteś wystarczająco bystra, by przetrwać.

Jej słowa brzmią złowieszczo, ale to, co mi wstrzyknęła, zaczyna działać niemal natychmiast. Moje ciało staje się ciężkie, powieki opadają i nim zdołam zapytać, co miała na myśli, połyka mnie ciemność i zapadam w sen.

ROZDZIAŁ 7

Budzi się. Wezwijcie Jaśnie Panią.

Słyszę odgłos kroków i trzask zamykanych drzwi, ale dźwięki dochodzą do mnie jak przez mgłę. Poruszam głową. Tonę w czymś bardzo miękkim i przyjemnym. Jest mi ciepło i wygodnie. Gdy otwieram oczy, na początku widzę tylko złocistą poświatę.

- Jak się czujesz? - pyta ktoś.

Głos zdaje się dochodzić z końca długiego tunelu. Mrugam, przecieram oczy i dopiero wtedy świat na powrót zaczyna nabierać kształtów. Czuję płomyk nadziei, gdy dostrzegam długą białą szatę z wysokim kołnierzem oraz charakterystyczną fryzurę. Ale to nie Lucien. Ta dworka jest kobietą, ma chłodne, oceniające oczy i jest znacznie starsza. Przez krótką

chwilę myślę, że to dziwne, widzieć kobietę z częściowo ogoloną głową. Zwinięte w węzeł pasma mają kasztanowy odcień.

- Gdzie ja jestem? - pytam ciężkim od snu głosem. Teraz zauważam, że kobieta nosi cienki skórzany pasek, a o jej biodro obija się pęk kluczy.

- W twojej nowej sypialni, a gdzieżby indziej?

Przez kilka chwil myślę, że kobieta żartuje. Pokój jest gigantyczny i jasny, gdyż rozświetlają go liczne świetlne kule. Wszystko tu znakomicie do siebie pasuje. Pokryte zielonkawą tapetą ściany współgrają z eleganckimi meblami w odcieniach zieleni i złota. Są tu kredensy, szafa, toaletka, obite aksamitem fotele z podnóżkami, kanapa, mały stolik śniadaniowy oraz kominek. Wysokie okna przesłonięte są butelkowo-zielonymi storami, które nie przepuszczają dziennego światła, nie mam więc pojęcia, która może być godzina. Chciałabym pociągnąć za jeden ze złotych sznurów, by je odsunąć.

To najpiękniejszy pokój, jaki w życiu widziałam. A ta kobieta powiedziała, że jest mój. Nie jestem w stanie powstrzymać nerwowego chichotu.

Dworka uśmiecha się łagodnie, a wtedy w kącikach jej oczu pojawiają się zmarszczki.

- Witaj w Pałacu Jeziora.

- To wszystko dla mnie?

Myślałam, że warunki, w których przyjdzie mi żyć, będą podobne do tych w Bramie Południowej, że będzie schludnie i czysto, ale dość ascetycznie.

- Och, nie tylko to, oczywiście. Twoje prywatne komnaty składają się z łazienki, pokoju wypoczynkowego, bawialni oraz garderoby.

- Co? Jest tego tak wiele?

Obrzuca mnie pobłażliwym spojrzeniem.

— Dziecko, zostałam kupiona przez Diuszesę Jeziora, a nie przez jakąś kupiecką rodzinę.

Usiłuję sobie przypomnieć, co właściwie wiem o Diuszesie Jeziora. Wiem, że należy do jednego z czterech Domów Założycieli, ale dwie Diuszesy i dwie Hrabiny zawsze mi się ze sobą myliły. Setki lat temu, na długo przed tym nim powstały Klejnot, Bagno czy Farma, wyspa, na której żyjemy, podzielona była na dwa miasta. Jednym rządziły Diuszesy, drugim Hrabiny, a wojna między nimi zdawała się nie mieć końca. Wreszcie, nie pamiętam w jakich okolicznościach, zawarte zostało porozumienie. Córka Diuszesy poślubiła syna Hrabiny. On został pierwszym Hierarchą, ona pierwszą i Wybranką, a dwa wojujące ze sobą miasta stały się jednym. Tak właśnie powstało Samotne Miasto, podzielone na pięć kręgów, z Klejnotem w samym jego centrum.

Mam wrażenie, że Lily wspomniała kiedyś o Diuszesie Jeziora w kontekście jakiegoś skandalu, o którym nie miałam ochoty słuchać. Zaczynam żałować, że, zamiast przewracać oczami na wzmiankę o dworze, nie zwracałam baczniejszej uwagi na plotki. Byłam tak zapiekła w swojej niechęci do arystokracji, że nigdy nie przyszło mi do głowy, iż mieszkanie w Klejnocie może mieć jakieś zalety. Kiedy rozglądałam się po pokoju, po raz pierwszy dopuszczam do siebie myśl, że moje życie tutaj może nie być tak złe, jak przypuszczałam.

W żołądku mam stado motyli.

Łóżko jest tak ogromne, że muszę się z niego wyczołgać. Nachodzi mnie nagła ochota, by, niczym dziecko, rzucić się na materac, a potem skakać po nim do utraty tchu. Hamuje mnie wyłącznie obecność dworki. Przesuwam dło-

nią po miękkiej, śliskiej pościeli w kolorze szmaragdu i odsuwam jedną z przejrzystych zasłon baldachimu. Dopiero gdy moje stopy zanurzają się w puszystym dywanie, spostrzegam, że ktoś mnie przebrał. Mam na sobie koszulę nocną z białego jedwabiu, przypominającą nieco to, w czym spałam w Magazynie, wyszytą jednak bogato zieloną i złotą nicią. Dworka podaje mi piękny, mieniący się niczym jadem szlafrok. Teraz i ja pasuję do wystroju wnętrza.

Mojego wnętrza. Ten pokój jest mój.

Przez ciało mi przebiega dziwny dreszcz.

- Dziękuję - mówię. - Jak się nazywasz?

- Cora.

-Ja jestem...

- Jesteś surogatką Domu Jeziora - przerywa mi Cora. -To wystarczy.

Ach, okazuje się, że nie tylko Lucienowi nie wolno znać mojego prawdziwego imienia. Kusi mnie, żeby po prostu je z siebie wyrzucić.

- Jesteś głodna? - pyta i błyskawicznie traci zainteresowanie czymkolwiek poza jedzeniem. Nie jestem głodna. Umieram z głodu! Cora podprowadza mnie do małego stolika, na którym czekają na mnie winogrona, miękki ser, kromki świeżego chleba i dzban wody. Choć staram się zachować grację, jem dość szybko. Najpierw pożeram cierpkawo-słodkie owoce, potem obficie smaruję chleb serem. Przetykam, popijając zimną wodą.

- Jak długo spałam? - pytam między kęsami. Cora przyniosła szczotkę do włosów i zaczęła rozplątywać moje loki. -Och, mogę to zrobić sama.

Sięgam po szczotkę, ale odtrąca moją rękę.

- Jedz. Diuszesa niedługo tu będzie. Musisz być silna.

Nagle głód przechodzi mi, jak ręką odjął. Pociągam łyk wody i odsuwam od siebie talerz.

- A jeśli chodzi o to, o co pytałaś - ciągnie Cora - to spałaś od czasu, gdy wczoraj w nocy opuściłaś Dom Aukcyjny Teraz jest szósta po południu.

Nie wiem, o której skończyła się moja Aukcja, ale wychodzi na to, że przespałam cały dzień.

- Nie jesz więcej? - pyta Cora.

- Nie. Dziękuję.

Prowadzi mnie na środek pokoju, a klucze na jej biodrze cicho pobrzękują. W komnacie jest troje drzwi, jedno po lewej, dwoje po prawej stronie. Prowadzą, jak się domyślam, do kolejnych pomieszczeń.

- Kiedy pojawi się Diuszesa, nie unosź wzroku, chyba, że otrzymasz inne polecenie. Zawsze zwracaj się do niej „pani”. To bardzo ważne, rozumiesz? - Kiwam głową. - Miewa zmienne nastroje, sugeruję więc, byś, przynajmniej na początku, mówiła jak najmniej.

Słyszę stukot obcasów na drewnianej posadzce i zaczyna brakować mi tchu. Cora błyskawicznie odkłada szczotkę na komodę, po czym staje za mną.

Kroki urywają się, a potem otwierają się drzwi i męski głos oznajmia:

- Jej Miłość, Jaśnie Pani Diuszesa Jeziora.

Otoczona przez sześciu Gwardzistów Diuszesa wchodzi do pokoju. Dostrzegam jej srebrną, wyszywaną perłami suknię, a potem przypominam sobie o spuszczeniu wzroku i patrzę na moje perfekcyjnie opiłowane paznokcie u stóp.

Choć gruby dywan tłumi odgłos kroków, czuję, że Diuszesa podchodzi bliżej. Po chwili widzę bogato haftowany rąbek jej sukni. Zatrzymuje się. Pali mnie skóra i muszę z ca-

łych sił powstrzymywać się przed spojrzeniem w górę. Dopiero gdy długi, szczupły palec, zagięty niczym hak, wsuwa się pod moją brodę, unoszę głowę.

Oczy Raven. To wszystko, co przez chwilę zauważam. Migdałowe, ciemne jak noc oczy. Również skóra Diuszesy przypomina odcieniem skórę mojej przyjaciółki. Jest jak karmel, jak miód, może odrobinę jaśniejsza, ale tylko ciut. Dopiero gdy zaczyna mi się przyglądać, konstatuje, że jej oczy wcale nie są jak oczy Raven. Nie ma w nich ciepła, nie ma w nich śmiechu, nie ma w nich uczucia. Jej oczy są zimne i twarde, niczym kamień wyłowiony z dna okrutnego oceanu. Twarz Diuszesy nie jest twarzą Raven. I nigdy nie będzie.

Kobieta jest ode mnie o kilka cali niższa, a jej czarne włosy upięte są do góry szpilami z diamentami. Milczy, po prostu patrzy na mnie jak na swoją własność, którą przecież jestem. Potem obchodzi mnie wkoło. Ze wszystkich sił staram się zachować spokój - moje mięśnie zacisnęły się w twarde węzły i trudno mi tak trwać w bezruchu.

Kiedy znów staje przede mną, przez długą chwilę patrzy mi prosto w oczy.

A potem z całej siły uderza mnie w twarz grzbietem dłoni.

Policzek eksploduje bólem, a do oczu napływają mi łzy. Odruchowo przyciskam palce do miejsca, które pali mnie żywym ogniem. Nigdy dotąd nikt mnie nie uderzył.

Przez ułamki sekund wyobrażam sobie, że jej oddaję. Odruchowo zwijam dłoń w pięść, jednak Diuszese otaczają Gwardziści, mogę więc tylko patrzeć na nią, zaciskając zęby.

Nagle Diuszesa uśmiecha się. Ciepło. Uprzejmie. To absurdalne.

- Nie chciałabym nigdy więcej tego robić - mruczy aksami-
tnym głosem. - Mam nadzieję, że zapamiętasz to uczucie.

Opada z gracją na jedno z krzeseł. Nie widziałam dotąd nikogo, kto siadałby z taką elegancją. Rozstawiający się za nią i obok niej Gwardziści do złudzenia przypominają czerwony wachlarz. Dopiero teraz zauważam, że każdy z nich ma na piersi, po lewej stronie, emblemat złożony z błękitnego okręgu i skrzyżowanych na jego tle dwóch trójzębów.

- Tak - mówi pod nosem Diuszesa. Mam wrażenie, że jej słowa nie są przeznaczone dla mnie. - Myślę, że jesteś tym, na co czekałam. Jak myślisz, Coro?

- Czas pokaże, pani - odpowiada dworka.

- Tak... - powtarza Diuszesa, w zamyśleniu stukając się w policzek wymanicurowanym palcem. — Czekałam na ciebie - oznajmia, wbijając we mnie płonące spojrzenie czarnych oczu.

- Przez dziewiętnaście lat. Nie mogłaś pojawić się w lepszym momencie.

Nie mam pojęcia, o co jej chodzi i cieszę się, że nie muszę odpowiadać.

- Poinformowano mnie, że grasz na wiolonczeli. Milczę, niepewna, co robić i twarz Diuszesy twardnieje.

- T.. .tak - wyduszam z siebie. Cora gwałtownie nabiera powietrza, co uświadamia mi, o czym zapomniałam. - Tak, pani - dodaję. Słowa smakują gorzko na moim języku. Policzek wciąż mnie boli.

Na wargi Diuszesy powraca ciepły uśmiech.

- Widzimy się za godzinę na kolacji - rzuca, wstając jednym płynnym ruchem. - Moja dworka zadba o twoją garderobę. Czyż nie, Coro?

Unosząc szeleszczącą przy każdym ruchu suknię, Diuszesa rusza w kierunku wyjścia, po czym przystaje przy drzwiach.

- Masz naprawdę niesamowite oczy - mówi. W wyrazie jej twarzy jest coś, czego nie umiem odszyfrować. Czyżby...

nadzieja? Nie mam czasu się nad tym zastanowić, bo wyniosła sylwetka znika w korytarzu, a za nią podążają Gwardziści.

Mięśnie zaczynają mi drżeć w niekontrolowany sposób, a gdzieś w krtani narasta mi szloch. Lewa strona mojej twarzy piecze. Zataczam się lekko. Cora chwyta mnie za ramię i pomaga ustać na nogach.

- Nic ci nie będzie. Usiądź.

Podprowadza mnie do jednej z sof i przysiada obok.

- Pokaż - mówi, obracając ku sobie moją twarz. - Och, to nic wielkiego. Zrobimy okład z lodu i nic nie będzie widać.

Patrzę na ciężki, bogato zdobiony zyrandol. Kryształ i szmaragdy połyskują pięknie w świetle lamp. Nieoczekiwanie cały ten przepych sprawia, że robi mi się zimno.

- Poczekaj w garderobie - przykazuje Cora komuś, kto właśnie wszedł do pokoju.

Nie wiem, do kogo mówi i nie mam siły, by spojrzeć. Słyszę kolejne skrzypienie i trzask zamykanych drzwi. Cora wstaje i wraca po chwili z bladobłękitnym słojem. Odkręca pokrywkę, nabiera palcami maść i rozsmarowuje ją na moim obolałym policzku. Ulga jest natychmiastowa. Po kilku sekundach czuję przyjemny chłód, a pieczenie nieomal znika.

- Dziękuję - bąkam pod nosem.

- Świetnie sobie poradziłaś - mówi łagodnie Cora.

- Dlaczego ona to zrobiła? Dlaczego mnie uderzyła? - Głos mi się łamie, a po twarzy spływa łza, której nie byłam w stanie zatrzymać.

Cora delikatnie głaszcze mnie po nienaruszonym policzku i kciukiem ociera słońą kroplę.

- Nie jesteśmy w Bagnie, dziecko. Nie ja ustalam zasady, ale one istnieją. Jesteś jej własnością. - Zaciska wargi w cien-

ką linię. - Może trudno będzie ci w to uwierzyć, ale Diusza nie jest złą panią. Są o wiele gorsze. Jesteś silną kobietą, widzę to. Dasz sobie radę. - Marszczy brwi. - Na pewno dasz sobie radę - powtarza, a potem uśmiecha się szeroko i wstaje, podając mi rękę. - Co powiesz na to, żebym przygotowała cię do kolacji?

Ujmuję jej dłoń i pozwalam sobie pomóc, czuję jednak, że ziarno lęku zostało już zasiane. Nie podobał mi się wyraz jej twarzy, gdy mówiła, że sobie poradzę.

Łazienka jest wielkości połowy sypialni, ale i tak wydaje mi się przeogromna.

Umywalkę i toaletę wykonano z ciemnoniebieskiego kamienia, a długa na całą ścianę miedziana wanna wspiera się na błyszczących pazurzastych łapach. Na miedzianych wieszakach wiszą puszyste błękitne ręczniki, a na podłodze leży miękki dywanik w pasy w odcieniach niebieskiego. Przy wannie nie ma kranu. Gdy Cora przesuwa sterczącą ze ściany wajchę, z szerokiego plafonu na suficie tryska woda. Mam wrażenie, jakby w łazience padał deszcz.

Wyciągam dłoń, zafascynowana dotykiem ciepłych kropeł we wnętrzu dłoni.

- Nigdy wcześniej nie brałaś prysznic, prawda? - pyta z uśmiechem Cora.

Potrząsam głową.

- Tylko kąpiele.

- Na pewno ci się spodoba. Tylko postaraj się nie zmi-trężyć zbyt wiele czasu, bo mamy tylko godzinę - przestrzega mnie, po czym sadowi się w obitym niebieskim materiałem fotelu obok umywalki.

- Czy ty... - Mocniej opatulam się szlafrokiem. - Zostajesz tutaj?

- Nie musisz się krępować dziecko, nie takie rzeczy widziałam. - Gdy wciąż się nie ruszam, Cora wzdycha i zasłania oczy. - Kiedy wejdiesz do wanny, zaciągnij zasłony.

Zrzucam z siebie odzienie i wchodzę pod strumień wody. Gorąca para sprawia, że elegancka, dopieszczona przez Lucie-na fryzura zaczyna się rozpadać. Zaciągam pasiaste, dopasowane do dywanika zasłony.

Jest cudownie.

Krople wody spływają po mojej twarzy, osiadają na wargach i suną dalej, po spiętych ramionach. Gorąco sprawia, że moje mięśnie cudownie się rozluźniają. Najpierw kark, potem plecy, wreszcie nogi. Wydaję z siebie zachwycone westchnienie.

Cora parska stłumionym śmiechem.

- Przyjemne, prawda?

Przeczesuję palcami włosy, rozkoszując się gorącą wodą obmywającą całe ciało, a potem sięgam po ustawione na miedzianej półce kosmetyki. Są tu szampony, mydła, balsamy, wszystko, o czym mogłabym zamarzyć. Nie potrafię się powstrzymać przed wypróbowaniem jak największej ilości rozmaitych preparatów. Po chwili łazienka wypełnia się zmieszanyymi aromatami lawendy, frezji, wody różanej i arbuza.

- No dobrze, wystarczy już tej zabawy - oznajmia Cora. Jeśli o mnie chodzi, mogłabym zostać pod prysznicem do samego rana. Policzek, który wymierzyła mi Diusza zdaje się tylko odległym wspomnieniem.

- Jak to się wyłącza? - pytam.

- Po prostu przesunąć dźwignię w dół.

Woda przestaje płynąć tak szybko jak wcześniej zaczęła. Biorę podany mi przez zasłonę ręcznik, wycieram się i owijam miękką tkaniną. Cora czeka na mnie z drugim, mniej-

szym ręcznikiem, którym okręca mi głowę. Idę za nią do garderoby. Jest w niej trzyczęściowe lustro, podobne do tego, które widziałam w gotowalni w Domu Aukcyjnym oraz kolejna, wypełniona przyborami do makijażu toaletka.

Tuż przed nią stoi dziewczyna odziana podobnie jak Córa w szatę z wysokim koronkowym kołnierzem. Jest mniej więcej w moim wieku i nie ma ogolonej głowy, jej kasztanowe włosy upięte są w ścisły kok. Nie ma również kluczy, zamiast nich na jej biodrze, przyczepiony na złotym łańcuszku umocowanym do paska, spoczywa płaski czarny prostokąt. Nie mam pojęcia, do czego służy. Dziewczyna trzyma w rękach suknię, podobną do tej, którą miałam na sobie w trakcie Aukcji. Materiał wygląda na droższy i lekko się mieni w ciepłym świetle.

- To Annabelle - wyjaśnia Cora. Dziewczyna dyga. - Będzie twoją dworką.

- Och! - Nie wiedziałam, że będę miała własną pomoc. - Cześć.

Annabelle rumieni się lekko, ale się nie odzywa.

Cora sadza mnie przy toalecie, a Annabelle wiesza suknię na wielkim zwierciadle. Potem obydwie biorą się do pracy. Rozczesują splątane po prysznicu włosy, wklepują mi w twarz jakieś kremy, obsypują pudrem i czymś błyszczącym oraz opiłowują mi paznokcie, starając się nadać im jeszcze doskonalszy kształt. Annabelle nie wypowiada ani słowa, a Cora ogranicza się do wydawania jej instrukcji.

Nie odrywam spojrzenia od lustra. Patrzę i patrzę, i wydaję się sobie coraz mniejsza, coraz mniej znacząca i młodsza.

ROZDZIAŁ 8

Pora iść - oznajmia Cora.

Annabelle wciera odrobinę zapachowego olejku w moje nadgarstki i układa mi włosy tak, by spływały na jedno ramię.

- Dziękuję - mówię cicho. Odpowiada mi nieśmiałym uśmiechem.

Cora prowadzi mnie przez salon, a potem schodzimy niewielkimi schodkami ku drzwiom otwierającym się na korytarz udekorowany obrazami kwiatów. Później przemierzamy kolejny obszerny hol, z którego ścian śledzą mnie oczy ujętych w ciężkie, złote ramy portretów. Docieramy do kolejnych drzwi i schodzimy prostymi, wyłożonymi dywanem schodami oświetlonymi miękkim blaskiem kul. Kątem oka

dostrzegam komnatę wypełnioną marmurowymi posągami, ale nie poświęcam jej więcej uwagi, zdumiona gigantycznym, pokrytym szklanym dachem foyer, na którego środku pyszni się tryskająca wodą fontanna. Idziemy dalej, skręcamy w kolejny korytarz i już, już mam zapytać Córe, jak długo potrwa jeszcze ten dziwny spacer, gdy dworka przystaje przed drzwiami ze srebrną klamką.

Cora obraca się do mnie, raz jeszcze ocenia, jak wyglądam, wygładza nieistniejącą zmarszczkę na sukni, po czym wprowadza mnie do niewielkiego gabinetu z mnóstwem książek i ogniem płonącym wesoło na kominku. Diusza siedzi na wielkim fotelu, patrząc w płomienie i popijając jakiś bursztynowy płyn z kryształowej szklanki. Przebrała się w bladoniebieską suknię z połyskliwego materiału. Wygląda, jakby ze wszystkich stron opływała ją woda. Kiedy wchodzę, unosi wzrok, a na jej wargach pojawia się uśmiech.

- Dobry wieczór - mówi.

- Dobry wieczór, pani.

Wstaje i podchodzi do mnie. Gdy instynktownie sztywnieję, jej uśmiech staje się szerszy.

- Nie, nie. Nie mam zamiaru znów cię uderzyć. - Wyciąga rękę i przesuwa palcem po moim policzku. Jej dłoń jest chłodna i sucha. Znów dostrzegam to coś w jej oczach, jakby cień nadziei. - Doświadczenie nauczyło mnie, że lepiej zacząć od kija niż od marchewki. Nie potrzebuję kolejnego Gameta, prawda, Coro?

-Tak, pani.

- Wtedy byłam niewolnicą mody - wyjaśnia Diusza z cichym westchnieniem. - Drugi raz nie popełnię tego błędu.

Drzwi na drugim końcu pokoju otwierają się i staje w nich starszy mężczyzna w prążkowanych spodniach i czarnej kur-

cie. Kłania się nisko. Zza jego pleców dociera do mnie szum rozmów.

- Wszyscy goście już przybyli, pani - oznajmia nieco świszczącym głosem. - Również Wybranka zaszczyliła nas swoją obecnością.

- Dziękuję ci, James - mówi Diuszesa. - Za moment do nich dołączę.

Starszy mężczyzna składa kolejny ukłon i wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

- Ta kolacja to swego rodzaju tradycja. - Diuszesa znów patrzy na mnie. - Zarówno w Klejnocie, jak i w Banku urządzone są podobne. Dla kilku najbliższych przyjaciół - na te słowa jej twarz wykrzywia dziwny grymas - oraz ich nowo zakupionych surogatek. Każdy chce się pochwalić, co kupił i sprawdzić, co kupili inni. - Podchodzi do małego stolika i odstawia nań szklankę. Kiedy na powrót obraca się w moją stronę, jej oczy są jak czarny ogień. - Nie wolno ci się odzywać. Nie wolno ci zjeść więcej z każdego dania niż ja. Nie wolno ci się w żaden sposób porozumiewać z innymi surogatkami. Czy to jasne?

Przełykam ciężko.

- Tak, pani.

Dziwny uśmiech powraca.

- Dobrze. Udowodnij mi, że mogę ci zaufać, a zostaniesz nagrodzona. Złam którąś z tych zasad, a bardzo mnie rozczarujesz. Myślę, że nie masz ochoty prowokować mojego gniewu.

Po kręgosłupie przebiega mi lodowaty dreszcz, sprawiając, że włoski na moich przedramionach stają dęba.

- A teraz - rzuca radosnym tonem Diuszesa - przywitajmy się z gośćmi.

Cora otwiera drzwi, za którymi wcześniej znikł James i wchodzi za Diuszesą do jadalni.

Pokój oświetlony jest świecami. Umieszczono je w każdym możliwym miejscu, w świecznikach ustawionych na wypolerowanym dębowym stole i w zwieszającym się z sufitu ciężkim żyrandolu. Płomyki odbijają się w pokrytych bordowymi tapetami ścianach i w wypolerowanych na wysoki połysk, ciemnych meblach. Stojące pomiędzy świecami stroiki ze świeżych kwiatów sprawiają, że w komnacie unosi się piękny, słodkawy zapach. Ale tak naprawdę wszystko to widzę tylko kątem oka. Co innego przyciąga mój wzrok.

Raven!

Muszę bohatersko ze sobą walczyć, by nie podbiec do niej i nie rzucić się jej na szyję. Odziana w przypominającą kimono, podobną do tej, którą widziałam poprzednio, szatę, moja przyjaciółka wygląda przepięknie. Jej makijaż i fryzura, o wiele bardziej stonowane niż na Aukcji, tylko dodają jej uroku. Gdy dostrzegam, u czyjego ramienia stoi, żołądek podjeżdża mi do gardła. To ta pulchna kobieta, którą widziałam ze sceny. Ta o okrutnych oczach. Jej ciastowate ciało napina ciemnoszarą sukienkę, a spięte w dziwaczny kok kasztanowe włosy przypominają lśniący, kanciasty sześcian. Kobieta pogrążona jest w rozmowie z kimś o wiele od niej drobniejszym. Dopiero, gdy obydwie odwracają się, by nas powitać, orientuję się, że jej interlokutorką jest Wybranka. Wciąż wygląda absurdalnie młodo, co podkreśla jeszcze jej strojna sukienka w jadowicie różowym kolorze.

Tuż za Wybranką stoi - maleńka, jak ją zapamiętałam - Dahlia.

Ledwie ją poznaję, wygląda zupełnie inaczej niż poprzedniego wieczora. Spowita w miękką, złocistą suknię i z pło-

mieniście czerwonymi włosami upiętymi w wysoką, strojną fryzurę, przypomina mi dziecko, które odziało się w szaty matki. To ubranie ją postarza. Dziwne, ale podarta tunika wydawała się pasować bardziej.

- Dobry wieczór, miłe panie - wita się Diuszesa ze wszystkimi zebranymi w pokoju. Jest tu pięć kobiet i pięć surogatek, wliczając w to mnie i gospodynię. Rozpoznaję również Lwicę i Kremowy Tort.

Wcale nie jest mi łatwo patrzeć na te dziewczyny. Jak się wydaje, wszystkie otrzymałyśmy dokładnie te same instrukcje, nie wolno nam się ze sobą porozumiewać i nie do końca nam to wychodzi. Nie jestem w stanie pohamować krzywego uśmiechu, gdy patrzę w oczy Raven, w których maluje się aż nazbyt czytelna frustracja. Dahlia popatruje na mnie z nadzieją i podekscytowaniem, Lwica zaś patrzy to na mnie, to na nią z podejrzliwym wyrazem twarzy.

- Wasza Królewska Wysokość - zwraca się Diuszesa do Wybranki. - To zaszczyt, że zechciałaś, pani, wziąć udział w moim skromnym poczęstunku. Wiem, że zaproszeń było wiele.

Powiedziawszy to, Diuszesa wykonuje niskie, kurtuazyjne dygnięcie. W całej jadalni rozbrzmiewa szelest jedwabiu, gdy to samo robią pozostałe arystokratki. Surogatki reagują z kilkusekundowym opóźnieniem, tylko Lwica i Tort nie mają problemu z przestrzeganiem protokołu. Nigdy nie byłam dobra w etykiecie i chwieję się lekko na nogach, ale w porównaniu z Raven jestem prawdziwym łabędziem. Siłą duszę śmiech, patrząc, jak moja przyjaciółka z morderczym grymasem stara się dygnąć zgrabnie w ciasnym kimonie. Z całej siły przygryzam wargę.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiada uprzejmie Wybranka. Jej głos jest równie dziecinny jak cała jej po-

stać. - Za nic nie chciałabym przegapić kolacji w towarzystwie pań z czterech Domów Założycieli. Usiądziemy?

Przez ułamki sekund dostrzegam na twarzy Diuszesy irytację, która znika natychmiast pod gładką maską uprzejmości.

- Oczywiście - odpowiada, wskazując ustawione wokół stołu krzesła.

Pogrupowano je w pary. Obok dużych, z fantazyjnie rzeźbionymi poręczami, stoją mniejsze, proste i bez ozdób. Lokaje, stojący dotąd pod ścianami jak statuy, ozywają i spieszą do stołu, by odsunąć krzesła. Siadam i przyglądam się z uwagą rozmaitym, leżącym obok talerza sztućcom. Jestem pewna, że wiedziałam, do czego służą wszystkie te noże, widelce i łyżki, ale w tej chwili nie jestem w stanie niczego sobie przypomnieć. Rzucam okiem na Raven, która wydaje się być tak samo zagubiona jak ja.

Zamiast panikować nad srebrną zastawą, zaczynam kątem oka obserwować zebrane przy stole arystokratki. Kobiety z czterech Domów Założycieli. Potomkinie rodzin, które założyły Samotne Miasto. Jedną z nich jest Diuszesa Jeziora, to oczywiste. Pozostałe... Wiem, że jeden z Domów miał kwiatową nazwę.

- Muszę przyznać, Pearl, że jestem dość zaskoczona, że ta kolacja w ogóle się odbywa - mówi do Diuszesy pani Raven. - Kiedy ostatnio kupiłaś jakąś surogatkę?

Diuszesa uśmiecha się jadowniczo.

- Och, Ebony, dlaczego udajesz, że nie znasz odpowiedzi na własne pytanie?

- Nie kupiłaś żadnej od dnia, w którym na świat przyszedł twój syn, prawda, Pearl? - wtrąca się Wybranka. - Dziewiętnaście lat to szmat czasu. Cierpliwość godna pozazdroszczenia.

- Dziękuję, Wasza Wysokość.

Na pierwsze służba podaje sałatkę z zielonej fasolki, rzodkiewki, gruszki i szparagów polaną kremowym dressingiem. Jest tak pyszna, że najchętniej zjadłabym wszystko. Niestety, Diuszesa przelyka może dwa kęsy, po czym odsuwa od siebie talerz. Nawet gdy nakrycia zostają zabrane, wciąż jeszcze czuję w ustach cierpki smak sosu i słodycz gruszki.

- Powiedz mi, Alexandrite - zwraca się Wybranka do właścicielki Tortu. Na stole pojawia się kolejna potrawa, pieczona kaczka z endywią i figami. - Jak ci się podobała Aukcja? Wiem, pierwszy raz brałaś w niej udział.

- Och, była olśniewająca - zachwyca się kobieta. Wygląda bardzo młodo, nie może być o wiele starsza od Wybranki. Jej skóra ma barwę mocnej kawy, a jej jedwabna suknia mieni się odcieniami brązu. Przypominam ją sobie. To ona unosiła w górę łuski. - Diuk Łusek był zachwycony, że udało mi się nabyć tak wspaniałą surogatkę. Jest przekonany, że nasza córka będzie doskonała.

Diuszesa Jeziora i Diuszesa Łusek... To znaczy, że pozostałe dwie kobiety są Hrabiniami. Popatrzę to na właścicielkę Raven, to na panią Lwicy. Ta jest dość wiekowa, najstarsza z zebranych. Jej twarz przypomina zmięty pergamin, a włosy są siwe, właściwie zupełnie białe. Ma na sobie piękną czerwoną suknię i sięgające ramion rękawiczki. Teraz ją sobie przypominam... Licytowała wraz z Wybranką. Chciała mnie kupić. To Hrabina Róży.

- Wydaje się, że prawie wszyscy chcą mieć w tym roku córki - rzuca Wybranka.

- Bez wątplenia niedawne narodziny twego syna, pani, mają wielki wpływ na decyzje arystokracji - komentuje sucho Diuszesa.

Jej Wysokość wybucha głośnym śmiechem.

- Och, najpewniej tak. Hierarcha życzyłby sobie jak najszybciej małego Larimara zaręczyć.

- Musi to zrobić, Wasza Wysokość. - W głosie Diuszesy Jeziora pobrzmiewa subtelna nuta protekcyjności. - By ogłosić, że syn jest następcą tronu, co, jak się spodziewamy nastąpi na następnym Balu Hierarchy, dziecko musi być od roku zaręczone. Takie jest prawo.

- Dobrze znam prawa tego miasta - odpowiada ostro Wybranka.

- A mimo to kupiłaś surogatkę - wcina się Hrabina Róży. - Po cóż tak szybko mieć córkę?

- No cóż... - Wybranka delikatnie wzrusza ramionami. - Życzeniem mego męża jest, by to nasz syn odziedziczył tron. Mimo to zawsze liczyłam na to, że kiedy mnie zabraknie, Samotnym Miastem będzie rządzić moja córka. Myślę, że kobieta będzie miała więcej zrozumienia dla potrzeb ludzi, a poza tym byłoby uroczo dać szansę jakiemuś młodemu kawalerowi z Banku. Taką samą szansę, jaką mnie dał Hierarcha. Wydaje się to uczciwe, nieprawdaż? Wesprzeć krąg, w którym sama się urodziłam. Jak sądzisz, Pearl?

Żadna z arystokratek nie wydaje się zachwycona słowami Wybranki. Diuszesa Jeziora tak mocno zaciska dłoń na widelcu, że kostki jej dłoni stały się zupełnie białe.

- Gdzieżbym śmiała podważać opinię Waszej Wysokości - mówi pełnym napięcia głosem, po czym obraca się w stronę pani Raven. - A jak ty się na to zapatrujesz, Ebony? Czy Dom Kamienia również wyda na świat córkę, czy raczej ujrzymy cię za rok na kolejnej Aukcji?

Hrabina Kamienia, właśnie. Jezioro, Róża, Łuski i Kamień. Lily byłaby ze mnie dumna. Jestem pewna, że Raven

w ogóle nie słucha toczącej się przy stole rozmowy. Hrabina Kamienia wrzuca do ust figę i przeżuwa z namysłem.

- O tak, myślę, że zaczniemy od córki - rzuca. - Chłopcy potrafią być prawdziwym utrapieniem, prawda?

Oczy Diuszesy zwężają się w szparki, a na jej policzki wplywa rumieniec.

Wybranka chichocze pod nosem.

- Och, przy okazji, jak się miewa Garnet? - pyta. - Mam nadzieję, że nie wpakował się znowu w jakieś kłopoty.

-Jest w swoim pokoju, Wasza Wysokość. Uczy się.

Nagle drzwi jadalni otwierają się z hukiem i do środka wtacza się młody mężczyzna. Nie widziałam chłopaka w moim wieku od czasu, gdy skończyłam dwanaście lat. Nie licząc Ochre'a, oczywiście, ale Ochre jest moim bratem. Ten mężczyzna jest... no cóż, piękny. Ma staranną fryzurę, jasne włosy zaczesane do tyłu, z której na czoło wymknęło mu się kilka niesfornych kosmyków. Spod napiętej na szerokich ramionach, rozchełstanej białej koszuli widać jego klatkę piersiową. W dłoni trzyma pusty kryształowy kielich. Płoną mi policzki, ale nie mogę przestać się gapić.

- Matko! - wykrzykuje, unosząc naczynie, jakby przepijał do Diuszesy Jeziora. To jest jej syn?! Wcale jej nie przypomina. Nieprzytomnym spojrzeniem obejmuje resztę komnaty. - Drogie panie, najmocniej proszę o wybaczenie. Nie wiedziałem, że mamy w pałacu proszoną kolację. - Jego jaśniebieskie oczy zatrzymują się na mnie i coś najwyraźniej zaskakuje mu w głowie. - No tak, racja. Aukcja.

Wybranka i Diuszesa Łusek prawie płaczą z radości, chichocząc w serwetki. Pełen satysfakcji uśmiech przemyka przez pulchną twarz Hrabiny Kamienia. Tylko Hrabina Róży nie wydaje się rozbawiona, raczej lekko zakłopotana.

- Garnet, kochanie — mówi Diuszesa głosem, w którym pobrzmiwa stal. - Co tu robisz?

- Och, nie zwracajcie na mnie uwagi - odpowiada chłopak, machając lekceważąco ręką. - Wpadłem po dolewkę.

Zataczając się, podchodzi do barku, odkorkowuje jedną z butelek i nalewa sobie trunku. Diuszesa zrywa się na nogi.

- Wybaczcie na chwilę - prosi, stając u boku syna i biorąc go pod ramię.

Słyszę cichutkie „auć”, gdy wyprowadza go z jadalni.

-1 właśnie dlatego, miłe panie, uważam, że Samotne Miasto powinno zostać oddane w ręce kobiet - komentuje Wybranka. Diuszesa Łusek i Hrabina Kamienia nieomal dławią się ze śmiechu.

Napotykam spojrzenie Raven. Moja przyjaciółka unosi brew, jakby chciała zapytać: „Co jest nie tak z tymi ludźmi”? Zaciskam usta, by się nie uśmiechnąć, i lekko kiwam jej głową.

- Jaka szkoda, że ta decyzja nie należy do ciebie, pani - odzywa się nieproszona Hrabina Róży. Jako jedyna nie wydaje się poruszona niespodziewanym wejściem Gameta. - To wybór Hierarchy, bo to on odziedziczył wcześniej tron. - Wkłada do ust niewielki kęs endywii. - Jesteś na dworze od bardzo niedawna, pani, dopuszczam więc do siebie myśl, że niektóre subtelności prawa sukcesji mogą ci jeszcze umykać.

Wybranka sztywnieje.

- Jestem pewna, że wiele czasu upłynęło od dnia, w którym ostatnio zażyłaś przyjemności w sypialni, Ametrine, ale wierz mi, że nie ma potężniejszego argumentu w dyskusji niż kobiece ciało. Jestem w stanie zmienić opinie mojego męża. Nie wątp w to.

Konwersacja zboczyła na dziwne ścieżki i czuję, że znów się rumienię. Lokaje zbierają się, by zabrać naczynia, wykorzystując więc nieobecność Diuszesy, żeby zjeść jeszcze kilka kawałków wyśmienitej kaczki.

- Wasza wysokość, nie chciałam cię obrazić - odpowiada Hrabina Róży. - Pamiętaj jednak, pani, że surogacja niesie ze sobą niespodzianki. Nigdy do końca nie wiadomo, co się otrzyma, a Augurie pozwalają tylko wysuwać przypuszczenia. Może stać się tak, że będziesz wołała, pani, by to twój syn odziedziczył tron.

- Wątpię. - Wybranka prawie wypluwa to słowo, po czym obraca się w stronę lokaja. — Wezwij Luciena. Natychmiast.

Przesłyszałam się? Prostuję plecy.

Kiedy służba zaczyna podawać kolejne danie, wędzonego łososa z kaparami i kandyzowaną cytryną, wraca Diuszesa.

- Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość - mówi, dygając z wdziękiem.

- Och, nie ma potrzeby. To było dość ekscytujące. W porównaniu z twoim przyjęciem, kolacje w Pałacu Królewskim są zwyczajnie nudne.

Szerokie usta Diuszesy Kamienia układają się w złośliwy uśmiezek. Czekać, aż moja pani usiądzie, upijam łyk wina. Mam szczerą nadzieję, że łoś będzie smakował jej bardziej niż poprzednie dane i że uda mi się wreszcie coś zjeść.

Zapominam o głodzie, gdy kątem oka dostrzegam białą szatę i charakterystyczną fryzurę. Lucien wchodzi do pokoju, trzymając w dłoniach orzech włoski i srebrną miseczkę.

- Dziękuję ci, Lucienie - rzuca Wybranka. - Poczekaj tutaj.

- Oczywiście, moja pani.

Lucien kładzie orzech i naczynie na stole, po czym staje pod ścianą. Oczy Dahlii robią się wielkie jak spodki. Patrzy

to na Wybrankę, to na przyniesione właśnie rzeczy, a na jej delikatnej twarzy maluje się strach. Dostrzegam w jej oczach nieme błaganie i wstrzymuję oddech, zastanawiając się, czego może chcieć Jej Wysokość. Siedząca po drugiej stronie stołu Raven robi to samo. Tort i Lwica przyglądają się Dahlii z zainteresowaniem.

- Pokazała mi wcześniej niesamowitą sztuczkę - mówi Wybranka i spogląda na drobniutką surogatkę z wyczekiwaniem. - Na co czekasz?

Dolna warga Dahlii zaczyna drżeć. Dziewczyna zaciska w dłoni orzech, ale nic się nie dzieje. Oczy Wybranki twardnieją.

- No dalej - rozkazuje ostrym tonem.

Palce Dahlii bieleją z wysiłku, a potem rozwierają się, ujawniając orzech, który wygląda teraz, jakby zrobiony był z brązowego szkła. To druga Auguria, Kształt. Dziewczyna marszczy z wysiłku brwi i nagle orzech rozpada się, wygina i rozciąga niczym guma.

Spodziewam się, że Dahlia nada mu jakiś prosty kształt, zamieni go w gwiazdę albo kwiat, ale ona koncentruje się, póki orzech nie przekształca się w miniaturową statuetkę Wybranki. To zdumiewające! I trudne. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, jak wiele bólu kosztuje ją ta przemiana.

Jakby w odpowiedzi na moje myśli, Dahlia wydaje z siebie okrzyk cierpienia i wypuszcza z dłoni posążek. Pospiesznie chwytą srebrną miskę i wykasłuje do niej mieszankę krwi i flegmy.

Wybranka unosi statuetkę i przez dłuższą chwilę podziwia doskonale oddane detale. Arystokratki klaszczą.

Mdli mnie i czuję się bardzo chora. Jak Wybranka mogła zmusić Dahlię do takiego wysiłku na oczach tych wszystkich

ludzi? Kobiety przy stole, one... One cieszą się z cierpienia i upokorzenia młodziutkiej dziewczyny. To obrzydliwe.

- Cudowne, prawda? — pyta radośnie Jej Wysokość. Lucien podchodzi do Dahlii i zabiera srebrną miseczkę. Kątem oka widzę, jak podaje jej białą chusteczkę. Gdy Dahlia unosi twarz, nie widać na niej śladów krwi.

- To wszystko, Lucienie - odprawia go Wybranka.

- Tak, moja pani. - Gdy Lucien odwraca się, by odejść, nasze spojrzenia na sekundę się spotykają. Przez jego twarz przemyka cień uśmiechu. Odpowiadam tym samym.

- Imponujący pokaz - stwierdza Diusza Jeziora, atakując widelcem łososa. - Na twoim miejscu, pani, trzymałabym najlepszą pościel z dala od tej dziewczyny.

- Och, nie zawsze tak krwawi.

Wzdrygam się. Ile razy Wybranka kazała Dahlii używać Augurii? Przecież minął ledwie jeden dzień!

Diusza przetyka kęs łososa i ociera wargi serwetką.

- Może powinnaś rozgrzać swoją surogatkę, pani, nim zaczniesz zmuszać ją do biegu.

- Będę o tym pamiętać - odpowiada Wybranka, poklepując Dahlię po głowie, jakby była małym kanapowym pieskiem. To boleśnie uwłaczające. Na policzki Dahlii występują krwawe plamy.

- Ma jakieś ciekawe umiejętności? - rzuca konwersacyjnym tonem Diusza. — Bywa z tym różnie, a ja wolę suro-gatki, które przejawiają jakieś talenty. - Upija łyk wina. -Moja gra na wiolonczeli.

Kurczowo ściskam widelec. Oczy wszystkich skierowane są na mnie. Tylko Raven piorunuje wzrokiem Diuszę.

- Och, wiolonczela? Miło byłoby zobaczyć jakiś niewielki pokaz - ożywia się Wybranka.

Rzucam spojrzenie na drzwi, przerażona, że za kilka sekund pojawi się w nich lokaj z instrumentem.

Ale Diuszesa po prostu się uśmiecha.

- Wasza Wysokość - mówi niskim, mrużącym tonem - jestem pewna, że będzie jakaś okazja.

Szlachetnie urodzone ciągną temat cudownych zdolności surogatek. Okazuje się, że Tort jest wspaniałą tancerką, a Hrabina Kamienia przechwala się talentem Raven do matematyki. Potem arystokratki zaczynają omawiać naszą biegłość w Auguriach. Rozmawiają o nas, jakbyśmy były ich szczeniakami, ewentualnie kupionymi za majątek końmi wyścigowymi. Jakbyśmy nie mogły ich słyszeć. Jakby w ogóle nas tu nie było.

Gdy kolacja wreszcie się kończy, kobiety żegnają się ze sobą, całując się w policzki, a właściwie całując powietrze, bo wydają się za wszelką cenę unikać fizycznego kontaktu. Do komnaty wchodzi, niosąc strojne płaszcze, dworki. Hrabina Kamienia również ma męskiego służącego, ale nie wygląda on sympatycznie. Jest równie ciepły i serdeczny, jak jego pani, a jego wykrzywione w niechętnym grymasie usta prawie giną pod wydatnym, przypominającym zakrzywiony dziób nosem.

Raven patrzy na mnie pełnym napięcia wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: „Na pewno znów się zobaczymy”. Uśmiecham się do niej samymi oczyma.

Ostatnia wychodzi Wybranka. Dahlia wygląda na przerażoną, staram się więc dodać jej jakoś odwagi. Zmuszam kąciki warg, aby się uniosły, z nadzieją, że Dahlia zrozumie. Mam nadzieję, że sobie poradzi, że w Pałacu Królewskim będzie bezpieczna i że nie stanie się jej nic złego.

Diuszesa bawi się kieliszkiem, przesuwając palcem po jego krawędzi. Obserwuje, jak jej goście opuszczają komnatę z miną, z jaką kot patrzy na swoją ofiarę. Potem wzdycha.

- To wszystko na dzisiaj - mówi w przestrzeń. Choć nie patrzy w moją stronę, jej słowa przeznaczone są dla mnie. Jesteśmy tu tylko we dwie. Chwilę później, z szelestem szat, znika za drzwiami gabinetu, pozostawiając mnie zmieszaną i samotną.

ROZDZIAŁ 9

Chwilę później do jadalni wchodzi Cora. W milczeniu podążam za nią poprzez korytarze rozświetlone bladym światłem lamp. Mam wrażenie, jakbym śniła. Pałac przypomina złocisty labirynt bez wyjścia. W moich komnatach czeka Annabelle.

- Ma natychmiast iść spać - rozkazuje Cora. Annabelle przytakuje.

- Dokąd idziesz? - pytam.

- Do Diuszesy - mówi Cora, jakby to było oczywiste. Może było...

- Och. W takim razie dobrej nocy. - W Bramie Południowej opiekunki zawsze życzyły nam dobrej nocy, a Cora bardzo mi je przypomina.

Gdy się uśmiecha, wokół jej oczu pojawiają się zmarszczki.

- Dobranoc.

Idąc za Annabelle do sypialni, rozmyślam o tym, co usłyszałam i zobaczyłam przy stole. Wydaje się, że spotkały się przy niej dwie konkurujące ze sobą koterie. Po jednej stronie Wybranka, Hrabina Kamienia oraz Diuszesa Łusek, po drugiej Diuszesa Jeziora i Hrabina Róży. Bycie arystokratą musi być strasznie męczące - po co zapraszać na kolację ludzi, których nawet się nie lubi?

Tak bardzo pograżam się w tych rozważaniach, że nie zauważam, kiedy Annabelle zdejmuje ze mnie biżuterię i zaczyna rozwiązywać suknię. Na łóżku leży jedwabna nocna koszula.

- Och! Mogę się przebrać sama - mówię. Annabelle potrząsa głową.

- Nie wolno ci ze mną rozmawiać? - pytam, czując się jeszcze gorzej niż przed chwilą.

Annabelle sięga do pasa i odpina od niego czarny prostokąt. Potem z niewielkiej kieszonki wyciąga coś białego. Kreda.

Gdy zaczyna pisać, dociera do mnie, że prostokąt jest małą tabliczką. Annabelle unosi ją tak, by mogła zobaczyć słowa.

Nie mogę mówić.

- Co? W ogóle? - pytam głupio. Potwierdza.

- Coś ci się stało?

Dopiero wypowiadając te słowa, zdaję sobie sprawę z tego, że jestem niegrzeczna. Annabelle znów coś pisze. *Taka się urodziłam.*

- I nigdy nie mówiłaś? Nigdy?

W Bagnie mieszkała jedna dziewczyna, która nie potrafiła mówić, ale była również głucha. Annabelle nie ma problemów ze słuchem.

Potrząsa głową, po czym stuka palcem w tabliczkę. Litery znikają.

- Nieźle - mruczę. - Całkiem przydatny drobiazg. Kiwa głową, choć nie wydaje się do tego przekonana, a potem kończy rozwiązywać suknię. Robię krok do przodu, biorę koszulę i naciągam ją na siebie przez głowę.

Idziemy do łazienki, w której Annabelle zmywa ze mnie makijaż, i wracamy do sypialni. Dziewczyna sadza mnie przed toaletką i zaczyna szczotkować mi włosy. Przyglądam się jej odbiciu w zwierciadle. Jej skóra jest jeszcze bledsza od mojej i usłana drobnymi piegami. Annabelle wydaje mi się krucha i delikatna, gdy drobnymi rękami ściska szczotkę i bardzo łagodnie przesuwają ją po moich włosach.

- Marzyłaś kiedyś o tym? - pytam. Annabelle, wyraźnie zdziwiona, unosi głowę. - To znaczy, żeby mówić.

Przygryza wargę i przez sekundę boję się, że znów byłam nieuprzejma. Po chwili odkłada szczotkę i unosi tabliczkę.
Codziennie.

Próbuję sobie wyobrazić, jakby to było nie móc wyrażać siebie za pomocą głosu i nagle rozumiem, że właśnie to mi się dzisiaj przydarzyło. W trakcie kolacji byłam niema. Co za okropne uczucie.

Annabelle kończy moją toaletę i podchodzi do łóżka, by odrzucić kołdrę. Mam wrażenie, że przez ostatnie dwa dni głównie spałam, wciąż jednak czuję się zmęczona. Wpełzam pod jedwabiste okrycie, rozkoszując się jego gładkością. Wypchana pierzem poduszka jest tak miękka, że moja głowa niemal w niej tonie. Annabelle wskazuje na dwa pasy tkani-

ny zawieszono ponad nocną szafką, udaje, że za nie pociąga i wskazuje na siebie.

- Jeśli zadzwonię, przyjdiesz? - domyślam się. Kiwa głową.

- Gdzie śpisz?

Pokazuje palcem niżej, a potem pisze coś na tabliczce.

Dobranoc.

Nagle pozostanie samej w tym obcym, ekstrawaganckim pokoju budzi we mnie lęk.

- Annabelle, czy ty... - Przetykam ślinę. - Czy mogłabyś chwilę ze mną posiedzieć?

Waha się i przypominam sobie Corę mówiącą, że natychmiast powinnam iść spać. Po chwili kiwa jednak głową i przysiadła na skraju łóżka. Uśmiecham się.

- Dziękuję. *Jest b. dziwnie?*

Przez krótką chwilę zastanawiam się, co znaczy litera „b”. Bardzo. No tak, pisanie wszystkiego musi być męczące. Sama również wolałabym używać skrótów.

- Jak długo tu mieszkasz? *Całe życie.*

Przesuwam palcem po hacie zdobiącym brzegi poduszki.

- Przepiękne - mówię.

Annabelle przytakuje, ale bez specjalnego entuzjazmu.

- Na tej kolacji - zaczynam, niepewna, czy w ogóle wolno mi o tym mówić - te kobiety... Mam na myśli arystokratki, nie wydawały się... Chodzi mi o to, że nie były dla siebie miłe. Zawsze tak jest?

Annabelle krzywi się, co przyjmuję za „tak”.

- Wybranka jest bardzo młoda, prawda? Nawet młodsza niż wygląda na fotografiach.

Kolejne skinienie.

- Diuszesa chyba za nią nie przepada.

Annabelle drga nerwowo, a jej policzki stają się bladoróżowe. Pospiesznie zmieniam temat.

- Widziałam syna Diuszesy - rzucam. Czuję, jak krew napływa mi do głowy na wspomnienie przystojnego mężczyzny w niechlujnym odzieniu. - Nie przypomina swojej matki.

Na wargach Annabelle pojawia się trudny do zinterpretowania uśmiech. Zupełnie jakbym ją czymś zaskoczyła.

- Jak się nazywa? *Gamet*.

- Racja, Gamet. - Teraz pamiętam słowa Diuszesy. Wspominała, że nie potrzebuje drugiego Gameta.

- Robiłaś to już kiedyś? To znaczy zajmowałaś się surogatką? Potrząsa głową.

- Postaram się nie utrudniać ci życia - obiecuję.

Uśmiecha się szerzej i ściska moją dłoń. W kokonie z rozgrzanej pościeli jest ciepło i wygodnie. Nie umiem stłumić ziewnięcia.

Śpij.

- No dobrze - zgadzam się.

Annabelle wstaje i wygasza lampy. W pokoju zapada kojący półmrok. Obracam się na plecy i patrzę na zawieszony ponad głową zielony baldachim, tak naprawdę jednak wcale go nie widzę. Myślami jestem przy mojej rodzinie. Wyobrażam ich sobie razem, w małym domu, Bagnie. Mama przygotowuje kolację, Hazel odrabia lekcje, a Ochre wyszedł na podwórko, by narąbać drewna. Wyobrażam sobie, jak siedzą razem przy stole, jedzą skromny posiłek, śmieją się i rozmawiają. Ciekawe, czy w ogóle o mnie myślą.

- Dobranoc, Hazel - szepczę, nim gardło zaciśnie mi się tak mocno, że nie będę już w stanie tego zrobić. - Dobranoc, Ochre. Dobranoc, mammo.

Wydaje mi się, że słyszę, jak Annabelle skrobie coś na tabliczce, ale odpływam w sen.

Tej nocy mam sen. Znów jestem w Bramie Południowej i siedzę w pokoju muzycznym, próbując grać w duecie z Lily.

Za nic w świecie nie mogę prawidłowo ustawić wiolonczeli. Ciężki instrument przechyla się to w lewo, to w prawo, a dźwięki, które się z niego wydobywają, nie przypominają muzyki. Lily odsuwa od siebie skrzypce i mierzy mnie niechętnym spojrzeniem.

- Powinnaś była mnie słuchać, Violet - mówi z odcieniem wyższości w głosie.

Spoglądam po sobie i dostrzegam, że mój brzuch jest wielki, napęczniały od dziecka Diuszesy, które w sobie noszę. Zaczynam krzyczeć.

Kiedy budzę się rano, moja skóra pokryta jest cienką warstwą zimnego potu. Odrzucam kołdrę i przyciskam dłonie do brzucha.

Nie jestem w ciąży. Nie jestem w ciąży. Powtarzam te słowa wciąż i wciąż jak mantrę, choć wiem, że przecież nic ode mnie nie zależy.

Idę do łazienki. Z lustra nad umywalką patrzy na mnie blada jak śmierć dziewczyna o wielkich, przerażonych oczach i włosach potarganych od snu. Wygląda okropnie. Czy tak właśnie prezentuję się każdego poranka? Fuj.

Namaczam myjkę do twarzy w zimnej wodzie i przecieram czoło oraz kark. Burczy mi w brzuchu. Pospiesznie zwiążuję włosy wstążką i wracam do sypialni, by zadzwonić po Annabelle. Nie mam pojęcia, jak wygląda tutaj śniada-

nie. Powinnam zejść do kuchni? A może zjeść wraz z Diuszesą w jadalni?

Przełykam lepłą ślinę, a moje dłonie odruchowo wracają do brzucha. Nie mogę pozbyć się widoku samej siebie w zaawansowanej ciąży.

Kiedy to się stanie?

Zaciskam oczy, starając się myśleć o czymś innym, nie ma jednak niczego innego. To wszystko wydawało się takie odległe, prawie nierealne, gdy byłam w Bramie Południowej, a teraz... Teraz, kiedy trafiłam do pałacu, myśl o tym, że mam urodzić czyjeś dziecko, że to dziecko będzie rosło w środku mnie, jest przerażająca.

Drzwi otwierają się i do pokoju wchodzi Annabelle, a wraz z nią pojawia się cudowny aromat kawy. Na śniadaniowym stoliku dziewczyna stawia wypełnioną po brzegi tacę.

Zapach jedzenia sprawia, że czuję się nieco lepiej. Jestem głodna po rozczarowująco mizernej kolacji poprzedniego wieczora. Mama zawsze powtarzała, że świat wydaje się lepszy, gdy masz pełny żołądek. Annabelle wskazuje mi krzesło i unosi pokrywę tacy.

Na widok ugotowanych na miękko jajek siedzących w eleganckich srebrnych kubeczkach, jogurtu ze świeżymi owocami, grzanek z masłem, chrupiącego bekonu i soku pomarańczowego ślinka napływa mi do ust. Annabelle układa mi na kolanach serwetkę, po czym nalewa kawy do filiżanki z różowej porcelany.

Przypuszczam atak na jedzenie.

Annabelle unosi brew.

Głodna?

- Umieram z głodu - odpowiadam z ustami pełnymi grzanki i jajka. - Prawie niczego wczoraj nie jadłam.

Dobrze spałaś?

Moja dłoń dzierżąca widelec z kawałkiem bekonu nieruchomieje. Krzywię się lekko, odkładam sztucce i pociągam łyk kawy.

— Łóżko jest wygodne - mówię wymijająco.

Kiedy kończę śniadanie, Annabelle eskortuje mnie pod prysznic, a potem ubiera w piękną suknię w odcieniu dojrzałej brzoskwini. Siadam przy toalecie i podziwiam, z jaką wprawą zakręca i upina mi włosy.

- Mam dokąd pójść? - pytam. Wzrusza ramionami.

- Nie wiesz może... To znaczy, czy nie orientujesz się... - Nie wiem, jakich słów użyć. Jak zapytać kogoś, kiedy możesz się spodziewać zapłodnienia? - Mam jakiś grafik albo coś w tym stylu?

Czekaj na wezwanie D.

— Och. - Zakłopotana, bawię się wysadzonym topazami i opalami kolczykiem. - Jasne.

Kiedy kończy, wstaję i przeglądam się w lustrze. Z upiętymi wysoko włosami, w kreacji ze szlachetnego materiału, wyglądam o wiele doroślej niż dziewczyna, której z taką podejrzliwością przyglądałam się w gotowalni Domu Aukcyjnego.

Ładnie.

Otwieram usta, a potem zamykam je, niepewna, co powiedzieć. Rzeczywiście, wyglądam ładnie. Tylko nie jestem pewna, czy wyglądam jak ja.

Poranek spędzam na zwiedzaniu własnych komnat. Okazuje się, że mam trzy szafy pełne sukien w najróżniejszych fasonach, kolorach i wzorach, od prostych codziennych toalet, aż po wymyślne balowe kreacje. Annabelle odsłania za-

słony w sypialni i po raz pierwszy mogę zobaczyć, co znajduje się na zewnątrz pałacu. Szeroka żwirowana droga okrąży wielkie, połyskujące niczym kryształowe lustro, niesamowicie błękitne jezioro. W oddali majaczy złota brama.

Po dłuższej chwili przenosimy się do pokoju sąsiadującego z sypialnią. Bawialnia robi przyjemne wrażenie, jest słoneczna i ciepła. Meble utrzymane są w tonacji żółci i oranżu, a na stolikach stoją wazon z aksamitkami i stokrotkami. Wzdłuż jednej ze ścian ciągną się, sięgające sufitu, półki wypełnione książkami. Część z tytułów znam, część jest mi zupełnie obca. Dostrzegam między innymi pięknie wydaną „Kompletną historię Czterech Domów Założycieli”, a obok niej, prawie niewidoczny egzemplarz, mocno zniszczony, „Studni Życzeń”, z kolekcji bajek dla dzieci.

- Och! Uwielbiam tę książkę! - mówię, zdejmując ją z półki. Nie spodziewałam się, że zobaczę ją w Klejnocie. Przypomina mi dom. - Mój tata czytał mi kiedyś te bajki. Znasz je?

Annabelle kręci głową.

Najbardziej lubiliśmy z Hazel właśnie opowieść o Studni Życzeń. Otwieram ją i uśmiecham się, wspominając, jak stałyśmy z siostrą w drzwiach, czekając, aż tata wróci z pracy w fabryce. Ciągnął za sobą zapach dymu i smaru, a my błagałyśmy go, żeby nam poczytał, gdy mama przygotowywała kolację. Miał cudowny głos. „Studnia Życzeń” to historia o dwóch siostrach, które znajdują magiczną studnię. Uwalniają z niej ducha wody, a on, w podzięce, obiecuje spełnić życzenie każdej z nich. Zwijałyśmy się z Hazel po obydwu stronach taty i pozwalałyśmy, by jego słowa łagodnie nas opływały. Śmiałyśmy się i płakałyśmy w odpowiednich momentach. Miałam wtedy około dziesięciu lat, Hazel sześć. Rok później taty już nie było.

Przerzucam kolejne strony, wspominając różne, zebrane w tomie bajki, aż wreszcie nadchodzi pora lunchu. Młodziutka pokojówka w czarnej sukience i białym fartuchu przynosi nam całą tacę jedzenia. Wcześniej myślałam, że posiłki w Bramie Południowej były precudowne; okazuje się jednak, że nie mogą się równać z daniami serwowanymi w Klejnocie.

Po lunchu zaczynam się nudzić. Staram się dalej czytać, ale nie potrafię się skoncentrować. Annabelle przysiadła na jednym z krzeseł i haftuje chusteczkę.

- Mogę zobaczyć resztę pałacu? - pytam, zamykając książkę.

Jak wezwie cię D.

- A kiedy to będzie?

Annabelle wymownie wzrusza ramionami.

Wzdycham, znużona beczynnością i wyciągam się na kanapie. A raczej próbuję - gdy tylko przybieram pozycję horyzontalną, fiszbiny w gorsecie wpijają się we mnie jak stado krwiożerczych potworów. Natychmiast się prostuję. Annabelle odkłada chusteczkę oraz przybory do szycia i pisze coś na tabliczce.

Halma?

- Grasz w Halme? - pytam z podnieceniem. Uśmiech Annabelle staje się szerszy.

- Myślałam, że tylko w Bagnie znają tę grę - mamroczę pod nosem, gapiąc się z niechęcią na sześćioramienną gwiazdę na tablicy. - Jakim cudem jesteś w tym taka dobra?

Annabelle już dwa razy mnie pokonała i jest na najlepszej drodze do trzeciego zwycięstwa. Prawie wszystkie jej kulki są w moim rogu, moje zaś leżą smętnie porozrzucane w okolicach środka planszy i wprost wołają o to, by je wykorzystać.

B. stara gra z F.

- Z Farmy? Naprawdę? Nie wiedziałam. - Przeskakuję przez dwa pionki Annabelle i wreszcie umieszczam swoją kulkę we właściwym rogu.

Annabelle błyskawicznie używa jej, by wylądować swoją po drugiej stronie planszy.

Nie b. pop. w K. Tylko służba.

- Tak, właśnie widzę - mruczę ponuro. Nie jestem przyzwyczajona do przegrywania w Halnę. Raven brakowało cierpliwości i była beznadziejnym graczem. Obydwie z Lily w kółko ją ogrywałyśmy.

Annabelle potrzebuje trzech ruchów, by zakończyć grę.

- Jeszcze raz! - żądam natychmiast.

Drzwi do saloniku nagle się otwierają i do pomieszczenia wchodzi Diusza. Gwardzista, który jej towarzyszy staje na baczność. Annabelle błyskawicznie wstaje, a ja podrywam się na nogi i wykonuję niezbyt zgrabne dygnięcie. Diusza ma na sobie czerwoną suknię z wielu warstw szyfonu, przewiązaną w pasie haftowaną jedwabną wstęgą. Z łańcuszka na jej nadgarstku zwisa wachlarz. Na jej twarzy nie widać emocji, cała jej postać emanuje jednak skrywaną energią, zupełnie, jakby pod maską obojętności czaiły się trudne do poskromienia uczucia.

Ogląda mnie od stóp do głów.

- Bardzo ładnie - oznajmia, rzucając Annabelle krótkie spojrzenie. W żaden inny sposób nie daje poznać, że mówi właśnie do niej. Ciekawe, czy przygotowanie mnie było dla Annabelle jakimś rodzajem testu.

- Dzień dobry, pani - mówię z kolejnym, ani trochę elegantszym dygnięciem.

- Tak - odpowiada Diusza. - Ten dzień zaiste jest dobry, nieprawdaż? - Podchodzi do mnie, uśmiechając się kąci-

kami ust. Z całej siły walczę z przemożnym pragnieniem cofnięcia się albo choć osłonięcia ramionami. - Ostatniej nocy dałaś pokaz dobrego wychowania. Jestem pod wrażeniem.

- Dziękuję, pani. — Chciałabym, żeby już sobie poszła. Nie lubię, gdy jest tak blisko.

Diuszesa parska śmiechem.

- Nie bój się. Powiedziałam przecież, że jeśli udowodnisz, że mogę ci ufać, zostaniesz nagrodzona. - Macha wachlarzem na Gwardzistę. - Przynieście ją.

Gwardzista daje znak komuś stojącemu na zewnątrz i po chwili dwóch służących wnosi do pokoju wielką drewnianą skrzynię. Za pomocą łomów otwierają jej wieko, po czym ustawiają pokrywę obok.

- To wszystko - oznajmia Diuszesa. Służący kłaniają się i wychodzą.

Przez kilka sekund w bawialni panuje cisza. Patrzę na pudło, na Diuszesę, na Annabelle, a potem jeszcze raz na pudło...

- Śmiało - zachęca Diuszesa. - Nie ugryzie cię.

Wolałabym otworzyć skrzynię, gdy będę sama, ale to raczej nie wchodzi w grę. Podchodzę bliżej, przyklekam i zaczynam wyciągać ze środka ochraniające zawartość siano. Gdy dostrzegam odblask światła na lakierowanej powierzchni, moja niepewność zamienia się w podekscytowanie. Wyrzucam za siebie siano, jakby od tego, jak szybko to zrobię zależało moje życie. Chcę jak najprędzej dotrzeć do wiolonczeli! Niechcący muskam palcami struny i stłumiony dźwięk odbija się echem w moich uszach.

Muszę zwolnić. Przełykam ślinę i otwartymi szeroko oczyma patrzę na instrument. To najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam, a w ciągu ostatnich dwóch dni widziałam wiele pięknych rzeczy. Lakier przydał klonowemu drewnu czerwo-

nego odcienia, a otwory w kształcie litery f są bardziej ozdobne niż te, do których przywykłam. Kształt instrumentu i eleganckie żłobienia na krawędziach pudła rezonansowego są idealne. Dotykam kolejno czterech strun. Znajome dźwięki sprawiają, że ściska mnie w gardle.

- Podoba ci się? — pyta Diuszesa.

- To dla mnie? - szepczę.

- Oczywiście, że dla ciebie. Podoba ci się? - W tonie Diuszesy pojawia się niecierpliwość.

Przełykam.

- Tak, pani. Bardzo mi się podoba.

- To dobrze. Zagraj coś.

Ujmuję wiolonczelę za szyjkę i ostrożnie wyjmuję ją ze skrzyni, strącając uparte źdźbła siana na posadzkę. W środku są również smyczek i kalafonia. Podchodzę do jednego z krzeseł i siadam na nim, umieszczając instrument między nogami. Ciężar wiolonczeli i to, jak opiera się na moim ramieniu działa na mnie uspokajająco. Przeciagam kalafonią po włosiu smyczka. Gdy do moich nozdrzy dociera charakterystyczny ostry zapach, zalewa mnie fala wspomnień. Dzień, w którym wybrałam ten instrument, pierwszy raz, gdy trzymałam w dłoni smyczek, samotne muzykowanie w pogrążonym w mroku nocy pokoju, duet z Lily w pokoju muzycznym. ..

- Czy chciałabyś, pani, usłyszeć jakiś konkretny utwór? - pytam.

Diuszesa unosi jedną brew.

- Nie. Sama coś wybierz.

Biorę głęboki oddech, i układam palce na strunach, uważając mimochodem, że powinnam przyciąć paznokcie. Potem przeciągam smyczkiem przez strunę C.

Jest świetnie nastrojona. Ciepły, głęboki, wibrujący ton wypełnia pokój i mnie. Przymykam oczy.

Gram preludium do suity G-dur, jeden z pierwszych utworów, jakich się nauczyłam. Dźwięki płyną spokojnie i przechodzą jeden w drugi. Są jak woda leniwego potoku obmywająca wygładzone przez wieki kamienie. Moje palce żyją własnym życiem, a pokój, w którym siedzę zdaje się znikać. W muzyce jest wyzwolenie, od ciała, od umysłu, od miejsca i czasu. Ja sama jestem muzyką, jestem dźwiękiem. Nie wiem, gdzie się kończę, a gdzie zaczyna się instrument, granica znika i nagle nie ma już Klejnotu, nie ma surogatek, nikt nie może mnie skrzywdzić. Gdy zbliżam się do końca utworu, tempo przyspiesza, a dźwięki stają się wyższe i wyższe, aż wreszcie po raz ostatni dotykam smyczkiem struny... Dźwięk zawisa w powietrzu, czysty i zachwycający w swojej doskonałości.

Otwieram oczy.

Na twarzy Diuszesy maluje się triumf. Nie wiem, dlaczego, ale przeraża mnie to bardziej niż zwyczajowa, pozbawiona emocji maska.

- To było... nadzwyczajne — mówi.

- Dziękuję, pani.

Wachluje się przez chwilę, po czym zamyka wachlarz z głośnym trzaskiem i wstaje.

- Połóż ją do łóżka wcześniej - rozkazuje Annabelle, idąc w kierunku drzwi. Gwardzista nie odstępował jej na krok. -Jutro wychodzimy.

ROZDZIAŁ 10

Ale dokąd mamy iść? - pytam chyba po raz setny. Annabelle kończy właśnie szczotkować mi przed snem włosy. - Dokądś w Klejnocie? Odkłada szczotkę. *Albo w Banku.*

- Ty też idziesz?

Wzrusza ramionami i po wyrazie jej twarzy poznaję, że naprawdę nie wie.

- Czy... czy chodzi o lekarza? - W moim głosie pobrzmiewa nerwowość.

Annabelle zaprzecza. *Lek. przych. tutaj.*

- Och. - Co za ulga, że nie chodzi o lekarza.

Annabelle nie pozwala mi się znęcać nad paznokciem i zaczyna wcierać w moje dłonie nawilżający krem.

- Kiedy byłam w Bramie Południowej, właściwie nie interesowałam się Klejnotem. To Lily, moja koleżanka, czytała plotkarskie magazyny i wyobrażała sobie, jak może wyglądać życie arystokracji. Chciała tu trafić. Ciekawa jestem, gdzie się znalazła. Lily była naprawdę urocza. Mam nadzieję, że trafił się jej ktoś miły.

Przesuwam opuszkami palców po wypolerowanym do połysku blacie toaletki i aksamitnym wieczku jednego z puzderek z biżuterią.

- Zakochałaby się w tym miejscu. - Mówienie o Lily sprawia mi przyjemność, przypomina mi o tym, że była i że jest, o tym, że byliśmy przyjaciółkami i że miało to dla nas znaczenie. - Uwielbia ekstrawaganckie rzeczy, suknie i makijaż i tak dalej. Na widok tego pokoju chyba dostałaby zawału. Ale miała numer 53. Bardzo możliwe, że jest teraz w Banku.

Bank jest fajny. Parskam śmiechem.

- Nie znasz Lily. Jej definicja „fajności” różni się znacznie od definicji przeciętnych ludzi. - Wracam myślami do kolacji, w której brałam udział. - Wiesz, że widziałam moją najlepszą przyjaciółkę, Raven? Wczoraj w nocy. Kupiła ją Hrabina Kamienia. Wiesz coś o niej?

Annabelle wzrusza ramionami, ale zdradza ją grymas twarzy: drżąca lekko warga i zmarszczenie brwi.

- Raven jest twarda. - Mówię to chyba po to, by przekonać samą siebie. - Twardsza niż ktokolwiek, kogo znam. Da sobie radę.

Z nieobecny wyrazem twarzy Annabelle otwiera słoiczek z kremem.

Nagle coś przychodzi mi do głowy.

- Nie znasz mojego imienia! - wykrzykuję, chwytając Annabelle za rękę. Tak właściwie, to nikt go nie zna, ale to, że nawet nie próbowałam się przedstawić, wydaje mi się dziwnie niewłaściwe.

Annabelle patrzy na mnie szeroko rozwartymi oczyma i gwałtownie potrząsa głową.

- Och, proszę - naciskam. - Bardzo proszę.

Ucieka wzrokiem. Mam wrażenie, że sprawiłam jej ból.

- W porządku. Przepraszam. Już nieważne.

Annabelle wyraźnie się rozluźnia. Nim zdąży zaprotestować, biorę jej tabliczkę i pospiesznie skrobię na niej jeden jedyny wyraz.

Violet.

Po sekundzie usuwam napis.

Następnego ranka Annabelle odziewa mnie w czerń.

Jej nastrój jest wyraźnie inny - wydaje się zdenerwowana, rzadko używa tabliczki, ograniczając porozumiewanie się ze mną do szybkich skinieć głową. Suknia, którą wybrała, przypomina tę, którą miałam na sobie w trakcie Aukcji, długa z podwyższoną talią. Na szyję zakłada mi cienką aksamitkę.

- Po co mi to? - pytam, muskając materiał palcami. Jest miły w dotyku. Annabelle nie odpowiada, upina tylko włosy z przodu mojej głowy, resztę pozostawiając luźno.

Do pokoju wpada Cora z czarnym koronkowym welonem w dłoni.

- Przygotowałaś ją? - Ogląda mnie bacznie. - Dobrze - rzuca do Annabelle, przypinając mi do włosów welon.

- Po co to? - powtarzam.

- Żadnych pytań. Chodź ze mną.

- Annabelle też idzie?

- Nie - odpowiada ostro.

Gdy wychodzę z pokoju, Annabelle posyła mi krzywy uśmiech. Żołądek zwija mi się w supeł, gdy szybkim marszem przemierzamy kwiatowy korytarz, hol pełen portretów, a potem prowadzące do przeszklonego foyer schody. Słońce prześwieca przez dach, sprawiając, że woda w fontannie skrzy się i mieni niczym drogie kamienie. Diusza już na mnie czeka, oczywiście w otoczeniu niezawodnych Gwardzistów, którzy stoją za nią jak czerwona ściana. Ubrana jest w czarną spódnicę, czarną bluzkę i znakomicie skrojony, również czarny żakiet, a na głowie ma mały kapelusik z woalką ledwie zakrywającą oczy. Przygląda mi się krytycznym wzrokiem.

- Ta sukienka jest... taka prosta - mówi.

- Proszę o wybaczenie, pani - odpowiada Cora, dygając. - Możemy ją zmienić.

Diusza wykonuje lekceważący gest ręką.

- Nie ma czasu - oznajmia, podchodząc do mnie. Stukot jej obcasów odbija się echem w wielkiej sali. Patrząc mi prosto w oczy, unosi coś srebrnego. - Nie przepadam za tym ani nie uważam, żebyś tego potrzebowała - stwierdza, pokazując mi to, co trzyma w ręce. - Niestety, są ludzie, którzy wykorzystają każdy pretekst, by mnie oczernić. Zachowuj się dobrze, a nie użyję tego po raz drugi, póki nie zostanę do tego zmuszona. Rozumiesz?

Wcale nie rozumiem, ale jej słowa sprawiają, że czuję rozchodzące się we wnętrzu zimno. Sekundy później Diusza rozwija srebrny przedmiot i czuję bolesny skurcz w brzuchu.

To smycz.

- Będiesz grzeczną dziewczynką, prawda? - mruczy Diusza.

Coś we mnie krzyczy, że to niewłaściwe, ohydne i uwłaczające, ale moje mięśnie nie działają. Stoję jak posąg, serce obija mi się o żebra, jakby chciało uciec i jedyne, co mogę zrobić, to gapić się.

Czerwony mur Gwardzistów porusza się, jakby mężczyźni oczekiwali, że będę sprawiać kłopoty, jednak Diuszesa unosi rękę.

- Nie - mówi cicho, nie przestając patrzeć mi w oczy. -Stójcie. Ona rozumie.

Wbrew wszystkiemu, co czuję, wbrew temu, kim jestem, wbrew niechęci i wbrew instynktowi, pozwalam Diuszesie zapiąć sobie na szyi srebrną obrozę. Część mnie nadal pozostaje w szoku. Inna część chce uniknąć kolejnego uderzenia w twarz albo interwencji Gwardzistów. Jeszcze inna rozumie, w jaki sposób cienki łańcuszek, który wiedzie od obroży do zapiętej na nadgarstku Diuszesy bransoletki nas łączy. Rozumiem, że Diuszesa ma swoje plany, a ja jestem ich częścią oraz że ta smycz ma oznajmić wszystkim, że do niej należę.

Rozumiem, ale nie obchodzi mnie to. Nienawidzę jej za to, co mi robi.

- Cora, welon - komenderuje i Cora opuszcza na moją twarz zasłonę ze smoliście czarnej koronki. Welon przykrywa moje oczy, nos, usta i opada na ramiona.

Zostałam zakuta w łańcuchy. Jestem niewolnicą, przywiązaną do właścicielki, ukrytą przed światem. Po raz pierwszy w życiu czuję się jak więzień.

- Idziemy - oznajmia Diuszesa, ruszając przed siebie. Smycz napina się, a obroża wpija mi się w szyję. Teraz rozumiem, po co ta aksamitka, dzięki niej metal nie podrażni skóry.

Nie mam wyboru, muszę iść. Upokorzona, czerwona na twarzy zaciskam dłonie w pięści tak mocno, że paznokcie

wbijają się głęboko we wnętrza dłoni. Ból pozwala mi wrócić do rzeczywistości, skoncentrować się, na nowo poczuć gniew.

Dwóch służących otwiera przed nami szklane drzwi i przez gęstą koronkę czuję na twarzy dotyk ciepłych promieni słońca. Pogoda jest przepiękna, choć porywy chłodnego wiatru sprawiają, że na przedramionach i karku mam gęsią skórę. Na krótką chwilę zapominam o złości, zakłopotaniu i o niesprawiedliwości tej sytuacji, bo stoję w wejściu na okrągły dziedziniec i po raz pierwszy widzę zewnętrzne ściany pałacu. Budowla wygląda, jakby wyciosano ją z diamentu, kryształiczna, fasetowana struktura odbija światło, rozszczepiając je na tysiące małych tęczy. Wysmukłe wieżyczki wydają się sięgać ku jasnemu niebu, a na ich szczytach powiewają niebieskie flagi. Przede mną rozciąga się błękitne jezioro, a na horyzoncie majaczy złota brama.

Coś porusza się w jednym z okien na parterze. Dostrzegam sylwetkę dziewczyny stojącej w oknie z założonymi na piersi ramionami. Mam wrażenie, że na mnie patrzy... Na mnie albo na Diuszesa. Nie umiem powiedzieć.

Kolejne pociągnięcie smyczy uświadamia mi, że Diuszesa nie zatrzymała się, by podziwiać widoki. Idzie w stronę pojazdu, jaki wcześniej widziałam tylko na obrazku. To automobil. Jest smukły i śnieżnobiały, przypomina zgrabnie wygięty grzbiet nieposkromionej fali. W porównaniu z nim elektryczne dyliżanse wyglądają jak niezgrabne pudła. Służący otwiera drzwi i Diuszesa z gracją wślizguje się na tylne siedzenie. Brak mi wyczucia i o mało nie uderzam głową w niską framugę. Środek pojazdu zachwyca tak samo jak jego bryła - siedzenia pokryte są miękką, nagrzaną od słońca skórą. Gdy drzwi zatrzasują się za nami, siedzący za kierownicą

szofer uchyla kapelusza i zapala silnik. Z chrzęstem żwiru ruszamy w stronę bramy. To zapewne bardzo wygodny sposób podróżowania i pewnie bardzo by mi się spodobał, gdybym nie była przypięta łańcuchem do drugiej osoby.

Raz jeszcze spoglądam na pałac. Kobieta w oknie znikła.

Diuszesa ignoruje mnie, stukając niecierpliwie palcem o podłokietnik. Po chwili wyciąga z jedwabnej torebki przybornik i maluje wargi jaskrawoczerwoną szminką. Przygląda się sobie w maleńkim lustrze i ciężko wzdycha.

- Starzenie się jest okropne - oświadcza. Milczę. Nie mam pojęcia, co powiedzieć, poza tym Diuszesa wcale nie wygląda staro.

Złote wrota ozdobione są na górze symbolem Domu Jeziora, lakierowanym na niebiesko okręgiem i dwoma skrzyżowanymi trójzębami. Widziałam ten symbol w moich pokojach, nad kominkami, wieńczący niektóre z zegarów i na mundurach Gwardzistów. Automobil wyjeżdża poza bramę, na szeroką asfaltową drogę. Wydaje mi się, że suniemy raczej niż płyniemy i przypominam sobie tę ostatnią wyprawę do Bagna, do rodziny, niszczący dom z glinianych cegieł, woń soli w powietrzu i wszechobecny pył. Ta podróż jest zupełnie inna.

Wydaje się, że w Klejnocie nie ma żadnych budowli poza pałacami. Wyrastają jeden za drugim, ściśnięte obok siebie, ogrodzone wysokimi murami, z których szczytów sterczą paskudnie wyglądające, ostre kolce. Same budowle nie są dobrze widoczne z drogi, dostrzegam je tylko wtedy, gdy przejeżdżamy obok fantazyjnie zdobionych bram. Kawalek od pałacu Diuszesy stoi wielopiętrowa budowla z marmuru

i onyksu z zewnętrznymi schodami. Wygląda jak skupisko brył i przypomina mi pokraczne konstrukcje, które tworzyliśmy kiedyś z klocków wraz z Ochre'em.

Ruch stopniowo się zagęszcza, a wszystkie automobile zdają się zmierzać w tym samym kierunku. Mijamy pałac za pałacem, a każdy z nich wykonany z kryształu w innym kolorze - widzę różowy, turkusowy, topazowy i granatowy... Niektóre z nich mają wieżyczki, inne pękate kopuły, a jeszcze inne dziwne, niepokojące kształty, których nigdy bym się nie spodziewała. Jeden wygląda jak wielka sterta trójkątów i przypomina choinkę, zwłaszcza, że wybudowano go z nefrytu i złota. Przed nim rozciąga się ogród różany. Nadchodzi zima, więc większość roślin utraciła już liście, tu i ówdzie pyszną się jednak ostatnie, odporne na chłód kwiaty, niewielkie płamki rózu i czerwieni. Bramę wieńczą dwie srebrne róże skrzyżowane na tle zielonego diamentu. Na podejździe stoi czarny automobil.

- Jak zwykle spóźniona - mruczy pod nosem Diuszesa.

Nagle zasłaniające widok wysokie mury się kończą i w jednej chwili zapominam o tym, że nie chcę rozmawiać z Diuszesą, że mam na szyi obrożę, a moją twarz zasłania czarny welon. Poznaję oszałamiającą budowlę, którą mijamy. Nie sądziłam, że zobaczę ją na własne oczy.

- To Królewska Sala Koncertowa - wykrzykuję.

W rzeczywistości budynek wygląda jeszcze bardziej imponująco niż na zdjęciach. Przepiękna, wyciosana z różowego kamienia fasada mieni się w blasku słońca. Gmach okrywa bladozielona kopuła, na której szczycie stoją złote statuy kobiet trzymających w wyciągniętych dłoniach trąbki. Wytrzeszczam oczy i otwieram usta, niezdolna głośno wyrazić zachwyty. Tak wielu znanych muzyków koncertowało w tej sali - Cornett Strand, Gaida Balaban i mój ulubiony Stradivarius Tanglewood. Na myśl o tym, że mogłabym kiedyś zagrać w tym miejscu, przeszywa mnie dreszcz podniecenia.

Nie spuszczaam wzroku z budynku, póki nie ginie w oddali.

Droga zaczyna wspinać się na wzgórze i po chwili wjeżdżamy do lasu. Liście dopiero zaczynają żółknąć i w powodzi zieleni pojawiają się pierwsze złote i czerwone cętki. Ruch jest spory, sznury samochodów ciągną się niby wielobarwna wstęga, musimy więc zwolnić. Szofer bardzo sprawnie pokonuje ostre zakręty, jednak na wszelki wypadek trzymam się klamki. Nie chciałabym wpaść na Diuszesę, która wygląda przez okno z wyjątkowo ponurą miną.

- Kiedy byłam dzieckiem uwielbiałam ten las - mówi nagle. - Ojciec nie pozwalał mi się w nim bawić, bo uważał, że to zbyt niebezpieczne. - Potrząsa głową. - Mężczyźni, ich broń i idiotyczne pragnienie strzelania do wszystkiego, co się rusza. Dla sportu, jak mówią. - Trudno mi wyobrazić sobie Diuszesę jako dziecko, a co dopiero jako dziecko bawiące się w lesie albo gdziekolwiek indziej. — Lubiłam udawać, że potrafię rozmawiać z drzewami jak młodsza siostra w „Studni Życzeń”. Znasz tę opowieść?

Mrugam gwałtownie. Diuszesa czytała „Studnię Życzeń”?

- Odpowiedz mi - warczy, gdy milczę.

- Tak - wyduszam z siebie. - Znam ją. - I dodaję niechętnie - Pani.

- Tak myślałam. Bajka jest dość... prowincjonalna. Czytała mi ją moja guwernantka, prosta kobieta. Kiedy ojciec się dowiedział, wpadł w furję, że jego córka zamiast klasyki, poznaje jakieś bajki. Wtrącił guwernantkę do lochu i nigdy więcej jej nie widziałam. - Diuszesa mówi to takim tonem, jakby chodziło o pogodę. Robi mi się zimno. - Zgaduję, że czytała ci ją matka, tak? W Bagnie nie ma chyba guwernantek.

- Ojciec mi ją czytał, pani.

- Och. - W zaskoczeniu unosi jedną brew. - W którym kręgu pracuje twój ojciec?

- Mój ojciec nie żyje - opowiadam zimno. I nie dodaję „pani”. Na ustach Diuszesy pojawia się uśmiech.

- O, zaczynam naprawdę cię lubić. W uroczy sposób balansujesz pomiędzy posłuszeństwem i pogardą.

Zaciskam zęby i obracam się w stronę okna. Wkurza mnie to, że nawet nie mogę jej obrazić. Moja śmiałość podoba się jej tak samo jak moja spolegliwość.

Las niespodziewanie się kończy i po raz drugi tego dnia szok wyrywa mnie z ponurego nastroju. Automobile pełzną przez fantastyczny, oniryczny wręcz ogród. Po obydwu stronach drogi, niby upiorni strażnicy, wznoszą się wycięte z żywopłotu, wysokie na dziesięć metrów bestie. Niektóre z nich unoszą pazurzaste łapy do ciosu, inne przypadły do ziemi, jakby gotowały się do skoku na ofiarę.

Jedziemy powoli, w długim rzędzie pojazdów, aż wreszcie docieramy na kwadratowy kamienny dziedziniec z fontanną na środku. Wodotrysk zwróceniu do siebie plecami czterech kamienni chłopcy, każdy z trąbką uniesioną do ust. Z instrumentów tryska woda i łagodnym łukiem opada do zbiornika. Po drugiej stronie placu stoi pałac tak ekstrawagancki, że może należeć tylko do Wybranki i Hierarchy. Jego wykonane ze złocistego materiału ściany wydają się płonąć żywym ogniem. Budynek jest wyższy niż wszystkie, które dotąd widziałam i zwieńczony nieprzeliczonymi wieżyczkami i kopułami. Do masywnych drzwi prowadzą szerokie schody z wypolerowanego na gładko szarego kamienia.

Po placu przechadzają się ubrane w czerń arystokratki. Wielu z nim towarzyszą surogatki, każda w welonie i na smy-

czy, jak ja. To przygnębiający widok. Chciałabym wiedzieć, co się dzieje.

Kierowca zatrzymuje automobil i prędko wychodzi, by otworzyć drzwi Diuszecie. Staram się nie oddalać za bardzo i reagować, gdy tylko napnie się smycz, bo nienawidzę uczucia zaciskającej się na szyi obroży.

Szlachetnie urodzone zdają się reagować nerwowo na przybycie Diuszesy. Dygają i mruczą pod nosem powitania. Przyglądam się zakwefionym surogatkom w nadziei, że w jednej z nich rozpoznam Raven. Powinna tu być. Jeśli to jakieś ważne pałacowe wydarzenie, to zaproszono zapewne wszystkie cztery Domy Założycieli.

- Dzień dobry, Iolite - wita się Diuszesa z rudowłosą kobietą owiniętą czarnym szalem. Na nadgarstku nieznajomej srebrzy się bransoleta z dopiętym do niej łańcuchem, którego drugi koniec znika pod welonem surogatki.

- Pearl! - wykrzykuje kobieta. Powitanie przebiega wedle pewnych reguł i polega na całowaniu powietrza. - Jak się masz?

Diuszesa odpowiada coś uprzejmie, ale porażona tym, co widzę, nie słyszę jej słów.

Surogatka rudowłosej arystokratki jest w zaawansowanej ciąży.

Koronkowa zasłona ukrywa jej twarz, mam jednak wrażenie, że dziewczyna jest przybita. Jestem pewna, że jesteśmy w podobnym wieku.

Rzeczywistość uderza we mnie jak kamień.

Patrzę na własną przyszłość.

Mrugam i świat znów zaczyna rozbrzmiewać głosami.

- ... smutno, że nie udało mi się przyjechać na Aukcję - mówi kobieta w szalu.

- No cóż, przecież nie musiałaś - odpowiada Diuszesa.

- Och, wiem, że nie musiałam, ale lista w tym roku wyglądała bardzo interesująco. — Tak, lista. Jesteśmy tylko numerami. Mdli mnie. - Jaki numer upolowałaś?

- 197 - mówi Diuszesa z odcieniem zadowolenia.

- Słyszałam, że było na nią sporo chętnych.

- Rzeczywiście, zainteresowanie było duże. - Spojrzenie Diuszesy przesuwają się na wielki brzuch surogatki. - To chyba już niedługo?

- Za jakiś miesiąc - oznajmia kobieta i gładzi obrzmiały brzuch czułym gestem, od którego przebiegają mnie ciarki. Dziewczyna nie unosi wzroku i w ogóle nie reaguje na dotyk swojej pani.

- Wydaje się, jakbyś kupiła ją wczoraj - rzuca konwersacyjnym tonem Diuszesa.

- Och, wiem. Jak ten czas leci.

- Wybrałaś już imię dla syna?

- Wraz z Lordem Szkła postanowiliśmy z tym poczekać, aż nasz potomek przyjdzie na świat. Ale mamy kilka pomysłów - dodaje konspiracyjnym szeptem.

Czyli ta kobieta musi być Panią Szkła. Jedną z niewielu informacji, które zapamiętałam ze szkoły, poza tym, że Domy Założycieli są cztery, jest to, że reszta szlachty nosi tytuł Lorda albo Pani. Oczy kobiety otwierają się szerzej, gdy dostrzega kogoś za moimi plecami.

- Amertine! - woła, machając ręką.

„Ależ dziwne imiona mają te arystokratki” - myślę, gdy Hrabina Róży zmierza w naszym kierunku, wspierając się ciężko na czarnej lasce. Dzisiaj odziała się w przepyszne futro z norek. Czuję emanujące od ukrytej pod welonem Lwicy napięcie. Mogłabym się założyć, że nienawidzi smyczy jeszcze bardziej niż ja.

- Jakie to smutne, prawda? - rzuca na powitanie Hrabina. Jej twarz przeczy słowom, bo kobieta wcale nie wygląda na zasmuconą.

- O, tak - szepce Pani Szkła, uśmiechając się kącikiem ust. - I jakże niespodziewane.

- Rzeczywiście - odpowiada drwiąco Diuszesa. - Smutne i niespodziewane.

Nie mam pojęcia, o czym rozmawiają, ale coś w tonie ich głosów sprawia, że czuję się zdenerwowana.

Ponad placem przetacza się dźwięk trąbek i masywne drzwi pałacu otwierają się szeroko. Na progu, otoczony przez Gwardzistów, pojawia się starszy mężczyzna o posiwiałych skroniach. W jednej sekundzie zapada zupełna cisza, i tłum gnie się w zgodnym ukłonie. Tym razem nikt nie musi mi przypominać o przestrzeganiu zasad - nawet ja wiem, kim jest ten człowiek. Widziałam jego twarz na okładkach plotkarskich magazynów Lily, na oficjalnej królewskiej pieczęci, w czytanych przez opiekunki gazetach...

Hierarcha.

Jest wysoki i szczupły, a jego twarz, mimo zmarszczek, wciąż wygląda przystojnie. Ubrany jest w uniform Gwardzisty o odwróconych kolorach. Ma na sobie czarną wojskową kurtkę z czerwonymi guzikami, a na lewej piersi symbol Rodziny Królewskiej, płomień w koronie i skrzyżowane włócznie.

- Jej Królewska Wysokość dziękuje wam za wsparcie w tym smutnym czasie - mówi głębokim tenorem. - Nie zgadza się jednak, by jakakolwiek surogatka przekroczyła próg pałacu. Musicie je tutaj pozostawić, jeśli chcecie osobiście złożyć kondolencje. Oczywiście, zadbamy o ich bezpieczeństwo. Będą pod strażą mojej osobistej gwardii.

Tłum zaczyna szeptać, tu i ówdzie słychać zaskoczone westchnienie. Pani Szkła krzywi się, spoglądając na pękaty brzuch surogatki, ale Hrabina Róży wydaje się pozytywnie zaskoczona.

- Zostawić je tutaj? - szepce do Diuszesy. - Same? Oczy Diuszesy wciąż wpatrzone są w Hierarchę, jednak na jej wargach wykwita chłodny uśmieszek.

- Bardzo mądrze - mruczy pod nosem, po czym pociąga za smycz, zmuszając mnie, bym podeszła bliżej. - Masz się zachowywać - rozkazuje mi głosem, który tnie jak ostry odłamek lodu. - W innym wypadku cię ukarzę. Zrozumiałaś?

Zaciskam zęby i kiwam głową. Przez kilka sekund Diuszesa patrzy mi w oczy poprzez koronkowy welon. Potem odpina bransoletę i zakłada mi ją na nadgarstek. Inne kobiety idą za jej przykładem, choć część czyni to z wyraźnym ociąganiem.

Kiedy długi sznur odzianych na czarno kobiet przepływa przez drzwi pałacu, kłaniając się nisko i pozdrawiając Hierarchę, drugi sznur, czerwony, otacza surogatki. Osobiści Gwardziści władcy mają twarze jak wyciosane z zimnego kamienia, a w dłoniach ściskają karabiny. Może to złudzenie, ale wydają mi się więksi i groźniejsi niż Gwardziści w pałacu Diuszesy. Stojące najbliżej nich surogatki odruchowo się odsuwają i po chwili wszystkie zbijamy się w otoczone szkarłatnym murem stadko. Cofając się, wpadam niechcący na spodziewającą się dziecka dziewczynę i nadeptuję jej na stopę.

- Och, bardzo przepraszam - mówię pospiesznie. Dziewczyna nie odpowiada, unosi jednak dłonie, by pogłaskać się po brzuchu. - Czy ty... Wszystko w porządku?

- On kopie - mruczy pod nosem. Nie wiem, czy mówi do mnie, czy do siebie, póki nie podnosi wzroku. Ma wielkie brązowe oczy przestraszonej sarny, które zdają się świecić

własnym blaskiem w chudej, bladej twarzy. Jej skóra jest tak naciągnięta na kościach policzkowych, że przypomina papier. Na wargach dziewczyny pojawia się cień uśmiechu.

- Czy... Czy to dobrze? - pytam. Nie mam pojęcia, jakie to uczucie, być w ciąży. Jak przez mgłę pamiętam okres, gdy mama nosiła pod sercem Hazel, ale bardziej niż jej odczucia interesowało mnie to, jak na moje życie wpłynie pojawienie się w domu małego dziecka. Kojarzę tylko, że mama wydawała się szczęśliwa, promieniała, i nie była podobna do tej przypominającej ducha dziewczyny.

- Wie, że się boję — mówi surogatka, obejmując brzuch. -
Wie, że nie lubię wychodzić na zewnątrz.

- Skąd możesz wiedzieć, że się boi? - pytam ostrożnie.

- Sama zobaczysz. Też będziesz wiedziała. Nagle ktoś chwytamnie za ramię.

- Fawn? - pyta inna surogatka, wbijając we mnie spojrzenie oszalałych oczu.

- N.. .nie - dukam. - Jestem Violet. - Jak to dobrze głośno wypowiedzieć swoje imię.

- Widziałaś może piegowatą dziewczynę z brązowymi włosami? Jesteś z Bramy Zachodniej?

- Nie. Jestem z południa. Fawn to twoja przyjaciółka?

- Moja siostra - mówi dziewczyna, a w jej oczach szklą się łzy. - Ja... Nie mogę jej znaleźć. - Obraca się w stronę Lwicy i łapie ją za nadgarstek. - Widziałaś piegowatą dziewczynę z brązowymi włosami?

Lwica wyszarpuje się z jej uścisku.

- Nie dotykaj mnie - syczy ze złością.

Dziewczyna pociąga nosem i zadaje to samo pytanie kolejnej surogatce. Lwica spostrzega, że przyglądam się jej ze zmarszczonymi brwiami i mija mnie wzrokiem.

-Co?

- Nie rozumiem cię - wyznaję. - Ona przecież tylko poprosiła o pomoc.

Lwica wybucha głośnym śmiechem.

- Nie, nie. To ja nie rozumiem ciebie - odpowiada. -Właściwie to was wszystkich. Zachowujecie się jak odtrącone zwierzątka, boicie się swoich pań, drżycie na dźwięk ich głosów. A przecież to my rodzimy ich dzieci. To my mamy siłę.

- Może - odparowuję. - Ale nie wybrałaś sama tego życia. Pod tym względem niczym się nie różnimy.

- Violet!

Na dźwięk mojego imienia, przestaję słyszeć cokolwiek innego.

- Raven? - wykrztuszam. -Violet!

- Raven! Raven! - wykrzykuję, przepychając się przez tłum w kierunku, z którego dochodzi głos. Odwaga mojej przyjaciółki ośmiela inne dziewczyny. Ponad placem niosą się kolejne okrzyki.

- Fawn! - woła dziewczyna, która szuka siostry.

- Scarlet!

- Ginger!

Tłum zaczyna się poruszać niczym wielogłowy potwór, który rozciąga się, kurczy i znów rozciąga. Surogatki przepychają się, rozpychają łokciami i wpadają jedna na drugą. Raz za razem wykrzykuję imię Raven, aż wreszcie dostrzegam ją w niespokojnym morzu czerni. Niewiele myśląc, zarzucam jej ramiona na szyję.

- Wszystko w porządku? - pyta. -Tak, tak, a jak u...

Nagle w powietrzu rozbrzmiewa zwielokrotniony huk. To Gwardziści strzelają w powietrze, by uspokoić zgromadzenie. Okrzyki milkną. Przystajemy być wielogłowym potworem. Ściśnięte na środku placu przypominamy raczej stado przerażonych owiec. Kurczowo trzymam Raven za rękę.

- Jak ci się podoba Pałac Jeziora? - pyta mnie przyjaciółka. - Diusza dobrze cię traktuje?

- Ja... Nie wiem. Uderzyła mnie. I podarowała mi wionoczelę. Jedzenie jest przepyszne. - Raven wybuchła śmiechem. Rozluźniam się. - A tobie jak się układa z Hrabinią Róży?

Prycha pogardliwie.

- Nie sądzę, żebyśmy się z polubiły z Hrabinią.

- Dlaczego? Co jest nie tak?

- Nie martw się o mnie, Violet. - Usta Raven wykrzywia paskudny uśmieszek. - Zadbam o to, by ta baba pożałowała dnia, w którym mnie kupiła.

- Raven! Nie rób tego - błagam. Podziwiam hart ducha mojej przyjaciółki, ale czas radosnych wygłupów w Bramie Południowej dobiegł końca. - Ona może zrobić ci krzywdę!

- Och, wiem o tym. - W jej spojrzeniu pojawia się coś dziwnego, jakby patrzyła na odległy punkt w przestrzeni. - Byłaś już u lekarza?

-Nie.

- Jak będziesz, zobaczysz, o co mi chodzi. - Mięsień na jej szczęce drga nerwowo. Po chwili Raven wydaje z siebie przeciągłe westchnienie. - A może wcale nie zobaczysz? Może Diusza jest inna... Violet, Hrabina... Z nią jest coś mocno nie tak.

- Przerażasz mnie - szepczę. Ściska mocniej moją dłoń.

- Dam sobie radę - zapewnia. - Nie martw się.

Chcę zaprotestować, ale w powietrzu rozbrzmiewa kolejna salwa i arystokratki zaczynają opuszczać pałac.

- Nie chcę cię zostawiać - mówię nerwowo.

-Też tego nie chcę. - Raven posyła mi dodający otuchy uśmiech. - Na pewno niedługo się zobaczymy. W końcu to Domy Założycieli, prawda?

- Jasne - odpowiadam, starając się, by w moim głosie brzmiała pewność, której wcale nie czuję.

Arystokratki zaczynają zabierać swoje surogatki. Srebrne bransolety wracają na miejsce i kolejne dziewczyny znikają, prowadzone na smyczy do samochodów.

- Nie może zobaczyć, że rozmawialiśmy - szepce Raven, sztywniejąc. Hrabina Kamienia, wielka niczym jeden z potworów z żywopłotu, zmierza powoli w naszym kierunku. Nagle przyjaciółka puszcza moją dłoń i rozplywa się bez śladu w morzu czarnych zasłon.

- No więc - odzywa się Diusza, pojawiając się nie wiadomo skąd za moimi plecami. Odpina bransoletkę i zakłada ją na swój nadgarstek. - Byłaś grzeczna?

- Tak, pani - mamroczę, wbijając wzrok w ziemię.

- Dobrze. Pora wracać do domu.

Las za oknami samochodu wydaje się tylko barwną plamą.

Nie mogę przestać zastanawiać się nad tym, co powiedziała Raven. Co właściwie dzieje się w Domu Kamienia. Co takiego zrobił lekarz?

- Widziałaś kogoś znajomego?

Głos Diuszesy wyrywa mnie z rozmyślań.

- Przed pałacem - ciągnie. - Pytałam, czy widziałaś kogoś znajomego. Wydajesz się zaniepokojona.

Staram się zachować obojętny wyraz twarzy.

- Nie, pani.

Usta Diuszesy drgają lekko, jakby starała się zwalczyć uśmiech.

- Jesteś beznadziejną kłamczynią - rzuca, po czym sięga do kapelusza, odpina go i kładzie sobie na kolanach. - Możesz unieść welon. Okres żałoby się skończył.

Z ulgą ściągam z twarzy czarną koronkę.

- Kogo żegnałyśmy, pani? - pytam. Diuszesa dotyka długim palcem kącika ust.

- Surogatka Wybranki odeszła wczoraj rano.

Świat jakby się zatrzymał. Gwałtownie wypuszczam powietrze. Mam wrażenie, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch. Surogatka Wybranki to Dahlia. Ona mówi o Dahlii!

- Widziałaś ją, pamiętasz? Na kolacji. Słodkie maleństwo. Miejmy nadzieję, że w przyszłości Jej Wysokość będzie bardziej ostrożna. Nawet tytuł nie jest w stanie ochronić człowieka przed wszystkim.

Z trudem przełykam ślinę. Trudno mi myśleć. Dahlia była taka młodziutka. Taka mała.

- Jak? - wyduszam z siebie. Mam wrażenie, że usta i język nie chcą mnie słuchać.

Diuszesa uśmiecha się sama do siebie.

- Czy to nie straszne, że jedna kropla roślinnego ekstraktu może odebrać człowiekowi życie? Zawsze mi się wydawało, że to takie upokarzające. Ta nasza kruchość, prawda? Jeden łycalek wina i nagle... koniec. Był człowiek, nie ma człowieka.

Potrząsam głową, gdy dociera do mnie, co się stało.

- Dlaczego? - pytam zdławionym szeptem.

- Wybranka zapomniała, że jestem częścią tego świata o wiele dłużej niż ona — odpowiada Diuszesa, unosząc wy-

mownie brew. - Pochodzę z jednego z Domów Założycieli, a nie z jakiejś kupieckiej rodziny z Banku, a ona myślała, że może tak po prostu zmienić utrwalone od lat zasady. Kala tron i przynosi wstyd królewskiemu rodowi. Wczoraj wreszcie dowiedziała się, że nikt, ale to nikt nie jest nietykalny. - Przygląda się przez chwilę mojej zastygłej w wyrazie zgrozy twarzy i dodaje z krzywym uśmiechem: - Witaj w Klejnocie.

ROZDZIAŁ 11

W pałacu czeka Annabelle, gotowa, by zabrać mnie do moich komnat.

Gdy Diuszesa odpina smycz, prawie od niej odskakuję. Chcę być jak najdalej od jej dłoni, od zapachu jej perfum, od czerwonych, ponurych Gwardzistów, którzy nie odstępują swojej pani na krok. Wszystko wydaje mi się dziwnie nie-realne, jakbym oglądała świat przez zaparowaną szybę. Idę za Annabelle, ale nie widzę ani obrazów, ani dywanów, ani schodów...

Dahlia nie żyje. Diuszesa ją zabiła.

Jestem własnością morderczyni.

Nagle zdaję sobie sprawę, że to mogłam być ja. Wybranka mnie licytowała. To ja mogłam zginąć. To z powodu mo-

jej śmierci mogło ściągnąć do Pałacu Królewskiego to fałszywie smutne stado arystokratycznych wron.

Nie umiem pojąć, co kierowało Diuszesą. Jedyłą winą Dahlii było to, że kupiła ją niewłaściwa osoba. Wybranka. To absurdalne.

Spacer przez pałac trwa na tyle długo, by moje otępienie ustąpiło miejsca złości. Gdy Annabelle otwiera drzwi pokoju, jestem już naprawdę wściekła. Przepycham się obok niej i ruszam do sypialni, po drodze ściągając z głowy welon. Wyszarpuję sobie przy okazji pokąźną garść włosów, ale ból tylko podsycą gniew. Nie zatrzymując się, przechodzę przez gotownię do garderoby. Chcę zerwać z siebie ten żalobny łań. Annabelle biegnie za mną, by mi pomóc.

- Nie! - warczę, odtrącając jej rękę mocniej niż zamierzałam. - Nie chcę twojej pomocy. W ogóle niczego nie chcę!

Szarpię zbyt gwałtownie i suwak nie wytrzyma. Trzask rozrywanych ząbków jest tak przyjemny, że szarpię dalej. Tego właśnie chcę! Niszczyć rzeczy Diuszesy w należącym do niej domu.

Mam trzy szafy pełne jej ubrań.

Dopadam do jednej z nich, otwieram drzwi, wyciągam ozdobioną paciorkami suknię i rozrywam ją na szwie. Tysiące wielobarwnych koralików spadają na ziemię jak grad. Odrzucam zniszczoną kreację i wywlekam kolejną. Odrzynam koronkowe rękawy i pastwię się nad sutymi jedwabnymi spódnicami, póki nie wyglądają jak smutne frędzle. Najchętniej podarłabym na strzępy wszystko, co znajduje się w szafie - te głupie, bezsensowne, niemożliwie drogie suknie, które nic dla mnie nie znaczą.

Łzy płyną mi po policzkach, a w gardle narasta szloch. Nagle dociera do mnie, że brzmię żałośnie, jak małe, zagu-

bione dziecko. Opadam na kolana. Klęczę w powodzi kolorów i faktur, w morzu klejnotów, koralików i pereł i jedyne, czego pragnę, to znów ujrzeć mamę. Chciałabym, żeby mnie objęła, chciałabym poczuć słodki, znajomy zapach jej ciała i usłyszeć zapewnienie, że wszystko będzie w porządku.

Wciąż mam na szyi aksamitkę, sięgam więc, by ją ściągnąć. Palce mam dziwnie niezdarne. Długie paznokcie drapią mnie w szyję, ale nie dbam o to. Za chwilę się uduszę.

Na moim nadgarstku zaciska się drobna dłoń, a potem czuję lekkie szarpnięcie i aksamitka opada.

Annabelle głaszcze mnie po włosach, po czym kładzie sobie moją głowę na kolanach. Spoglądam w górę, na jej bladą, piegowaną twarz.

- Ona nie żyje - szepczę chrapliwie i mrugam. Rzęsy mam ciężkie od łez.

Gdy Annabelle kiwa głową, coś w wyrazie jej twarzy uświadamia mi, że o wszystkim wie. Ze wiedziała już rano i dlatego miała taki nastrój.

- Nazywała się Dahlia - mówię. Annabelle musi wiedzieć, że Dahlia była człowiekiem, a nie numerem na Aukcji i anonimową ofiarą politycznych gier. To dla mnie bardzo ważne. - Była z Bramy Północnej. Poznałyśmy się, czekając na Aukcję. Była... Była miła. Ona...

Głos odmawia mi posłuszeństwa. Pozwalam sobie po prostu płakać, a Annabelle kołysze mnie łagodnie, klęcząc wśród podartych sukienek.

Następnego dnia nie wychodzę z sypialni.

Nie będę się ubierać tylko dlatego, że Diuszesa tego chce. Nie będę uroczą laleczką, którą może uczesać, odziać w strojne ciuchy i pochwalić się nią w towarzystwie. Nie, jeśli z tego powodu ktoś może mnie zabić.

Myśli piętrzą się w mojej głowie niby tafle lodu - każda zimna i ostra. Śmierć. Moja śmierć. Ktoś może jej chcieć. Wspominam kolację, to, jak kobiety podzieliły się na dwie koterie i z obojętnością konstatują, że Diusza ma słabszą pozycję. Wybranka, Hrabina Kamienia, Diusza Łusek, wszystkie one mogą właśnie planować, jak się mnie pozbyć.

Muszę coś wymyślić. Nie będę po prostu siedzieć i czekać, aż ktoś poda mi truciznę albo zgładzi w inny wymyślny sposób.

Annabelle próbuje zachęcić mnie do jedzenia, proponuje, że pogra ze mną w Halnę albo przyniesie wiolonczelę, jednak za każdym razem ją odprawiam. Nie chcę cieszyć się tym, co ma do zaoferowania pałac. Dahlia nie żyje. Coś złego dzieje się z Raven, a ja nie wiem, o co chodzi, ani jak jej pomóc. Wspominam oczekującą dziecka surogatkę, jej szalone oczy, zabiedzoną twarz i to, z jaką troską obejmowała swój wielki brzuch. Nie chcę tego. Nie chcę być tą dziewczyną.

Wolałabym raczej pracować od rana do świtu na Farmie lub dusić się od wyziewów i popiołu w Dymie. Z radością przyjąłabym posadę pomocy kuchennej w Banku, ze śpiewem na ustach szorowałabym naczynia, póki moje dłonie nie stałyby się spękane i czerwone. Niestety, żadna z tych przyszłości nie jest moją przyszłością. Wystarczyło jedno badanie krwi.

Pamiętam dzikość dziewczyny, której egzekucję oglądałam. Może miała rację? Może wiedziała i dlatego nie czuła przerażenia? „Tak to się zaczyna” - powiedziała. Ciekawe, czy śmierć była dla niej rodzajem wyzwolenia.

Myślę i myślę, aż mózg zaczyna mnie boleć, a oczy piec, cokolwiek bym jednak analizowała, nie mogę uciec z tego

pokoju, z pałacu, z poślaczanego, gnijącego w środku kręgu, który nie zna litości i miłosierdzia. Gdy wreszcie zasypiam, śnię o Bramie Południowej, o Raven i o cudownych czasach, gdy arystokraci byli tylko zdjęciami w kolorowych czasopi-smach.

Następnego ranka budzę się, gdy ktoś gwałtownie odrzuca na bok kołdrę.

- Annabelle, dlaczego? - marudzę, gdy chłodne powietrze omiata moje gołe nogi. Ale to nie Annabelle nade mną stoi.

To Diuszesa.

- Wstawaj - rozkazuje. Annabelle tkwi w drzwiach, prze-stępując z nogi na nogę. Na jej twarzy maluje się mieszanina paniki i błagania. Przez sekundę rozważam, czy nie zignorować polecenia, ale sprzeciwianie się Diuszecie jest o wiele trudniejsze niż sprzeciwianie się dworce.

Pospiesznie wyczołguję się z łóżka i w milczeniu staję na-przeciwko Diuszesy. Choć jest niższa ode mnie, emanuje z niej władczość.

- Usiądź - mówi, wskazując krzesło. - Musimy uciąć sobie pogawędkę.

Spogląda na Annabelle, która dyga i zamyka drzwi. Zo-stajemy w sypialni same.

Przysiadam na brzeżku krzesła, a Diuszesa sadowi się na sofie i bacznie mi się przygląda.

- Są dwie szkoły myślenia o surogatkach - oznajmia. -Wedle pierwszej, osobowość surogatki jest przeszkodą i może wręcz zaszkodzić kształtującemu się w jej wnętrzu płodowi. Wedle drugiej, osobowość to atut, użyteczne narzędzie w kreacji idealnego potomka. Masz szczęście, że zdecydowanie wolę tę drugą szkołę. Ale... No cóż, oczekuję z twojej strony

współpracy. Nie jestem idiotką, nie łudzę się, że będziesz mnie kochać i traktować jak matkę, z którą nie mam zresztą nic wspólnego. Ale jesteśmy ze sobą związane. Ty i ja. Klejnot może być cudownym albo okropnym miejscem. Wierzę, że wolałabyś to pierwsze.

Patrzę na nią pustym wzrokiem. Nie jestem pewna, czego ode mnie wymaga.

- Wiesz sama, co się wydarzyło po kolacji, na której dobrze się zachowywałaś. Dostałaś wiolonczelę. Rób tak dalej, a dołożę wszelkich starań, żeby twoje życie tutaj było tak przyjemne, jak to tylko możliwe. Chciałabyś tego, prawda? Miłego, luksusowego życia.

Uśmiecha się do mnie w taki sposób, że potnieją mi dłonie. Jeszcze chwila, a zacznę szczekać zębami.

- Czego ode mnie chcesz? - pytam. Diuszesa wydyma lekko wargi.

- Wydajesz się inteligentną dziewczyną. Domyślam się, że rozmowy przy kolacji nie umknęły twojej uwadze.

Wracam pamięcią do tamtej nocy, ale kojarzę głównie nieprzyjemną atmosferę, twarz Raven i ten koszmarne moment, gdy Wybranka zmusiła Dahlię do użycia Augurii. Diuszesa wygląda na rozczarowaną.

- Niedawno Wybranka hucznie fetowała narodziny pierwszego dziecka, syna. Chłopiec zostanie przyszłym Hierarchą, a moja córka zostanie z nim zaręczona. Do ciebie należy umożliwienie tych zaręczyn. Córka musi być piękna, ale uroda to nie wszystko, co dzień w dzień udowadnia mi niezawodnie mój syn. Musi być sprytna i silna. Musi mieć ambicje, determinację i odwagę. Musi być zarówno urocza, jak i odporna na przeciwności losu. Oczywiście - macha lekceważąco ręką - to wszystko przyjdzie później. Żeby wyróżniała się już jako niemowlę,

musisz sprawić, by rosła szybko. Szybciej niż wszystkie inne dzieci.

Potrząsam głową, jakbym w ten sposób mogła sprawić, że jej słowa nabiorą jakiegoś sensu.

- Ja... Nie rozumiem.

Diuszesa z irytacją otrzepuje suknię i poprawia się na kanapie.

- Czy zdajesz sobie sprawę, ile w historii Aukcji było su-rogatek ze stuprocentowym wynikiem w Trzeciej Augurii?

- Nie.

- Siedem. Czyli jedna na mniej więcej pięćdziesiąt lat. Przeszukałam archiwa. Dokładnie. Tak naprawdę ostatni taki wynik miała surogatka mojej matki, ta, która urodziła mnie. - Na jej twarzy pojawia się wyraz dumy, zupełnie jakby miała jakiś wpływ na umiejętności surogatki. - Rzecz jasna moja matka nie miała bladego pojęcia, jak wykorzystać potencjał dziewczyny. Ja mam. Naprawdę długo na ciebie czekałam.

-Więc oczekujesz ode mnie, że sprawię, że urodzę dziecko wcześniej niż wszyscy i na dodatek sprawię, że będzie piękne, odważne i tak dalej? Skąd w ogóle wiesz, że to będzie dziewczynka?

Diuszesa krzywi się.

- Może wcale nie jesteś taka inteligentna... - mruczy. -Szlachecka para może mieć tylko dwoje dzieci, dziewczynkę i chłopca. Syna już mam.

- Ale Wybranka... W trakcie kolacji powiedziała, że tron odziedziczy jej córka.

- No cóż. Żeby tak się stało, Jej Wysokość musi najpierw tę córkę mieć, nieprawdaż?

Czuję się, jakbym połknęła bryłę lodu. To właśnie dlatego Dahlia musiała umrzeć. Żeby Wybranka nie miała córki.

- Co zamierzasz zrobić? Zabijać wszystkie surogatki, które kupi Wybranka?

Cisza, która zapada po moim pytaniu prawie przygniata mnie do ziemi. Jest mroczna, niepokojąca, straszna.

- Więc to w taki sposób zamierzasz ze mną współpracować? - Głos Diuszesy staje się miękki jak aksamit. Zaciskam usta. - Dobrze więc. A przy okazji, odpuść sobie ten dramatyzm, śmierć nie będzie potrzebna. Ostatnia zresztą też właściwie nie była, bo Hierarcha nigdy nie zgodzi się na to, by tron odziedziczyła kobieta. Uznałam po prostu, że Jej Królewskiej Wysokości trzeba nieco upuścić pary.

Mdli mnie od tej kobiety. Od jej widoku, zapachu, słów. Ot, tak sobie zabiła niewinne dziecko.

- Ale Wybranka mówiła, że uda się jej przekonać Hierarchę - przypominam.

Diuszesa unosi wypiełęgowaną brew.

- Naprawdę? Jak niby planuje to zrobić?

Waham się, uświadamiając sobie, że ta część rozmowy toczyła się pod nieobecność gospodyni. Spojrzenie Diuszesy twardnieje.

- Mów!

Zagryzam zęby i nadstawiam policzek.

Diuszesa porusza się tak szybko, że nie mam kiedy zareagować. W jednej chwili siedzimy naprzeciwko siebie, a w drugiej góruje nade mną, zaciskając palce na moim gardle. Są jak żelazne szpony. Chwytam jej dłoń, próbując się uwolnić, ale tylko zacieśnia uchwyt. Ma zdumiewającą siłę. Brakuje mi powietrza.

- Słuchaj mnie uważnie - zaczyna zwodniczo łagodnym tonem. - Pozwoliłam ci na żałobę po przyjaciółce. Pozwoliłam ci zniszczyć kosztujące fortunę ubrania. Pozwoliłam ci

nadymać się i dąsać. Nie myśl sobie, że nie wiem, o czym myślisz albo co robisz. Wiem i godzę się z tym. Ale na jedno nie pozwolę. Nie pozwolę, byś okazywała mi brak szacunku. Czy to zrozumiała?

Próbuję coś powiedzieć, ale z ust wydobywa mi się tylko dziwne chrypienie. Paznokcie Diuszesy orzą moją skórę. Po chwili przed oczyma pojawiają mi się gwiazdy. Coraz słabiej próbuję wyswobodzić się uścisku, mrowią mnie koniuszki palców, głowa staje się lekka, a wszystko wokół zamazane...

Diuszesa wreszcie mnie puszcza i świat natychmiast odzyskuje bolesną ostrość. Opadam na jedną z poręczy i szmatycznie chwytam oddech. Nie wiedziałam, że to takie cudowne - po prostu nabierać w płuca powietrza. Potrzebuję kilku sekund, by opanować drżące ciało. Nogi i ręce trzęsą mi się, jakbym była chora. Gdy unoszę głowę, napotykam beznamienne spojrzenie Diuszesy.

- Rozumiesz? - pyta po raz kolejny, niezdradzającym emocji tonem.

Przytakuje słabo. -Ja... T...tak, pani.

- Dobrze. Teraz powiesz mi, co takiego wymyśliła Wybranka.

- Powiedziała... - Oblewam się rumieńcem. - Powiedziała, że przekona go za pomocą ciała.

Oczy Diuszesy rozszerzają się lekko. Po chwili wybucha głośnym śmiechem.

- Naprawdę? Cóż, życzę jej powodzenia. - Przez jej twarz przemyka coś dziwnego i przez moment ta okrutna kobieta wydaje mi się dziwnie krucha. Po chwili znów ma obojętną minę. Może się pomyliłam? - Bierz szlafrok - rozkazuje, śmiejąc się pod nosem. - Idziemy do lekarza.

Pokój robi nagłą wolnę.

- Teraz? - pytam piskliwym głosem.

- Tak. Teraz.

Diuszesa nie dostrzega chyba, że po raz kolejny rozpadam się na małe kawałeczki. Posłusznie zarzucam na siebie szlafrok. Mam wrażenie, jakby mój żołądek zniknął, a serce przemieściło się na jego miejsce. Krew łomocze mi w skroniach i czuję się dziwnie pusta w środku.

Nie spodziewałam się, że to się stanie tak szybko. Nie jestem gotowa.

Idziemy przez pełen kwiatów hol, a potem przez otwartą galerię, w której wiszą wielobarwne obrazy. Skręcamy w prawo, potem zaś w lewo, w krótki, wyłożony dębem korytarz. Na jego końcu widnieją złociste drzwi, bogato zdobione okuciami z roślinnymi motywami. To winda. Widziałam jedną w Bramie Południowej, ale tamta nie była tak ozdobna. Diuszesa otwiera kratę i wchodzimy do środka. Na podłodze leży puszysty niebieski dywan. Wystarczy pociągnąć miedzianą wajchę, by drzwi zamknęły się i kabina ruszyła w dół.

Gdy opadamy w ciemność, opieram się o ścianę, marząc o tym, by w cudowny sposób zniknąć. Mówiono nam, że proces implantacji jest bezbolesny, ale niespecjalnie mnie to w obecnej sytuacji pociesza.

Nie chcę mieć w sobie niczego należącego do Diuszesy.

Światło obmywa moje stopy i przesuwa się wyżej, na łydki i uda. Winda zwalnia i wreszcie się zatrzymuje.

Gdy drzwi się otwierają, widzę sterylny lekarski gabinet podobny do tego, w którym bywałam w Bramie Południowej, tylko trochę mniejszy. Prawdopodobnie ten przeznaczony jest dla jednej osoby. Przy białym szpitalnym łóżku stoi stolik, a na nim taca z odbijającymi światło, srebrnymi narzę-

dziami. Umieszczone na stalowych podporach lampy przypominają mi oczy insektów.

Nie mogę się ruszyć. Mam wrażenie, jakby w gardle utkwiło mi coś, czego nie sposób przełknąć.

- Doktorze Blythe - wita się Diusza, chwytając mnie za ramię i wyprowadzając z windy. Dopiero teraz dostrzegam lekarza. Pochyla się nad biurkiem po lewej stronie pokoju.

- Dzień dobry, pani - odpowiada. - Jesteście dokładnie 0 czasie.

Jak większość lekarzy, których widziałam, i ten wydaje się mieć swoje lata. Głębokie zmarszczki otaczają jego usta i oczy, a w ciemnych, zaczesanych do tyłu włosach widać pasma siwizny. Doktor ma ciemną karnację, a przez jego policzki

1 grzbiet nosa ciągnie się pas piegów. Te piegi wyglądają dziwnie w połączeniu z dojrzałym wyglądem. W spojrzeniu jego jasnych, brązowo-zielonych oczu dostrzegam ciepło, do którego nie jestem przyzwyczajona. Lekarze w Bramie Południowej byli chłodnymi profesjonalistami, a on patrzy na mnie, jakbym była osobą, a nie obiektem doświadczalnym.

- Och. Cześć.

Uśmiecha się do mnie i nie mam pojęcia, jak na to zareagować. Kręci mi się w głowie, jakbym za chwilę miała zemdleć.

Jego twarz poważnieje.

- Wasza Miłość, mam nadzieję, że poinformowałaś swoją surogatkę, że to tylko spotkanie diagnostyczne. Wydaje się... nieco blada.

Spotkanie diagnostyczne! Zalewa mnie fala ulgi tak wysoka, że mało nie ścina mnie z nóg.

- Nie myślałam, że to konieczne - oznajmia Diusza.

Doktor potrząsa głową.

- Przecież o tym rozmawialiśmy, pani. Zgodziłaś się stosować do moich instrukcji i nalegam, żeby przy tym pozostać.

Natychmiast czuję do niego sympatię. Nikt, kto wydaje polecenia Diuszesa, nie może być taki zły.

- Dobrze, już dobrze - ucina Diuszesa. - Wieczorem spodziewam się raportu.

Doktor kłania się nisko.

- Oczywiście, pani.

Diuszesa wraca do windy i powoli, w miarę jak kabina się unosi, znika z pola widzenia. Gdy zostajemy sami, lekarz obraca się w moim kierunku.

- Jak się pewnie domyślasz, jestem doktor Blythe - mówi, wyciągając do mnie rękę. - Będę twoim lekarzem prowadzącym.

Ściskam jego dłoń, jest miękka i ciepła.

- Jak masz na imię? - Waham się. - Spokojnie, możesz mi powiedzieć.

- Violet.

- Jakie piękne imię. Kto je wybrał?

- Tata - szepczę. - Od koloru oczu. Doktor Blythe po raz kolejny się uśmiecha.

- Rzeczywiście, mają niezwykły odcień. Nigdy wcześniej takiego nie widziałem.

- Dziękuję.

- W którym Magazynie byłaś?

- W Bramie Południowej.

- Nadal rządzi tam doktor Steele? Przytakuję.

- Dziwny z niego człowiek. Jest bardzo kompetentnym lekarzem, ale... - Kręci głową. - Zaczniemy już, Violet, do-

brze? Jak wspomniałem wcześniej, dzisiaj zrobimy tylko mały test. Niestety, muszę cię prosić, żebyś zdjęła koszulę. Możesz zostać w bieliźnie, a gdybyś chciała się okryć, jest tu szlafrok.

Gdy się przebieram, stoi odwrócony do mnie plecami. Szlafrok nie przypomina jednorazówek, które dawano mi w Bramie. Uszyto go z miękkiego materiału frotte i jest miły w dotyku. Nie ma do niego paska, obejmuję się więc ciasno ramionami, spoglądając podejrzliwie na srebrne instrumenty medyczne.

- Usiądź, proszę. - Doktor Blythe wskazuje łóżko.

Rozluźniam się, gdy zaczyna badanie tak podobne do setek innych, które przeżyłam. Zaczyna od rutynowego sprawdzenia moich uszu, nosa, oczu i gardła, mierzy mi temperaturę i ciśnienie krwi. Opukuje mnie również młoteczką, sprawdzając reakcje, a wyniki skrzętnie zapisuje. Zadaje też tradycyjne, krępujące pytania o mój miesięczny cykl.

- Lekarze z Bramy Południowej nie przesłali mojej karty? - To dziwne.

Na ustach doktora pojawia się uśmiech.

- Lubię być dokładny - mówi. Uzupełnia notatki, po czym przykleja mi do czoła i nadgarstków elektrody. Potem nachyla się, by rozsunąć poły szlafroka. - Mogę?

Patrzę na niego zdumionymi oczyma.

- Jest pan pierwszą osobą, która o to pyta. Delikatnie umieszcza elektrody po obu stronach mojego

brzucha, tuż pod linią bielizny, kolejną zaś przykleja na piersi, ponad sercem. Później, unosząc ostrożnie moje nogi, umieszcza następne, w zgięciu kolan i na stopach. Ostatnie przyssawki lądują na moim karku i u podstawy kręgosłupa.

- Domyślałem się, że wcześniej badano tylko twoją głowę i macicę? - Przytakuję. - No cóż, tutaj staramy się być

bardziej dokładni, zwłaszcza że wchodzisz w, jakby to ująć, praktyczną fazę surogacji.

- Mam używać Augurii? - domyślam się. Kiedy podpinano do mnie taki sprzęt w Bramie, zawsze kończyło się testem Augurii.

-Tak, ale nie przejmuj się. Każdej tylko raz.

Podchodzi do ściany i naciska czerwony przycisk. Po chwili z otworu w suficie wyłania się ekran. Usadowiwszy się na stołku, lekarz dotyka lekko matowej powierzchni i w bieli zaczynają przemieszczać się wielobarwne, emitujące słabe światło kwadraty. Obraca ekran tak, bym mogła go widzieć.

- Violet, jesteś bardzo niezwykłą młodą kobietą. - Zwalczam chęć przewrócenia oczyma. Doktor dotyka czegoś na ekranie i jego twarz oblewa żółta poświata. - Surogatki od wielu stuleci stanowią jedną z największych zagadek medycyny. Podejrzewam, że znasz ich historię?

- Szlachta wymierała - mówię, przypominając sobie to, co tak wiele razy wbijano mi do głowy. - Dzieci rodziły się chore albo z licznymi deformacjami i szybko umierały. Część kobiet w ogóle nie mogła ich mieć. Dzięki surogatom, arystokracja może przetrwać. Augurie umożliwiają naprawę zniszczonych chromosomów.

- Właśnie tak. - Doktor pokiwał głową. - Więzy krwi są bardzo ważne dla szlachty, ale jak się nie ma, co się lubi... -Dotyka ekranu. - Pierwszą surogatkę odkrył doktor Osmium Corre, być może najbardziej znany z medyków w Samotnym Mieście. - Tym razem jednak przewracam oczami. Wszyscy lekarze w Bramie Południowej uwielbiali wprost rozprawiać o Corre'em. Raven kpiła, że pewnie mają w domach ołtarzyki, na których składają mu cześć. - To on zidentyfikował dziwną genetyczną mutację, występującą tylko u młodych kobiet

z najbiedniejszego kręgu, dzięki której szlachta może mieć własne dzieci nienarażone na ubytki zdrowotne i przedwczesną śmierć. Ale Augurie to nie tylko cud zdrowych potomków. Każda z Augurii związana jest z pewnym aspektem wzrostu płodu. Na przykład - sięga do stolika i zdejmuje z tacy ukryty dotąd między instrumentami, niebieski klocek - pierwsza Auguria, Kolor, ma wpływ na fizyczne atrybuty dziecka.

Podaje mi bryłę. Wykonana z marmuru jest cięższa niż mi się wydawało i gładka w dotyku.

- Proszę, zmień kolor na czerwony.

Najpierw ujrzyj, jaki jest. Potem ujrzyj w myślach swych. Wreszcie wolą skrepuj go.

Wywołuję w umyśle właściwy obraz i na niebieskiej powierzchni pojawiają się pierwsze szkarłatne linie. Po jakiejś sekundzie marmur jest zupełnie czerwony. Czuję tępy, pulsujący ból gdzieś za lewym uchem i bezmyślnie masuję to miejsce.

- Bardzo dobrze - chwali mnie doktor, dotykając kolejnych obiektów na ekranie. - Pierwsza Auguria ma wpływ na kolor skóry, włosów, oczu... To najłatwiejsza z Augurii, efektowna, ale niespecjalnie istotna.

Nigdy nie sądziłam, że Augurie mogą mieć wpływ na coś więcej niż tylko na zdrowie dziecka. Nie mówili nam o tym w Bramie Południowej. Teraz słowa Diuszesy i jej oczekiwania wobec mnie zaczynają nabierać sensu.

- A teraz - ciągnie doktor Blythe - czy mogłabyś zrobić dla mnie gwiazdę?

W mojej głowie pojawia się widok gwiazdy. Zamykam palce na chłodnym kamieniu. Opuszki szczypią mnie lekko, gdy kamień staje miękki i plastyczny jak glina. Gdy otwieram dłoń, marmur nie jest już marmurem, ale przejrzystym

czerwonym szkłem. Raz po razie maluję w umyśle odpowiedni kształt, a materiał rozciąga się i kurczy, przekształca, aż wreszcie trzymam w ręce gwiazdę. Ból głowy staje się silniejszy.

- Wspaniale. - Lekarz robi kolejne notatki. - Druga Auguria, Kształt ma, jak się pewnie domyślasz, wpływ na fizyczny wygląd dziecka. Za jej pomocą możesz regulować długość nóg, kształt twarzy, krój nosa i tak dalej. Z jasnych powodów niektórzy uważają, że właśnie Kształt jest najważniejszą i najbardziej przydatną z Augurii.

Doktor Blythe wyjmuje mi z dłoni gwiazdę i odkłada ją na stół. Sztywnieją mi ramiona, a pulsowanie w głowie przeradza się w uporczywe *staccato*. Zupełnie, jakby ktoś grał na bębnie. Wiem, co teraz nastąpi. Wiem i nie mogę temu zapobiec.

Lekarz podaje mi kwiat, ledwie mały, zaciśnięty w sobie pączek. Przesuwam palcem po pokrytej meksykańskim lodzie.

- Ma urosnąć? - pytam, nim zdąży cokolwiek powiedzieć. Kiedy z uśmiechem kiwa głową, biorę głęboki oddech i zaczynam.

Życie w tym kwiecie nie jest tak silne jak w cytrynowym drzewku, biedna roślina została przecież odcięta od korzeni. Niedługo umrze. Bez problemu chwytam to, co w niej zostało. Znajome wrażenie kłucia w oczach, jakby ktoś wbijał mi pod powiekę szpilki, bardziej mnie irytuje niż rozprasza. Pączek drga i wybucha. Róża rozwija się, ukazując aksamitne, ciemnoróżowe płatki. Nawet nie krwawię z nosa.

Upuszczam kwiat na tacę. Przez kilka sekund czuję jeszcze, jak w moich żyłach szemrze jego życie. Potem zostaje pustka.

Doktor Blythe unosi wysoko brwi.

- Jak się czujesz - pyta?
- Ignoruję narastający wciąż ból głowy i wzruszam ramionami.
- W porządku - mówię.
- Zrobiłaś to szybciej niż się spodziewałem. Jestem pod wrażeniem.
- W trzeciej Augurii byłam najlepsza w Południowej Bramie - oznajmiam nie bez odcienia dumy w głosie.
- Byłaś najlepsza na całej Aukcji.
- Skubię jakąś wystającą ze szwu szlafroka nitkę.
- Diuszesa mówiła, że surogatki z takimi umiejętnościami we Wzroście są rzadkością.
- Racja. - Lekarz kiwa głową. - Numery przyznaje się jednak na podstawie średniej i numer 200 miała naprawdę znakomite wyniki, zwłaszcza, gdy wziąć pod uwagę jej wiek. To tragedia, że nigdy nie urodzi dziecka.
- Na wspomnienie Dahlii pieką mnie oczy.
- Dobrze ją znałaś? - pyta doktor. - Powiedziano mi, że dość gwałtownie zareagowałaś na jej śmierć.
- Czy to się często dzieje? - szepczę. - To, że surogatki są... Że ktoś je zabija?
- Usta lekarza zaciskają się w wąską, bezkrwawą linię.
- Tym akurat nie musisz się martwić. Diuszesa dołoży wszelkich starań, żebyś była bezpieczna. - Kilka razy puka w ekran, po czym odchrząkuje i wraca do poprzedniego tematu. - Trzecia Auguria, Wzrost, jest bardzo kapryśna. Jeśli zostanie dobrze użyta, może wpłynąć dodatnio na inteligencję, kreatywność, ambicję... Ma znaczenie dla osobowości dziecka.
- Dlaczego kapryśna? - Czuję się przytłoczona myślą, że mogę sama zaprojektować dziecko.

- Nie zawsze działa. Nie jesteśmy pewni, dlaczego czasem na świat przychodzą dzieci zbrojne w te wszystkie cechy, których pragnęła matka, a czasem rezultat daleki jest od zamierzonego i raczej nieprzyjemny. Często arystokratki zupełnie ignorują Wzrost, uważając, że wiąże się ze zbyt wielkim ryzykiem. No cóż, kiedy się udaje, rezultaty bywają naprawdę niezwykle. Niestety, często zdarza się tak kosztem pozostałych Augurii. Nie ma nic pewnego.

- To dlatego Duszesa mnie kupiła? Bo jestem dobra we Wzroście?

- Rozmawiała już z tobą? Kiwam głową.

- Przedstawiła mi całą listę cech, jakie powinna mieć jej córka, nie mam jednak najmniejszego pojęcia, jak miałabym na to wpłynąć.

- Chodzi o coś więcej, Violet. - Lekarz obrzuca mnie poważnym spojrzeniem, które wcale mi się nie podoba. - Duszesa chce, żeby jej córka przyszła na świat jako pierwsza. Wierzy, że dzięki twoim umiejętnościom, dziecko urodzi się znacznie wcześniej niż po dziewięciu miesiącach. I że będzie. .. Bardziej dojrzała niż typowe niemowlę. Możesz przyspieszyć nie tylko jego wzrost, ale także rozwój emocjonalny.

Czuję się oszołomiona.

- Oczekujecie, że urodzę... Ile to ma zająć? Doktor Blythe wzdycha ciężko.

- Nasz cel to trzy miesiące. Po miesiącu na trymestr. Trzy miesiące? Za moment zacznę krzyczeć. Płakać. Nie wiem, co robić. Gdzieś wewnątrz mnie narasta histeria.

- Co takiego? - wykrzykuję. - To zupełnie szalone. Lekarz tylko się uśmiecha.

- Zobaczymy.

- Dlaczego nie mówią o tym wszystkim w Bramie Południowej? O Auguriach, o tym, do czego mogą służyć.

Lekarz robi jeszcze kilka notatek i zaczyna zdejmować ze mnie elektrody.

- Violet, w Bramach nie mówią wam prawie niczego. Nie pozwalają wam nawet patrzeć w lustro. Im mniej wiesz, im mniej identyfikujesz się z samą sobą, tym łatwiej tobą sterować.

- No to dlaczego teraz mi to wyjaśniasz?

- Bo potrzebuję twojej współpracy. Bez niej nic nie wyjdzie. Poza tym niczego teraz z tą wiedzą nie zrobisz. W pałacu Diuszesy jesteś odizolowana od świata. Nie możesz porozumieć się ani z koleżankami, ani z rodziną. I nie będziesz mogła. Zostaniesz tutaj, w Klejnocie. - Doktor Blythe naciska czerwony guzik i ekran bezgłośnie się chowa. - Kiedy już dostarczysz Diuszecie dziecko, zostaniesz wysterylizowana i wysłana do miejsca bardzo przypominającego Południową Bramę. Tam będziesz mieszkać do końca życia, w towarzystwie innych surogatek, które wypełniły swój obowiązek.

O nie, z powrotem do Magazynu? Spod jednej komendy pod kolejną, do uśmiechniętej śmierci będę musiała stosować się do cudzych reguł.

- Diuszesa mówiła, że arystokraci mogą mieć jedną córkę i jednego syna. Płeć również kontroluję?

- Nie - odpowiada doktor. - To jest w rękach medyków.

- A dlaczego tylko dwoje dzieci? - dopytuję. - Dlaczego nie troje?

- Żeby zachować czystość krwi i, jakby to ująć... Arystokracja to elitarnie towarzystwo, a elitarnie towarzystwo nie może być zbyt liczne. Jedno dziecko przedłuża ciągłość nazwiska, a drugie wchodzi w potencjalnie korzystny mariaż,

zapewniając rodowi sprzymierzeńców. Sojusze w Klejnocie są w najlepszym razie nietrwałe. - Wzdycha i potrząsa smutno głową. - Diuszesa jest mocno zawiedziona swoim synem i wiąże z córką ogromne nadzieje.

Kiedy doktor obraca się plecami, zrzucam szlafrok i na powrót ubieram się w nocną koszulę. Myśli obijają mi się o wnętrze czaszki jak stado spłoszonych ptaków. Dziecko w trzy miesiące. Zupełny absurd. Ale i tak nie tak wielki jak wiara Diuszesy w to, że zechcę jej z własnej woli pomóc.

ROZDZIAŁ 12

Następnego ranka siedzę w saloniku, popijając herbatę i starając się nie rozmyślać o spotkaniu z doktorem, gdy do moich komnat wpada Diuszesa.

- Chodź ze mną - rozkazuje.

O nie, tak szybko? Na pewno znowu zabiera mnie do doktora, żeby ten zrobił to, co ma zrobić. To jedyne, co przychodzi mi na myśl. Ze zdenerwowania trudno mi się podnieść.

- Dokąd idziemy, pani? - pytam zdławionym szeptem. Annabelle posyła mi miażdżące spojrzenie, którego nie rozumiem, a Diuszesa krzywi się, jakby uważała, że nie powinnam w ogóle wykazywać żadnego zainteresowania. Niczym.

- Chcę ci coś pokazać. Zbieraj się.

Na drżących nogach wychodzę za nią z pokoju. Gdy przemierzamy otwartą galerię, orientuję się, że tędy właśnie szły-śmy do gabinetu i serce zaczyna podchodzić mi do gardła. Nagle Diuszesa skręca w drzwi prowadzące do dużej sali koło głównej klatki schodowej. Czuję ulgę tak wielką, że aż boli.

Naprzeciwko schodów są wielkie podwójne drzwi z klamkami rzeźbionymi na kształt skrzydeł. Diuszesa obraca się w moją stronę.

- Doktor Blythe jest optymistycznie nastawiony do projektu. Uważa, że będziesz w stanie zrobić to, czego oczekuję. Czuję się bardzo, ale to bardzo zadowolona. Więc... - Otwiera ozdobne drzwi, zza których dolatuje do mnie ciepły aromat drewna, materiału, kurzu i czegoś zielonego, może sosny? Zaglądam do pomieszczenia i jestem w szoku.

To sala koncertowa. Rzędy foteli obitych czerwonym aksamitem ciągną się aż do wielkiej sceny. Kurtyna jest odsłonięta, ciężki szkarłatny materiał wykończony złotymi frędzlami spływa falą na podłogę. Zachwyty popycha mnie naprzód. Stopy zapadają mi się w puszysty dywan w odcieniu burgunda. Przebieram palcami po miękkich podłokietnikach foteli i spoglądam w górę. Wysklepiony do góry sufit złoci się i mieni w ciepłym świetle licznych, rozmieszczonych symetrycznie kul. Na ciągnącym się wokół sali balkonie dostrzegam jeszcze więcej wznoszących się coraz wyżej krzeseł. Nie potrafię sobie wyobrazić bardziej niezwykłego miejsca, w którym mogłabym zagrać. Może poza Królewską Salą Koncertową.

Jakby na rozkaz, na scenie pojawiają się dwaj lokaje. Jeden dźwiga krzesło i stojak, drugi zaś moją wiolonczelę.

- Możesz tu grać kiedy tylko sobie zażyczysz, tak często, jak ci się spodoba - oznajmia Diuszesa. — Mam nadzieję, że to sprawi, że... Że poczujesz się szczęśliwsza. - Jej słowa

nie brzmią zbyt szczerze, ale w tej chwili mało mnie to obchodzi. Swędzą mnie palce, chcę jak najszybciej wziąć w dłoń smyczek. Akustyka w tej sali musi być niesamowita.

- Mogę teraz zagrać? - pytam i pospiesznie dodaję: - Pani?

- Oczywiście - mówi Diuszesa.

Po chwili wychodzi, a jej miejsce zajmuje Annabelle. Jeśli szła za nami, to jej nie widziałam. Ruszam szeroką nawą w kierunku sceny.

Nigdy wcześniej nie byłam na scenie. Spoglądając na morze pustych foteli, czuję dreszcz ekscytacji. Krzesła wyglądają, jakby czekały. Na mnie. Na muzykę. W magazynach tak chętnie czytanych przez Lily, interesowały mnie tylko nieliczne zdjęcia z koncertów. Siadam na stołku i przymykam oczy, ściskając kolanami obły korpus instrumentu. Wyobrażam sobie, że jestem w Królewskiej Sali Koncertowej, a rzędy siedzeń pełne są ludzi w pięknych ubraniach, którzy nie mogą się doczekać, by mnie usłyszeć. Nasłuchuję nieistniejącego szelestu ich programów i prowadzonych szeptem rozmów. Gdy unoszę smyczek, wszyscy posłusznie cichną, tak spragnieni obcowania z muzyką, że uspokaja ich jeden mój gest. Zaczynam od „courante G-dur”, a gdy kończę, aplauz długo dźwięczy mi w uszach. Później wybieram inny utwór. Znam ich tak wiele, tak bardzo wiele... Gram kilka godzin. Tutaj mogę udawać, że nie jestem surogatką, która ma urodzić cudze dziecko, tylko światowej sławy wiolonczelistką, która nie ustępuje talentem samemu Stradivariusowi Tanglewoodowi.

Kiedy kończę, jest już dobrze po południu. Czuję ogromne zmęczenie, ale i radość, zupełnie jakby ten koncert coś we mnie oczyścił. Annabelle klaszcze w dłonie. Dźwięk dziwnie brzmi w ogromnej, pustej sali.

Dosyć?

- Na dzisiaj chyba tak. Dziękuję - odpowiadam. *To było piękne.*

- Dzięki. - Uśmiecham się krzywo. - Mam nadzieję, że cię nie zanudziłam.

Annabelle odpowiada uśmiechem i potrząsa głową, a potem naciska umieszczony koło mniejszych drzwi przycisk. Po jakiejś minucie pojawiają się lokaje, by odnieść sprzęt do mojego pokoju.

- Co będziemy robić? - pytam, schodząc ze sceny i dołączając do Annabelle na widowni.

Czuję się dziwnie lekka, zupełnie jakbym nic nie ważyła. *Zwiedzanie?*

- Masz na myśli zwiedzanie pałacu? Annabelle przytakuje.

- Och! Z przyjemnością!

Sala koncertowa nie jest jedynym oszałamiającym pomieszczeniem w wielkim Pałacu Jeziora.

Na piętrze mieszczą się głównie pokoje przeznaczone do nauki i czytania. W jednej z komnat stoi mnóstwo urn, które, jak wyjaśnia Annabelle, zawierają prochy wszystkich poprzednich Diuków i Diuszes Jeziora. To dość upiorne, ale podobno trzymanie przodków w słojach jest tradycją i każdy pałac ma przeznaczone na to miejsce. Są tu również galerie sztuki i kwatery gości. Po jakimś czasie dociera do mnie, że Annabelle pokazuje mi tylko część pomieszczeń, skrzętnie unikając wycieczki do wschodniego skrzydła.

- Co tam jest? - pytam, gnana ciekawością. *Pokoje mężczyzn.*

- Och, to tam śpi Diuk? Przytakuje.

Diuk i Gamet.

- Jasne - mruczę, przypominając sobie przystojnego syna Diuszesy. A potem, nie mogąc się powstrzymać, rzucam: - Jest tam teraz?

W szkole. Wróci wieczorem.

- Och. - Nerwowo szarpię guzik sukienki. - Nieźle wygląda, prawda?

Bardzo.

Podkreśla to słowo dwa razy. Chichoczę.

Parter jeszcze bardziej niż architektonicznie zamotane piętro przypomina labirynt. Annabelle pokazuje mi salę balową z lśniącym parkietem i wysokimi, łukowatymi oknami. Na suficie znajduje się imponujące malowidło imitujące błękitne, upstrzone pierzastymi chmurkami niebo i roje kolorowych ptaków. Z umieszczonej niedaleko sali tanecznej głównej bawialni rozciąga się widok na jezioro i rzędy wykonanych z białego marmuru rzeźb. Gdy przechodzimy nieopodal jednych z zamkniętych drzwi, czuję drażniący, nieprzyjemny zapach.

- A to co? - pytam. *Palarnia Diuka.*

- A tak właściwie to gdzie on jest? Co w ogóle robi? Annabelle uśmiecha się złośliwie.

To, co każe mu D. Parskam śmiechem.

Na koniec odwiedzamy bibliotekę, w której natychmiast się zakochuję. Jest ogromna, jasna i unosi się w niej woń starego papieru, kleju introligatorskiego i skóry. Przez ogromne witrażowe okna wpadają do środka promienie słońca. Wzdłuż wysokich półek ciągną się smukłe drabinki, a na balkon prowadzą kręcone złote schody.

Środek pomieszczenia zajmuje otwarta czytelnia z krzesłami i miękkimi kanapami, które otaczają wielki okrągły stół. Na jego blacie widnieją jakieś błyskotki. Początkowo myślę, że to porzucone przez kogoś brosze, jednak gdy podchodzę bliżej, odkrywam, że to rodowe symbole. Rozpoznaję okrąg i trójzęby Domu Jeziora.

- Co to? - pytam. *Domy szlacheckie Klejnotu.*

- Wszystkie? - Na stole leżą setki symboli, przedzielonych tworzącymi okręgi srebrzystymi liniami. W samym środku widzę płomień w koronie należący do Rodu Panującego. Cztery leżące wokół niego kamienie muszą reprezentować cztery Domy Założycieli. Ale reszta... - No tak, to właśnie dlatego nigdy nie pasjonowały mnie kultura i zwyczaje szlachty - mrużę pod nosem. - Tych domów jest po prostu za dużo.

Annabelle powstrzymuje uśmiech i wskazuje leżący w centrum symbol. *Hierarcha.*

- To akurat kojarzę - mówię. - Naokoło są Domy Założycieli, prawda?

Przytakuje i przenosi wzrok na kolejny okrąg liczący na oko około czterdziestu kamieni. *Domy pierwszego stopnia.* W następnych symboli jest przynajmniej sto. *Drugi stopień.*

W ostatnim, zewnętrznym kręgu, jest najwięcej kamieni. *Trzeci stopień.*

- No tak, ale... - Wskazuję jeden z kamieni w drugim okręgu, błyszczący czerwony owal ze skrzyżowanymi białymi liniami.
- Ten wygląda prawie zupełnie tak samo, jak...

— pokazuję na trzeci okrąg i biały owal z czerwonymi liniami
— jak ten.

Annabelle unosi brew i potrząsa głową. Pokazuje czerwony owal.

Dom Płomienia.

Dotyka palcem białego symbolu. *Dom Światła.*

- No dobrze... Skoro jesteś w tym taka dobra, to... Może powiesz mi, co oznacza ten?

Wybieram należący do grupy pierwszego stopnia srebrzysty krąg, na którego tle krzyżują się dwa złote pióra. *Dom Puchu.*

- W porządku, to było łatwe. A co powiesz o tym? - Trzeci stopień, bladozielony prostokąt ozdobiony dwiema połyskliwymi, zakrzywionymi liniami.

Dom Zastony.

Potrząsam głową, zrezygnowana.

- Poddaję się. Wygrałaś.

Annabelle żałośnie się uśmiecha i gestem zachęca mnie do spaceru po bibliotece. Bogactwo zbiorów mnie oszałamia. Annabelle pokazuje mi, gdzie stoją książki o historii sztuki, romanse i opowieści dla dzieci. Prawie podskakuję z radości, widząc cały dział poświęcony muzyce. Przeglądając go dokładnie, odnajduję ukochane starocie i rzeczy zupełnie nowe, całe morze utworów, które chciałabym jak najszybciej zagrać.

- Mogę je pożyczyć? - pytam. *jasne.*

Wyciągam z półki gruby plik papierów i siadam na podłodze. Rozkładam wokół siebie kolejne karty, starając się zdecydować, które ze sobą zabiorę.

- Kim jesteś?

Z zamyślenia wyrывa mnie cienki, piskliwy głosik. Unoszę głowę i widzę dziewczynę, która obserwowała mnie z okna w dniu pogrzebu Dahlii. Paciorkowatymi oczyma omiata porzrucane na dywanie partytury.

-Jestem... - Na końcu języka mam moje imię, ale Annabelle gwałtownie podnosi do góry tabliczkę. Wyobrażam sobie wypisane na niej zgrabnym pismem słowo „surogatka”.

- Och. - Dziewczyna przygląda mi się krytycznym wzrokiem, który kojarzy mi się z Diuszesa. - Lepiej ogarnij ten bajzel.

- A kim ty jesteś? - pytam ostro.

Na jej cienkich wargach pojawia się złośliwy uśmiezek. Twarz dziewczyny wydaje się składać z samych cienkich linii i ostrych szpiców. Dostrzegam, że ma ciut zbyt blisko siebie osadzone oczy.

- Nie muszę ci się przedstawiać. Jesteś tylko surogatką. Krew napływa mi do policzków. Ignorując jej polecenie,

wracam do przerzucania kartek. Kątem oka widzę skraj jej sukienki. Dziewczyna stoi i przygląda mi się przez kilka długich chwil, jakby oczekiwała, że wezmę się do robienia porządków. Nic z tego. Rozkładam kolejne kartki. To pałac Diuszesy i tylko ona może wydawać mi polecenia.

Unoszę wzrok dopiero wtedy, gdy suknia znika z pola widzenia.

- Kto to był? *Siostrzenica D.*

- Wpadła z wizytą? *Mieszka tutaj.*

- Nie jest zbyt miła, prawda? Annabelle potrząsa głową. *Służba jej nienawidzi.*

Przykłada palec do ust i puszcza do mnie oko.

Po kilku minutach przyglądania się, jak w amoku przerzucam nuty, Annabelle uznaje wreszcie, że zajmie mi to jeszcze trochę czasu, wskazuje na siebie i pisze:

Dział sztuki.

- Jasne. Przyjdę po ciebie.

Kiedy wreszcie układam przed sobą kupkę nut wysoką na cal, odsuwam od siebie resztę i wstaję, by poszukać Annabelle. Na pewno tu wrócę, bo części skarbów nawet nie zdążyłam zobaczyć. Biblioteka jest naprawdę ogromna, a ja jeszcze w ogóle się w niej nie orientuję. Gdzieś po drodze skręcam nie tam, gdzie powinnam i w efekcie trafiam do prowadzących na balkon schodów. Nieco już poirytowana, obracam się i przechodzę przez wąski korytarz utworzony przez półki pełne oprawionych w skórę tomiszczy. Z zaskoczeniem odkrywam, że na jego końcu są proste, lekko uchylone drzwi, przez które wymyka się promień bladożółtego światła. Ze środka słyszę szelest przewracanych kartek. Ciekawość pcha mnie naprzód, zaglądam więc do tajemniczego pomieszczenia.

Pokój jest mały, zagracony półkami pełnymi starych książek o splekanych grzbietach. Tu i ówdzie piętrzą się sterty pożółkłych papierów. Niedaleko drzwi stoi niewielki drewniany stół, a nad nim pochyla się znajoma sylwetka.

- Lucien! - wykrzykuję.

Mężczyzna unosi głowę, patrząc na mnie zdumionymi oczyma.

- Och, do kroćset! - wyrzuca z siebie. - Co za cudowna niespodzianka. Niestety, nie powinnaś tutaj być.

Podchodzi do mnie, bierze za ramię i delikatnie, choć stanowczo wyprowadza z pokoju. Kątem oka dostrzegam per-

gamin, który studiował, jest na nim mnóstwo błękitnych linii i liczb. Czyżby jakiś schemat?

- Co tutaj robisz? - pytam, gdy Lucien zamyka za nami drzwi.

- Jestem posłańcem. Przyniosłem wieści dla pani tego domu.

- Od Wybranki? Przechyla lekko głowę.

- Diuszesa ma najbogatsze księgozbiory w całym Klejnocie. Była na tyle miła, by pozwolić mi skorzystać z biblioteki nim wrócę do Pałacu Królewskiego. - W jego oczach pojawia się wyraz powagi. - Jak sobie radzisz?

Otwieram usta i odkrywam, że nie wiem, co powiedzieć. Lucien wydaje się rozumieć mnie bez słów.

- Może usiądziemy na chwilę? - proponuje.

Idę za nim w róg biblioteki, gdzie stoją dwa obite miękkim materiałem siedziska i dekoracyjny stolik. Kiedy kurtuazyjnie odsuwa dla mnie krzesło, klucze przy jego pasie cicho podzwaniają.

- No wiesz, jestem w stanie usiąść samodzielnie - mówię, krzywiąc się lekko.

Lucien wzrusza ramionami.

- Nawyk.

Kiedy siadamy, Lucien odpina z pęku kluczy coś, co przypomina mały srebrny kamerton. Przykłada palec do ust, po czym postukuje lekko w urządzenie. Z zaskoczeniem obserwuję jak przedmiot unosi się na cal czy dwa ponad blatem i zawisa w powietrzu. Do moich uszu dociera niskie, wibrujące w całym ciele buczenie.

- Co to jest? - pytam, patrząc na obracający się powoli kamerton.

- Dzięki temu nikt nas nie podsłucha - wyjaśnia Luciem - Kiedy się mieszka w Klejnocie tak długo jak ja, uczy się ostrożności.

- A jak długo tu mieszkasz? - Wydawało mi się, że się tu urodził.

- Od dnia, gdy skończyłem dziesięć lat.

- Naprawdę? A z którego kręgu jesteś?

Jego gładka twarz tężeje w dziwnym grymasie.

- Nie sądzisz, że powinniśmy porozmawiać o czymś bardziej istotnym? Jak się czujesz?

- Nie wiem - wyznaję. - Chyba w porządku. Na pewno lepiej niż niektórzy. - Gardło zaciska mi się, gdy myślę o Dahlii. - Miałaś w ogóle okazję ją poznać?

Lucien nie musi pytać, kogo mam na myśli.

- Miałem - mówi smutnym głosem. - Nie wiem o niej wiele, ale wydawała się urocza.

- Tak. Była urocza.

- Byłyście razem w Magazynie?

- Nie, poznałam ją dopiero w Pokoju Oczekiwania. Przez chwilę obydwójce milczymy.

- To była Diuszesa - wyduszam wreszcie zdławionym szeptem. - To ona ją zabiła.

- Tak. Wiem.

Wstrząśnięta, prostuję się sztywno na krześle.

- Wiesz?

- Nie było trudno zgadnąć - odpowiada, krzywiąc się.

- Wybranka też wie? - Serce bije mi jak oszalałe, wraz z krwią pompując lęk. - Czy ona... Weźmie odwet?

Lucien poklepuje mnie uspokajająco po dłoni.

- Nie. Trucizny nie dało się wykryć, więc Wybranka nie jest w stanie niczego udowodnić. Straciłaby poparcie, gdyby

uderzyła w któryś z czterech Domów Założycieli. Ze względu na swoje pochodzenie, każdy sojusz jest dla niej na wagę złota. Nie będzie ryzykować. - Wykrzywia wargi. - Poza tym w przyszłym roku może kupić kolejną surogatkę.

- Co to za miejsce? - irytuję się. - Jak można nie zwracać uwagi na to, co się stało? - Pamiętałabym, gdyby jakaś surogatka została zamordowana, gdy byłam w Południowej Bramie. Wieści o tym rozniosłyby się jak szalejący w Bagnie pożar.

Lucien spogląda na mnie współczująco.

- Nikogo nie obchodzi śmierć surogatki - wyjaśnia cicho i milknie, wodząc opuszkami palców po słojach drewna na blacie stołu.

- Widziałam się wczoraj z lekarzem. - Zmieniam temat. Unosi głowę.

-1 jak poszło?

- Diusza chce, żeby jej córka była kolejną Wybranką. Lucien wzdycha.

- Och tak, pewnie, że chce. Tak samo jak wszystkie nie mające jeszcze córek kobiety, które kupiły w tym roku surogatki.

- Ale Diusza uważa, że mogę zrobić coś, czego inne dziewczyny nie potrafią. Chce, żebym urodziła jej dziecko szybciej, żebym w jakiś sposób przyspieszyła cały proces. Czy to w ogóle możliwe? Słyszałeś, żeby komuś się to udało?

Lucien zastyga nieruchomo niczym posąg. Mam wrażenie, że ze wszystkich sił stara się nie pokazać po sobie, co naprawdę myśli.

- Hej! - Macham dłonią. - Wszystko w porządku? Napotykam jego spojrzenie i po raz pierwszy spostrzegam, jak niebieskie są jego oczy.

- Naprawdę chciałbym ci pomóc - mówi. Nuta zniecierpliwienia w jego głosie sprawia, że małe włoski na karku stają mi dęba. — Wychodzi na to, że nie mam tyle czasu, ile chciałbym mieć.

- Czasu na co?

- Na to, żeby wprowadzić wszystko w ruch. Żeby się upewnić, czy mogę ci ufać.

- Możesz mi ufać - zapewniam, prostując ramiona, jakbym chciała w ten sposób udowodnić mu, że mówię prawdę.

Lucien uśmiecha się łagodnie.

- Tak. Wierzę w to. - Pochyliła się w moją stronę i szepce: - Mogę cię stąd wyciągnąć.

Zdanie jakby zawisa w powietrzu.

- Z tego pałacu? - upewniam się.

- Z Klejnotu.

Odgłos kroków nieopodal sprawia, że obydwoje się wzdrygamy. Nie mija sekunda, a kamerton znów spoczywa bezpiecznie ukryty w pęku kluczy. Po chwili między półkami pojawia się Annabelle dźwigająca opasłą księgę o sztuce. Spogląda na Luciena i pospiesznie dyga. Lucien wstaje.

- Och, widzę, że dostałaś awans - mówi, kłaniając się. - Jesteś dworką nowej surogatki?

Annabelle oblewa się rumieńcem i kiwa głową.

- Twoja matka musi być z ciebie dumna. Annabelle znów przytakuje. Staram się oddychać spokojnie i nie dać poznać po sobie napięcia.

- Miło było cię widzieć, 197 - rzuca Lucien. W jego oczach widzę obietnicę. - Na pewno niedługo znów się spotkamy.

Mrugam, słysząc mój numer, ale Lucien nie daje mi czasu na odpowiedź. Obraca się i odchodzi w kierunku pokoju,

w którym go znalazłam. Zamyka za sobą drzwi i słyszę chrobot przekręcane w zamku klucza.

Annabelle spogląda na mnie pytająco.

- To on mnie przygotowywał - wyjaśniam. - Do Aukcji. - Po tej rozmowie i tym, jak nagle się skończyła czuję się zupełnie zdezorientowana. Część mnie najchętniej przykułaby się do krzesła i czekała, aż Lucien znów się pojawi, a potem zadawała mnóstwo pytań. Niestety, jestem prawie pewna, że w ogóle nie powinnam z nim rozmawiać. Skoro powiedział, że niedługo się spotkamy, nie mam innego wyjścia, jak zaufać jego słowom. Muszę uzbroić się w cierpliwość. - Ja... Mam chyba wszystko, czego potrzebowałam. Możemy wrócić?

Idę za Annabelle jak we śnie.

Z Klejnotu... Z Klejnotu.

Lucien zaoferował mi wolność.

ROZDZIAŁ 13

W niedzielę budzę się wczesnym porankiem.

Mieszkam w pałacu Diuszesy już cały tydzień.

Wolność. Słowo to, kuszące i kojące, powraca do mnie od chwili, w której spotkałam w bibliotece Luciena. Przez tak wiele czasu nie pamiętałam jego znaczenia. Teraz pamiętam. Z całych sił pragnę wierzyć, że Lucien zna sposób, by mnie stąd wydostać, a z drugiej strony boję się, że srodze się zawiodę. Co, jeśli okaże się, że mnie okłamał albo, że przecenił swoje możliwości? A może to wszystko było tylko cudownym snem?

Sięgam myślą do mojej rodziny. Niedziela jest dniem odpoczynku. Ochrę nie pójdzie do pracy. Hazel nie pójdzie do szkoły. Zastanawiam się, co będą dzisiaj robić. Cokolwiek by

to było, mam nadzieję, że będą się cudownie bawić. Chcę, żeby byli szczęśliwi. Ciekawe, co powiedzieliby, widząc mnie w otoczeniu luksusów, może też wyobrażaliby sobie, że jestem szczęśliwa?

Może gdy Lucien mnie wydstanie, to do nich wrócę. Zobaczę znów mamę i będę świadkiem dorastania Hazel. Gdyby tak się stało, mogłabym podejmować własne decyzje, żyć życiem, którego pragnę, a nie tym, które dla mnie wybrano.

Muszę znów porozmawiać z Lucieniem. Muszę się upewnić, że dobrze go zrozumiałam.

Siadam na łóżku i dzwonię po Annabelle.

- No więc - zaczynam, gdy stawia na stole tacę ze śniadaniem.
- Czego dzisiaj oczekuje ode mnie Diuszesa?

Staram się brzmieć, jakby w ogóle mnie to nie interesowało, ale niespecjalnie mi to wychodzi. *Niczego.*

- Niczego?

Annabelle uśmiecha się krzywo. *Była impreza. D nie czuje się dobrze.*

- Och. - Upijam łyk kawy. - Mam wizytę u lekarza? Annabelle zaprzecza.

- To co będziemy robić? Zastanawia się przez chwilę. *Ogród?*

- Tu jest ogród?

Uśmiech na jej twarzy staje się szerszy.

Nie, ogród to nie jest właściwe słowo.

Przestrzeń jest ogromna i oszałamia kolorami. Drzewa szykują się już na zimę, zmieniając kolor liści - zieleń ustępuje miejsca złotu i odcieniom czerwieni. Na straży wysypanych żwirem alej stoją klomby jesiennych kwiatów, tu i ów-

dzie widać również posągi, fontanny i poidła dla ptaków. Im bardziej oddalamy się od pałacu, tym ogród staje się dzikszy, drzewa gęstsze, a ścieżki bardziej zarośnięte. Na samym środku znajduje się ogromny labirynt z wysokiego przynajmniej na siedem stóp żywopłotu. Wykorzystujemy go z Annabelle do improwizowanej wersji zabawy w chowanego, biegamy, polujemy na siebie i śmiejemy się, póki obydwie nie mamy trudności ze złapaniem oddechu. W centrum labiryntu kryje się ogromna szklarnia. To w niej ogrodnik Duszesa uprawia nieprzeliczone gatunki kwiatów, które później ozdabiają komnaty pałacu. W środku jest ciepło i wilgotno, a w powietrzu mieszają się aromaty żywej ziemi i nektaru. Nie mogę się powstrzymać przed dotknięciem jednej z orchidei. Jej płatki przypominają wybarwiony z największą troską aksamit.

Mam wrażenie, że za każdym razem, gdy coś w Klejnocie zezłości mnie bądź zasmuci, znajduję coś zachwycającego, co sprawia, że to miejsce staje się do wytrzymania.

Przez kolejny tydzień dzień w dzień odwiedzam doktora, Lucien zaś trzyma się z dala od Pałacu Jeziora.

Duszesa nie towarzyszy mi podczas wizyt w gabinecie. Odprowadza mnie Annabelle, co przynosi mi pewną ulgę. Każde spotkanie zaczyna się dokładnie w ten sam sposób.

- Czy to dzisiaj? - pytam.

Doktor Blythe uśmiecha się i kręci głową.

- Nie, Violet - odpowiada. - Nie dzisiaj.

Nasze spotkania przypominają to pierwsze, Augurie, monitory, ale jedno z nich uwzględnia również badanie, którego nie cierpię.

Już w Bramie Południowej serdecznie je znienawidziłam, nie mam jednak jak przeciwko niemu zaprotestować. Za

mykam oczy, kładę stopy na wspornikach i udaję, że gram na wiolonczeli, przywołując w myślach kolejne nuty ukochanych utworów.

Dzień po dniu testy Augurii stają się coraz trudniejsze. Tak jak się spodziewałam, doktor Blythe stopniowo coraz bardziej koncentruje się na Wzroście. Cięte kwiaty są łatwe, życie w nich, choć wątłe, ochoczo poddaje się manipulacji. Mniejsze rośliny, jak paprocie i rozmaite zioła, również nie stanowią wyzwania. Nieco trudniejsze są młodziutkie drzewka, ale tak naprawdę głównym problemem jest niekończąca się powtarzalność. Doktor Blythe zaczyna mierzyć czas, zapisując, jak długo zajmuje mi osiągnięcie celu, jak wiele razy mogę użyć Augurii, nim dostanę krwotoku z nosa i ile czasu mogę pracować, nim zupełnie opadnę z sił.

- Dziękuję ci, Violet - mówi na zakończenie każdego spotkania. - To było imponujące.

Nigdy nie wiem, co odpowiedzieć.

Diuszesa, jak się okazuje, dotrzymuje słowa i moje życie, poza chwilami spędzonymi w gabinecie, jest dość komfortowe. Mogę opuszczać swoje komnaty i w towarzystwie Annabelle spacerować po pałacu, ilekroć mam na to ochotę. Posiłki, które jadam, są najwyższej jakości, podejrzewam również, że służba całkiem dobrze się orientuje, co lubię, a czego nie. Codziennie zaglądam do biblioteki w nadziei, że spotkam Luciena, ale pomieszczenia zazwyczaj są puste. Czasem spotykam pokojówkę albo lokaja, zdarza się również, że przemknie gdzieś siostrzenica Diuszesy, której i ja, i Annabelle staramy się unikać. Raz widziałyśmy Gameta, ale nie zabawił wśród książek zbyt długo. Annabelle, czerwona na twarzy, zaciągnęła mnie do działu romansów, gdzie tkwiłyśmy nieruchomo, póki syn gospodyni nie opuścił biblioteki.

Powtarzam sobie, że muszę być cierpliwa. Przecież Luden nie powiedziałby czegoś, czego nie byłby pewien.

Czasem siadam w moim ulubionym fotelu w bawialni, tym wielkim i miękkim, stojącym nieopodal okna i patrzę na ludzi, którzy zdają się nieprzerwanie przybywać do pałacu albo go opuszczać. Annabelle cierpliwie wyjaśnia, kto jest kim. Bardzo częstym gościem w Pałacu Jeziora jest Hrabina Róży. Annabelle mówi, że to dlatego, że Róża i Jezioro zawarły sojusz i trzymają się blisko siebie. Podobno Dom Jeziora bratał się kiedyś z Domem Kamienia, ale trzydzieści lat temu wydarzyło się coś, co przekreśliło ich przyjaźń i zamieniło ją w gorącą nienawiść. To by się zgadzało z tym, co widziałam na kolacji po Aukcji.

- Wiesz, o co chodziło? - pytam. Annabelle wzrusza ramionami i potrząsa głową. *Stało się po śmierci ojca D.*

- Och. A ile ona miała wtedy lat? *Szesnaście.*

Coś, co podejrzenie przypomina żal, ściska mi klatkę piersiową. Dociera do mnie, że Diusza i ja mamy ze sobą coś wspólnego. Obydwie w młodym wieku straciłyśmy ojców.

Rudowłosa Pani Szkła też często bywa w Pałacu Jeziora, przyjeżdża jednak bez swojej oczekującej dziecka surogatki.

Sen o ucieczce jest tak kuszący i tak niemożliwy do zrealizowania, że czasem zastanawiam się, czy nie jest właśnie snem. Trzymam się go kurczowo, ze wszystkich sił, ale przedłużająca się nieobecność Luciena sprawia, że coraz trudniej zachowywać mi optymizm.

Któregoś popołudnia Annabelle przynosi mi bladobłękitny płaszcz.

- Po co mi on? - pytam. - Myślałam, że pora na wizytę u doktora.

Annabelle przytakuje i potrząsa lekko okryciem, nalegając, bym je założyła. Tym razem nie idziemy na dół, do windy, zamiast tego wąskimi schodami wspinamy się na piętro. Mijamy balkon i Annabelle prowadzi mnie do tylnego wyjścia do ogrodu. Maszerujemy ocienioną zgrabnie przyciętym żywopłotem ścieżką, przechodzimy obok labiryntu, aż wreszcie trafiamy w miejsce, gdzie rosną prawie zupełnie zdziczałe drzewa. Część liści już opadła i nagie gałęzie sterczą jak wykrzywione artretyzmem palce. Wstrząsa mną dreszcz, gdy chłodny listopadowy wiatr wdziera się pod ciepły płaszcz.

Ścieżka kończy się przy ogromnym dębie o pniu tak szerokim i masywnym, że mogłabym się za nim schować. Czerwone i złote liście szumią cicho ponad moją głową.

- Dzień dobry. - Zza drzewa wyłania się doktor Blythe. Ma na sobie ciemnobezowy garnitur. W jednej dłoni trzyma zakończoną srebrną gałką laskę, w drugiej niewielką czarną torbę. Czuję się dziwnie, widząc go poza gabinetem, na dodatek odzianego w coś innego niż kitel.

- Dlaczego jesteśmy w ogrodzie? - pytam, rozglądając się wokół. Lekarz kiwa głową Annabelle, która dyga lekko i odchodzi tą samą ścieżką, którą przyszliśmy.

- No cóż, Violet... - zaczyna doktor. - Dzisiaj zaczniemy pewien bardzo specjalny projekt. Twoje zdolności są naprawdę imponujące, jak żyję, nie widziałem podobnej siły. A przecież dopiero zaczęliśmy je testować, prawda? Powiedzmy, że teraz czeka cię wyzwanie. Chyba zgodzisz się ze mną, że dobrze mieć jakiś cel.

Krzywię się, niepewna, do czego zmierza.

- Co mam robić?

Doktor Blythe przenosi spojrzenie ze mnie na wielki dąb i z powrotem.

- To proste. Spraw, żeby urósł.

Przez chwilę jestem pewna, że sobie ze mnie żartuje. Spoglądam na drzewo, na setki kołyszących się lekko gałęzi, twardą, chropawą korę i wijące się jak węże, sięgające głębi ziemi korzenie. Musi być bardzo, bardzo stare.

Nigdy wcześniej czegoś takiego nie próbowałam.

- Jak mam to zrobić?

Doktor Blythe wzrusza ramionami.

- A jak sprawiłaś, że kwiaty kwitły, a paprocie rosły?

- No tak, ale... - Ostrożnie podchodzę do drzewa. Jest nie tylko stare, ale i ogromne. Wyciągam rękę i dotykam spękanej kory. Coś w tym pradawnym dębie sprawia, że znów czuję się jak dziecko. To coś innego niż mała, zabiedzona cytrynka na tylnym podwórku rodzinnego domu. Dąb wydaje się mieć osobowość.

Wciągam powietrze przez nos i przez chwilę zatrzymuję je w sobie. Potem znajduję miejsce, w którym z wielkiego pnia wyrastają mniejsze gałęzie i nakrywam je dłonią. Drzewo pachnie wyschniętą ziemią i butwiejącymi liśćmi.

Najpierw ujrzyj, jaki jest. Potem ujrzyj w myślach swych. Wreszcie wolą skrępuj go.

Nic. To zdumiewające. Coś takiego nie przydarzyło mi się od czasu pierwszej lekcji Augurii.

Zamykam oczy, starając się bardziej skoncentrować.

No dawaj, Violet, mówię sobie. Dasz radę.

Najpierw ujrzyj, jaki jest. Potem ujrzyj w myślach swych. Wreszcie wolą skrępuj go.

Zaczynają mnie świerzbic opuszki palców. Dąb, który nagle wypełnia moje myśli nie jest specjalnie większy od tego,

który dotykam, ale przesycony kolorami, a jego liście zdają się o wiele bardziej żywotne. Stoi pośrodku pustego pola, a wiatr tańczy nieskrępowany w jego gałęziach. Nie wiem, skąd pochodzi ten obraz, ale drzewo nań reaguje.

Gwałtownie wydycham powietrze i mocniej zaciskam dłoń, bo chcę za wszelką cenę podtrzymać ten kontakt. Nigdy wcześniej nie czułam tak wielkiej energii, takiej pradawnej, skoncentrowanej mocy. Czuję, jak moje ciało dopasowuje się do niej, zupełnie jakbym miała dwa serca bijące każde w swoim rytmie. Życie tego drzewa jest przygniatające, obecne tak bardzo, że lękam się, iż się w nim zagubię. To, co dostrzegam, nie ma nic wspólnego z cienkimi nićmi, z którymi obcowałam do tej pory i którymi z taką łatwością manipulowałam - to raczej potoki żaru, grube liny sięgające daleko w głąb ziemi. To piękna i czysta potęga natury. Potęga, której nie należy lekceważyć.

Z ogromną ostrożnością sięgam myślą dalej, sprawdzając, czy uda mi się wyizolować choć jedną z gałęzi. Drzewo w okamgnieniu mnie wyczuwa. Koszmarny ból przeszywa mi kręgosłup. W ustach czuję krew. Z cichym okrzykiem odrywam rękę i bez sił opadam na ziemię. Odrętwiała dłoń nie chce mnie słuchać.

Doktor Blythe mówi coś do mnie, ale jego słowa zlewają się w dziwny szum. Krew leje mi się z nosa, spływa po ustach i brodzie i przez krótką chwilę dławię się, niezdolna zaczerpnąć tchu. Wykasłuję czerwoną plwocinę i czekam, skulona, aż minie najgorsze. Co chwila wstrząsają mną dreszcze. Czuję się dziwnie. Z jednej strony krucha i wyczerpana, z drugiej strony wypełniona aż po brzegi obcym życiem. Chwilę zajmuje mi zrozumienie tego, co właśnie się stało.

Dąb jest silniejszy ode mnie.

Świat przestaje być zamazaną plamą, a słowa doktora Blythe'a stają się zrozumiałe.

- Violet? Wszystko w porządku? - Lekarz podaje mi chusteczkę. Przykładam ją do nosa, siadając tak, by nie dotykać drzewa.

- Nic mi nie jest - odpowiadam głosem, który ledwie poznaję. Czuję się, jakby ktoś rozebrał mi kręgosłup na części. Głowę mam dziwnie ciężką. Nie chodzi o ból... Raczej o świadomość. Jakby mój mózg nagle się powiększył, a w czaszce nie było dla niego dość miejsca.

Kiedy krwotok z nosa ustaje, doktor Blythe oczyszcza mi twarz. Niestety, piękny płaszcz, który przyniosła mi Annabelle, jest cały we krwi.

- Co się stało? - pyta lekarz.

Spoglądam na drzewo, wspominając gorące strumienie życia płynące w jego wnętrzu.

- Nic - mówię. - Nic się nie stało. Nie umiem... Nie potrafiłam sprawić, by rósł.

Doktor Blythe wzdycha ciężko, wyraźnie zawiedziony.

- Prawdopodobnie w ogóle nie powinienem był oczekiwać, że dasz sobie z tym radę. Trudno.

Pomaga mi wstać. Pozwalam mu na to, czując, jak gdzieś w głębi mnie narasta irytacja. To pierwszy raz, gdy nie powiedział mi, że moje zdolności robią wrażenie. Nie, żeby bardzo chciała to usłyszeć, ale uważam, że tym razem naprawdę na ten komplement zasłużyłam.

- Doktorze Blythe! - W naszą stronę biegnie Cora z depczącą jej po piętach Annabelle.

- Dzień dobry, Coro - wita ją uprzejmie lekarz.

- Diuszesa natychmiast chce ją widzieć.

- Oczywiście. I tak na dzisiaj już skończyliśmy.

Widząc plamy krwi na płaszczu, Cora zaciska usta w cienką linię.

- Zdejmij to - komenderuje.

Podaję jej okrycie, a ona natychmiast oddaje je Annabelle. Na widok tego, co mam na sobie, wyraźnie się krzywi.

- Coś się stało? - pytam. Podoba mi się mój strój, prosta ciemnogrnatowa sukienka w cienkie paski i szary, kaszmirowy sweter.

Cora wzdycha.

- I tak nic z tym teraz nie zrobimy, nie ma czasu. Chodź ze mną. - Obraca się do Annabelle. - Nie życzę sobie plam na tym płaszczu, masz je usunąć, zrozumiano?

Annabelle kiwa głową.

Cora prowadzi mnie do głównej bawialni, obszernej komnaty utrzymanej w odcieniach błękitu i srebra. Diuszesa siedzi na kanapie z siostrzenicą u boku. Dziewczyna ma chmurną minę, a jej mysie włosy upięte są w prosty, nietwarzowy kok. Patrzy na mnie z nieskrywaną niechęcią.

- Ach! - ożywia się Diuszesa. - Nareszcie jest. Dopiero w tej chwili dociera do mnie, że w pokoju są

jeszcze dwie kobiety. Jedna z nich musi pochodzić z szacownego rodu. Ma bogato zdobioną suknię z kremowej satyny i mocny makijaż, a w uszach kolczyki z wielkimi brylantami. Druga jest surogatką. Na jej szyi połyskuje srebrna obroża, z której zwisa łańcuch prowadzący do bransolety na nadgarstku jej pani.

Na widok smyczy żołądek opada mi do kostek.

- Ta surogatką uczyni moją córkę wyjątkową. Zapewniam, że dziecko będzie niezwykle — oznajmia Diuszesa z odcieniem dumy w głosie. — Znakomita partia dla przyszłego Hierarchy. Bądź pewna, że sojusz z moim Domem przynie-

sie Domowi Płomienia korzyści zarówno dyplomatyczne, jak i finansowe.

Och, czyli to musiała być Pani Płomienia, właścicielka mleczarni, w których pracuje Ochre. Przed oczyma pojawia mi się twarz brata, a w głowie dźwięczą jego słowa o tym, jak dobrze Dom Płomienia traktuje pracujących u nich ludzi.

Smycz przyciąga mój wzrok jak magnes.

Pani Płomienia przygląda mi się sceptycznie.

- No nie wiem, Pearl. Nie możesz być pewna.

- Jestem.

- A co z Domem Kamienia i Domem Łusek? Też będą mieć w tym roku córki. Co ja mówię, prawie każdy Dom, który kupił na ostatniej aukcji surogatkę i który nie ma jeszcze córki, spróbuje ją mieć. Och, na litość... Sama będę ją miała, choć nie łudzę się, że zostanie zaręczona z synem Hierarchy. Cóż, wielu jest takich, którzy liczą na korzystny mariaż. Skąd ta pewność, że królewska para wybierze właśnie twoje dziecko? - Nie robiąc najmniejszej przerwy, Pani Płomienia obraca głowę ku siostrzenicy Diuszesy. - Poza tym, ona tak naprawdę wcale nie ma królewskiej krwi. Nie mam ochoty narażać swojego syna. Nasz wspaniały Hierarcha poradzi sobie z napiętnowaniem, ale mój Dom...

- W jej żyłach płynie krew Domu Jeziora - przerywa jej ostro Diuszesa, nie patrząc na siostrzenicę. - Przyniesie ci realne i wymierne korzyści.

- A co z moją reputacją? - pyta Pani Płomienia. - W tej chwili jest bez zarzutu, a przecież wszyscy wiedzą, że Dom Jeziora nie jest tym, czym był kiedyś.

Diuszesa zaciska pobielające wargi.

- Co dokładnie chcesz przez to powiedzieć?

Pani Płomienia wzdryga się i z jej głosu znika hardość.

- Tylko to, że nie jest tajemnicą, iż rodzina królewska faworyzuje Domy Kamienia i Łusek. Być może Dom Jeziora stracił ostatnio na znaczeniu i zaaranżowanie zaręczyn z przyszłym Hierarchą okaże się trudniejsze niż myślisz.

Cofam się o krok, bo drobne ciało Diuszesy zdaje się emanować chłodem. Pani Płomienia nerwowo upija łyk herbaty. Diuszesa sztywnym gestem sięga po lukrowane ciasteczko i zaczyna obracać je w palcach.

- Zapewniam cię, Sapphire, że Dom Płomienia jest równie silny co zawsze. Jeśli potrzebujesz dowodów moich wpływów, z przyjemnością ci ich dostarczę. - Zanurza ciasteczko w herbacie i odgryza kawałeczek.

- Nie, nie, to nie będzie potrzebne - mówi nerwowo Pani Płomienia. - Nie chciałam... Miałam na myśli... Och, jest przecież sprawa Gameta.

- Masz jakiś problem z moim synem?

- Pearl, proszę, daj spokój. Nie możesz przecież zupełnie zignorować jego zachowania. Mam wrażenie, że co miesiąc wybucha kolejny skandal. On jest po prostu zbyt... Zbyt... - Z zainteresowaniem patrzę, jak szuka jakiegoś nieobraźliwego słowa. - Zbyt nieprzewidywalny.

Kąciki ust Diuszesy lekko się unoszą, ale nie jest to przyjemny grymas.

- No cóż, życie bez niespodzianek byłoby straszliwie nudne.

- Ale przecież tajemnicą poliszynela jest to, że masz problem ze znalezieniem mu żony. Nie lepiej byłoby poczekać z wydaniem za mąż siostrzenicy aż znajdziesz kogoś Gametowi?

- Dlaczego, Sapphire? - pyta kwaśno Diuszesa. - Choć niezmiernie wzrusza mnie twoja troska o dobrobyt mojej fa-

milii, chciałabym zauważyć, że to, w jaki sposób zarządzam tym Domem jest sprawą tylko i wyłącznie moją. Jesteśmy tutaj, by przedyskutować przyszłość twojego syna. Garnet nim nie jest, prawda? - Wstaje i podchodzi do mnie. - Ponieważ nie pozwoliłaś odpowiedzieć mi na swoje pytanie wcześniej, uczyn mi tę przyjemność teraz. Pytałaś, jak mogę być pewna tego, że ta surogatka uczyni moją córkę wyjątkową. - Bierze mnie za ramię i pociąga w stronę ozdobnego stolika, na którym stoi, otoczona kryształowymi figurkami, mała doniczkowa roślina o podłużnych liściach i sercowatych w kształcie kwiatów. Diuszesa spogląda na mnie wyczekująco. - No, dalej. Spraw, żeby urosła.

Zaciskam dłonie w pięści. Odgrywanie potulnego, dobrze wytresowanego zwierzęcia jest upokarzające. Zwłaszcza tuż po tym, jak nieomal zadławiłam się na śmierć własną krwią. Czuję się podminowana, życie dębu wciąż krąży w moich żyłach, a skórę mam gorącą i zaczerwienioną. Chcę zaprotestować, ale w oczach Diuszesy widzę zapowiedź tego, co stanie się, gdy okażę nieposłuszeństwo.

Chwytam kilka gałązek, zgniatając przy tym delikatne kwiatki.

Najpierw ujrzyj, jaki jest. Potem ujrzyj w myślach swych. Wreszcie wola skrępuj go.

Życie dębu okazuje się silniejsze niż myślałam i roślina, zamiast rosnąć, po prostu eksploduje.

Grube, mocne łodygi wspinają się po ściennych półkach, zrzucają na podłogę porcelanowe talerze i kruche bibeloty. Pani Płomienia zrywa się z sofy i cofa, ciągnąc za sobą surogatkę, a siostrzenica Diuszesy pospiesznie rejteruje pod okno, skąd patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

Roślina nie przestaje wzrastać.

Wspina się wyżej, rozprzestrzenia na boki i niszczy kolejne półki. Zwierciadło spada na podłogę, roztrzaskując się na milion kawałków, a za nim podążają: obraz w ciężkiej ramie i książki. Po raz pierwszy w życiu nie chcę przestać uprawiać Augurii. Nie mam nic przeciwko temu, by cały ten pałac poszedł w drzazgi. Moja złość sprawia, że jeszcze przed chwilą wąty, kwiatek kipi wprost energią. Mam wrażenie, że płonie mi głowa, a między stojącymi na sztorc włosami przeskakują iskry.

Muszę to przyznać Diuszecie - jest odważna. Nie ucieka, tylko udaje, że właśnie tego się spodziewała. Wreszcie ogień wypala się i roślina zastyga w bezruchu. Zabieram dłoń i przełykam z trudem gulę w gardle. Ostry ból w szyi i barkach zamienia się w tępe pulsowanie.

Diuszesa obraca się w stronę Pani Płomienia.

- Zadowolona? - pyta z sarkazmem.

W tym momencie rozlega się pukanie do drzwi.

- Wybacz na moment, Sapphire. - Diuszesa bierze mnie za łokieć. Obracam się za nią i wtedy napotykam przerażone spojrzenie tamtej surogatki. Boi się mnie? To... dziwne. Posyłam jej półuśmiech w nadziei, że trochę ją to rozluźni, ale dziewczyna sztywnieje jeszcze bardziej, spoglądając to na mnie, to na prowadzącą mnie do drzwi gospodynię.

W korytarzu czeka na nas Cora.

- Och, kto by przypuszczał... - Diuszesa kręci głową. - To było... No cóż, imponujące, żeby ująć to jak najkrócej. Może powinnam dać doktorowi Blythe'owi podwyżkę. Myślałam, że Sapphire zemdleje. Była biała jak ściana. Dom Jeziora nie jest tym, czym był wcześniej? Oczywiście. Paradne! Co za idiotka. - Wzdycha ciężko i pociera czoło grzbietem dłoni. - Czuję się wyczerpana, Coro - oznajmia. - Mam wrażenie, że mo-

je życie ogranicza się do aranżowania mariaży i naprawdę nie wiem, z kim jest trudniej, z siostrzenicą czy z synem. - Spogląda na mnie. - Ciesz się, że nie będziesz miała własnych dzieci.

Mrugam, zaskoczona tą uwagą. Powiedziała to tak beztrąsko, jakby gratulowała mi samodzielnie dokonanego wyboru, jakbym sama uznała, że nie pragnę potomstwa.

- Jak idzie, pani? - pyta Cora.

- Zgodnie z przewidywaniami, czyli fatalnie. - Diuszesa potrząsa głową. - Przyjechał już?

- Tak, pani.

- Mam nadzieję, że jest wart swojej ceny. Kiedy byłam nastolatką, nie kosztowali fortuny!

- Jestem prawie pewna, że poczujesz się usatysfakcjonowana, pani.

Diuszesa znów wzdycha.

- Miejmy to już za sobą... Przerwij nam za jakieś trzy minuty, powiedz, że przyszła ważna wiadomość. Sprawa nie jest zamknięta, ale obawiam się, że dłużej nie wytrzymam.

- Tak, pani.

- Ach! I powiedz w kuchni, żeby przygotowali dla niej coś specjalnego - dorzuca, machając dłonią w moim kierunku. - Zasłużyła.

- Oczywiście, pani.

Gdy Diuszesa znika w bawialni, Cora obraca się do mnie.

- Masz natychmiast wracać do siebie - mówi sucho.

- Rozumiem.

Kiwa głową i spieszy za swoją panią.

Przez kilka chwil stoję i patrzę na jej oddalające się plecy. Oto wydarzył się cud. Po raz pierwszy od dnia, w którym przybyłam do tego pałacu, jestem sama.

ROZDZIAŁ 14

Słyszę uporczywy łomot krwi w skroniach, gdy idę szybko korytarzem prowadzącym do sali balowej.

Chcę obejrzeć ten pałac po swojemu, zwiedzić miejsca, w których jeszcze nie byłam, sama zdecydować, co chcę zobaczyć, a czego nie. Przemykam cicho za plecami pokojówek myjących wychodzące na ogród okna; dbając o to, by żadna z nich mnie nie dojrzała.

Mijam przeszklone patio i galerię rzeźb oddzielającą mnie od głównego foyer. Nieprzyjemny zapaszek podpowiada mi, że jestem niedaleko pokoju Diuka. Słyszac zbliżający się pomruk głosów, ukrywam się w małym gabinecie. Przez szparę w drzwiach podglądam dwóch kierujących się w stronę biblioteki Gwardzistów. Czekam, nasłuchując, żeby upewnić

się, że na pewno znikli, kiedy mój wzrok pada na malutki portret Diuszesy w owalnej ramie, stojący na szczycie zamkniętego sekretarzyka.

Obraz pojawia się w moim umyśle sam z siebie. Nie mogąc się powstrzymać, wyciągam dłoń i dotykam palcem policzka Diuszesy.

Najpierw ujrzyj, jaki jest. Potem ujrzyj w myślach swych. Wreszcie wolą skrepuj go.

Wici zgniłej zieleni zaczynają pełznąć po twarzy portretu, zastępując stopniowo jasnokarmelowy kolor. Nigdy wcześniej nie używałam pierwszej Augurii z takim wyczuciem. Nie ważne, jak bardzo nie lubiłabym wizyt w gabinecie doktora Blythe'a, znacznie poprawiają one moje zdolności. Uśmiecham się paskudnie, patrząc na swoje dzieło. Teraz Diuszesa wygląda równie brzydko, jak się zachowuje.

Wiem, że to ryzykowne, ale postanawiam zostawić swój znak w tym morzu zbytków.

Wyślizguję się na korytarz, mijam bibliotekę i skręcam w lewo, a potem w prawo. Cichutko mijam główną jadalnię i znajduję korytarz, którego wcześniej nie widziałam. Wykonany w całości ze szkła, łączy główną bryłę pałacu ze wschodnim skrzydłem.

Na pierwszy rzut oka wschodnie skrzydło wygląda tak samo jak reszta budowli, im jednak bardziej się w nie zagłębię, tym staje się mniej wystawne. Korytarze tutaj nie są pokryte tapetami, ale pomalowane na zgaszone kolory, wśród których królują odcienie beżu i fioletu. Na ścianach wiszą obrazy - bezosobowe pejzaże w prostych ramach.

Posuwam się coraz dalej na wschód, szukając jakichkolwiek prowadzących na zewnątrz drzwi. Cisza panująca w tym skrzydle sprawia, że własne kroki wydają mi się zbyt głośne.

- ... że to nie jest uczciwe.

Wypowiedziane dziewczęcym głosem słowa sprawiają, że prawie podskakuję.

- Wiem, Mary, ale nie możesz nic na to poradzić - odpowiada inna dziewczyna.

Nie potrafię się zorientować, skąd dochodzą głosy. Spanikowana, szukam miejsca, gdzie mogłabym się schować. Drzwi po lewej okazują się zamknięte. Drzwi po prawej również.

- Niemowa jest dwa lata młodsza ode mnie. To ja powinnam była zostać wybrana na dworkę surogatki.

Niemowa. Mówią o Annabelle.

Zawracam biegiem, sprawdzając kolejne drzwi w korytarzu. Niestety, żadne z nich nie są na tyle łaskawe, by się przede mną otworzyć.

- Może z tą surogatką nie wyjdzie? - mówi drugi głos. - Surogatka Wybranki nie żyje, kilka innych też wąża kwiatki od spodu. Wiesz, że Diuszesa nie użyje dwa razy tej samej dworki, prawda?

Zbliżają się. Usiłuję przypomnieć sobie, jak tu trafiłam, ale muszę przyznać sama przed sobą, że nie mam pojęcia, gdzie jestem i jak właściwie się tu znalazłam.

- Słyszałam, że ta jest specjalna. Diuszesa wprost pieje z zachwytu. Skacze wokół niej, jakby była ze złota. Zastanawiałam się, czy jeszcze w ogóle jakąś kupi. Wyobrażasz to sobie? Przez dziewiętnaście lat wracać z Aukcji z pustymi rękoma?

Strzygę uszami. Nie rozumiem. Dziewczyny wyraźnie mówią o mnie, ale ich słowa wydają się nie pasować do sytuacji. Nie zauważyłam, żeby Diuszesa wokół mnie skakała, a już na pewno nie pieje z zachwytu.

- Widziałaś ją? - pyta druga dziewczyna. Słyszę już ich kroki. Dochodzę do końca korytarza w nadziei, że skręcę w ko-

lejny, ale okazuje się, że to ślepy zaułek. Oby jedne z dwojga drzwi okazały się otwarte. To moja ostatnia szansa.

- Raz, kiedy sprzątałam bibliotekę. Ma niesamowite oczy - odpowiada dziewczyna imieniem Mary.

Pierwsze drzwi są zamknięte.

- Tak słyszałam. Jest miła?

Spotniałam ze strachu dłonią sięgam ku klamce. Och nie, nie mogę zostać złapana! Jakież powód miałabym wymyślić? Jak usprawiedliwić to, że włóczę się po wschodnim skrzydle bez opieki?

Proszę, proszę, proszę...

Otwarte. Przez sekundę jestem zbyt zaskoczona, by się ruszyć, a potem wpadam do pokoju, starając się jak najciszej zamknąć za sobą drzwi.

Przez warstwę drewna słyszę szelest sukien i stukanie obcasów. Oddychając głęboko, opieram się ciężko o futrynę, czekając, aż pokojówki się oddalą.

- Skąd mam wiedzieć? Nie rozmawiała ze mną, przecież nie jestem jej dworką.

Mary musi się znajdować tuż obok pokoju.

- Przynajmniej Carnelian już niedługo wyjdzie za mąż. Co za ulga, nie będziemy musiały dłużej jej znosić.

- Im szybciej, tym lepiej - prycha Mary. Dźwięk ich kroków staje się coraz cichszy, a gdy dziewczyna znowu się odzywa, jej głos dobiega z oddali. - A słyszałaś, że...

Poszły sobie.

Z ulgą wypuszczam wstrzymywany oddech, a potem opieram czoło o chłodne drewno i kładę dłoń na sercu, próbując zmusić je, by wreszcie się uspokoiło.

- Och, Violet - szepczę głośno. - Ale ty jesteś głupia. Nigdy więcej.

Wbrew samej sobie wybucham histerycznym śmiechem, zupełnie jakby uczucie ulgi do cna pozbawiło mnie rozumu. Gdy atak absurdalnej wesołości mija, rozglądam się po pomieszczeniu. Jestem w niewielkim salonie, naprzeciwko mnie dostrzegam kolejne drzwi, a pod ścianą stoi sofa na pazurzastych łapach i niski kawowy stolik. Przez samotne, łukowate okno do pomieszczenia wpadają ciepłe promienie popołudniowego słońca, oświetlając wielki obraz olejny, przedstawiający mężczyznę w zielonym stroju do polowania, z potężnym psem u boku.

Wciąż jeszcze chichoczę, gdy wewnętrzne drzwi nagle się otwierają.

Serce podskakuje mi do gardła tak szybko, że mało brakuje, a bym się nim zadławiła. Instynkt każe mi uciekać, nie mam jednak dokąd. Gdy widzę, kto wchodzi do pokoju, wszelkie myśli o umknięciu chyłkiem wylatują mi z głowy. Nawet gdybym mogła uciec i tak bym tego nie zrobiła, bo nie mogę się ruszyć. Mam wrażenie, że po prostu skamieniałam.

W drzwiach stoi chłopak... Nie, nie chłopak, a młody mężczyzna mniej więcej w wieku syna Diuszesy. Wysoki i smukły, ma brązowe, zupełnie nieuczesane włosy, silną szczękę i usta, które wydają się krzywo uśmiechać. Jedną dłoń trzyma w kieszeni spodni, a górny guzik koszuli ma swobodnie rozpięty.

Jego spojrzenie sprawia, że robi mi się słabo. Ma piękne, szarozielone oczy i patrzą na mnie tak, jak nikt nie patrzył na mnie od dnia, w którym się tu pojawiłam. Jakbym była osobą, a nie bezimienną surogatką. To sprawia, że nagle czuję się dziwnie lekka, jakbym miała za moment unieść się w powietrze.

- Witaj - mówi miękkim, ciepłym głosem, brzmiącym lepiej niż każdy, nawet najdoskonalej nastrojony instrument. Moja wiolonczela brzmiałaby przy nim zgrzytliwie.

Patrzy na mnie z wyczekiwaniem, a ja nie mogę znaleźć słów.

- Nie słyszałam, jak wszłaś - wyjaśnia wreszcie. - Wybacz, jeśli musiałaś na mnie czekać.

Mogę się tylko gapić. Mężczyzna uśmiecha się szerzej i oddech więźnie mi w płucach. Za chwilę się uduszę.

- Rozumiem, że czujesz się zdenerwowana, to normalne. Wiem, że jesteś tu od niedawna. Klejnot potrafi być przytłaczający.

Zmuszam się do skinięcia głową, zawsze to jakaś forma komunikacji. Skąd ten facet wie, kim jestem?

Zamyka za sobą drzwi i nagle pokój sprawia wrażenie zbyt małego dla nas dwojga.

- Zechciałabyś usiąść? - pyta kurtuazyjnie. Nie jestem pewna, czy potrafię zmusić ciało do ruchu. Moje usta sprawiają wrażenie zespolonych jakimś wyjątkowo mocnym klejem. Chcę coś powiedzieć, ale mózg odmawia współpracy. Skoro jestem niema, patrzę - na jego zwinne ruchy, na krzywiznę warg, wreszcie na oczy o kojącym spojrzeniu. Mężczyzna parska śmiechem, a wtedy moje serce nadyma się niczym balon, grożąc wybuchem. - Wiem, że nie miałaś wcześniej towarzysza, ale możesz do mnie mówić. Bez obawy, jestem tu dla ciebie.

Dla mnie? Budzi się we mnie nadzieja. Dla mnie.

- Dlaczego? - wyduszam z siebie i czerwienieję słysząc, brzmienie własnego głosu.

Mężczyzna wydaje się uradowany tym, że wreszcie doczekał się jakiejś reakcji z mojej strony.

- Matka nigdy nie wyjaśniła ci, kim są towarzysze?

Potrząsam głową.

- Ale... Na pewno ktoś' spośród twoich przyjaciół miał kogoś takiego?

Namyślam się przez chwilę.

- Czy... Czy wszyscy towarzysze wyglądają jak ty? Znow wybuchają śmiechem, tym razem głośniejszym.

- Nie dokładnie, ale ogólnie rzecz biorąc, tak.

- A więc nie - odpowiadam. - Absolutnie nie. Na jego twarzy pojawia się wyraz zamyślenia.

- Może usiądziemy?

- Och. Jasne. - Idąc w kierunku sofy z niezaprzeczalną gracją obijam sobie pizczel o kant stołu. Boli.

- Wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest - zapewniam, starając się nie krzywić. O rany... To dziwne, nie przypominam sobie, żebym wcześniej była taka niezdarna. Mam wrażenie, jakby różne części mojego ciała uzyskały autonomię i miały raczej nikłe pojęcie o tym, na czym polega współpraca.

- No dobrze... - Mężczyzna przygląda mi się z ciekawością. - Może opowiesz mi coś o sobie?

Od bardzo dawna nikt mnie o to nie prosił.

- Co chcesz wiedzieć?

Odchyła się wygodnie, zarzucając ramię na oparcie kanapy. Nie umiem nie zwracać uwagi na jego ciało, na kształt jego dłoni i ramion oraz jasną, skrywającą dobrze wyrzeźbione mięśnie skórę. Chciałabym, żeby przestały palić mnie policzki. Może powinniśmy otworzyć okno...

- Cokolwiek. Wszystko. Co najbardziej lubisz robić? -Ja... Grać. Kocham muzykę.

- Naprawdę? - W jego oczach pojawia się błysk. - Na jakim instrumencie grasz?

- Na wiolonczeli.
- To jeden z moich ulubionych. - Uśmiecha się do mnie ciepło. - Wiesz, w zeszłym roku widziałem koncert Stradivariusa Tanglewoda w Królewskiej Sali Koncertowej. Nagle zapominam o tym, że jestem zdenerwowana.
- Naprawdę? Widziałeś go na żywo?
- Zgaduję, że jesteś fanką.
- Fanką? Stradivarius Tanglewood to najbardziej utalentowany wiolonczelista stulecia. Jest... To znaczy, jak można...
- Nie wiem, jak to ująć w słowa. „Fan” brzmi tak trywialnie. W Bramie prawie wykończyłam gramofon, odsłuchując raz po raz ulubione utwory. To on mnie zainspirował.
- Jestem zaskoczony, że nie poszłaś. Cudowny koncert.
- Na pewno. Zagrał Menueta d-moll? Mężczyzna wygląda na żywo uradowanego.
- Zagrał. Ale najbardziej lubię Preludium G-dur. Wiem, że to w sumie dość prosty utwór, ale...
- Ja też go uwielbiam! - Och, nie planowałam krzyknąć. Wyraźnie zszokowałam tym nieznajomego. - To, hmmm, pierwszy utwór, którego się nauczyłam - dodaję spokojniejszym już tonem.
- Może znów niedługo wystąpi. Z radością cię wtedy zabiorę. Choć muszę przyznać, że tak naprawdę wolę Reeda Purlinga. Literalnie opada mi szczęka.
- Reed Purling?! Żartujesz? Purling nie dorasta Tanglewoodowi do pięt! Ma gorszą technikę i styl, a jego frazowanie jest tak niezgrabne, jakby facet miał wrażliwość pogrzebacza.
- Niejednokrotnie spierałam się o to z nauczycielem muzyki z Bramy Południowej. - To tak, jakbyś chciał porównać mistrzowsko oszlifowany diament i kawał kwarcu.

Mogłabym ciągnąć dłużej, ale przerywa mi wybuch śmiechu.

- Nigdy wcześniej nie spotkałem dziewczyny z Banku, która tak bardzo kochałaby muzykę - mówi drżącym od wesołości głosem, po czym delikatnie przesuwa dłonią po moim policzku.

Serce wali mi tak mocno, że mało nie połamię żeber. Czuję się skrępowana hałasem, jakie robi, ale jedyne, na czym potrafię się skoncentrować jest dotyk palców na mojej skórze i to, jak na niego reaguję. Mam wrażenie, że w żyłach mam płynne złoto.

Jakaś część mojego umysłu zarejestrowała jednak ostatnie słowa mężczyzny. Słowa, których nie rozumiem.

- Co masz na myśli, mówiąc o Banku? - pytam. Odsuwa dłoń, a w jego oczach pojawia się nieufność.

- Jak to, co mam na myśli? Przecież pochodzisz z Banku. Oszałałe serce bije jeszcze mocniej, ale miejsce zachwytu zajmuje rozpacz. Mrugam szybko, jednak dziwna mgła zasnuwa cały pokój, a kolory bledną. Oczywiście. Powinnam była się domyślić. Wziął mnie za kogoś innego. Przecież nie powinnam tu być...

Bezbłędnie odczytuje wyraz mojej twarzy.

- Nie jesteś z Banku - mówi cicho. Zaprzeczam, czując, jak zaciska mi się gardło.

- Jestem z Bagna - wyznaję zdławionym szeptem. Mężczyzna podskakuje, jakbym razila prądem.

- Nie - mówi, kręcąc powoli głową. - Nie. - Ściska palcami grzbiet nosa. - Proszę, powiedz, że nie jesteś surogatką.

Słowo uderza mnie w twarz równie mocno, jak zrobiła to dłoń Diuszesy. Kiedy mężczyzna znów na mnie spogląda, w jego oczach nie widzę tego, co wcześniej. Patrzy na mnie

tak, jak wszyscy inni i widzi nie mnie, ale to, czym jestem. Rzecz. Przedmiot. Funkcję.

Wiem, że prawdę mam wymalowaną na twarzy. Zdradzają mnie moje własne usta i oczy, które krzyczą: jestem niebezpieczna, nie wolno mnie dotykać, nie mam imienia.

- Co ty tutaj robisz? - syczy mężczyzna, rozglądając się wokół, jakby ktoś mógł nas podglądać.

-Ja... Ja...

Gwałtownie chwyta mnie za ramię.

- Musisz stąd zniknąć. Natychmiast.

Nagle ktoś puka do drzwi. Obydwoje zastygamy w bezruchu, a na naszych twarzach maluje się panika.

- Chwileczkę - mówi mężczyzna zadziwiająco spokojnym tonem, po czym przykładą palec do ust i pociąga mnie w kierunku szafy. Ledwie się w niej mieszczę. Wnętrze jest ciemne i pachnie kulkami na mole. Przykucam w niewygodnej pozycji i wyglądam przez dziurkę od klucza.

Mężczyzna przeciąga dłonią po włosach, poprawia koszulę i otwiera drzwi.

- Dzień dobry - rzuca. To zdumiewające, ale jego głos brzmi tak samo lekko i beztrzesko, jak wtedy, gdy witał się ze mną.

- Dzień dobry. - Natychmiast rozpoznaję intruza. To przypominająca sfrustrowaną mysz siostrzenica Diuszesy.

O nie... Czyżby przyjechał tu dla niej?

- Ciotka jest dzisiaj wyjątkowo nieznośna - wyjaśnia dziewczyna. - Przepraszam za spóźnienie.

- Ależ wcale się nie spóźniłaś. Zapraszam. Dostrzegam mignięcie purpurowej tkaniny, ale barczysta

sylwetka mężczyzny przesłania mi widok. Słyszę trzask zamkniętych drzwi.

- Napijesz się czegoś? -Nie.

Teraz widzę tylko kawałek pokoju w kształcie dziurki od klucza. Przez długą chwilę panuje cisza.

- Nie powinieneś ze mną rozmawiać? - pyta z rozdrażnieniem siostrzenica Diuszesy.

- Och, tak, oczywiście. Najmocniej przepraszam. Może powiesz mi coś o sobie?

Ściska mnie w żołądku. Nie podoba mi się, że zadaje jej to samo pytanie, co mnie.

- Myślałam, że jesteś od tego, żeby mówić mi miłe rzeczy. Wszyscy przyjaciele, którzy mają towarzyszy mówili mi, że są obsypywani komplementami. No wiesz, że są piękni, cudowni...

Gdybym nie żywiła ogromnej nadziei, to usłyszę, mogłabym przegapić krótką pauzę przed wymuszonymi uprzejmościami.

- Jesteś bardzo ładna - mówi gładko mężczyzna. Dociera do mnie szelest sukien i dziewczyna pojawia się

w moim polu widzenia. Różne rzeczy można o niej powiedzieć, ale na pewno nie to, że jest ładna. To dziwnie... satysfakcjonujące.

- Podejź tutaj - żąda. Zaciskam zęby. Nie podoba mi się sposób, w jaki się do niego zwraca. Teraz widzę ich obydwójce.

— Nigdy wcześniej nie miałam towarzysza.

- Jestem tego świadom. Twoja ciotka chce ci zapewnić jak najlepszą przyszłość, dlatego zdecydowała się skorzystać z moich usług.

Dziewczyna prychnęła pogardliwie.

- Ciotka nie dałaby za mnie złamanego diamentu. Chce jak najszybciej wydać mnie za mąż i pozbyć się mnie na dobre.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

- Być może tak jest, nie mnie oceniać. Jaśnie Pani nie wtajemnicza mnie w szczegóły.

Siostrzenica Diuszesy szarpie w zamyśleniu wstążki przy sukience.

- No więc... Jesteś tutaj, by nauczyć mnie, jak uszczęśliwić mężczyznę?

Co? Nie! Rany... Absolutnie nie! Po to tu jest? Naprawdę?

Jego usta wyginają się w kuszącym uśmiechu.

- Jestem tutaj, by nauczyć cię jak czerpać przyjemność z bycia z mężczyzną. To on ma uszczęśliwiać ciebie.

Nie mogę winić dziewczyny za to, jak reaguje na jego słowa. Jej paciorkowate oczy rozszerzają się, a wargi rozchylają.

- Kiedy zaczynamy? - pyta. Mężczyzna wybucha śmiechem.

- Niebawem. To spotkanie to tylko preludium.

- Och. - Dziewczyna krzywi się, a ja oddycham z ulgą. Potem wyciąga przed siebie dłoń. - Jestem Carnelian, Carnelian Silver. Ale pewnie już to wiesz.

Carnelian. Co za głupie imię.

Mężczyzna ujmuje jej dłoń i składa na niej dworny pocałunek.

- Bardzo mi miło, Carnelian. Jestem Ash Lockwood. Ash. Więc nazywa się Ash. Powtarzam bezgłośnie to imię w ciemnościach szafy i bezwiednie się uśmiecham.

- Ale wolno nam się całować, prawda? Moja przyjaciółka Chalice mówiła mi, że jej towarzysz mógł ją całować, dotykać i w ogóle. - Carnelian patrzy na Asha wybałuszonymi oczyma z nadzieją, że uzyska potwierdzenie.

Wyobraziłam to sobie, czy Ash naprawdę spojrział w stronę szafy?

- Mamy mnóstwo czasu, by przedyskutować szczegóły mojej roli - mówi gładko. - Mam wrażenie, że zbliża się czas kolacji i powinnaś zadbać o swoją garderobę.

- Zjesz z nami? - pyta Carnelian.

- Tak, a więc również muszę się przebrać. Dziewczyna obcina go wzrokiem od stóp do głów.

- Może jakość życia tutaj znacznie się niebawem polepszy - mruczy, a potem podchodzi do drzwi i czeka, aż Ash je przed nią otworzy.

- Było mi niezmiernie miło, Carnelian Silver - mówi Ash. Na ustach Carnelian pojawia się triumfalny uśmiezek, który wcale nie dodaje jej urody.

- Mnie również było miło, Ashu Lockwoodzie. Niebawem znów się spotkamy.

Ash zamyka za nią drzwi i opiera się czołem o ich gładką powierzchnię. Przez bardzo bolesną sekundę myślę, że zupełnie o mnie zapomniał. Po chwili jednak wzdryga się, podchodzi do szafy i otwiera ją na oścież.

- Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak trudno było mi to zrobić w twojej obecności? - pyta, spoglądając na mnie spod zmarszczonych brwi.

- To nie była moja wina - protestuję, wstając. Od siedzenia w kucki ścierpły mi nogi i mam problemy z utrzymaniem równowagi. Ash chwyta mnie za łokieć, żebym się nie przewróciła i przez całe moje ciało przebiega dreszcz.

- Zabieraj się stąd! Szybko. Nie mów nikomu, że mnie widziałas albo że ze mną rozmawiałas, albo... Nic nie mów. Rozumiesz? - Po raz pierwszy dostrzegam pęknięcie w jego masce; wyziera spod niej strach.

- Komu miałabym powiedzieć? - pytam cicho. - Nikt ze mną nie rozmawia. Nikt mnie nie słucha.

W jego oczach dostrzegam cień jakiegoś uczucia, chyba litości.

- Idź stąd - powtarza.

Potykając się, podchodzę do drzwi i kładę dłoń na klamce.

- Nie znam drogi - wykrztuszam.

Ash wydaje z siebie przeciągłe westchnienie.

- Ja też nie znam - odpowiada ze wzruszeniem ramion. —
Przykro mi, nie umiem ci pomóc.

Gapię się na niego przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, czy w ogóle kiedyś jeszcze go zobaczę. -Co?

- Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty - wyznaję i natychmiast oblewam się rumieńcem, bo nie zabrzmiało to tak, jak chciałam.

Coś w moich słowach sprawia, że Ash wybucha cierpkim, pozbawionym ciepła śmiechem, a potem opada ciężko na kanapę i ukrywa twarz w dłoniach.

- Proszę - mówi znużonym tonem. - Po prostu idź.

Z płonącymi z zażenowania policzkami wymykam się z pokoju nim mogłabym powiedzieć coś, czego będę żałować.

ROZDZIAŁ 15

Przemierzam korytarze, nieświadoma tego, dokąd idę. W lewo. W prawo. W lewo. W prawo...

Wszystko wygląda znajomo, a jednocześnie zupełnie obco i gdy w pewnym momencie orientuję się, że jestem obok sali balowej, nie umiem odtworzyć drogi, którą tu przyszłam. Moje myśli krążą wokół szarzielonych oczu.

Jedną z mniejszych klatek schodowych wspinam się na piętro i wpadam na Annabelle. Na jej twarzy maluje się przerażenie, któremu nie może dać wyrazu w słowach.

- Przeszłam się po pałacu - wyjaśniam, starając się brzmieć zupełnie niewinnie. - Nie wolno mi?

Sama?

-Tak.

NIE!

- Och, przepraszam. - Mam nadzieję, że wyglądam na skruszoną. Annabelle przyciska dłoń do piersi. Ze zdumieniem konstatuuję, że jej czoło jest wilgotne od potu. - Annabelle, naprawdę przepraszam - powtarzam tym razem bardziej szczerze.

Nigdy bez pozwolenia.

Jej pismo, zazwyczaj bardzo zgrabne, przypomina bazgrały dziecka.

- Bo zostanę ukarana, tak?

Kręci głową i wskazuje na siebie. Do gardła napływa mi żółć.

- Ty zostaniesz ukarana? Przytakuje.

- Dobrze. O rany... Przepraszam, więcej tego nie zrobię. Obiecuję. - Jakże samolubnie się zachowałam, nie myśląc o tym, co stanie się z Annabelle, gdy ktoś mnie przyłapie.

Kiedy wracamy do moich komnat, czeka już na nas Diusza.

- Gdzie byliście? - pyta z wyraźną irytacją.

- W ogrodzie - kłamię gładko, po czym dodaję: - w labiryncie.

- To na wypadek, gdyby sprawdzała i nie mogła nas znaleźć.

Ignoruje moje wyjaśnienia.

- Dzisiaj jest rodzinna kolacja - oznajmia. - Masz być obecna.

- Spogląda na Annabelle. - Przygotuj ją. Siódma trzydzieści w jadalni.

Annabelle dyga.

- Czy to znaczy, że wreszcie spotkam Diuka? - pytam, gdy Annabelle dopina moją blado-srebrzystą suknię z kwiatowym motywem wyszytym maleńkimi szafirami.

Kiwa głową.

- Jaki on jest?

Wzrusza ramionami i robi minę, z której wnioskuję, że nie uważa go za specjalnie interesującą postać. Sadza mnie przy toalecie, po czym zaczyna skręcać mi włosy i upinać je w wysoki kok.

Przed oczyma wciąż widzę twarz Asha. Nie mogę się jej pozbyć, wraca do mnie co kilka sekund, nie dając w spokoju odetchnąć. Wspominam to, jak ma mnie patrzył - jak na osobę, a nie rzecz. Co prawda trwało to tylko kilka minut, ale i tak było jak łyk świeżego powietrza po latach zamknięcia w dusznych kazamatach.

Spoglądam na moje odbicie, na zaróżowione policzki, uśmiech, jaśniejące oczy... Po raz pierwszy dziewczyna w lustrze wygląda na szczęśliwą.

Nigdy nie zastanawiałam się zbyt nad pocałunkami, ale myśl o tym, że Ash mógłby...

Z ust wyrywa mi się chichot i Annabelle rzuca mi podejrzliwe spojrzenie. Przytomnieję.

Wiem, że jestem głupia. Nigdy nie będzie mi wolno pocałować tego mężczyzny. Więcej, najpewniej nigdy już go nie zobaczę.

- Och! - wykrzykuję, przypominając sobie, że Ash ma być na kolacji.

Annabelle patrzy na mnie z mieszaniną troski i zaciekawienia.

- Och, auć. Szpilka mnie ukłuła. Nic mi nie jest. Biedna Annabelle zagryza dolną wargę i wraca do upinania koka z niepotrzebną wcale ostrożnością.

Mam wrażenie, jakby płuca skurczyły mi się o połowę, a serce biło dwa razy szybciej niż zazwyczaj. Kiedy Annabelle

kończy przygotowywanie mnie, rozsmarowując tu i ówdzie odrobinę wonnego olejku, jestem o krok o hiperwentylacji.

- Jest doskonale - mówię lekko drżącym głosem.

Suknia spowija mnie niczym księżycowe światło, a w moich włosach połyskują spinki ze szmaragdami i perłami. Usta mam pociągnięte różem, oczy zaś bladym fioletem, który znakomicie podkreśla nietypowy kolor moich tęczęwek. Jestem ciekawa, czy Ash uzna, że jestem ładna.

Przestań, Violet, ganię sama siebie. To, co pomyśli Ash, jest zupełnie bez znaczenia.

Gdy przemierzamy korytarze, zaczynam sądzić, że wolałabym jednak nie iść na tę kolację. Nerwy mam napięte jak struny wiolonczeli.

Wreszcie zatrzymujemy się pod drzwiami jadalni. Annabelle przez chwilę uważnie mi się przygląda, po czym poprawia idealnie ułożoną spódnicę.

OK?

Przytakuje, niezdolna, by wypowiedzieć choć słowo. Annabelle rzuca spojrzenie na jadalnię i uśmiecha się krzywo. *Genialne jedzenie.*

Parskam nerwowym śmiechem, a wtedy daje znak lokajowi stojącemu przed wejściem. Mężczyzna otwiera przede mną drzwi i ogłasza:

- Surogatka Domu Jeziora.

Na uginających się nogach wchodzę do jadalni.

Wygląda dokładnie tak jak ją zapamiętałam.

Błyszczące dębowe meble, bordowe ściany, żyrandol z mnóstwem świec - jedyna różnica, to zebrane dzisiaj towarzystwo. Po lewej mam Diuszesę i dwóch mężczyzn w smokingach. Diuszesa ma na sobie jedwabną suknię w odcieniu głębokiego błękitu, a w dłoni obleczonej w rękawiczkę trzyma z gracją

kieliszek szampana. Po prawej stoją rudowłosa Pani Szkła, Carnelian i Ash.

Na widok Asha serce zamiera mi w piersi. Widziałam go ledwie kilka godzin wcześniej, ale jakimś cudem wydaje mi się przystojniejszy, niż mi się wydawało.

Gdy wchodzę do jadalni, wszyscy poza nim unoszą wzrok. Ash udaje, że jest bardzo zajęty podawaniem Carnelian kieliszka.

Nie wiem, w jaki sposób, ale wyrzuciłam z pamięci to, że na kolacji będzie również siostrzenica Diuszesy. Z niejakim żalem zauważam, że odziano ją w bardzo ładną haftowaną tunikę, a włosy ma upięte w znacznie bardziej niż zazwyczaj szykowną fryzurę.

- Podejść, proszę - rozkazuje mi Diuszesa.

- A więc to jest ta surogatka? - pyta wyższy z dwóch mężczyzn. Jest chudy, ma miedzianą skórę i wielki nos. Jego oczy są równie ciemne jak oczy Diuszesy, ale mają okrągły, a nie migdałowy kształt. Przygląda mi się uważnie spod grubych, przypominających włochate gąsienice brwi, popijając bursztynowy płyn z kryształowego kielicha. - Byłem ciekaw, kiedy wreszcie ją ujrzę.

- Och, kochanie, byłeś taki zajęty - mruczy Diuszesa. - I co sądzisz?

Mężczyzna wzrusza ramionami.

- Znasz się na tym lepiej ode mnie, moja droga. Z pewnością jest ładniejsza niż ta, która urodziła Gameta.

To musi być Diuk. Nie podoba mi się ani to, w jaki sposób mówi, ani to, jak na mnie patrzy. Po plecach przechodzą mi ciarki.

- Moja żona mówiła mi, że masz wobec niej wielkie plany - odzywa się drugi mężczyzna. Jest znacznie grubszy od

Diuka, ma czerwone policzki i potężny brzuch wydymający eleganckie odzienie. Przelotnie zastanawia mnie, czy sterczące na wypukłości guziki przypadkiem nie wystrzelą.

- O tak - odpowiada Diuszesa. - Długo czekałam na su-roгатkę taką jak ona. Moja córka będzie nadzwyczajna.

- Nasza córka — poprawia ją Diuk.

Na wargach Diuszesy pojawia się lodowaty uśmiezek.

- Tak, racja. Nasza córka.

Drzwi do komnaty otwierają się i lokaj zapowiada kolejną osobę.

- Garnet, syn Domu Jeziora.

Garnet wmaszerowuje do środka krokiem znacznie pewniejszym niż w noc zaraz po Aukcji. Tym razem nie jest pijany. Jego jasne włosy zaczesane są gładko do tyłu, a nienagannie skrojony smoking opina się na szerokich ramionach.

Spoglądam to na niego, to na Asha. Obydwaj są bardzo przystojni, jednak Ash wydaje mi się o wiele bardziej naturalny. Uroda Garneta zdaje się być bez najmniejszej skazy, pełne usta, prosty nos, blada cera. Syn Diuszesy wygląda, jakby właśnie zszedł z okładki któregoś z plotkarskich magazynów Lily, ale w niczym nie przypomina swoich rodziców. Pewnie surogatka, która go urodziła, była świetna w Kolorze i Kształcie.

- Matko, ojczy. - Garnet kłania się lekko Diuszesie i Diukowi, po czym sięga po stojący na tacy kieliszek z szampanem. - Czyżbym się spóźnił?

Mięsień na szczęce Diuszesy zaczyna lekko drgać. W tym momencie rozlega się dźwięk dzwonka.

- Usiądziemy? - pyta uprzejmie Diuk.

Siadam po prawej stronie Diuszesy, która po lewej ma Diuka, a dalej Garneta. Wolne miejsce obok mnie zajmuje Pani Szkła, za nią siada jej mąż, potem Carnelian, na koń-

cu zaś Ash. Skutek jest taki, że ja i Ash siedzimy prawie na-przeciwko siebie.

Nie patrzy na mnie. Zdaje się prześlizgiwać wzrokiem gdzieś ponad moją głową, zupełnie jakby mnie tu nie było, jakbym była niewidzialna.

Ból, jaki sprawia mi jego zachowanie, jest niemal tak samo ostry jak ten po użyciu Augurii, jednak tym razem to nie mój mózg zdaje się podręczną poduszką na szpilki. Przeklinając się w duchu, koncentruję się na rozkładanej na kolanach serwetce.

Nie powinnam się tak czuć. To głupie. Przecież nawet go nie znam. Co za różnica, czy na mnie patrzy, czy nie?

Służący stawia przede mną talerz z sałatką ze szpinaku, buraków i koziego sera, ale po raz pierwszy od dnia pogrzebu Dahlii nie mam ochoty na jedzenie. Wszystko smakuje jak papier.

- Pearl - rzuca Pani Szkła, gdy inny służący napełnia jej kielich. - Twoja siostrzenica opowiadała mi urocze historie o jej życiu w Banku. Wiedziałaś o tym, że sama pomogła ojcu przy prasie drukarskiej? Wyobraź to sobie!

Słowa brzmią szczerze, ale nie mogę wyzbyć się wrażenia, że Pani Szkła i gospodyni w jakiś sposób zabawiają się kosztem Carnelian.

Na policzkach dziewczyny wykwitają krwawe plamy.

-To zdarzyło się tylko raz - wyjaśnia ciotce. - Jego uczeń był chory.

- No cóż - mruczy Diuszesa. - Na pewno było to rozwijające doświadczenie.

Pani Szkła ukrywa uśmiech za kielichem wina.

- Widzę, że wreszcie załatwiłaś jej towarzysza - odzywa się Garret z ustami pełnymi buraków. Przetyka, ociera war-

gi serwetką i wyciąga dłoń do Asha. - Tak przy okazji, jestem Garnet.

Ash uprzejmie ściska jego dłoń.

- Ash Lockwood.

- Przystojniak z niego, prawda, kuzynko? - rzuca Garret do Carnelian, unosząc śmiesznie brwi. - Ile na niego wybuliłaś, matko?

Nozdrza Diuszesy stają się białe jak papier. Ash wykazuje się refleksem i zmienia temat.

- Carnelian pokazywała mi po południu bibliotekę - mówi. - Masz, pani, największy księgozbiór, jaki w życiu widziałem. Robi wrażenie.

- Dziękuję, panie Lockwood. - Uśmiech Diuszesy nie sięga oczu.

- O tak, moja żona jest ogromną wielbicieleką przeszłości - wtrąca się Diuk. - Muszę przyznać, że nie bardzo to rozumiem.

- Wcale tego od ciebie nie oczekuję - zapewnia go żona.

- W końcu czytujesz jedynie księgi rachunkowe.

- Ktoś musi dbać o nasze finanse. - Diuk rzuca znaczące spojrzenie Lordowi Szkła. - Nieprawdaż, Beryl?

- No tak, tak - odpowiada Lord i puszcza do rozmówcy oko.

- Dom Jeziora jest jednym z czterech Domów Założycieli

- oświadcza ostrym tonem Diuszesa. - Moi przodkowie pomogli wybudować Wielki Mur, bez którego ta wyspa już dawno znikłaby w odmętach morza. Pochodzę bezpośrednio od pierwszej Wybranki, która stworzyła Samotne Miasto i pięć kręgów, w tym również nasz ukochany Klejnot. Ocalenie literatury pochodzącej z tamtych czasów to nie tylko przywilej, ale również mój obowiązek. Oczywiście, rozumiem, dlaczego

te kwestie nie są specjalnie frapujące dla osób, których drzewa rodowe nie sięgają tak zamierzchłej przeszłości.

Pani Szkła poprawia się na krześle, a jej małżonek całą uwagę kieruje na sałatkę. Kątem oka widzę, że dłoń Diuka bieleje, zaciśnięta mocno na widelcu.

- Och, matko, daj spokój. Nie dogryzaj ojcu za to, że wspiał się po drabinie społecznej - rzuca Gamet, po czym jednym haustem opróżnia kieliszek i macha na lokaja, by znów go napełnił. - Zrobiłabyś dokładnie to samo, gdybyś należała do Domu Szkła.

- Dziękuję, synu - mruczy Diuk.

Do dyskusji postanawia dołączyć Carnelian.

- Moja mama zawsze mówiła, że nie jest ważne, kim jesteś, ale to, co robisz.

- Twoja matka mówiła wiele różnych rzeczy - odpowiada jej zimno Diuszesa. - I żadnej z nich nie życzę sobie słyszeć przy tym stole.

W pokoju zapada lodowata cisza. Wkładam do ust trochę szpinaku z burakami po to tylko, by w ogóle coś robić. Poprzednia kolacja była chyba przyjemniejsza od tej. Przy najmniej spotkałam Raven. I Luciena.

- A słyszałaś o Pani Zamków? - pyta nagle Pani Szkła, nachylając się przeze mnie do Diuszesy.

Gospodyni nadstawia ucho.

- Co takiego?

- Wiedziałaś o tym, że w tym roku kupiła pierwszą surogatkę?

- Diuszesa przytakuje. - Wszędzie ją ze sobą zabiera! Na zakupy, na wycieczki, do restauracji, nawet przywlokła ją ze sobą do mnie, kiedy zaprosiłam ją na herbatę. To jakiś koszmar, co ona sobie wyobraża?

- Żenujące. Myślisz, że się popisuje?

Kobiety wybuchają okrutnym śmiechem. Diuk, Lord Szkła i Garnet zaczynają rozprawiać o nowym podatku, który Hierarcha chce nałożyć na Farmę, a Carnelian papla Ashowi o planach na weekend. Nagle czuję się przerażająco samotna.

- I jaki numer miała ta jej surogatka? - pyta Diuszesa.

- 102 - odpowiada Pani Szkła.

- 102? A ona paraduje z nią, jakby upolowała coś z pierwszej dziesiątki?

- Och, wiem przecież. Ktoś powinien z nią porozmawiać.

- Nie sądzę, żeby zapewnienie tej surogatce bezpieczeństwa było jakimkolwiek problemem. Nie umiem sobie wyobrazić, kogo mógłby zainteresować jakiś podrzędny Dom trzeciego stopnia. Tej kobiecie po prostu brakuje klasy.

- Może to jej nowa strategia, żeby zwrócić na siebie uwagę Wybranki? - sugeruje Pani Szkła i obydwie znów wybuchają śmiechem.

- Też chce mieć córkę?

- Ależ oczywiście. Tylko jakoś nie mogę uwierzyć, żeby Hierarcha w skrytości ducha marzył o przymierzu z Domem Zamków.

- Och, właśnie! - Oczy Diuszesa rozbłyskują. - Masz już kreację na Bal Hierarchy?

- Mam. Bałam się, że po tej całej aferze z surogatką Wybranka zmusi go do odwołania przyjęcia. Byłaby to niepowetowana strata, nieprawdaż?

Zaciskam zęby na tę obojętną wzmiankę o śmierci Dahlii. Ciekawe, czy Pani Szkła wie, że rozmawia o tym z jej morderczynią. A jeśli tak, to czy w ogóle ją to obchodzi. Pewnie nie.

Służba zabiera nasze talerze i serwuje kolejne danie, jagnięcinę z miętową galaretką i pieczonymi ziemniakami.
Mięso

jest przepyszne, nie umiem jednak cieszyć się posiłkiem, gdy tuż obok mnie ludzie rozmawiają o surogatkach, jakby były domowymi zwierzątkami albo nową parą butów. Wolałabym zjeść u siebie, w towarzystwie Annabelle.

Mój wzrok co chwila zatrzymuje się na Ashu. Nie mam w sobie dość siły, aby odmówić sobie przyjemności patrzenia. Mam wrażenie, że moją życiową misją jest dowiedzenie się o nim jak najwięcej, zapamiętanie wszystkich błahych pozornie szczegółów. Na przykład tego, w jaki sposób się uśmiecha, zupełnie jakby miał jakiś sekret. Tego, jak jego oczy zdają się zmieniać kolor, przechodząc płynnie od szarości do zieleni. Cierpliwie słucha paplaniny Carnelian, nie sprawiając przy tym wrażenia zirytowanego lub znudzonego. Jego długie palce bezwiednie bawią się nóżką kieliszka. Nie umiem zapomnieć ich dotyku. Nie umiem przestać o tym myśleć. Co jest ze mną nie tak? To po prostu jakiś... mężczyzna. W porządku, bardzo przystojny mężczyzna, który lubi muzykę i rozmawiał ze mną, jakbym była osobą i sprawił, że poczułam się jak pijana, i...

Biorę potężny łyk wina.

- Oczywiście, nie tylko Wybranekę spotkała taka przykrość. - Słowa Diuszesy wyrywają mnie ze stuporu. - Słyszałaś o Pani Dzwonu?

- Och, tak - mruczy Pani Szklą. - Podobno znaleźli jej su-rogatkę martwą w kąpieli. Utopiła się. No cóż, Dom Dzwonu wypadł z rozgrywki o miejsce w Pałacu Królewskim. Będą musieli czekać cały rok, by kupić następną surogatkę.

Diuszesa wzrusza ramionami.

- Pani Dzwonu sama jest sobie winna. Gdyby lepiej chroniła dom, nie miałyby teraz kłopotu. Czasy są niebezpieczne. - Odkrawa kęs jagnięciny. - W każdym razie to dlatego nie

pozwalam surogatce brać kąpiele. Nie można się utopić pod prysznicem, nieprawdaż?

- Czy dobrze słyszę, że zaczął się sezon polowań na su-rogatki? - woła przez stół Garnet. Policzki ma zaróżowione, a spojrzenie podejrzenie błyszczące. Patrzy na mnie. - Lepiej się pilnuj, nowa dziewczyno. Ten rok zapowiada się morderczo. Malutka rączka malutkiego Hierarchy jest do wzięcia i nikt nie odpuści.

Krew odpływa mi z twarzy i, ponieważ cały czas rzucam spojrzenia w stronę Asha, dostrzegam, jak tężeją mu ramiona. Diusza uderza dłonią w stół.

- Natychmiast opuść jadalnię - żąda głosem tak zimnym, że temperatura w pokoju zdaje się o obniżyć o kilka stopni.

Garnet dopija resztkę wina.

- Z przyjemnością - mówi, wstając i kłaniając się matce w przesadnie elegancki sposób. Potem odwraca się na pięcie i wychodzi.

Siedzimy w milczeniu, a Diusza góruje nad nami niczym wyjątkowo wściekła bryła lodu. Mięśnie jej szczęki drgają, jakby przeżuwała słowa, zastanawiając się, które z nich wypowiedzieć.

- Wszyscy wiedzą, jak wielką cierpliwością wykazałam się w ostatnich latach - zaczyna wreszcie, nie zwracając się do nikogo w szczególności. - Podjęłam wszelkie kroki, by zapewnić mojej surogatce bezpieczeństwo. Nic się jej nie stanie. Nie pozwolę na to.

Mam wrażenie, że mówi do mnie, a jednocześnie stara się to ukryć. Zupełnie jakby chciała mnie pocieszyć, ale nie mogła zrobić tego na oczach innych ludzi.

Służba podaje deser i próbuję rozsmakować się w serniku ze świeżymi malinami, jednak wciąż zastanawiam się, ile suro-

gatek zostało już ofiarami politycznych rozgrywek. Co z Raven? I co z Lily?

- Byłby pan łaskaw powiedzieć mi, panie Lockwood - zmienia temat Diusza - od jak dawna jest pan towarzyszem?

Nasłuchuję, udając, że zafascynował mnie widelec.

- Od trzech lat, pani - odpowiada Ash. - Zacząłem w wieku piętnastu lat.

- W którym kręgu się urodziłeś?

- W Dymie, pani.

Z zaskoczenia unoszę głowę. W Dymie? Byłam przekonana, że pochodzi z Banku lub z Klejnotu, a nie z jednego z niższych Kręgów. A więc mamy ze sobą coś wspólnego... To odkrycie sprawia, że czuję w piersi przyjemne ciepło. Tym razem nie umiem sobie wmówić, że nie powinno mnie to obchodzić.

- W której Czwartce żyje twoja rodzina? - dopytuje Diuk.

- We wschodniej, panie.

- O, mamy kilka fabryk w tamtych okolicach. Momencik, mówiłeś, że jak się nazywałeś?

- Lockwood, panie. Ale mój ojciec robi meble w Warsztacie Joindera.

- To własność Domu Kamienia, prawda?

- Tak, panie.

- Kochanie - zwraca się do męża Diusza. - Musimy koniecznie sprawdzić, czy udałoby nam się ulokować ojca tego młodego człowieka w którejś z naszych fabryk, oczywiście na lepszym stanowisku.

- Jaśnie Pani jest ogromnie łaskawa - mówi Ash, mrużąc lekko oczy.

- Wspominałam kiedyś Pani Szkła, że to zdumiewające iż naturalne metody przynoszą tak... wspaniałe rezultaty.

Pańscy rodzice muszą być przepiękną parą. - Popijając wino, Diuszesa spogląda na Asha z dziwnym głodem wymalowanym na twarzy.

Pani Szkła pospiesznie zmienia temat.

- Carnelian, złotko, powiedz mi proszę, jaki numer miała surogatka, która cię urodziła?

To chyba niewygodne pytanie, bo dziewczyna nerwowo wierci się na krześle.

- Mama mówiła, że numer nie jest ważny. Powtarzała, że najważniejsze było dla niej, bym urodziła się zdrowa.

- Och - Pani Szkła marszczy nos. - Jestem pewna, że kupiła najlepszą, jaką mogła.

- Beryl, nie sądzisz, że sprawy surogatek powinny pozostać w damskich kręgach? - zwraca się Diuk do Lorda Szkła. - Co powiesz na kieliszeczek brandy w palarni?

Nie jest mi dane dowiedzieć się, co brzuchaty mężczyzna sądzi o piciu i paleniu w męskim gronie, bo drzwi do jadalni otwierają się z hukiem i staje w nich James, kamerdyner.

- Jaśnie Pani wybaczy, ale z Domu Szkła przybyła ważna wiadomość. - Obraca się i kłania nisko rudowłosej arystokratce. - Pani surogatka rodzi.

- Och! - wykrzykuje Pani Szkła. - Przecież zostały jej jeszcze dwa tygodnie!

W jednej chwili spokojna jadalnia zamienia się we wzburzone morze.

Służący pospiesznie odsuwają krzesła i spieszą po okrycia, a Diuszesa i Diuk składają gratulacje.

- Wszystko będzie dobrze - pociesza Panią Szkła gospodyni. - Garnet urodził się dwa i pół tygodnia przed terminem i okazało się... No cóż, był zdrowy. Weźcie mój automobil, jest szybszy.

- Och, dziękuję! Naprawdę dziękuję! - Pani Szkła całuje Diuszese w policzek. Lord i Diuk żegnają się ze sobą, a potem podeksycytowana para spieszy do drzwi.

- Moja droga - mruczy Diuk. - Myślę, że się oddalę. Nie zaszczycając żony ani jednym spojrzeniem, wychodzi z komnaty.

Diuszesa ciężko opada na krzesło.

- To koniec na dzisiaj - oznajmia, machając dłonią. - Możecie iść.

Ash, Carnelian i ja umykamy na korytarz. Na siostrzenicę Diuszesy czeka już pokojówka w białym fartuszk, nigdzie jednak nie widzę Annabelle.

- Twoja dworka niebawem tu będzie - wyjaśnia służąca. Rozpoznaję jej głos. To ona spacerowała po wschodnim skrzydle. Nazywa się Mary. - Towarzyszy Garnetowi w bibliotece.

- Och. Dziękuję.

- Jak kolacja, panienko? - Pokojówka zwraca się do Carnelian.

- Koszmarnie - burczy dziewczyna. - Czy pan Lockwood może mnie odprowadzić do pokoju?

- To nie byłoby właściwe - odpowiada Ash, unosząc jej dłoń do pocałunku. - Ale zobaczymy się jutro.

Carnelian uśmiecha się szeroko i pozwala prowadzić się pokojówce.

Korytarz pustoszeje. Zostaliśmy tylko we dwoje.

Do Asha świadomość tego podniosłego zdarzenia dociera mniej więcej w tej samej chwili co do mnie. Robi krok w tył, jakby nie chciał stać zbyt blisko mnie. Nie wiem, co powiedzieć, wiem jednak, że bardzo chcę wydusić z siebie choć jedno zdanie. Oszołomiona patrzę, jak Ash odwraca się do mnie tyłem, a potem nieruchomieje.

- To zawsze tak dla was wygląda, prawda? - szepce, patrząc na mnie przez ramię. — I tak wyglądało. Dla surogatek. Po prostu wcześniej tego nie widziałem.

Otwieram usta, nim jednak zdołam odpowiedzieć, Ash rusza szybkim krokiem i znika w głębi korytarza.

ROZDZIAŁ 16

To naprawdę musi być takie ciasne?

Kilka dni po rodzinnej kolacji poinformowano mnie, że mam wziąć udział w Balu Hierarchy wraz z Diuszesą i jej bliskimi. Nie wiedziałam, że obecność na tej ekskluzywnej imprezie nieodłącznie wiąże się z koniecznością wstrzymywania oddechu przez cały wieczór.

Annabelle przewraca oczyma i raz jeszcze szarpie wstążki gorsetu. Przesuwam palcami po sztywnych, wpijających się w ciało fiszbinach. Nigdy wcześniej nie miałam na sobie czegoś takiego i na pewno nie będę za tym doświadczeniem tęsknić.

Obracam się plecami do lustra i Annabelle pomaga mi wdziać około tysiąca halek, po czym przynosi wielki kłęb

błyszczącej materii. Bardzo ostrożnie, by nie naruszyć fryzury, ubiera mnie w suknię. Gdy wszystkie warstwy wyjątkowo niewygodnej kreacji są już na swoich miejscach, cofa się, by ocenić efekt i z radością klaszcze w dłonie.

- Mogę się już zobaczyć? - burczę pod nosem. Przygotowania do balu zajęły kilka godzin i mam ich serdecznie dość. Annabelle parska bezgłośnym śmiechem i obraca mnie tak, bym mogła wreszcie ujrzeć swoje odbicie.

- Och! - wyduszam z siebie. — Och, Annabelle... Suknia ma kolor lawendy, a zdobienia połyskują złotem.

Obfita spódnica wdzięcznie opada na podłogę, a gorset, co muszę niechętnie przyznać, znakomicie podkreśla walory mojej sylwetki. Nie wiem, czy nie aż nazbyt znakomicie - metalowe druty wypchnęły moje ciało do góry i kreacja ukazuje nieco więcej nagiej skóry niżbym chciała. Annabelle zakręciła mi włosy i upięła je tak, że spływają mi na jedno ramię. Makijaż mam mocniejszy niż zazwyczaj, zwłaszcza oczy są podkreślone.

Annabelle dołącza do mnie i w lustrze widzę jej promieniącą twarz.

- Och, nie bądź taka zadowolona z siebie - rzucam, ale nie mogę powstrzymać uśmiechu. - Diuszesa będzie pod wrażeniem.

Idziemy do głównego foyer. Szemrząca w fontannie woda połyskuje lekko w ciepłych promieniach popołudniowego słońca. Ash i Carnelian już czekają i na ich widok serce zaczyna mi szybciej bić.

- Och. Nie wiedziałam, że ty również idziesz - mówi na mój widok Carnelian. Jej różowa suknia jest o wiele bardziej strojna niż moja. Ma piękne koronkowe rękawy i spódnicę jako żywo przypominającą bezę.

- Och. Nie wiedziałam, że ty idziesz - odgryzam się. Ash nie patrzy na mnie, widzę jednak, jak drży mu kącik warg.

Niebawem zjawiają się również Diuk i Diuszesa z nieodłączną, drepczącą im po piętach Corą.

- Jesteśmy spóźnieni — oznajmia Diuszesa, nie siląc się na powitania. - Gdzie jest Garnet?

Przygląda nam się podejrzliwie, jakbyśmy schowali jej syna w którejś kieszeni albo między nieprzeliczonymi halkami. Po chwili wydaje z siebie zmęczone westchnienie.

- I po co w ogóle się o to pytam? Idziemy.

Odzianą w rękawiczkę dłonią ujmuje Diuka pod ramię i ruszają w stronę drzwi. Pod strojnym aksamitnym płaszczem dostrzegam połyskliwą kreację w odcieniu nocnego nieba. Annabelle upina mi na ramionach okrycie, Ash pomaga Carnelian.

- Gdzie jest Garnet? - szepczę. Annabelle uśmiecha się drwiąco i wzrusza ramionami.

Na podjeździe czekają dwa automobile. Powietrze jest chłodne, czuję na policzkach igielki mrozu. Ciaśniej owijam się płaszczem. Nadchodzi wieczór. Diuk i Diuszesa kierują się do pierwszego pojazdu, a Cora prowadzi mnie, Asha i Carnelian do drugiego.

Podróż do Pałacu Królewskiego zdaje się ciągnąć w nieskończoność. Siedzimy z Carnelian obok siebie, Ash zaś naprzeciwko. Wyglądam przez okno, starając się nie słyszeć, jak siostrzenica Diuszesy papla o jakichś błahostkach, pyta o salę balową i chichocze z dowcipów mężczyzny. Mimo starań, nie umiem się wyłączyć. Ash jest gdzieś na skraju mojego pola widzenia, czarno-biała sylwetka, której nie jestem w stanie ignorować.

O zmierzchu pałace wyglądają jeszcze bardziej niesamowicie niż w świetle dnia. Otulone miękkim blaskiem sprawiają bajkowe wrażenie. Królewska Sala Koncertowa jest obficie oświetlona, blad różowa i złocista zarazem. Ash wspomina o koncercie Stradivariusza Tanglewooda. Kiedy Carnelian zadaje pytanie, o kim mówi, mam ochotę złapać się za głowę.

Gdy wjeżdżamy do mrocznego lasu, w którym jedynym źródłem światła są lampy samochodu, spoglądam w ciemne niebo. Setki i tysiące gwiazd wyglądają jak rozsypane na czarnym aksamicie diamenty. Pamiętam noc, gdy pocieszałam się tym, że, niezależnie od okoliczności i ja, i Hazel będziemy widzieć te same gwiazdozbiory. Ciekawa jestem, czy

1 ona patrzy teraz w niebo. Mam nadzieję, że tak.

Dociera do mnie, że Lucien też będzie obecny na balu. Ależ ze mnie idiotka, że nie pomyślałam o tym wcześniej. Wciąż tylko Ash i Ash, jakby nic innego nie było ważne. Potrząsam głową, jakby to mogło pomóc ją oczyścić. Muszę się skoncentrować. Znajdę sposób, by porozmawiać dzisiaj z Lucieniem. Na osobności.

Pałac Królewski wygląda jak płynny ogień, smukłe wieżyczki rozcinają ciemność, spowijając plac czerwonozłotą poświatą. Kierowca zatrzymuje się przy szerokich schodach. Natychmiast pojawiają się lokaje, którzy otwierają drzwi pojazdu, gotowi, by służyć pomocą. Podążamy za Diukiem i Diuszesa do szeroko otwartych frontowych drzwi. Służba odbiera nasze płaszcze, a lokaj prowadzi nas ogromnych rozmiarów korytarzem, na którego ścianach wiszą wielkie olejne obrazy. Moje stopy zapadają się w miękki, złoty dywan. Gdzieś niedaleko gra muzyka.

Nie mogę się doczekać nie tylko Luciena, ale i Raven. Już prawie miesiąc minął od czasu, gdy widziałam ją ostat-

ni raz. To już prawie miesiąc od pogrzebu Dahlii... Aż miesiąc i dopiero miesiąc. Mam wrażenie, jakby to były wieki. Na pewno Raven jest tutaj wraz z Hrabinią Kamienia.

Dochodzimy do bogato zdobionych podwójnych drzwi. Otwiera je przed nami elegancki lokal. Tuż za progiem stoi kolejny, starszy wiekiem. Gdy wchodzimy, uderza trzy razy laską w podłogę i oznajmia głośno:

- Diuk i Diuszesa Jeziora.

Sala balowa pełna jest mężczyzn w smokingach i kobiet odzianych w szykowne toalety. Wielobarwne suknie szeleszczą i wirują w rytmie walca granego przez niewielką orkiestrę, usadowioną na platformie na końcu sali. Za plecami muzyków, przez ogromne okna, widać ogród. Ich Wysokości siedzą na podobnych do siebie tronach i nie mogą pozbyć się myśli, że stanowią dość dziwną parę. Ona jest małą porcelanową lalką z szerokim uśmiechem, a jej perlisty śmiech unosi się nad głowami gości. On przypomina kamień. Siedzi bez ruchu, spoglądając przed siebie, z dłonią zaciśniętą na kielichu wina.

Diuszesa prowadzi nas przez tłumek otaczający parkiet. Jej wejście robi należyte wrażenie, wielu arystokratów zgina się w dwornych ukłonach. Diuk bierze z tacy niesionej przez przechodzącego kelnera dwa kieliszki szampana i podaje jeden żonie. Wśród zebranych dostrzegam ciemnoskórą Diuszesę Łusek, która rzuca Diuszesie porozumiewawcze spojrzenie. Tort z kremem stoi obok niej, potulna i cicha. Rozglądam się za Lucieniem i Raven. Hrabina Kamienia jest naprawdę dużą kobietą. Nie powinnam jej przegapić.

Sala balowa oświetlona jest imponującymi żyrandolami, wokół których, na podobieństwo planet, wirują świetlne kule. Ściany pokryto tapetami w odcieniach złota, miedzi i brązu, a na podłodze pyszni się zachwycająca mozaika z wypole-

rowanego do połysku drewna. Ash zdejmuje z tacy - niesionej przez któregoś z niezliczonych kelnerów - dwa kieliszki szampana, jeden dla siebie, jeden dla Carnelian.

- To niesamowite - mówi siostrzenica Diuszesy, spoglądając w górę. - Byłeś tu wcześniej?

- Tak, kilka razy. - W jego głosie jest coś dziwnego, cień smutku albo żalu. Zastanawiam się, co wspomina, patrząc na tę komnatę.

- Zawsze chciałam iść na bal - oznajmia Carnelian, absolutnie nieświadoma tego, co dostrzegłam. - Ale wcześniej ciotka nie pozwalała mi.

- Właśnie dlatego tu jestem. Potrzebowałam eskorty.

- Garnet towarzyszył mi kiedyś na balu z okazji Najdłuższej Nocy - ciągnie dziewczyna. - To było w Banku. Nie ma porównania.

Wciąż wypatruję Luciena albo Raven, a od czasu do czasu spoglądam na roznoszącą przekąski służbę. Jedzenie na pewno jest wspaniałe. Diuk gdzieś znikł, a Diuszesa jest pogrążona w rozmowie z Hrabinią Róży.

Muzycy zaczynają kolejny utwór.

- Czy zechciałabyś zatańczyć? - pyta Ash Carnelian. Dziewczyna oblewa się rumieńcem.

- T.. .tak - jąka się. - Z.. .z przyjemnością.

Ash prowadzi ją na parkiet. Czuję irracjonalny przyпіływ złości, widząc, jak obejmuje ją w tali ramieniem i zbliża twarz do jej twarzy.

Ponieważ Diuszesa nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi, porywam z tacy kieliszek szampana i wypijam długi łyk. Bąbelki idą mi nosem.

Lokaj anonsuje kolejnych gości. Nie słyszę ich imion, ale kobieta prowadzi swoją surogatkę na smyczy. Na szczęście

przed wejściem na salę, odpina ją i oddaje służącemu. Zirytowana i upokorzona, odwracam się. Mam tego serdecznie dość.

Na parkiecie krąży wiele młodych z wyglądu par, niektórzy mężczyźni są bardzo przystojni i zastanawiam się, czy również są towarzyszami, czy to synowie szlacheckich rodów, którym urodę zapewniły Augurie. Przyglądam się tłumowi. Arystokraci zachowują się ze zwyczajną dla nich arogancją, obcinają innych wzrokiem i rozglądają ze znudzonymi minami, jakby szukali kogoś, o kim można złośliwie poplotkować.

Surogatki wyraźnie odstają od reszty gości. Czekamy grzecznie nieopodal naszych pań i wyglądamy, jakbyśmy chciały być gdzie indziej. Lwica z włosami zaczesanymi w wysoką koronę, stoi niedaleko i zmrużonymi oczyma przygląda się mojemu kieliszкови. Pospiesznie dopijam szampana i odstawiam „dowód zbrodni” na tacę. Lukrowany Tort z tęsknotą wodzi oczyma za wirującymi w tańcu parami. Wciąż nie mogę namierzyć Raven i Luciena.

Nagle moją uwagę przyciąga prowadzona przez Diuszese rozmowa.

-Już niedługo - mówi do Hrabiny. - Doktor Blythe jest bardzo zadowolony z jej postępów. Hrabina wybuchła śmiechem.

- No tak, Sapphire wszystkim opowiada o swojej ostatniej wizycie. Słyszałam, że twoja surogatka zniszczyła całkiem sporą kolekcję porcelany.

Diuszesa wzrusza ramionami.

- Drobiazgi, naprawdę, nic, za czym bym tęskniła. A poza tym, było warto. Mam nadzieję, że ta historia trafi do odpowiednich uszu.

- Och, Diuszesa Łusek mówiła Pani...

- Zdanie Alexandrite kompletnie mnie nie interesuje -oznajmia Diuszesa, wykonując lekceważący ruch ręką. - Tak naprawdę nie pochodzi z Domów Założycieli i jest żoną Diuka ledwie dwa lata. Nie, bardziej martwi mnie Ebony.

Ebony to pani Raven. Przesuwam się kawałeczek w stronę Diuszesy i nadstawiam ucha.

- Tak, zrobiła się bardzo tajemnicza - zgadza się Hrabina. - Nie wróży to za dobrze.

- Będzie dobrze, o ile moja córka przyjdzie na świat pierwsza. To najbardziej istotny czynnik, coś, czego nie da się przegapić. Będzie niezwykła już w chwili, gdy po raz pierwszy zaczerpnie tchu i Jego Wysokość nie będzie mógł tego zignorować.

- A co z Wybranką? - dopytuje Hrabina.

- Powiedzmy szczerze, decyzja nie należy do niej. Wybiera Hierarcha. Nieważne, jak bardzo puszy się Wybranka, jakie kłamstwa opowiada i jak bardzo stara się udowodnić, że jest równa arystokracji, równa nie jest. Jest parwienuszką i parwienuszką pozostanie. - Diuszesa odwraca głowę i spogląda na siedzącego na tronie Hierarchę. Jej oczy stają się zimne jak bryłki lodu. - Nikt nie zna go tak jak ja - cedzi pod nosem. - Nikt. Zapamiętaj to, Amertine.

Hrabina Róży nerwowo przestępuje z nogi na nogę. Ja również nie czuję się komfortowo. Mam wrażenie, że wdepnęłam niechcący w coś bardzo prywatnego.

- Powiedz mi - Hrabina wyraźnie stara się zmienić temat. - Jak tam aranżowanie małżeństwa?

Diuszesa wydaje z siebie głośny jęk.

- Którego? Dom Dolin powinien dać mi odpowiedź w tym tygodniu. Garnet ma przynajmniej tytuł. Carnelian... - Po-
dajam wzrokiem za jej spojrzeniem. Carnelian tańczy, a raczej

próbuję to robić. Wyraźnie brakuje jej choćby odrobiny gracji. - Och, naprawdę żadnych postępów. To dobijające.

- Towarzysz, którego dla niej znalazłaś wydaje się bardzo zaangażowany. To jeden z lepszych, jakich widziałam w ciągu ostatnich lat.

Na wargach Diuszesy pojawia się krzywy uśmiech.

- O tak. Tak.

Jej twarz znów ma ten głodny wyraz, którego nie potrafię zinterpretować. Czuję się mocno nieswojo. Z braku jakichkolwiek produktywnych zajęć, podkradam kolejny kieliszek i jednym łykiem pochłaniam połowę jego zawartości. Moja głowa robi wrażenie przyjemnie lekkiej. Korzystając z tego, że Diuszesa wciąż wpatruje się w parkiet, częstuję się krakersem z serkiem i łososiem. Jest wyborny. Kieliszek z alkoholem skrywam w fałdach sukni.

Taniec wreszcie się kończy i Ash z Carnelian wracają.

- Och, to było cudowne - zachwyca się Carnelian. - Pan Lockwood powiedział, że popracuje w tym tygodniu nad moimi umiejętnościami.

- Dobry pomysł - kwituje cierpko Diuszesa. —Jesteście wyjątkowo uroczą parą - rzuca Hrabina, z trudem skrywając sarkazm.

Nie mogę się powstrzymać, by nie przewrócić oczami. Zdaje mi się, że przez sekundę widzę na twarzy Asha szczere rozbawienie. Po krótkiej chwili obraca się w stronę Diuszesy i kłania.

- Czy zaszczyisz mnie tańcem, pani? - pyta dwornie. Diuszesa jest w łaskawym nastroju i Ash prowadzi ją na parkiet.

Wybornie. Patrzenie jak tańczy z Carnelian było przykre. Patrzenie, jak tańczy z Diuszesą przyprawia mnie o gęsią

skórkę. Opróżniam kieliszek dokładnie w tej samej chwili, w której Lwica unosi do ust swój. Aha, czyli też zdecydowała się na kradzież. Unoszę brew. Dziewczyna wzrusza ramionami i wypija wielki łyk.

Nagle słyszę wybuch głośnego śmiechu i ktoś wpada na mnie tak gwałtownie, że upuszczam szkło i prawie przewracam się na Carnelian. Kilka spinek z moich włosów upada na podłogę. Czuję na karku uwolnione z uwięzi loki.

- Och! - wykrzykuję, z trudem utrzymując się na nogach. To przez szampana.

- Garnet! - warczy Hrabina Róży.

Muszka Gameta jest przekrzywiona, a jego policzki szkarłatne. Wygląda na to, że wlał już w siebie całkiem sporą ilość alkoholu. Towarzyszy mu czterech młodych mężczyzn mniej więcej w jego wieku i mniej więcej w równym stopniu pijanych. Próbują udawać trzeźwych, ale niespecjalnie im to wychodzi.

Garnet nie ma zamiaru ukrywać swego stanu.

- Moje najszczerze przeprosiny, Jaśnie Pani - mówi, składając przed Hrabinią przesadny ukłon. - Nie zauważyłem pani.

- Czy to naprawdę takie trudne nie robić z siebie pośmiewiska? - pyta kwaśno kobieta. - Nie sądzisz, że twoja matka ma wystarczająco wiele na głowie?

- Chodzi o zbliżające się zaślubiny? Czy o brak tychże? - Garnet parska pijackim śmiechem i obraca tak, że teraz widzę jego piękny profil. - Kto by pomyślał, że to - wskazuje swoją twarz - będzie tak trudno sprzedać.

Carnelian wykrzywia wargi.

- Ale z ciebie świnia - rzuca.

- A ty, droga kuzynko, jesteś towarzyską katastrofą, ale kogo to obchodzi? - Bierze kolejny kieliszek szampana. -

Założę się z tobą o dziesięć tysięcy diamentów, że Diuszesa prędzej znajdzie mi żonę niż tobie męża.

- Och. - Na twarzy Cornellii pojawia się wyraz zagubienia. - Nie mam dziesięciu tysięcy diamentów.

- Racja. - Zwraca się do swoich znajomych. - Zbierajmy się stąd, zanim jej czarowna wysokość przybędzie tu z parkietu. Na tyłach sali jest ogród.

- Garnet - zwraca mu uwagę jeden z kolegów, kiwając głową w moim kierunku. - Nie masz zamiaru przeprosić?

- Za co? - Jego nieobecne spojrzenie kieruje się na mnie. - A! To tylko surogatka mojej matki. Chodźmy stąd.

Przepychają się przez tłum, a ich śmiech zagłusza muzykę. Odruchowo dotykam dłonią tyłu głowy w miejscu, gdzie poluzowały się szpilki.

- Wszystko w porządku? - pyta znajomy głos. Obracam się i widzę uśmiechniętego przyjaźnie Luciena. Otwieram usta, chcąc się przywitać, ale kręci lekko głowę. Przełykam słowa.

- Garnet zachował się czarująco jak zwykle - odpowiada Hrabina. - Chyba lekko naruszył surogatkę.

- No tak, tak - mamrocze Lucien, przyglądając się moim włosom. - Bardzo kłopotliwe, bardzo. Ale nie ma się czym przejmować. Zaraz wszystko naprawię i będzie jak nowa jeszcze nim skończy się taniec. Ty! - mówi tak ostro, że aż podskakuję. - Tędy.

Idę za nim przez tłum z pochyloną głową, starając się wyglądać na pokorną i należycie zawstydzoną. Lucien wyprowadza mnie na korytarz i wiedzie ku małej gotowalni. Klucze przy jego pasie pobrzękują cicho. W pokoju jest umywalka, wielkie ścienne lustro i marmurowy blat, na którym piętrzą się przybory do makijażu, spinki do włosów, perfumy i inne niezbędne każdej damie akcesoria.

- Lucien! - wykrzykuje, gdy tylko zamyka drzwi. - Gdzie się...
Lucien przykłada palec do warg i natychmiast milknę. Odpina od kółka kamerton i umieszcza go na blacie. Po chwili przedmiot unosi się i zaczyna buczeć. Dopiero wtedy mężczyzna pozwala sobie na uśmiech.

- Wyglądasz olśniewająco - mówi. Odpowiadam mu uśmiechem.

- Dziękuję. Tyle razy szukałam cię w bibliotece. Gdzie byłeś?
- To niemądre spotykać się dwa razy w tym samym miejscu. Nie w Klejnocie - odpowiada.

- Naprawdę uważasz, że możesz mnie stąd wyciągnąć? - naciskam.

- Tak. Ale czas na odpowiedzi przyjdzie później. - Dokładnie ogląda moją fryzurę, unosząc po kolei uwolnione loki. - Miałem plan, jak cię tu ściągnąć, ale syn Diuszesy i jego upiorne maniery ułatwiły mi sprawę.

Napotykam w lustrze jego poważne spojrzenie. Lucien unosi w dłoni drugi kamerton, bardzo podobny do tego, który już działa. Bardzo ostrożnie wspina mi go we włosy, upinając wolne pasma tak, by nikt nie mógł go dojrzeć.

- Schowaj go, gdy wrócisz do pałacu. Będziesz go potrzebować jutro o północy - szepce mi do ucha. - A teraz wracajmy do twojej pani.

Wyłącza kamerton i przypina go do paska. Nie mówiąc ani słowa, podążam za nim na salę balową, skołowana obrotem wydarzeń i przerażona tym, że ktoś pozna kryjący się w eleganckiej fryzurze sekret.

ROZDZIAŁ 17

Gdy wracamy na salę, Diuszesa i Ash wciąż tańczą. - Wróć do Hrabiny i czekaj na swoją panią - przykazuje mi Lucien ostrym, na użytek publiczności, głosem. Kiwam głową, a potem patrzę, jak przedziera się przez tłum w kierunku Wybranki. Kiedy podchodzi do podwyższenia, Jej Wysokość gestem przywołuje go bliżej tronu. Lucien nachyla się, a wtedy kobieta mówi mu coś do ucha. Jestem ciekawa, co to takiego...
-Violet?

Podskakuję na dźwięk chrapliwego szeptu. Raven stoi nieopodal, do połowy ukryta za jednym z filarów. Ma na sobie piękną szkarłatną szatę i połyskujące w światłach kul, złote bransolety.

- Raven! - Rozglądam się prędko i podchodzę do niej.
- Ciiii! - syczy. — Nie może się zorientować, że znikłam.
- Brodą wskazuje za siebie. Dopiero teraz dostrzegam olbrzymie plecy Hrabiny Kamienia pogrążonej w dyskusji z jakąś kobietą. Chyba z Panią Płomienia. - Wszędzie cię szukałam.

Teraz, gdy minął pierwszy szok, dostrzegam, jak bardzo jest szczupła. Nie, nie szczupła - wychudzona. Kości rysują się ostro w drobnej twarzy, a pod oczyma ma głębokie cienie.

- Nic ci nie jest? - pytam szeptem.

Raven uśmiecha się, ale w grymasie nie ma wesołości.

- Pięknie wyglądasz - mówi. - Właśnie tak, jak cię zapamiętałam. - Mam wrażenie, że patrzy gdzieś przeze mnie.

- Wiesz, że czasem wydaje mi się, że tylko sobie wyobraziłam życie w Południowej Bramie? Ze to był sen... Masz tak samo?

- Nie. O czym mówisz?

Sprawia wrażenie, jakby wcale mnie nie słyszała.

- Była jeszcze jedna dziewczyna. Nasza przyjaciółka. Była ładna, głupiutka i miała jasne włosy. Jak miała na imię?

Gardło mi się ściska.

- Lily - mówię. - Miała na imię Lily. Raven wzdycha z ulgą.

- Tak. Lily. Chyba czasem byłam dla niej wredna. Bezmyślnie pociera ramię i dopiero teraz zauważam, że

złote bransolety nie są wcale bransoletami. To połączone grubym łańcuchem kajdany.

- Co to jest? - pytam z przerażeniem. Uśmiech Raven staje się upiorny.

- Ona niespecjalnie mnie lubi. Powiedziałam jej, że niczego ode mnie nie dostanie. Myśli, że uda się jej odebrać mi

wspomnienia, ale się myli. Nie zapomnę cię. Obiecuję, dobrze? Nie zapomnę.

- Raven, przerażasz mnie - szepczę.

-Ty też mnie nie zapomnisz, prawda, Violet? Nie zapomnisz? - powtarza, cofając się.

- Nie - chrypię, czując jak do oczu napływają mi łzy. -Nigdy. Raven staje u boku Hrabiny Kamienia dokładnie w chwili, gdy opasła matrona obraca się, by sięgnąć po kanapkę.

Czyjaś dłoń chwyta mnie za ramię. Z trudem tłumię okrzyk przestraszenia.

- Myślałem, że do tej pory znajdziesz już drogę do swojej pani. - Lucien mocno ściska mój łokieć, a w jego oczach maluje się ostrzeżenie. - Pozwól, proszę, że będę ci towarzyszył.

Idę za nim, nie mogąc zapomnieć widoku wychudłej twarzy Raven, złotych kajdan i próśb, bym o niej nie zapomniała.

-Tutaj jest, pani - mówi nagle Lucien. Mrugam, bo zupełnie nie wiem, kiedy znaleźliśmy się obok Hrabiny i Carnelian. - Wszystko naprawione.

Taniec dobiega końca i pary zaczynają opuszczać parkiet. Diusza i Ash będą tu za kilka chwil, a ja zupełnie nie mogę się skoncentrować.

- Proszę. - Lucien zdejmuje z tacy kieliszek. - Dla odświeżenia. Nie ma powodu się martwić. Wszystko już w najlepszym porządku.

Słyszę w jego głosie napięcie i wiem, że te słowa mają podwójne znaczenie. Zastanawia mnie, czy widział moją rozmowę z Raven, nie mam jednak jak zapytać. Po kilku sekundach Lucien kłania się i odchodzi.

- Jest pan znakomitym tancerzem, panie Lockwood -mówi ze śmiechem Diuszesa, kiedy dołączają do nas wraz z Ashem.

- A pani ekstraordinaryjną tancerką - odpowiada Ash. Carnelian wzdryga się lekko i, wyraźnie nadąsana, wydyma cienkie wargi. Wzrok Diuszesy przemyka po tłumie.

- Chyba powinnam odszukać męża - mówi. - Amerti-ne, pozwolisz na słowo?

- Oczywiście — zgadza się Hrabina.

Diuszesa spogląda w moim kierunku i nagle wdzięczna jestem Lucienowi za tę lampkę szampana, dzięki której mam co zrobić z rękoma i za którą mogę się schować. Musujący trunek wyjaśnia również przyczynę moich rumieńców i pół-przytomnych oczu.

- Nie wolno ci pić bez pozwolenia - irytuje się Diuszesa. Wyrzywa mi kieliszek i odstawia go na tacę.

Nagle w sali rozlega się głośny huk i muzyka cichnie. Hierarcha i Wybranka wstają, a wtedy tłum milknie i zaczyna giąć się w ukłonach. Dygam grzecznie, patrząc, jak obfite spódnice rozkładają się wokół mnie. Auć! Całe ciało mam obolałe od tych koszmarnych fiszbin!

- Dziękujemy wam za przybycie na doroczny bal - oznajmia Hierarcha głębokim głosem. - Wiedźcie, że jesteście drodzy naszemu sercu i niezwykle ważni dla przetrwania naszego pięknego miasta. Wnieśmy toast na cześć zebranych.

Hierarcha i Wybranka unoszą kieliszki. Mam wrażenie, że uśmiech Jej Wysokości nie jest do końca szczery. Goście prostują się i robią to samo.

- Ten rok będzie bardzo interesujący dla naszej rodziny -ciągnie Hierarcha. — Przed wami, szanowni goście, mój syn i dziedzic.

Pomiędzy ich wysokościami pojawia się pielęgniarka w białym czepcu, niosąc na rękach dziecko. Chłopczyk jest ubrany w złocisty strój wyszywany rubinami i perłami, a jego czerwona buzia wykrzywia się w nieszczęśliwym grymasie. Gdy szlachta zaczyna bić brawo, dziecko otwiera małe usteczka i wydaje z siebie wysoki przeciągły wrzask. Hierarcha posyła pielęgniarce ostre spojrzenie i kobieta pospiesznie wynosi następcę tronu z sali. Przez burzę oklasków słychać oddalający się coraz bardziej płacz dziecka.

- A teraz pora na atrakcje - odzywa się Wybranka. - Widzę, że na sali jest całe mnóstwo nowych surogatek. Może zobaczymy, czyja jest najbardziej utalentowana?

Niesamowita jest ta zdolność arystokracji do zadawania pytań, które tak naprawdę wcale nie są pytaniami. Może to właśnie dlatego Diusza dała mi wiolonczelę. Nie w nagrodę czy jako podarunek, ale żeby przygotować mnie do jakichś dziwacznych zawodów surogatek. Patrzę na nią kątem oka, obawiając się, że zgłosi mnie do udziału w konkursie, ona jednak nie spuszcza wzroku z Hierarchy.

- Moja jest tancerką, Wasza Wysokość - oznajmia głośno Diusza Łusek. - Najlepszą, jaką kiedykolwiek widziałam.

Lukrowany Tort wyraźnie blednie.

Wybranka śmieje się radośnie i klaszcze w dłonie.

- Wspaniale. Zróbcie miejsce!

Patrzę, jak służba eskortuje dziewczynę aż do sceny tuż przed podium i nagle robi mi się jej żal. Tłum podchodzi bliżej, by mieć lepszy widok. Złote pukle drżą, gdy Lukrowany Tort spogląda pytająco na swoją panią. Kobieta odpowiada jej sztywnym kiwnięciem. Nie chcę sobie nawet wyobrazić, co spotka tę dziewczynę, jeśli jej występ się nie uda.

Tort zatrzymuje się na krawędzi improwizowanego parkietu i zdejmuje buty. Później, wśród okrzyków zdumienia i westchnień przestachu, odpina spódnicę i pozwala jej opaść na ziemię, pozostając tylko w halkach i gorsecie.

- Ooooch! - wzdycha Wybranka.

Diuszesa Łusek wydaje się zachwycona uwagą tłumu.

- Tylko w ten sposób może zatańczyć, Wasza Wysokość - mówi. - Spódnica jest zbyt długa.

Wybranka zanosi się chichotem.

- Rozumiem. Potrzebuje jakiejś szczególnej muzyki?

- Nie, Wasza Wysokość - odpowiada Diuszesa z pewnym siebie uśmiechem. - Może tańczyć do wszystkiego.

Wybranka obraca się w stronę orkiestry.

- Zagrajcie nokturn - rozkazuje.

Najpierw rozbrzmiewają skrzypce, po chwili dołączają do nich kolejne, później altówka i wiolonczela. Muzyka jest melancholijna, smutna, nie mogę jednak pozbyć się wrażenia, że altówkę należałoby dostroić. Struna A brzmi zbyt wysoko.

Lukrowany Tort zamyka oczy, unosi ramiona nad głowę i zaczyna tańczyć.

Jest piękna. Nigdy wcześniej nie widziałam, by ktoś poruszał się z taką płynnością - wygląda to tak, jakby jej kości były z gumy, jakby umożliwiały robienie figur i przyjmowanie kształtów niedostępnych zwykłemu śmiertelnikowi. Mam wrażenie, że jasnowłosa dziewczyna każdym skokiem i każdym obrotem opowiada mi jakąś historię. W dziwny sposób przypomina mi to, jak się czuję, grając na wiolonczeli.

Utwór kończy się i Tort zastyga w finałowej pozycji. Wybranka zaczyna klaskać. Szybko dołączają do niej zebrani. Sa-

ma również nie mogę się powstrzymać. Oglądanie tego tańca było jak śnienie cudzego snu. Bardzo pięknego snu.

Dziewczyna dyga wdzięcznie, pospiesznie zabiera buty i ubranie i wraca do swojej pani.

-To było olśniewające - oznajmia Wybranka, nagle przestając klaskać. - Prawda, najdroższy?

- Olśniewające - zgadza się Hierarcha.

- Nie mogę sobie wyobrazić niczego bardziej zachwycającego. - Jej Wysokość uśmiecha się do Diuszesy Łusek, która rumieni się i składa dworny ukłon. - Alexandrite, wydaje mi się, że kupiłaś najbardziej utalentowaną surogatkę na całej Aukcji.

- Nie mogę się z tym zgodzić, Wasza Wysokość. Tłum unisono bierze głęboki wdech, a mnie po plecach

przebiega zimny dreszcz. Diuszesa Jeziora wciąż nie spuszcza wzroku z Hierarchy, a jej czarne oczy błyszczą w świetle kul. Na jej ustach dostrzegam cień uśmiechu.

Jeśli Wybranka również widzi subtelną zmianę w wyglądzie Diuszesy, nie daje tego po sobie poznać. Wydaje się szczerze uradowana.

- Naprawdę? - pyta. - Uważasz, że twoja surogatka jest w stanie przyćmić poprzedni występ?

Diuszesa wprost emanuje pewnością siebie.

- Jestem o tym przekonana.

- Och, uwielbiam rywalizację. Musi wystąpić, natychmiast! Chyba się ze mną zgodzisz, najdroższy?

Hierarcha w zamyśleniu postukuje palcem o brzeg kieliszka.

- Co ona potrafi, Pearl?

Oczy Diuszesy wydają się płonąć.

- Gra na wiolonczeli, Wasza Wysokość.

Władca kiwa głową.

- Przeprowadźcie ją na scenę - rozkazuje służącym. Czuję ostry ból, gdy na moim ramieniu zaciskają się żelazne szpony.

- Nie zawieźdź mnie - syczy Diusza, po czym o wiele łagodniejszym tonem dodaje: - Proszę.

Idę w kierunku orkiestry, wyczuwając chorą ekscytację tłumu liczącego na to, że zbłąźnię się na oczach setek gości. Scena jest coraz bliżej. Wchodząc na pierwszy stopień, potykam się o sukienkę i słyszę stłumiony śmiech. Policzki palą mnie żywym ogniem.

Mężczyzna z siwymi wąsami z wahaniem podaje mi swoją wiolonczelę. Obejmuję palcami jej smukłą szyjkę i wyciągam rękę po smyczek.

Nabrawszy głęboko tchu, obracam się twarzą w stronę widowni. Królewska para opuściła swoje trony i zatrzymała się nie dalej niż dziesięć stóp ode mnie. Za prawym ramieniem Hierarchy stoi Diusza z Diukiem u boku. Ash i Carnelian również podeszli bliżej. A za nimi... Za nimi rozpościera się morze wpatrzonych we mnie twarzy, galaktyka oczu śledzących każdy mój ruch. Drżą mi dłonie, bo nigdy wcześniej nie grałam przed tak liczną publicznością. Widownia, którą wyobrażałam sobie w sali koncertowej Pałacu Jeziora była przyjazna i ciepła. Teraz jest inaczej. Siadam ostrożnie na brzegu krzesła i układam spódnice tak, by wiolonczela wygodnie spoczywała między moimi kolanami. Znajomy kształt trochę mnie uspokaja.

- Czy Wasza Wysokość ma jakieś specjalne życzenia? -pyta Diusza. Nie umiem powiedzieć, do kogo konkretnie się zwraca.

- Z chęcią usłyszę to, co najbardziej lubi grać - odpowiada Wybranka.

Tłum szepce i pomrukuje, wargi niektórych kobiet wykrzywają się w złośliwych uśmieszkach. Nie wiem, dlaczego miałabym czuć się urażona słowami Wybranki ani specjalnie mnie to nie obchodzi. Pragnę zagrać najlepiej, jak potrafię. Oddycham głęboko, zastanawiając się, jaki utwór wybrać.

To, co lubię najbardziej...

W mgnieniu oka nieprzychylna widownia traci na znaczeniu. Wiem, co chcę zagrać i ta wiedza sprawia, że przestaję się bać.

Preludium G-dur. Pierwszy utwór, którego się nauczyłam. Domyślałam się, że Diusza wolałaby, bym wybrała coś bardziej nowoczesnego, coś należycie skomplikowanego, co przekonałoby zebranych, że w grze na wiolonczeli osiągnęłam poziom mistrzowski. Ale preludium G-dur przypomina mi o Raven, Lily i dziewczętach, które wraz ze mną wsiadły do pociągu. Przypomina mi jadalnię w Bramie Południowej, moją maleńką sypialnię, tort z wypisanym lukrem imieniem siostry i te cudowne czasy, gdy śmiech miał jakieś znaczenie, gdy przyjaźń i zaufanie były ważne.

Przesuwam smyczkiem po strunach i pierwsze dźwięki płyną ponad głowami arystokracji. Gram zupełnie bez wysiłku, zanurzam się w muzyce jak w czystej, chłodnej rzece. To moja ucieczka. Oszałamiająca sala balowa znika i oto znów jestem w skromnym pokoju muzycznym pachnącym wypolerowanym drewnem. Tłum znika, zamiast niego patrzą na mnie znajome twarze dziewcząt, które przyszły tu tylko po to, by mnie posłuchać. Wcale nie dlatego, że mam jakiś wyjątkowy talent, który mnie wyróżnia, ale dlatego, że kocham muzykę. Wspomnienia są jak płomień świecy, ogrzewają mnie i rozjaśniają umysł. Mój smyczek tańczy na strunach, dźwięki stają się wyższe i wyższe, a ja czuję się wolna,

bo nikt w tym miejscu nie może mnie dotknąć, nie może mnie skrzywdzić, nie może zranić... Kiedy ostatnia nuta prze-brzmiewa w dusznym powietrzu, odkrywam, że uśmiecham się i płaczę równocześnie.

W sali panuje absolutna cisza.

Unoszę głowę i napotykam przeszywające spojrzenie szarzielonych oczu. Ash nie odwraca wzroku, ja również nie. To, w jaki sposób na mnie patrzy, sprawia, że czuję się żywa. Wiem, że widzi nie tylko surogatkę. Widzi mnie.

Nagle Hierarcha zaczyna klaskać. Po chwili dołączają do niego inni. Hałas jest ogromny, ale tak naprawdę prawie wcale go nie słyszę, bo mój wzrok przyciąga błysk złota i jedyna twarz, której widok sprawia, że zapominam o Ashu.

Raven.

Wyróżnia się pośród strojnych arystokratek, stoi spokojnie ze skutymi rękoma przyciśniętymi do piersi i wygląda na naprawdę szczęśliwą. Patrząc na nią, krzyżuję dwa palce prawej dłoni i przyciskam je do serca. To znak szacunku surogatek z Bramy Południowej. To również znak, że cokolwiek by się stało, nigdy jej nie zapomnę.

ROZDZIAŁ 18

Im dalej w noc, tym bal robi się mniej nobliwy.

Szampan leje się strumieniami, tańce stają się coraz bardziej nowoczesne, a śmiech i rozmowy przetaczają się ponad salą niczym odgłosy burzy.

Po moim występie Diuszesa otrzymuje mnóstwo gratulacji, co wydaje mi się absurdalne, zważywszy na to, że to nie ona występowała. Od czasu do czasu miga mi gdzieś Raven, zawsze jednak ma pochyloną głowę i, trzymając prosto skute rękę, trzyma się w cieniu Hrabiny Kamienia.

Gorąco emanujące od rozgrzanych ciał, mieszające się wonie perfum i nadmiar alkoholu sprawiają, że nie czuję się dobrze. Diuszesa umknęła na parkiet, gdzie wraz z Diukiem dają popis swoich tanecznych umiejętności, Carnelian i Ash

gdzieś znikli, a Lucien pograżył się w ożywionej rozmowie ze służącymi. Garnet i jego znajomi stoją z boku, obserwując grupę dziewcząt i zdecydowanie zbyt często wybuchają szczekliwym śmiechem. Potrzebuję powietrza, więc gdy widzę otwarte drzwi, wymykam się na zewnątrz.

Chłodne powietrze sprawia, że dostaję gęsiej skórki. Oddycham głęboko, tak głęboko, jak pozwala mi ten głupi gorset i przesuвам dłonią po spotniałym czole. Miło być przez chwilę samą.

Jestem w ogrodzie z niewielką fontanną pośrodku. Niedaleko, na ławeczce obściskują się dwie nierozpoznawalne sylwetki. Po prawej mam żywopłot, szybko więc chowam się za nim, by para mnie nie dojrzała. Chcę znaleźć się jak najdalej od hałasów dochodzących z sali balowej.

Przez kilka minut po prostu spaceruję, aż wreszcie trafiam na niewielką sadzawkę. Światło księżyca odbija się od powierzchni wody. Na drugim brzegu stoi mała altanka. Jest tu cicho, spokojnie. Przyklękam nad sadzawką, uważając, by nie zmoczyć sukni i delikatnie dotykam palcami migoczącej powierzchni. Odbicie księżyca zrazu faluje i tańczy w ciemnościach, kręgi stają coraz szersze, rozchodzą się wolniej i wolniej, aż wreszcie woda znów staje przypomina ciemną tafle lustra.

- Witaj - słyszę.

Nieomal wpadam do sadzawki. Podpierając się ręką, wstaję niezgrabnie i otrzepuję suknię. Ash siedzi w altance, do połowy oświetlony srebrzystym blaskiem, do połowy skryty w gęstym cieniu. Zdjął marynarkę, a podwinięte rękawy koszuli odsłaniają przedramiona.

- Cześć - wyduszam z wysiłkiem.

Przez kilka sekund po prostu na siebie patrzymy.

- Co tutaj robisz? - pyta wreszcie.

- Ja... Nie wiem. Było mi gorąco i ten hałas...

- Tak, masz rację. - Opuszcza wzrok. - Nie powinnaś tu być.

- Nie. Pewnie nie.

Nie żąda jednak, bym odeszła i sam również nie wstaje.

- To było niesamowite - oznajmia po kilku sekundach, znów patrząc mi w oczy. - Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś grał w taki sposób.

- Och - mówię i nieco zbyt późno dodaję: - Dziękuję.

- Oni tego nie rozumieją - ciągnie Ash, spoglądając w stronę pałacu. - Myślą, że muzyka im się po prostu należy. Zupełnie, jakby za pieniądze mogli kupić wszystko.

- A tak nie jest? - pytam sucho.

Nie umiem odczytać wyrazu jego twarzy. -Nie.

- No cóż, nie jestem Stradivariusem Tanglewoodem - stwierdzam, usiłując rozluźnić nieco atmosferę. - Ani Reedem Purlingiem.

Ash kręci powoli głową.

- Nigdy wcześniej tego nie robiłem, wiesz? Nie sprzeczałem się z klientem. To niedozwolone.

- Więc dlaczego sprzeczałeś się ze mną?

- Nie jestem pewien. Ja... - Wzdycha. - Chyba chciałem powiedzieć prawdę.

- W twoich ustach słowo „prawda” brzmi jak coś wyjątkowo paskudnego.

- W moim zawodzie tak właśnie jest.

- A w moim zawodzie w ogóle nie wolno mówić - rzucam. - Tak więc jestem dla ciebie wymarzoną rozmówczynią. Możesz być ze mną szczery, a ja i tak nikomu nie powiem.

- Racja. - W mroku wyszczerzone zęby Asha nieomal świecą.
- Tak naprawdę... nienawidzę awokado.

Parskam śmiechem.

- Co takiego?

-Awokado. Nie cierpię ich. Są oślizgłe i smakują jak mydło.

- Wcale nie smakują jak mydło. - Chichoczę. - Nienawidzę tego gorsetu - oznajmiam, dźgając upiorną konstrukcją palcem.

— Dlaczego mężczyźni nie muszą nosić takich drucianych narzędzi tortur?

- Nie sądzę, żeby Diuk wyglądał w tym równie dobrze jak ty - odpowiada Ash.

Rumienię się.

- Nie wyglądam tak dobrze, jak połowa zebranych tu kobiet.

- Nie porównuj się z nimi - mówi ostro. Zastygam w bezruchu. Ash mruga. - Ja... Przepraszam, najmocniej przepraszam...

- Za co? - pytam. - Nic się nie stało, a poza tym wcale się z nimi nie porównuję. - Spoglądam w stronę olśniewająco oświetlonego budynku. - Nie jestem taka jak one -szepczę.

- Nie - zgadza się Ash. - Nie jesteś. - Jego słowa brzmią obraźliwie, ale po chwili dodaje: - I uznaj to za komplement.

- Jak wiele razy tu byłeś?

- W Pałacu Królewskim? Już dwanaście razy doznałem zaszczytu przestąpienia tych progów.

Nie umiem powstrzymać uśmiechu.

- Nie musisz być taki uprzejmy - rzucam. - Jestem tylko surogatką.

Kąciki jego ust lekko się unoszą.

- Przyzwyczajenie. - Milknie na moment. - Dziwacznie to zabrzmiało, prawda? Czasem mam wrażenie, że słucham kogoś zupełnie innego. Nie jestem pewien, czy ktokolwiek chciałby wiedzieć, co naprawdę myślę.

- Ja bym chciała - mówię cicho. Zapada cisza. Ash wciąż się nie podnosi.

- A o czym ty myślałaś? - pyta. - Wtedy kiedy grałaś. Miałem wrażenie, że jesteś zupełnie gdzie indziej.

- Wyobrażałam sobie, że jestem w Bramie Południowej - wyjaśniam. - W Magazynie. I że gram dla koleżanek. Lubiły słuchać jak ćwiczę.

Ash wstaje. Mam przeczucie, że ta chwila dobiega końca, a wcale tego nie chcę. Nagle na usta ciśnie mi się aż zbyt wiele słów.

- Gdybyś kiedykolwiek chciał posłuchać muzyki, to znaczy jak gram, to... Czasem ćwiczę w sali koncertowej. Nie, żebym myślała... To jest, po prostu sobie gram, to żaden wielki koncert ani nic takiego... - Milknę, zakłopotana.

Ash, wyraźnie walcząc z frustracją, przeczesuje włosy, po czym wychodzi z altanki i idzie w moim kierunku. Zatrzymuje się bardzo, bardzo blisko, tak blisko, że czuję na nagiej skórze ciepło jego ciała. Tak bardzo chciałabym go dotknąć, przesunąć palcami po napiętej twarzy i po szerokiej piersi. I chciałabym, żeby on zrobił podobnie. Żeby mnie pocałował, wplatając dłonie w moje włosy. Tęsknota jest przygniatająca, zupełnie irracjonalna i... Podoba mi się.

- Dlaczego byłaś w moim pokoju? - pyta z odcieniem gniewu w głosie. - Co tam robiłaś?

-Ja... Zgubiłam się.

- Zgubiłaś się... - powtarza cicho w dziwny sposób, jakby te słowa miały dla niego jakieś drugie, niepojęte dla mnie

znaczenie. Przygląda mi się płonącymi oczyma, a potem potrząsa głową i, nie mówiąc nic więcej, obraca się i odchodzi, pozostawiając mnie bez tchu, samotną w bezkresnej nocy. Następnego dnia budzę się z potwornym bólem głowy.

- Oj... - jęczę, przyciskając dłoń do czoła. W suchych jak pieprz ustach czuję obrzydliwy smak. Nie powinnam była pić aż tyle szampana.

Nie dzwonię od razu po Annabelle. Najpierw wstaję i grzebię w szufladach toaletki w poszukiwaniu małego, ozdobnego puzderka na biżuterię, w którym schowałam wczoraj otrzymany od Luciena kamerton. W pudełku jest sekretna skrytka, drugie dno, wyrzucam więc wszystkie świece i podważam deseczkę. Kamerton spoczywa bezpiecznie na aksamitnej wyściółce. Dotykam go palcem. Nie mam pojęcia, co ma się wydarzyć o północy, ale gotowa jestem się dowiedzieć.

Zamykam skrytkę, wkładam z powrotem biżuterię i chowam puzderko. Potem wzywam Annabelle.

Po śniadaniu czuję się nieco lepiej. Resztę popołudnia spędzamy razem w moich komnatach. Annabelle kilka razy wygrywa ze mną w Halnę, potem zaś biorę się do czytania. Tak naprawdę tylko udaję, bo moje myśli krążą pomiędzy wspomnieniem Asha w altanie i tym, co ma się stać tej nocy.

Nagle drzwi do saloniku otwierają się tak gwałtownie, że aż uderzają o ścianę. Wraz z Annabelle podrywamy się na nogi. Do komnaty wpada jak burza eskortowana przez Gwardzistów Diuszesa.

- Wynoś się stąd - rozkazuje Annabelle, która natychmiast opuszcza pomieszczenie.

Diuszesa mierzy mnie ponurym spojrzeniem.

- Traktowałam cię dobrze, prawda? - pyta.

- T...tak, pani — wyjąkuję.

- Twoje życie było tak przyjemne, jak obiecywałam, czyż nie? Kiwam głową, starając się wymyślić, co mogłam zrobić źle. Dowiedziała się o Lucienie? Widziała jak rozmawiam z Ashem?

- No więc wyjaśnij mi, dlaczego jedna z pokojówek znalazła to? - Rzuca na stolik kawowy jakiś owalny przedmiot.

Och nie... To portret, który zmieniłam za pomocą Koloru. Skóra Diuszesa wciąż ma na nim wyjątkowo obrzydliwą zieloną barwę. Czuję jak ściska mi się żołądek, a gdy unoszę twarz, wiem, że mam na niej wypisane poczucie winy.

- Ja... Ja... - Nie mam niczego na swoją obronę.

- Ty? Co takiego? - mruczy Diuszesa. — Uważałaś, że to będzie zabawne?

Potrząsam głową.

- Zniszczyłaś jeszcze coś, co należy do mnie?

Jest taka spokojna. Pod pachami czuję wilgoć. Pocę się ze strachu.

- Nie, pani - szepczę. Diuszesa unosi brew.

- No cóż, sprawdźmy, czy mówisz prawdę.

Tak bardzo się na niej skoncentrowałam, że w ogóle przestałam zwracać uwagę na Gwardzistów. Dwóch mężczyzn podrywa mnie z fotela i zmusza do klęknienia, a kolejny przyciska mi twarz do blatu stolika tak, że widzę zniszczony portret. Czuję nacisk na kostkach nóg, zupełnie jakby ktoś na nich stanął. Zostałam obezwładniona w kilka sekund i poza lękiem, czuję dezorientację.

Rozglądam się, ale dostrzegam tylko to, co jest przede mną. Diuszesa znika z pola widzenia. Usiłuję się wyrwać Gwardzistom, jednak bez skutku. Palący ból przeszywa mi ramię, a uścisk na głowie i nogach staje się mocniejszy.

Po kilku chwilach Diusza wraca, w jednej ręce niosąc wiolonczelę, w drugiej zaś zakończony srebrną główką młotek. Mam wrażenie, jakby podłoga nagle się pode mną otworzyła i jakbym spadała w otchłań. Czuję się dziwnie lekka.

- Czy zniszczyłaś jeszcze coś, co należy do mnie? - powtarza Diusza.

Próbuję potrząsnąć głową, ale mężczyzna, który mnie unieruchomił jest silny.

- Nie - wyduszam z siebie. Nie mogę oderwać wzroku od młotka. — Nie, pani, przysięgam!

Diusza namyśla się przez kilka chwil.

- Dobrze. Wierzę ci - mówi, a potem z całej siły uderza młotkiem w pudło wiolonczeli.

Struny wydają smutny, fałszywy dźwięk, a w wypolerowanym do połysku drewnie pojawia się dziura.

- Nie! — krzyczę, ale ona nie przestaje.

Raz po raz tłucze instrument, roztrzaskuje ramię i pudło, wyszarpuje struny, aż kołyszą się dziko w rytm jej gwałtownych ruchów. Nie mogę patrzeć na to, jak młotek wznosi się i opada, wznosi się i opada, aż wreszcie z pięknego instrumentu zostają tylko nierozpoznawalne szczątki. Dopiero wtedy rzuca zmasakrowaną wiolonczelę na podłogę.

Oczy mam mokre od łez, nie widzę więc wyraźnie gestu, jaki daje Diusza Gwardzistom. Nagle ktoś chwytą moją rękę i przyciska mi ją do blatu stolika, przytrzymując za nadgarstek. Diusza przez chwilę przygląda się moim rozpostartym palcom, po czym przyklęka tuż obok, zbliżając do mnie twarz.

- Chcę żebyś zapamiętała to, co mówiłam o braku szacunku - mówi i przyciska zimną główkę młotka do moich knykci.

Z gardła wyrywa mi się szloch. Chcę być odważna. Tak bardzo chcę być odważna, nie okazywać emocji, ale nie wiem, skąd brać siłę. Lęk jest zbyt wielki, wszechogarniający.

Diuszesa unosi młotek i każdy nerw mojego ciała zaczyna krzyczeć.

Metal zatrzymuje się ledwie o cal ponad moją dłońią.

- Jeśli zrobisz to znowu - oznajmia Diuszesa - połamię ci palce. Zrozumiano?

Wstrząsają mną niekontrolowane dreszcze, a oddech więźnie mi w gardle.

- Tak - chrypię. - Tak, pani.

Z uprzejmym uśmiechem Diuszesa upuszcza młotek obok połamanej wiolonczeli i wychodzi z pokoju.

Tej nocy, kiedy aksamitny mrok zalega w całym pokoju, siadam na łóżku, obracając w dłoniach kamerton.

Nie mogę dostrzec zegara nad kominkiem, nie jestem więc pewna, która jest godzina. To nieistotne, bo i tak nie mogłabym zasnąć. Po raz tysięczny pocieram knykcie lewej dłoni. Wciąż widzę wznoszący się młotek i czuję paraliżujący mnie strach. Muszę przypominać sobie, że to się nie stało, powtarzać, że nic mi nie jest.

Kamerton zaczyna wibrować. Jestem tym tak zdumiona, że upuszczam go na kołdrę. Po chwili z cichym pyknięciem przedmiot unosi się w powietrze i zaczyna obracać, wydając z siebie ciche buczenie. Patrzę na niego, niepewna, co zrobić, gdy nagle ktoś się do mnie odzywa.

- Halo?

- Lucien? - szepczę. - Gdzie jesteś?

Jego głos brzmi, jakby dochodził z daleka, z drugiej strony długiego tunelu.

- W Pałacu Królewskim oczywiście. Gdzie indziej miałbym być?

-Ale... Ale jak?

- Nazywam je arkanami, wynalazłem je. Pozwolą nam rozmawiać w tajemnicy i nikt nas nie podsłucha ani nie podejrzy.

Dokładniej przyglądam się kamertonowi.

- Czyli... Rozmawiamy przez to coś?

- Tak. Ja mam ten główny, a twój mu odpowiada. Tworzą połączenie. - Milknie ma chwilę, po czym dodaje: - Są ważniejsze rzeczy, które powinniśmy przedyskutować.

Włoski na karku stają mi dęba.

- Zakładam, że życzyłabyś sobie uciec z Klejnotu? - pyta.

-Tak. Bardzo.

- Musisz zdać sobie sprawę z jednego. Jeśli zostaniesz złapana, czeka cię śmierć. Możesz ściągnąć niebezpieczeństwo na swoją rodzinę. Jesteś skłonna to zaakceptować?

Po raz kolejny dotykam knykci. Czy jestem gotowa zaryzykować bezpieczeństwo rodziny, by odzyskać wolność? Nie wiem. Ale nie mogę powiedzieć Lucienowi, nie teraz.

-Tak- oznajmiam przyciszonym głosem. - Kiedy?

- Jestem w trakcie przygotowywania serum, które wprowadzi cię w stan śpiączki tak głębokiej, że lekarze potwierdzą zgon. Nikogo to nie zdziwi, surogatki często umierają wskutek medycznych komplikacji. Albo, no cóż, zostają zamordowane przez konkurencyjny Dom, co sama dobrze wiesz. Diusza ma wielu wrogów, którzy chętnie ujrzeliby cię martwą.

Robi mi się słabo.

- To bezpieczne?

- Będę szczery, nic w tym planie nie jest bezpieczne. Ale jeśli się na niego zgodzisz, musisz również dokładnie wypeł-

niać moje polecenia. Jeśli dam ci jakieś instrukcje, masz się ich trzymać, czy ci się to podoba, czy nie. Rozumiesz? -Tak.

- Dobrze. W Pałacu Królewskim odbędzie się Bal Zimowy z okazji święta Najdłuższej Nocy. - Najdłuższa Noc to najstarsze święto w Samotnym Mieście. Odbywa się w połowie grudnia, a to oznacza, że będzie dopiero za kilka tygodni. - Wtedy dam ci serum. Weźmiesz je kolejnej nocy. Kiedy lekarz stwierdzi zgon, zostaniesz przetransportowana do kostnicy. Stamtąd zabiorę twoje ciało i umieszczę je w pociągu jadącym do Farmy z zapasami. Kiedy już tam dotrzemy, zabiorę cię w bezpieczne miejsce.

- Dokąd? - pytam. Nie mogę sobie wyobrazić żadnego miejsca, które byłoby poza zasięgiem arystokracji.

- Nie mogę ci powiedzieć, to zbyt niebezpieczne. Teraz posłuchaj uważnie. Musisz dokładnie wykonywać wszystkie polecenia Diuszesy, słuchać jej bez żadnych komentarzy. Więcej, masz się stać surogatką doskonałą. Będiesz posłuszna i pokorna. Nie chcę słyszeć, że kolejne portrety zmieniły kolor w tajemniczych okolicznościach albo że zniszczyłaś jakiś serwis obiadowy. Jasne?

Otwieram usta, by zaprotestować, ale Lucien kontynuuje.

- Diuszesa musi uwierzyć, że jesteś po jej stronie. Spraw, by ci zaufała. To najlepszy sposób, by wyciągnąć cię stąd jak najszybciej i w miarę w bezpieczny sposób.

- Jasne - mruczę niechętnie.

- Wiem, że to trudne, skarbie, ale obiecuję, że cię nie zawiodę.

- Violet - mówię.

- Przepraszam?

- Tak mam na imię. Violet.

- Ach. Violet. - W jego głosie słyszę uśmiech. Mnę w dłoniach kołdrę.

- Dlaczego mi pomagasz?

Przez dłuższą chwilę Lucien milczy.

- Bo coś trzeba zrobić - odpowiada wreszcie cichym głosem. - Nikt nie zasłużył sobie na takie życie. Nikomu nie powinno się odbierać prawa wyboru.

Myślę o zakutej w kajdany Raven, wyglądającej na balu jak cień i mówiącej mi, że nigdy mnie nie zapomni.

- Lucien - zaczynam z wahaniem. - Zrobię wszystko, co mi każesz, ale czy mógłbyś spełnić jedną moją prośbę?

- Jaką? - pyta po chwili namysłu.

- Zeszłej nocy w Pałacu Królewskim widziałam moją najlepszą przyjaciółkę. Ona też jest surogatką. Myślałam, że może... Ze może mógłbyś się czegoś o niej dowiedzieć. Gdzie jest albo co robi, albo... Cokolwiek. To wiele dla mnie znaczy.

Wstrzymuję oddech, czekając na odpowiedź. Gdy Lucien wreszcie się odzywa, brakuje mi powietrza.

- W którym jest Domu? Rozluźniam się trochę.

- W Domu Kamienia.

- W Domu Kamienia? - Ku mojemu zaskoczeniu Lucien parska śmiechem.

- Co? - warczę, dogłębnie zraniona.

- Przepraszam - mówi, od razu poważniejąc. - Tylko... Posiadłość Hrabiny Kamienia leży po zachodniej stronie Pałacu Jeziora.

Potrzebuję kilku sekund, żeby pojąć sens jego słów.

- Moment. Czy mówisz, że...

- Mówię, że - przerywa mi Lucien - twoja przyjaciółka mieszka tuż obok. Jesteście sąsiadkami.

ROZDZIAŁ 19

Raven jest tuż obok.

Kiedy budzę się rano, myślę tylko o tym. Nawet ucieczka schodzi na drugi plan.

Była tak blisko mnie, a ja o tym nie wiedziałam.

- Chciałabym się przejść do ogrodu - mówię po śniadaniu. Annabelle przytakuje i wybiera dla mnie jedną z cieplejszych sukni oraz płaszcz z futrzanym kołnierzem. Razem wychodzimy na listopadowy ziąb.

Powietrze jest chłodne i rześkie, pachnie wilgotną ziemią. Ostatnie uschnięte liście kołyszą się na nagich gałęziach. Większość z nich już opadła i gdy idziemy w kierunku zachodniego krańca posiadłości, przeciwnym do tego, gdzie rośnie wielki dąb, szeleszczą nam pod stopami.

Annabelle przysiada na jednej z ławek i otwiera książkę, a ja zapuszczam się dalej, w dzikszą część ogrodu. Ledwie schodzę ze ścieżki, a już trudno mnie z niej dostrzec. Mam wrażenie, jakbym była jednocześnie bardzo blisko Annabelle i bardzo daleko.

Oddech ulatuje mi z ust w kłębach pary. Zadzieram głowę, przyglądając się murowi, który dzieli mnie od Raven. Gdyby tylko istniał jakiś sposób, by z nią porozmawiać, gdybyśmy miały parę arkanów albo ustalone sygnały dymne... Chciałabym w jakiś sposób dać jej znać, że tu jestem. Gdybym potrafiła, wspięłabym się na wysokie, porośnięte winoroślą ogrodzenie i wykrzyczała jej imię.

Nagle coś przychodzi mi do głowy. Winorośl!

Zaciskam dłoń na smukłej roślinie, czując pod palcami guz w miejscu, gdzie odpadł zeschnięty liść.

Najpierw ujrzyj, jaki jest. Potem ujrzyj w myślach swych. Wreszcie wolą skrepuj go.

Czuję życie winorośli i przyciągam je do siebie. Pod moim dotykiem ze zgrubienia wyrasta cienka gałązka. Po chwili przeciska się przez palce i wędruje wyżej, wspinając się po pionowej ścianie. To życie jest układne, subtelne i podatne na manipulację, mam wrażenie, że z chęcią poddaje się mojej woli. Ledwie rejestruję igielki bólu wbijające się w podstawę czaszki. Jakże łatwo mi je teraz ignorować...

Obraz w moim umyśle jest nadzwyczaj wyraźny, moja dłoń staje się ciepła, potem gorąca, a winorośl nieustrudzenie pokonuje kolejne metry. Zaczynają boleć mnie plecy, ale nie przerwę, póki nie osiągnę celu.

Wreszcie pęd sięga szczytu ściany. To nie koniec. Zmuszam go, by rósł dalej, by prześlizgnął się pomiędzy okropnymi metalowymi szpikulcami. Wiem, czego chcę. Widzę to.

Chwytam w dłonie całe życie, jakie jestem w stanie zebrać i, kształtując je według mojej woli, formuję kwiat o pięknych fioletowych płatkach. Fiołek.

Kropla krwi kapie mi z nosa i rozbryzguje się na ziemi w ciemną plamkę. Fiołek drży na zimnym wietrze, nieszkodliwy, a jednak jakże znaczący. Mam nadzieję, że Raven go zobaczy. Mam nadzieję, że zrozumie.

Przez kilkanaście minut snuję się jeszcze po zarośniętym ogrodzie, aż wreszcie niespiesznie wracam do Annabelle. Na mój widok dworka odkłada książkę i wstaje, po czym ruchem brody wskazuje pałac.

- Pora iść? - domyślam się. *Pora na doktora Blythea.*

- Witaj, Violet - mówi lekarz, gdy wchodzę do gabinetu. - Jak spędziłaś weekend?

Bądź grzeczna i pokorna, powtarzam sobie.

- Było bardzo miło. A co słyhać u pana? Doktor parska śmiechem.

- Normalnie, nic ekscytującego. Hmm... Pamiętasz cel, jaki postawiłem ci w zeszłym tygodniu?

- Chciał pan, żeby dąb urósł. - Przytakuję. - Tak.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek mi się to uda - wyznaję szczerze. Życie tego drzewa wydaje się po prostu zbyt silne.

Lekarz wzrusza ramionami.

- To się okaże.

Przykleja mi elektrody i uruchamia wysuwany z sufitu ekran.

Jednak tym razem, zamiast podać mi coś, na czym mogłabym używać Augurii, podnosi z tacy strzykawkę i zakła-

da na nią sporych rozmiarów igłę. To mi się zdecydowanie nie podoba.

- Do czego to służy? — pytam.

- Jestem bardzo utalentowana, Violet, i uważam, że twoje zdolności rzeczywiście mogą sprawić, że Diuszesa osiągnie swój cel. Niestety, mamy bardzo napięty harmonogram. To pomoże nam nieco przyspieszyć bieg wydarzeń. Bardzo proszę, zdejmij szlafrok i połóż się na brzuchu.

- C.. .co... Co zamierza pan zrobić?

- Proszę, połóż się - powtarza.

Nie mogę przełknąć śliny. Zmuszenie nóg do posłuszeństwa odbiera mi całą energię. Pozwalam materiałowi zsunąć się z ramion, po czym posłusznie kładę się na łóżku. Szeleszczące prześcieradło pachnie amoniakiem i cytryną. Pod dotykiem doktora cierpnie mi skóra. Dopiero, gdy kładzie dłoń na moim krzyżu, dociera do mnie, że tym razem nie umieścił w tym miejscu elektrody.

- Weź kilka głębokich wdechów, Violet - nakazuje. Naprawdę myśli, że uda mi się w tej sytuacji rozluźnić? Śmiechu warte. Łapczywie chwytam powietrze. - Bardzo dobrze. Postaraj się leżeć nieruchomo, obawiam się, że będzie bolało.

Sekundę później igła przebija moją skórę. Mam wrażenie, jakby ktoś wysypał mi na dół pleców rozżarzone węgle. Nie mogę powstrzymać krzyku. Doktor stara się mnie przytrzymać, ale instynktownie umykam przed jego dotykiem. Ból spływa w dół kręgosłupa i przed oczyma pojawiają mi się mroczki.

Nagle wszystko się kończy.

- I po sprawie - oznajmia lekarz. - Załatwione.

Łzy spływają mi po twarzy i skapują na prześcieradło, tworząc na nim ciemne plamy. Trzęsę się i oddycham ciężko, jak po długim biegu.

Doktor Blythe rozsmarowuje mi na plecach coś chłodnego.

- Potencjał surogatek jest właściwie nieograniczony - mówi. - Czasem jednak same jesteście swoimi wrogami. Blokujecie się. Wątpliwości, złość, gniew, wszystkie te uczucia mają wpływ na wasze zdolności. Raz negatywny, raz pozytywny. I tu z pomocą przychodzi nowoczesna medycyna. Istnieje sposób, by was ustabilizować i dzięki temu dzisiaj po raz pierwszy przekonamy się, do czego naprawdę jesteś zdolna. - Entuzjizm w jego głosie sprawia, że szarpią mną mdłości. - Nie ruszaj się, proszę.

Nie byłabym się w stanie ruszyć, nawet gdybym chciała to zrobić. Mam wrażenie, że moje kończyny należą do kogoś innego. Słyszę, że lekarz odkręca jakiś słoik, metalowe wieczko podzwania, dotykając szkła.

- No dobrze. - Kątem oka widzę, że trzyma w ręce dziwny srebrny przedmiot przypominający pistolet z błyszczącym białym cylindrem w miejscu lufy. - To aplikator stymulanta, pobudzi twoje Augurie i pomoże nam odkryć twój potencjał. - Wciska mi coś w dłoń. Nasiono wielkości żołądzia. - Czujesz to? - pyta. - Życie wewnątrz?

Oczywiście, że czuję. Przypomina szybkie niczym ruch skrzydeł kolibra uderzenia miniaturowego serca.

- Tak - szepczę.

W ciepłych oczach doktora pojawia się smutek.

- To dobrze - mówi łagodnie, po czym unosi pistolet i przytyka błyszczący cylinder do tego miejsca na kręgosłupie, w które wcześniej wbił igłę.

Chyba krzyczę, ale nie jestem pewna. Ból jest wszędzie. Ból mnie pożera, nienasycony, wszechogarniający. Milion ostrzy wbija się w mój mózg. Krew w ży-

łach zamienia się w palącą lawę, która, niestrudzenie pompowana przez serce, dociera do wszystkich zakamarków ciała. Moje oczy płoną. Skóra zamienia się w pergamin poczerniały od gorąca.

Czuję, jak nasionko reaguje. Otwiera się gwałtownie i zaczyna rosnać w szalonym tempie, ale wzrok mam zaćmiony łzami. Słyszę ostry, zgrzytliwy dźwięk, a potem coś ciepłego spływa mi z nosa i zalewa wargi. Metaliczny smak krwi tylko potęguje mdłości.

Nagle wszystko się kończy. Krztuszę się i wypluwam mieszaninę śliny i krwi.

-Już, już, spokojnie - powtarza doktor Blythe, ocierając mi nos i oczy miękką chusteczkę. - Już po wszystkim.

Powoli odchodzi i słyszę jak opuszki jego palców uderzają w ekran.

- Usiądź, gdy będziesz gotowa - rzuca.

Potrzebuję dłuższej chwili, by uspokoić oddech. Wracam do siebie kawałek po kawałeczku, najpierw zaczynam czuć dotyk prześcieradła, potem mrowienie w szyi i muśnięcia opadających na ramiona włosów. Bardzo powoli przekręcam się na bok i dźwigam do pozycji siedzącej.

Cała kozetka, nie licząc miejsca, na którym leżałam, pokryta jest żywozieloną winoroślą. Pędy sięgnęły dalej, zrzuciły srebrną tacę z przyrządami, roztrzaskując część z nich i wspięły się po wysięgniku łączącym wysuwany ekran z sufitem. Na prześcieradle widać ciemniejące plamy krwi. Wciąż czuję pulsujące wewnątrz mnie życie, a moje ciało jest osłabione, jakby posiniaczone od środka. Potwornie boli mnie głowa.

- Świetnie się spisałaś - mówi doktor Blythe, podając mi szlafrok. Milczę, bo gdybym otworzyła usta, mogłabym zwy-

miotować. - Pobiorę jeszcze próbkę krwi i na dzisiaj to będzie wszystko.

Prawie nie czuję ukłucia igły.

Myślałam, że ten człowiek jest kimś w rodzaju przyjaciela. Jak mogłam być tak głupia? Przecież pracuje dla Diuszesy. Ja nic go nie obchodzę.

Kiedy kończy pobierać mi krew, rozgląda się po zdewastowanym gabinecie.

- Nigdy w ciągu mojej dwudziestodziewięcioletniej pracy nie widziałem czegoś podobnego - mruży pod nosem.

Mam wielką chęć owinać jedną z tych winorośli wokół jego szyi i mocno zacisnąć, przypominam sobie jednak to, co mówił Lucien. Ze mam być grzeczna, posłuszna, pokorna...

- Nienawidzę cię - szepczę do doktora, nie potrafiąc powstrzymać gniewu i rozczarowania.

Blythe przygląda mi się dziwnie posmutniałymi oczami.

- Tak - mówi cicho. - Nie dziwię się.

Resztę tego dnia i cały następny spędzam w łóżku.

Każdy, najmniejszy nawet ruch boli. Mam wrażenie, jakby moje kości były kruche niczym szkło i nawet najłżejsze dotknięcie mogło je uszkodzić. Annabelle przynosi mi herbatę i zupę, ale zupełnie nie mam apetytu.

Będę posłuszna, powtarzam sobie. Nie będę się sprzeciwiać i już niedługo stąd ucieknę.

Kilka dni później czuję się już na tyle dobrze, by wstać. Ostry ból dolnej części pleców przemienił się w lekko tylko dokuczliwe ćmienie. Późnym wieczorem siedzimy z Annabelle na łóżku, wykorzystując czas przed snem na grę w Halmę, gdy nagle rozlega się pukanie i do komnaty wchodzi Diuszesa.

Nie przypominam sobie, by wcześniej pukała do jakichkolwiek drzwi, a już na pewno nie do moich.

- Zostaw nas - zwraca się do Annabelle. Dworka pośpiesznie zabiera sztony oraz planszę i wychodzi, rzucając mi zmartwione spojrzenie.

Suknia Diuszesy połyskuje w wąłym blasku dopalającego się ognia. Kobieta przysiada na sofie. Wygląda na wyczerpaną. Gdy wreszcie się odzywa, jej głos jest łagodny, niemal miły.

- Proszę - mówi, kładąc dłoń na wolnym miejscu obok. - Usiądź koło mnie.

Sofa jest mała i nasze kolana dzieli tylko kilka cali. Od słodkawego zapachu perfum przewraca mi się w żołądku. Diuszesa poprawia spódnicę.

- Staralam się to zrobić najlepiej jak można i nie jestem pewna... Mam problem... - Potrząsa głową i uśmiecha się kącikiem ust. - Nieczęsto brakuje mi słów. Posłuchaj, jesteś dla mnie bardzo ważna. Czasem mam ogromny problem z panowaniem nad sobą. Przepraszam.

Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć. Z jakiegoś względu ta dziwna, przemawiająca ciepłym głosem Diuszesa jest jeszcze bardziej przerażająca niż ta, z którą obcuję na co dzień.

- Zazdrozczę ci - wyznaje. - Zazdrozczę ci twoich... możliwości. - Najwyraźniej dostrzega zdumienie w moich oczach, bo wybucha śmiechem. - Och, możesz mi nie wierzyć, ale to prawda. Wszystkie zazdrościmy surogatkom. Nie sądzisz, że gdybym mogła, sama bym to zrobiła? Mam bogactwa, to fakt. Mam tytuł, mam władzę... Ale ty masz coś, czego ja nigdy nie będę posiadać. Nigdy nie stworzę życia.

Przypominają mi się słowa, które Lwica wypowiedziała na pogrzebie Dahlii: to my rodzimy ich dzieci. To my mamy siłę.

- Tak więc zamieniamy was w naszą własność — ciągnie Diuszesa. — Chwalimy się wami, ubieramy was i traktujemy

jak domowe zwierzątka. Tak właśnie działa Klejnot. Utrzymywanie statusu jest naszym jedynym zajęciem. Plotka jest walutą. - Obrzuca mnie przeszywającym spojrzeniem. - Wiesz, że możesz to zrobić, prawda? Czytałam raport doktora, widziałam w gabinecie efekty stymulacji. Twoje zdolności są ogromne. Nawet nie śniłam o czymś takim. Wyobrażasz sobie, co możemy razem osiągnąć? Stworzymy historię. Ty i ja.

Z trudem powstrzymuję cisnącą się na usta ripostę. Mam chęć zaśmiać się jej prosto w twarz i przypomnieć, że jej rola ogranicza się do dostarczenia jajeczka i że niczego, ale to niczego nie robimy wspólnie.

Diuszesa przygląda mi się przez dłuższą chwilę, jakby chciała odczytać moje myśli.

- Rozzłościłam cię - stwierdza. Biorę głęboki oddech.

- Po prostu nie rozumiem, pani - mówię ostrożnie. - Nie rozumiem tej obsesji. Potrzeby bycia pierwszą. Dlaczego nie wystarczy normalne dziecko urodzone w normalnym czasie?

Jej oczy stają się puste. W milczeniu spogląda na dogasający w kominku ogień.

- Miałam być Wybranką - szepce wreszcie. - Ja... Podskakuję, zaskoczona.

- Miałam miesiąc, gdy nas zaręczono i szesnaście lat, gdy pakt został zerwany. Hierarcha i ja... My... Byliśmy sobie bardzo bliscy. To był mariaż idealny. Dom Założycieli i przyszły władca. Myślałam, że moim przeznaczeniem jest wielkość. - Opadają jej ramiona i nagle wygląda na o wiele młodszą. Coś połyskuje w kącie jej oka. - Myślałam, że będę szczęśliwa.

- Co się wydarzyło? - pytam nieśmiało. Diuszesa wzrusza ramionami.

- Mężczyznom nie wolno ufać. Masz szczęście, że nigdy nie przekonasz się o tym na własnej skórze. - Wzdycha cicho i w zamyśleniu trąca zawieszkę od bransoletki. - Jak żyłaś wcześniej? To znaczy zanim trafiłaś do Magazynu. Byłaś szczęśliwa?

Nie mam ochoty dzielić się z nią wspomnieniami. Nie chcę, by dotknęła, choćby przelotnie tej mnie, którą byłam, nim stałam się surogatką.

- Tak, pani. Byłam bardzo szczęśliwa.

- Opowiedz mi o tym.

Patrzę ponad ramieniem Diuszesy na mrugający wśród popiołu żar i wyobrażam sobie, że siedzę w komnacie w Bramie Południowej i rozmawiam z Raven.

- Mam młodsze rodzeństwo, brata i siostrę. Opiekowałam się nimi, kiedy rodzice pracowali. Lubiliśmy z siostrą robić dowcipy bratu. - Tyle powinno wystarczyć.

- Ja też miałam siostrę - wspomina Diuszesa. - To matka Carnelian. Niezbyt nam się układało.

Marszczę brwi.

- Myślałam, że szlachta może mieć tylko jedną córkę i jednego syna.

- Tak, ale czasem zdarzają się bliźnięta. W takich okolicznościach zazwyczaj usuwa się jedno z dzieci, ale moja kochana matka nie była dość silna, by zdobyć się na ten krok, a ojciec nie naciskał. - Krzywi się, jakby posmakowała czegoś gorzkiego. - Domyślam się, że kochałaś matkę.

- Nadal ją kocham.

Diuszesa uśmiecha się żalonym, przypominającym raczej grymas rozpaczony uśmiechem.

- Oczywiście — rzuca, patrząc na mnie z niemożliwym do odczytania wyrazem twarzy. — Najbardziej na świecie chcę,

żeby moja córka była szczęśliwa. Zrobię wszystko, by dać jej lepsze życie. Czy to takie okropne? - Śmieje się i chyba po raz pierwszy nie słyszę w tym dźwięku ostrości czy groźby. - Brzmie bardzo sentymentalnie, prawda? Ojciec pewnie przewraca się w grobie.

Nagle wstaje gwałtownie i cała miękkość opada z niej jak rozsznurowana suknia. Znow jest tą ostrą, nieprzejednaną kobietą, do której przywykłam.

- Chciałabym, żebyś czuła się tutaj jak w domu. Dlatego też uznałam, że nie potrzebujesz w pałacu eskorty. Twoja nowa wiolonczela zostanie dostarczona jutro. Mam nadzieję, że uznasz ją za odpowiednią. - Podchodzi do drzwi i przystaje na chwilę z dłonią na klamce. - Nadzieja to cudowna rzecz, nieprawdaż? - mówi cicho. - A jednak nie doceniamy jej, póki nie zniknie.

Wychodzi, zamykając za sobą drzwi, a ja opadam na kanapę, zastanawiając się, co się właściwie wydarzyło.

ROZDZIAŁ 20

Zgodnie z zapowiedzią, następnego dnia pojawia się wiolonczela.

Choć nie wspomniałam Annabelle o rozmowie z Diuszesą, dworka wie, że nie musi wszędzie mi towarzyszyć. Kiedy oznajmiam, że wybieram się do sali koncertowej, po prostu kiwa głową, nie przerywając zmieniania pościeli.

Gram przez jakieś dwadzieścia minut, ale nie jestem w stanie skoncentrować się ani na brzmieniu strun, ani na ruchach smyczka. Stymulacja Augurii wprawiła doktora i Diuszesę w szampański nastrój. W przyszłym tygodniu zapytam Luciena, o co chodzi.

Dręczy mnie, co miała na myśli Raven, pytając, czy widziałam się już z lekarzem. Czy to właśnie stymulacja spra-

wiła, że jej oczy stały się puste? Czy ktoś w Domu Kamienia torturuje ją i dręczy?

Muszę sprawdzić, jak się ma mój fiołek. Chcę się upewnić, że wciąż tam jest i Raven może go zobaczyć.

Zostawiam wiolonczelę na scenie i zbiegam schodami do tylnego wyjścia do ogrodu. Nie wzięłam płaszcza, więc zimny wiatr targa szeleszczącymi sukniami i burzy mi włosy. Pospiesznie zmierzam ku zachodniej ścianie i unoszę głowę, spoglądając na kołyszący się w lodowatych podmuchach kwiat.

Oddech zamiera mi w gardle. Wokół fiołka owinęła się inna roślina. To lilia o smoliście czarnych płatkach.

Gdzieś w piersi narasta mi łkanie. Raven zauważyła!

Teraz, myślę, posyłając na szczyt muru kolejnego fiołka, teraz wie, że jestem blisko.

Prawie biegiem wracam do sali koncertowej.

Lucien najpewniej nie pochwaliliby wysyłania wiadomości do przyjaciółki, ale niespecjalnie mnie to interesuje. Nikt poza nami dwiema nie powinien się domyślić, co znaczą dwa kwiaty. Ba! Nie powinien się domyślić, że w ogóle coś znaczą. Na myśl o tym, że Raven nic nie jest, odczuwam ogromną ulgę.

Wracam na scenę i, siadając na krześle, z rozkoszą wdycham aromaty polerowanego drewna i aksamitu. Instrument doskonale leży w moich ramionach. Gram na próbę kilka gam, by upewnić się, że jest właściwie nastrojony.

Zaczynam od sarabandy G-mol, potem gram *courante* w tej samej tonacji, a później kolejną sarabandę, tym razem w F-dur. Póki otacza mnie muzyka, mój umysł jest jak spokojna toń jeziora. Nie myślę o bólu, który sprawił mi doktor Blythe, ani o oczekiwaniach Diuszesy. Póki gram, nie jestem surogatką. Jestem sobą.

Wspominam to, co mówił Ash w noc Balu Hierarchy. To, że arystokracja uważa, że muzyka należy do nich. Co za absurd!

Kiedy kończę sarabandę, do moich uszu docierają ciche oklaski. Rozglądam się, zaskoczona.

Niedaleko mnie, skryty do połowy za kurtyną, stoi Ash. Przez sekundę myślę, że pewnie go sobie wyobraziłam, tak jak wszystko inne, ale wtedy przestaje klaskać. Cisza dźwięczy mi w uszach.

Powinłam wyjść. Muszę natychmiast wyjść. Nie mogę z nim rozmawiać, nie w miejscu, gdzie każdy może nas zobaczyć.

A jednak wiolonczela z cichym stukotem zalega na podłodze. Idę w kierunku Aha, a moje atlasowe pantofle szurają cichutko na wypolerowanym drewnie. Nie wiem, kiedy wstałam. Nie zrobiłam tego świadomie. Moje serce dokonało wyboru, który przeraża racjonalną część mnie.

Za kurtyną jest ciepło i ciemno. Stoimy tak blisko siebie, że mam wrażenie, jakby ktoś wstrzyknął mi do żył czystą adrenalinę. Kręci mi się w głowie, a włoski na karku stają dęba.

- Co tu robisz? - pytam.

Ash ma na sobie koszulę w podwiniętych do łokci rękawami i z trudem powstrzymuję chęć dotknięcia jego muskularnych przedramion. Dłonie wsunął do kieszeni.

- Chciałem posłuchać jak grasz. Myślałem, że mnie zaprosiłaś - mówi nerwowo.

- Och! - Moje zdolności werbalne kurczą się zastraszająco w jego obecności. Przestrzeń między nami zdaje się naładowana elektrycznością. - Tak. Racja. Podobało ci się?

- Bardzo.

Podchodzi krok bliżej i jakaś część mnie jest zaskoczona, że w powietrzu nie przeskakują iskry. To, co robimy, jest złe. Wiem, że jest złe, ale w tej chwili nie jestem w stanie przypomnieć sobie, dlaczego.

- Ja... Ja... - Potrząsa głową i spogląda w dół. - Nie mogę przestać o tobie myśleć - wyznaje cicho.

Stoimy tak blisko siebie, że rąbek mojej spódnicy dotyka jego butów.

- Naprawdę? - pytam.

Ash parska zduszonym śmiechem.

- A myślałem, że to oczywiste.

- Ja... Nie mam zbyt wiele doświadczenia.

- Nie - mówi łagodnie. - Nie sądziłem, że masz.

- Właściwie to nie mam żadnego - wyduszam z siebie.

- Szczerze mówiąc, to akurat w tej materii również nie jestem doświadczony.

Marszczę brwi.

- A nie to właśnie robicie z Carnelian? Chciałabym cofnąć te słowa, ale nie mogę. Na dźwięk

imienia siostrzenicy Diuszesy po twarzy Asha przemyka cień.

- Nie wiesz, o czym mówisz - stwierdza sucho.

- Po prostu myślałam, że...

- Że uwodzę każdą kobietę, którą spotykam? - kończy cierpko.

- Nie. - Powoli kręć głową. - Po prostu... Widziałam was razem.

Jego oczy błyszczą tak samo jak wtedy, na balu.

- Czy zdarza ci się wypełniać rozkazy Diuszesy, choć wcale nie masz na to ochoty?

- Przez cały czas.

- A czy kiedykolwiek się jej sprzeciwiłaś?

Przygryzam wargę, wspominając szczątki wiolonczeli rozrzucone po pokoju.

- Wiem. Konsekwencje. - Przesuwa palcem po grzbiecie mojej dłoni. - Chcesz, żebym poszedł?

Bądź przykładną surogatką, szepce w mojej głowie Lucien.

- Nie - szepcę.

Na ustach Asha pojawia się krzywy uśmiech.

- Mogę cię o coś zapytać?

Mam wrażenie, że moje serce urosło tak, że za moment przestanie się mieścić w klatce piersiowej. Mocno wdycham powietrze, zapach mydła, czystych ubrań i coś, co musi być wonią Asha.

- Pytaj, o co tylko chcesz.

- Jak masz na imię?

Serce rozpryskuje się na milion kawałeczków, które opadają wewnątrz mnie niczym fajerwerki.

- Violet - szepcę.

Zamyka oczy i wzdycha cicho. Sprawia wrażenie, jakby poznał sekret wszechświata.

- Violet - mruży cicho i nagle jego wargi dotykają moich.

Jest zupełnie tak, jakbym narodziła się na nowo. Usta Asha są delikatne i podniecająco nieznajome. Pod ich naporem odkrywam zupełnie nową Violet, Violet, o której istnieniu nawet nie wiedziałam. Jakim cudem moje ciało może pomieścić tak wiele uczuć? Jakim cudem mogłam żyć, nie będąc świadoma tej części mnie?

Ash odrywa się ode mnie i, obejmując moją twarz dłońmi, sprawia, że stykamy się czołami.

- To ryzykowne - mówi cicho.

-Tak.

- Tu nie jest bezpiecznie.
- Nie jest - zgadzam się z nim, choć nie wiem, czy ma na myśli salę koncertową, pałac, czy cały Kej not.
- Możesz spotkać się ze mną za kwadrans w bibliotece? Gdyby poprosił mnie, bym stawiała się na Księżycu, popędziłabym pakować walizki.

-Tak.

- Bądź przy ostatniej półce po zachodniej stronie, niedaleko okna. Szukaj książki Cadmiuma Blake'a, „Eseje o zapyłaniu krzyżowym borówek”.

Parskam śmiechem, słysząc te dziwaczne instrukcje.

- Co takiego? Ash szczyrzy zęby.

- Zaufaj mi. - Jego twarz poważnieje. - I zastanów się nad tym. To twój wybór i zrozumieć, jeśli nie przyjdiesz.

Kiwam głową. Ash odwraca się i znika za drzwiami.

Schadzka w bibliotece raczej nie spodoba się Lucienowi, ale jeśli dowie się o niej Diuszesa... Nawet nie chcę myśleć o tym, co się stanie. Na pewno coś bardzo, bardzo złego. Nie powinnam tego robić. Powiedziałam Lucienowi, że może mi zaufać. Obiecałam mu, że będę się zachowywać nienagannie.

Ale przez cały czas nie robię nic innego, jak tylko wypełniam polecenia, nieważne, Diuszesy, Luciena czy doktora Blythea. Niczego nie kontroluję, na nic nie mam wpływu. Jeśli mam stąd uciec i resztę życia spędzić w ukryciu, chciałabym najpierw zrobić choć jedną rzecz dla siebie. Głupie? Egoistyczne? Nie dbam o to. Kiedyś będę mogła spojrzeć wstecz, wspomnieć chwile spędzone z Ashem i oznajmić, że dokonałam samodzielnego wyboru.

Drżąc na całym ciele, odnoszę wiolonczelę do komnat.

Gdy wchodzę do biblioteki, dwóch lokajów zapala akurat lampy. Niebo pociemniało już i przez okna widzę korony drzew targane zimnym listopadowym wiatrem. Lokaje kłaniają się przede mną i wracają do przerwanej zajęcia. Przystaję na chwilę, zastanawiając się, dokąd miałam iść. Ash wspominał o zachodniej ścianie. A więc w stronę wysokich okien, przez centralnie położoną czytelnię. Towarzyszy mi dziwna, wszechogarniająca świadomość siebie. Czuję każdy milimetr ciała, ruch kończyn, muśnięcia włosów na szyi.

Przystaję nagle nieopodal ustawionych w kręgu foteli. Coś wyrwało mnie z zamyślenia... Och, znajomy zapach, a raczej smród, który sprawia, że drżą mi skrzydełka nosa.

Diuk siedzi na jednym z ustawionych przy stole krzeseł trzymając w dłoni szklaneczkę z bursztynowym płynem i przewraca strony księgi rachunkowej. Z ust, w których ma cygaro, wydmuchuje do chwila kłęby siwego dymu.

- Rozrzutna baba - mruczy pod nosem i zapisuje coś zamaszystymi ruchami pióra.

Zastygam jak słup soli. Nie wiem, co robić, nigdy wcześniej go tu nie widziałam.

Diuk unosi wzrok. Oczy ma wyraźnie zaczerwienione.

- Och, to ty - rzuca. Kłaniam się niezgrabnie.

Bierze głęboki wdech i wydmuchuje kolejną smrodliwą chmurę.

- No więc? Mrugam gwałtownie. Diuk parska śmiechem.

- Nie jesteś zbyt bystra, prawda? - Strząsa popiół do kryształowej popielnicy, a drugą ręką macha w powietrzu, jakby to mogło je oczyścić. - Nie przyszłaś tu przypadkiem po ja-

kąś książkę? - pyta głośno tonem, jakim opiekunka zwraca się do niezbyt rozgarniętego dziecka.

- T.. .tak, panie - wyjąkuję.

- To idź po nią. - Dopija resztę alkoholu i na powrót pochyla się nad księgą. Dygam raz jeszcze i z bijącym mocno sercem idę w kierunku półek. Byle dalej od Diuka! Och, do licha, dlaczego musiał przyjść do biblioteki akurat dzisiaj?

Kiedy dochodzę wreszcie do zachodniej ściany, cała się trzęsę. Powoli, starając się sprawiać wrażenie spokojnej, kieruję się w stronę okien. Ten zakątek biblioteki jest opustoszały i po chwili domyślam się dlaczego. Książki umieszczone w tym miejscu wydają się upiornie nudne. Są tu dysertacje o gatunkach roślin, eseje o krzyżowaniu zwierząt i opasłe dzieła o metodach nawadniania gruntu. Przesuwam palcami po grzbietach, szukając pasjonującego dzieła Cadmiuma Blake'a.

- Spóźniłaś się.

Podskakuję, a serce podjeżdża mi do gardła. Ash opiera się ramieniem o jeden z regałów. Ręce ma splecione na piersi, a na jego twarzy widnieje lekko rozbawiony wyraz.

- Cześć - wyduszam z siebie. Uśmiecha się krzywo i podchodzi do mnie.

- Nie miałaś problemu z trafieniem tutaj, prawda?

- Nie, tylko... - Krzywię się. - Wpadłam na Diuka.

- A, tak. Wydawało mi się, że czuję czarowny aromat jego cygar. - Prycha z obrzydzeniem. - Któregoś dnia Diuszesa zamorduje go w łóżku.

Śmieję się, ale dostrzegając, że Ash jest poważny, milknę. Czyżby mówił serio?

- No więc... Eee... Co tu robimy? — To dość odosobnione i ciche miejsce, ale nieopodal siedzi pan tego domu, a tu

i ówdzie kręcą się służący walczący z oświeceniem. Poza tym nie można wykluczyć, że ktoś poczuje nagłą chęć zapoznania się z podstawami irygacji... Tak naprawdę sala koncertowa wydaje się bezpieczniejszym miejscem.

Usta Asha wyginają się w dziwnym półuśmiechu.

- Potrafisz dotrzymać tajemnicy? - pyta. Parskam zduszonym chichotem. -Tak. Potrafię.

Ash podchodzi do półki, przy której stoję i z przesadną ostrożnością sięga po „Eseje o zapyłaniu krzyżowym borówek”. Przechyliła książkę tak, że balansuje na krawędzi i nagle cała półka przesuwa się, ukazując skryty za nią ciemny korytarz. Z sufitu zwieszają się świetlne kule, w których mdłym blasku widać surowe kamienne ściany i niedaleki zakręt.

Zszokowana, gapię się na tajemne przejście. Po chwili opinuję się na tyle, by zamknąć półotwarte usta.

- Dokąd prowadzi? - pytam szeptem.

Ash bierze mnie za rękę i czuję, jak przez moje ciało przebiega dreszcz ekscytacji.

- Chodź - mówi Ash. Pociąga mnie za sobą w półmrok. Po chwili półka cicho wraca na swoje miejsce.

Z palcem przyciśniętym do warg, Ash prowadzi mnie krętym, pełnym odnóg korytarzem. Prawie natychmiast kompletnie tracę orientację. W pewnym momencie tunel zaczyna wieść nieco w górę. Na jego końcu majaczą proste, drewniane drzwi z ciężką żelazną klamką. Kiedy Ash je otwiera, do korytarza wlewa się słabe, szarawe światło. Gestem pokazuje mi, bym szła przodem.

Natychmiast rozpoznaję pomieszczenie. To właśnie tutaj po raz pierwszy się spotkaliśmy. Pamiętam sofę na pazurzastych łapach, niski kawowy stolik, o który obilałam sobie piz-

czel i fotel pod samotnym oknem. Przez szyby widzę jezioro, jednak pod innym kątem niż z mojego okna. Pada. Po szkle spływają ciężkie krople deszczu.

Odwracam się, słysząc ciche kliknięcie. Ash zamknął ukryte drzwi. Ze zdumieniem stwierdzam, że są umieszczone za obrazem przedstawiającym mężczyznę w zielonej kurcie i jego wiernego psa.

Spoglądam na dwoje widocznych drzwi. Jednymi się tu wślizgnęłam, co znaczy... że drugie prowadzą do sypialni Asha? Na tę myśl płoną mi czubki uszu.

Przez kilka chwil stoimy w niezręcznym milczeniu. Ash przeciąga dłonią po włosach i odkasłuje.

- Życzysz sobie może coś do picia? - pyta uprzejmym tonem.

- Och. Tak, poproszę. Dziękuję. - W przyćmionym świetle sali koncertowej i ciemnym korytarzu wszystko wydawało się takie proste i intymne. Teraz, w chłodnej jasności salonu, nie wiem, jak się zachować. Siadam na sofie, a Ash nalewa nam herbaty ze stojącego na stoliku imbryka.

- Cóż - mówi, podając mi filiżankę i siadając obok.

- Cóż - odpowiadam z braku innych konwersacyjnych pomysłów.

Zegar stojący na gzymsie kominka tyka zadziwiająco głośno.

- Może powinniśmy się formalnie sobie przedstawić - rzuca nagle Ash. - Nazywam się Ash Lockwood.

- Violet Lasting. - Nie mogę powstrzymać krzywego uśmiechu.

- Coś cię rozbawiło?

- Nie, tylko... Dokładnie pamiętam ten moment, w którym pomyślałam, że Violet Lasting znikła na zawsze.

Och, o czym ja gadam? Co sprawiło, że akurat to mi się przypomniało?

- Kiedy? Mrugam.

- Co kiedy?

- Kiedy tak pomyślałaś.

- Och. - Pochyliam głowę i mówię do filiżanki herbaty. - Na ceremonii pożegnalnej na peronie w Bramie Południowej. Zanim tu trafiłam. - Widzę całą tę scenę oczyma wyobraźni: gruby mężczyzna z pierścieniem z rubinem, twarze surogatek, opiekunki...

- Zanim trafiłaś na Aukcję? Przytakuje.

- Tak, tamtego ranka.

- Musiałaś być przerażona. Wzruszam ramionami.

- Jak się z tym czułaś? - dopytuje Ash.

- A jak sądzisz? - W moim głosie pojawia się ostrość. - Zmusili mnie, żebym samotnie stanęła na scenie. Kobiety oferowały za mnie pieniądze. Odebrano mi imię. Odebrano mi dom. Odebrano... Wszystko.

Zapada długa chwila milczenia. Upija kolejny łyk herbaty. Nie tak wyobrażałam sobie tę rozmowę i bardzo chciałabym zmienić temat.

- Przepraszam - szepczę. - Ja...

- Mnie również odebrano dom - przerywa mi Ash. Unoszę wzrok i napotykam jego poważne spojrzenie. Zbłąkany brązowy kosmyk opadł mu na czoło i z trudem zwalczam chęć odgarnięcia go.

- Naprawdę?

- Cała różnica w tym, że ja na to pozwoliłam.

- Dlaczego?

- Moja mała siostrzyczka była chora. Opuściłem dzień w szkole i wziąłem ją do publicznej kliniki. Cały dzień czekaliśmy, żeby lekarz nas przyjął. Właśnie wtedy wpadła na mnie Madame Curio. - Uśmiecha się na to wspomnienie, ale uśmiech ten jest nieprawdopodobnie smutny. - Powiedziała mi, że pewnie doprowadzam dziewczęta do szaleństwa. Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi.

- Co się stało z twoją siostrą? - pytam.

- Czarne płuco. W Dymie to się często zdarza. Choroba jest uleczalna, o ile masz pieniądze na leki, a my nie mieliśmy. Kiedy wróciłem do domu, Madame Curio już na mnie czekała. Powiedziała, że może mi pomóc ocalić siostrę. Obiecała mi pracę, w której zarobię dość, by starczyło nie tylko na medykamenty dla Cinder, ale również na zapewnienie godziwego życia rodzinie. Postawiła jeden warunek. Ze nigdy więcej ich nie zobaczę. - Przełyka z trudem. - Wyjechałem następnego dnia.

Odstawia filiżankę na stół i jego głos staje się o wiele bardziej oficjalny.

- Wybacz, proszę. To nie jest... najlepszy temat do kulturalnej konwersacji. Nie powinienem... Nie przywykłem tak wiele o sobie mówić. To naganne zachowanie. Przepraszam.

- Łamiemy dzisiaj sporo zasad, prawda? Ash uśmiecha się i rozluźnia nieco.

- Tak, na to wychodzi.

- To, co zrobiłeś dla siostry było bardzo odważne. Kręci głową.

- Nie miałem wyboru.

- A jednak - mruczę pod nosem. - Gdybym ja mogła wybrać, to... Nie wiem, co bym zrobiła.

- Nie wierzę w to - protestuje Ash.

Ma rację. Gdyby to Hazel miała wsiąść do pociągu, a ja mogłabym się z nią zamienić, nie zastanawiałabym się ani chwili.

- Ile miałaś lat? - pyta.

- Dwanaście. - Wciąż pamiętam, jak stałam w kolejce do gabinetu testowego, kurczowo trzymając mamę za rękę. Pamiętam zimne palce lekarza, ostrą woń antyseptyków i ukłucie igły. - Badanie jest obowiązkowe dla wszystkich dziewcząt, które już... No wiesz, które stały się kobietami. - Robię się czerwona. Unikam jego spojrzenia. - W każdym razie, tamtej nocy przyszli i po mnie.

Mrugam kilka razy, starając się przegnać okropne wspomnienie, a potem upijam łyk herbaty. Jest już zimna.

- Czasami mam wrażenie, że pamiętam życie kogoś innego - mówi z namysłem Ash. - Tak jakby tamta osoba już nie istniała.

- Istnieje - szepczę.

- Trudno pamiętać, kim się jest, kiedy non stop udaje się kogoś innego.

-Jestem pewna, że są takie chwile, gdy możesz być po prostu sobą.

Patrzy na mnie łagodnym wzrokiem.

- Jesteś tu od niedawna...

Gdybym była kotem, zapewne bym się najeżyła.

- Może i tak, ale całkiem dobrze rozumiem, o co ci chodzi. Poza tym masz o wiele więcej swobody niż ja. Możesz rozmawiać z kim chcesz, ubierać się jak chcesz i chodzić tam, gdzie ci się podoba. Inni traktują cię z szacunkiem.

- Naprawdę myślisz, że Diuszesa czuje do mnie szacunek? Widziałaś, jak na mnie patrzyła? Albo Carnelian... Żą-

da, żebym z nią tańczył i tańczył, i tańczył. Myślisz, że obchodzi ich, że jestem zmęczony, głodny, albo wcale nie mam ochoty pisać na parkiecie? Szlachta mnie nie szanuje, Violet. Oni mnie posiadają.

Milczymy przez chwilę, zatopieni we własnych myślach.

- Nie, wcale cię nie posiadają - stwierdzam nagle, prostując się. Ash unosi jedną brew. - Gdyby naprawdę cię posiadali, nie przyszedłbyś dzisiaj do sali koncertowej. A gdyby naprawdę posiadali mnie, nie siedziałabym teraz w tym pokoju.

- Bardzo optymistyczny sposób patrzenia na to zagadnienie - komentuje Ash.

- Nie zgadzasz się z nim?

- Ja... - Wzdycha ciężko. - Zbyt długo tu mieszam. Trudno mi zachować pozytywne nastawienie. — Obejmuje dłońmi moją szyję i przesuwa kciukiem po linii szczęki. - Coś jednak muszę ci wyznać. Kiedy obudziłem się dzisiaj rano, miałem uczucie, jakby ktoś wpuścił do pokoju świeże powietrze. Znow mogłem oddychać. Ciężar z piersi znikł i chyba po raz pierwszy od wielu lat poczułem się znow sobą.

- Co się wydarzyło? Uśmiecha się do mnie.

- Zdecydowałem, że cię odnajdę.

Cisza okrywa nas jak pled, ciepła i pełna zrozumienia. Ash zabiera ręce i rozkłada się wygodnie na kanapie.

- Czego ci najbardziej brakuje? - pyta. - To znaczy z poprzedniego życia.

- Rodziny. - Odstawiam zimną herbatę na stolik. - Zwłaszcza mojej młodszej siostry, Hazel. Ależ wyrosła! - Uśmiecham się smętnie. - Jest bardzo podobna do taty.

- A ty kogo przypominasz? Parskam śmiechem.

- Nikogo. Tata zwykł żartować, że mama musiała wdać się w romans z mleczarzem. - Czuję w piersi dziwny, prawie słodki żal.

Ash okręca sobie na palcu jeden z moich loków.

- Twój ojciec jest dobrym człowiekiem?

- On nie żyje - szepczę. Dłoń Asha zamiera.

- Violet, tak mi przykro. Nie chciałem...

- W porządku. Umarł dawno temu.

- Ile miałaś lat?

- Jedenaście.

Bardzo powoli przesuwa palcami po moich włosach.

- Mogę zapytać, co się stało?

Spoglądam na mokre od deszczu okno, za którymi tańczą nagie gałęzie drzew.

- Wraciał do domu po drugiej zmianie w Dymie. Przed tawerną była jakaś burda. Dwóch mężczyzn atakowało innego, a tata... Tata chciał ich powstrzymać. - Przełykam zgęstniałą ślinę. - Jeden z napastników dźgnął go nożem. Zanim Gwardziści przynieśli go do domu, już nie żył.

Zamykam oczy i wspomnienia napływają jak wezbrana czarna fala. Ojciec, krew, deszcz, błoto. Martwe, nieruchome ciało na kuchennym stole i skapujące ze znoszonego odzienia krople brudnej wody. Mama była jak zwierzę. Zabrałam Hazel i Ochre'a do sypialni, ale wciąż słyszeliśmy jej lament. Zwinęliśmy się w łóżku we troje i szlochaliśmy przez całą noc. Rano ojca już nie było.

Po policzku spływa mi łza. Zakłopotana, szybko ją ocieram. To nie pora na płacz.

- Przepraszam - mówię. - Od dawna nie myślałam o tamtej nocy.

- Próbował komuś pomóc - mruczy cicho Ash. - To było bardzo odważne z jego strony.

Wzruszam ramionami.

- Pewnie tak.

- Przykro mi. Tak, mnie również.

- A co z twoją rodziną? - pytam.

- Jak to co?

- Och. Opowiedz mi o niej - proszę. - Byłeś blisko ze swoim ojcem?

Ash parska zduszonym, pozbawionym wesołości śmiechem.

- Nie, nie byłem blisko z moim ojcem - oznajmia sztywno. - Nie bardzo... Nie dogadywaliśmy się. Nie byłem podobny do dwóch starszych braci. Rip i Panel są bliźniakami i są... Bo ja wiem? Twardzi? W każdym razie uwielbiają przepychanki, awantury, bójki i, co nie jest bez znaczenia, zawsze byli więksi ode mnie. Od ich jazgotu wolałem ciszę. Gdybyśmy mieli w domu jakieś książki, to pewnie siedziałbym przy piecu i czytał.

- Dlatego właśnie byłeś w altanie? Na Balu Hierarchy. W sali było strasznie głośno.

Splata swoje dłonie z moimi i nagle trudno mi oderwać wzrok od miejsc, w których jego skóra dotyka mojej.

- Tak, częściowo. Ale również dlatego, że musiałem znaleźć sposób, by przestać się na ciebie gapić.

- Tak, jasne - pryham, czując, jak palą mnie policzki.

- Kiedy to najprawdziwsza prawda - zapewnia, przysuwając się nieco bliżej. - Violet, jeśli teraz nie przerwiemy, to obawiam się, że... Że później już nie dam rady. Ani jutro, ani pojutrze, ani nigdy.

Nigdy... To słowo wcale nie wydaje mi się przesadne. Nie sądzę, żebym ja sama była w stanie przestać. Gdzieś na skraju umysłu majaczy jednak trzeźwiący lęk - jeśli opuszczę Klejnot, opuszczę również Asha.

Pomyślę o tym jutro, uspokajam sama siebie. Ten problem może jeden dzień zaczekać. Teraz mamy chwilę dla siebie. On jest tutaj i ja jestem tutaj i nie ma nikogo ani niczego, co mogłoby nam odebrać ten bezcenny moment.

Pochylam się w stronę Asha. Kiedy dotyka mojego policzka, wstrząsa mną dreszcz oczekiwania.

- Masz zamiar znów mnie pocałować? - pytam z nadzieją. Uśmiecha się.

- Tak, Violet, właśnie taki mam zamiar.

Jego wargi dotykają moich, najpierw delikatnie, potem z większą pasją. Obejmuję Asha ramionami i na moment zapominałam o całym świecie.

ROZDZIAŁ 21

Jesteś gotowa, Violet? Violet? Stoję wraz z doktorem Blythem pod wielkim dębem. Popołudniowe słońce oblewa ogród ciepłym światłem.

Mam wrażenie, że czas zwariował. Od czasu spotkania poprzedniego dnia, nie umiem go pojąć. Czasem minuta zdaje się ciągnąć niczym godzina, a kiedy indziej kwadrans po prostu znika, a ja odkrywam, że znalazłam się w jakimś miejscu, nie wiedząc, jak tam trafiłam.

- Przepraszam. Jestem gotowa.

Ściągam rękawiczki. Lekarz uśmiecha się lekko.

- Wydajesz się dzisiaj jakaś rozkojarzona - zauważa. - Nerwy są zrozumiałe, myślę jednak, że po tym, co wydarzyło się w poniedziałek, możesz sama siebie zaskoczyć.

Jego wiara we mnie jest urocza, ale nie mam złudzeń, że uda mi się w minimalny choć sposób wpłynąć na to prastare drzewo. Zmuszam się do uśmiechu i przytakuję. Wynajduję niewielki węzeł w korze i kilka razy przesuвам po nim dłonią. Przypomina mi spiralę. Zupełnie jakbym dotykała muszli ślimaka.

Najpierw ujrzyj, jaki jest. Potem ujrzyj w myślach swych. Wreszcie wola skrępuj go.

Przed moimi oczyma pojawia się obraz drzewa odzianego w zimę. Nagie czarne gałęzie wczepiają się z bladoszare niebo. Pada śnieg. Drobne płatki wirują na wietrze i topnieją nim opadną na ziemię. Jest w tym coś pięknego i smutnego zarazem, coś, co sprawia, że jeszcze mocniej tęsknię za domem.

Wyczuwam życie dębu, równie potężne jak wtedy, gdy dotknęłam go po raz pierwszy. Tym razem jestem lepiej przygotowana na spotkanie z jego mocą. Jestem świadoma tej skrywanej głęboko siły i witam ją, gdy wpływa w moje żyły. Jak bardzo bym chciała, by obraz w mojej głowie był prawdziwy.

Drzewo mnie rozpoznaje - wyczuwam, jak staje się świadome mojej obecności i jak reaguje na moją własną życiową energię. Z westchnieniem opadam na kolana, nie odrywając dłoni od pnia. Nigdy wcześniej nie czułam tak silnych, nagich emocji. Wiruje mi w głowie, bo uczucie jest przemożne i zupełnie dla mnie obce. Dąb nie czuje w taki sam sposób jak ja. Wstrząsa mną potężny dreszcz nieopisanego, smakującego słodko żalu, który wyciska z moich oczu łzy, po chwili zaś czuję się pijana poczuciem wszechmocy, wiekowości i młodości zarazem.

Koncentruję się, starając się poruszyć grube liny życia pulsujące pod prastarą korą. Ku mojemu zaskoczeniu jedna z nich poddaje się mojej woli. W chwili, gdy udaje mi się ją ująć w dłoń, ucieka, jak spłoszone zwierzę. Nagły ruch spra-

wia, że moje ciało przeszywa upiorny ból, przypominający ten, którego doznaję, ilekroć uderzę się mocno w jakiś nerw.

Gwałtownie odsuwam się od drzewa. Krew kapie mi z nosa i wsiąka w piach. Czuję brak łączności z dębem. Oszołomiona, przerażona stratą, kurczowo wbijam palce w ziemię w poszukiwaniu kontaktu.

Doktor Blythe zaczyna klaskać.

- Brawo, Violet - mówi i w jego głosie słyszę szczerłość. - Brawo!

Podaje mi chusteczkę. Przytykam ją do nosa i spoglądam na wyniosłe drzewo. Z miejsca, które dotykałam wyrasta mały, drżący na wietrze liść.

- Widzisz, Violet - zaczyna lekarz, kucając obok mnie i otwierając swoją lekarską torbę. - Stymulant wpływa dodatnio na twoje umiejętności, ale jednocześnie osłabia cię fizycznie. Jeśli się go nadużyje, może mieć bardzo nieprzyjemne skutki uboczne. Chciałem się upewnić, że będziesz miała dość czasu na to, by odzyskać siły, ale masz tak wielkie naturalne zdolności, że po pierwszej dawce dalece przekroczyłaś moje oczekiwania. Pracowałem z wieloma surogatkami i żadna z nich nie była w stanie osiągnąć tego, co ty osiągnęłaś. - Delikatnie rozsmarowuje mi pod nosem ostro pachnącą eukaliptusem maść. Uczucie ściągania skóry jest nieprzyjemne, ale krwawienie ustaje. - Diuszesa mądrze postąpiła, czekając na ciebie. Mam dobre przeczucia co do zadania, które przed nami postawiono.

Pomaga mi wstać i oczyszcza moją twarz za pomocą gazy oraz jakiegoś preparatu, w którym wyczuwam woń alkoholu.

- I już. Nie ma ani śladu.

Mam wrażenie, że moja skóra stała się dziwnie cienka i nawet najmniejszy dotyk mógłby ją rozerwać. Wnętrzo-

ści zachowują się tak, jakby postanowiły zmienić położenie, a w piersi wciąż czuję życie dębu.

- Na dzisiaj chyba wystarczy - oznajmia doktor Blythe i poklepuje mnie po ramieniu. - Widzimy się jutro.

Patrzę za nim, jak odchodzi wijącą się pośród nagich drzew ścieżką, a potem patrzę na listek, który stworzyłam. Przypomina małą jednopalczystą rękawiczkę w kolorze zgniłej zieleni. Delikatnie ujmuję go w palce i pocieram pościętą żyłkami powierzchnię.

- Przepraszam - szepczę do drzewa.

Usiłuję wyobrazić sobie, jak to by było stworzyć takie życie wewnątrz mnie, sprawić, by wzrosło niehamowane więzami natury. Wzdrygam się, widząc oczyma wyobraźni pęczniejący szybko brzuch.

Nie musisz się tym przejmować, mówię sobie. Lucien cię stąd wyciągnie.

Słońce skryło się za gęstymi chmurami. Zaczynam trząść się z zimna. Pospiesznie idę w stronę zachodniej ściany i spoglądam na splecione ze sobą kwiaty na szczycie muru. Pierwszy fiołek już więdnie.

Powinam wysłać kolejną wiadomość. Póki tu jestem, Raven musi wiedzieć, że o niej nie zapomniałam. Kolejne kwiaty na przednówku zimy mogłyby wzbudzić podejrzenia, trzeba więc wymyślić coś innego. Przeszukuję kieszenie i znajduję w nich starą, wystrzępioną wstążkę do włosów. Jest różowa, a Raven nie cierpi tego koloru. Pospiesznie przywołuję obraz błękitnej wstęgi i już po chwili materiał okrywa się barwą szafiru. Tworzę nowy pęd i owijam wokół niego wstążkę. Później posyłam ją na mur.

Przez kilka chwil patrzę, jak błękit podryguje w powietrzu. Potem chucham w zziębnięte dłonie, zakładam na po-

wrót rękawiczki i wracam do pałacu. Przechodzę akurat pod oknami sali balowej, gdy coś przyciąga mój wzrok. Ostrożnie, na palcach, podchodzę bliżej i zaglądam do środka.

Moje serce zamiera i niczym kamień opada aż do stóp.

Ash i Carnelian tańczą. On opasuje ją ramieniem w talii, opierając dłoń na jej krzyżu. Ich twarze są blisko siebie. Bardzo blisko. Siostrzenica Diuszesy obejmuje ręką jego szyję, drugą dłoń zaś splata z jego dłonią. Ruchy Asha są płynne i pełne gracji, Carnelian jest nieco sztywna.

Nie powinnam na to patrzeć, ale nie potrafię odwrócić wzroku.

Nagle czas jakby zwalnia. Ash nachyla się w stronę partnerki i jego wargi zbliżają się do jej warg... Moje ciało przeszywa ból i muszę chwycić się okna, by nie upaść. Niechcący przesuwam paznokciami po szybie i wysoki dźwięk sprawia, że cierpną mi zęby. Spanikowana opieram się o ścianę z nadzieją, że żadne z nich mnie nie dojrzało. Pulsowanie w skroniach zagłusza wszystko inne.

Zrywam się do biegu.

Pędzę przed siebie na ślepo, a żwir tryska mi spod stóp. Wpadam do labiryntu i z premedytacją się w nim gubię, jakby wysokie ściany żywopłotu mogły odgrodzić mnie od tego, co ujrzałam.

Nie mogą. Wciąż mam przed oczyma Asha całującego Carnelian.

Wyczerpana, opadam na kolana w jednym ze ślepych zaułków i łapczywie chwytam oddech. Ależ jestem głupia. Naiwna, mała dziewczynka, która nie ma pojęcia o miłości. Przez cały ten czas on i ona...

Nienawidzę go, ale siebie nienawidzę jeszcze bardziej za to, że kretyńsko wierzyłam, iż mogę doświadczyć takiego rodza-

ju szczęścia. Jakiegokolwiek rodzaju szczęścia! Nienawidzę się za tę wiarę w to, że dokonałam wyboru, który cokolwiek znaczy. Nie posłuchałam Luciena, zignorowałam jego polecenia, zawiodłam jego zaufanie. I po co?

Nie wiem, jak długo siedzę na ziemi, żałośnie skulona z głową wspartą na kolanach. Łzy wsiąkają w płaszcz, a chłodny wiatr targa moimi włosami.

-Violet?

Słyszając jego głos wzdrygam się, ale nie wstaję, ani nie unoszę oczu.

Czuję jak siada obok mnie. Czuję ciepło jego ciała.

- Violet, przepraszam. Pozwól mi wyjaśnić. - Milknie na moment. - Możesz na mnie spojrzeć?

- Nie - warczę, wiedząc, że jeśli to zrobię, znów zacznę płakać, a nie chcę płakać w jego obecności.

Ash wydaje z siebie zmęczone westchnienie.

- To, co widziałaś... To moja praca, Violet. Muszę to robić. Muszę ją całować. - W jego głosie pobrzmiwa wahanie. - Ale to nie jest to, czego bym pragnął. Myślałem, że to zrozumiesz. - Siada wygodniej. - Masz pojęcie, jak strasznie nienawidzę swojego życia? Przez cały czas muszę kłamać. Okłamuję te dziewczyny, mówię im to, co chcą usłyszeć. Wiesz, co w tym najgorsze? Wiedzą, że nie jestem szczery, ale wcale ich to nie obchodzi. Ja ich nie obchodzę. Nie widzą mnie, nie znają, jestem własnością, przedmiotem, który na balu wieszają sobie u ramienia. To prawda, że nie trafiłem na Aukcję, ale przez cały czas ktoś mnie sprzedaje i kupuje.

Po kilku sekundach unoszę głowę i napotykam jego spojrzenie. Słowa kłębią mi się w gardle, ale żadne z nich nie chce go opuścić, bo... Przecież rozumiem. Dobrze wiem, jak czuje. Nie mogę go oceniać, ani nie mogę go winić.

Ash uśmiecha się tym pięknym uśmiechem, który tak uwielbiam, tym, który sprawia, że wygląda, jakby ukrywał jakąś słodką tajemnicę.

- Mogę ci o czymś powiedzieć? - pyta. Kiwam głową.

- W dniu, kiedy się spotkaliśmy, usłyszałem jak się śmiejesz. To dlatego wszedłem do salonu.

- Pamiętam ten histeryczny chichot zaraz po tym jak cudem uniknęłam spotkania z dwiema pokojówkami.

- Stałaś tam, zarumieniona i radosna, i pomyślałem, że jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem. A kiedy spojrzałaś na mnie zaskoczona...

Śmieje się i odgarnia za ucho kosmyk moich włosów.

- A potem wpadłam na stolik - przypominam, krzywiąc się odruchowo.

Ash znów parska śmiechem, tym razem nieco głośniej.

- Racja. Ale przy tobie poczułem się jak... Jak osoba, a nie rzecz. Ty mnie widzisz, Violet. Czy to, co mówię ma w ogóle sens?

Nie wiem, dlaczego to się dzieje... Dlaczego akurat teraz? Siedzę w zielonym labiryncie i gapię się na jedyną osobę, która mnie rozumie i którą powinnam od siebie odepchnąć, bo to właśnie byłoby mądre i właściwe. Powinnam słuchać Luciena.

To nie fair! Nie dam rady.

Któregoś dnia będę musiała porzucić Asha i to wydaje mi się wystarczającą karą. Zostawię go, ale wcześniej go okłamię, to koszarne.

- Violet? - Ash przygląda mi się z niepokojem. Ciekawe, jaką mam minę.

Jeszcze tylko kilka tygodni dzieli nas od Najdłuższej Nocy. Tych kilka tygodni to przecież niewiele, prawda? Niko-

mu nie zaszkodzi. Przez ten czas możemy być razem. To warte ryzyka.

Chwytam go za kołnierz kurtki i przyciągam do siebie, ustami szukając jego ust. Jesteśmy tacy sami, zabawki arystokracji, przedmioty pozbawione własnej woli. To jedyny wybór, jakiego możemy dokonać sami. Być ze sobą. Tylko tego szlachta nie może nam odebrać.

Wyczuwam zaskoczenie Asha. Jego ramiona napinają się, a potem rozluźniają. Wplata palce w moje włosy, a potem opadamy razem na zimną trawę.

Kolejnego ranka siedzę w ulubionym fotelu pod oknem w saloniku i przyglądam się tłumom, które przybywają do pałacu i opuszczają go. Ruch jest większy niż zazwyczaj. Służba dwoi się i troi, lokaje ganiają w kółko, nosząc małe stoliki, płachty materiału i naręcza kwiatów.

- Co się dzieje? - pytam Annabelle. Jej twarz smutnieje, a na policzkach pojawiają się rumieńce. - Och! Annabelle, coś nie tak?

Wzrusza ramionami. *G się zaręczył.*

- Garnet? Przytakuje. - Z kim? *Dom Dolin.*

- Och.

Przyjęcie zar jutro.

- I jak Garnet to przyjął? Annabelle krzywi się i unosi brew.

- No tak. - Parskam śmiechem. - Musi być zachwycony. Nagle drzwi do saloniku otwierają się z rozmachem i do pomieszczenia wpada Diuszesa.

- Chodź ze mną - mówi krótko. Spoglądam na Annabelle. Rumieńce znikły zastąpione przez kredową bladość. Jest wyraźnie zaniepokojona.

- Dokąd idziemy, pani? - pytam, spiesząc za nią pełnym kwiatów hollem. Nie odpowiada mi, ale gdy zatrzymujemy się przed windą, sama się domyślam.

Doktor Blythe stoi plecami do nas i żołądek zaciska mi się ze strachu. O nie, znowu zamierza użyć tego strasznego pistoletu?

- Jak się dzisiaj czujesz? - pyta pozbawionym wyrazu głosem. Uznaję, że ma na myśli mnie, a nie Diuszesę.

- Dobrze - odpowiadam.

- Mocno się ostatnio ochłodziło, prawda? Nie masz kataru, kaszlu, nie boli cię gardło, czy coś innego?

- Czuję się dobrze - powtarzam.

- Doktorze, jest pan gotowy? - pyta niecierpliwie Diuszesa. Powinna wyjść. Dlaczego nie wyszła? Wzdrygam się, gdy zaciska palce na moim ramieniu, jakby bała się, że mogę spróbować ucieczki. Przecież nie mam dokąd uciec.

- Chyba tak.

- Mówił pan, że moment ma kluczowe znaczenie - naciska Diuszesa.

- Z tym akurat nie ma problemu. - Dopiero teraz dociera do mnie skrywana głęboko ekscytacja w głosie lekarza. Doktor odwraca się w moją stronę i uśmiecha ciepło. Włoski na karku stają mi dęba. - Nie ma się czego lękać - zapewnia, podchodząc bliżej.

Kątem oka dostrzegam coś, co wcześniej mi umknęło. Przy łóżku zamocowano podpórki na stopy. O nie...

Nie widzę igły. Nie, póki nie jest za późno. Czuję bolesne ukłucie po prawej stronie szyi i opadam w ciemność.

ROZDZIAŁ 22

Słyszę delikatne buczenie podobne do tego, które wydają arkany. Próbuję otworzyć oczy, ale powieki zdają się zbyt ciężkie. Język mam opuchnięty i przełykanie sprawia mi ból.

- Doktorze, ona się budzi.

Głos Diuszesy przebija się przez otaczającą mnie gęstą mgłę. Coś sterczy mi z ramienia. Chcę się podrapać, ale nie jestem w stanie się ruszyć.

- Proszę się nie martwić, pani. Prawie skończyliśmy. Doktor Blythe. Gabinet. Igła. Podpórki.

W jednym momencie odzyskuję przytomność. Gwałtownie otwieram oczy. Najpierw widzę tylko oślepiającą biel, dopiero po chwili świat na powrót nabiera kształtów.

Chyba wolałabym pozostać nieprzytomna.

Ręce i ramiona mam przytwierdzone do łóżka skórzanymi pasami, a w zagięciu łokcia dostrzegam wenflon. Rozłożone na boki, zadarte do góry nogi spoczywają na podpórkach, okryte tworzącą namiot białą tkaniną.

Mam wrażenie, jakby coś zgmiotło mi płuca. Nie mogę oddychać.

Tuż nade mną pojawia się twarz Diuszesy.

- Uspokój się - mówi cicho, ocierając mi czoło wilgotną szmatką. - To tylko atak paniki.

Powietrze wydaje się rzadkie i ubogie w tlen. Serce wali mi jak oszalałe. Szybko, zdecydowanie zbyt szybko.

- Co... Co się dzieje? - jęczę.

- Oddychaj głęboko. - Głos doktora Blythe'a dochodzi zza białej zasłony. - Rozluźnij się, wszystko w porządku.

- Ja nie... Nie czuję nóg - chrypię. Duszę się. Przed oczyma pojawiają mi się białe światła.

- Pani, po lewej leży maska tlenowa. Czy byłabyś, pani, tak miła i położyła ją na ustach i nosie pacjentki?

Coś twardego naciska na moją twarz i po chwili nabieram w płuca cudownie czystego, świeżego powietrza. Puls trochę zwalnia.

- Już dobrze, prawda? Nic ci nie będzie. - Diuszesa po raz kolejny ociera mi czoło. - Nie powinnaś była budzić się tak wcześniej - oznajmia, jakby to była moja wina.

- Skończone - mówi lekarz, wyłaniając się zza białej płachty. Zdejmuje błękitną maskę, a potem ściąga lateksowe rękawiczki. Krzywię się, słysząc plaśnięcie rozciąganej gumy.

- Wszystko poszło dobrze, pani.

- Fantastycznie - kwituje szorstko Diuszesa. - Mam na głowie zaręczynowe przyjęcie.

Słyszę jak drzwi windy otwierają się i zamykają. Doktor Blythe ostrożnie zdejmuję moje nogi z podpórek. Pozbawione życia dyndają głupio za krawędzią łóżka.

- Podałem ci lekki środek usypiający - wyjaśnia, przyciskając palce do mojego nadgarstka, by zbadać puls. - Powinien już ustępować. - Bierze małą latarkę, świeci mi w oczy i notuje coś na ekranie. - Myślę, że możemy to już usunąć - mówi, odpinając pasy przytrzymujące moje barki i ręce.

Próbuję usiąść, ale nagły atak mdłości sprawia, że prawie natychmiast opadam na leżankę.

- Nie ruszaj się, Violet. — Nie mam wyboru. Wlepiam wzrok w gładki biały sufit, czekając, aż miną zawroty głowy. Czuję lekkie ukłucie, gdy lekarz wyjmuje wenflon. - Chcesz, żebym zostawił maskę?

Potrząsam głową. Chcę się stąd wydostać. Łzy gromadzą mi się w kącikach oczu i spływają po policzkach. Doktor zdejmuje mi z twarzy maskę. Po chwili zaczynam czuć mrowienie w stopach. Rozpaczliwie chcę wiedzieć, co się wydarzyło, ale pytania utkwiły mi w gardle. Boję się tego, co mogłabym usłyszeć. Lekarz po prostu siedzi i przygląda mi się, czekając aż wrócę do siebie.

Mrowienie przenosi się wyżej, na łydki i uda. Mdłości i zawroty głowy mijają. Bardzo ostrożnie unoszę górną część ciała i siadam na łóżku. Mam wrażenie, jakbym była manekinem, moje ruchy są niezgrabne i powolne.

- Chcesz wody? - Doktor Blythe uśmiecha się do mnie.

Kiwam głową. Podaje mi kubek ze słomką i upijam mały łyk. Usta mam zupełnie wyschnięte i chłodny płyn jest prawdziwym błogosławieństwem.

- Dzisiaj możesz doświadczyć lekkich skurczy - wyjaśnia chłodnym tonem profesjonalisty. - Ale jutro powinnaś czuć

się równie dobrze jak dawniej. Rezultaty poznamy po około tygodniu.

- Rezultaty? — wyduszam.

- Tak, Violet, rezultaty. - Ściska mnie za rękę. - Za kilka dni będziemy wiedzieli, czy jesteś w ciąży.

Ciąża.

To słowo wciąż i wciąż wraca do mnie, a im więcej o nim myślę, tym bardziej staje się obce i mniej zrozumiałe jak przypadkowa zbitka głosek. Leżąc nocą w łóżku, gapię się na piękny baldachim i próbuję stwierdzić, czy coś się we mnie zmieniło. Przyciskam dłonie do brzucha, jakbym mogła w ten sposób wyczuć bicie maleńkiego serca, rosnące we mnie życie.

Niczego nie znajduję. Absolutnie niczego.

- Proszę, niech to nie zadziała - szepczę. Boję się, że jeśli wypowiem słowa głośno, skuszę los. — Proszę...

Czuję się skażona. Oni umieścili coś we mnie bez mojego pozwolenia i wbrew mojej woli. Wiedza, że tak się stanie, a doświadczenie tego, to dwie zupełnie różne rzeczy.

Płakałam przez całe popołudnie, aż wreszcie zabrakło mi łez. Gdy tak się stało, zanosilałam się suchym, dławiącym szlochem, aż rozboleło mnie całe ciało. Nie wiem, ile razy wołałam Luciena poprzez arkany. Sto? Tysiąc? Wreszcie, sfrustrowana brakiem odpowiedzi, cisnęłam kamertonem o ścianę. Dużo później podniosłam go i schowałam na miejsce.

Trudno mi nie myśleć o Ashu. Ależ byłam głupia, waząc ryzyko wiążące się z byciem z nim. Nasz czas był krótszy niż zakładałam. Już się skończył.

Z otępienia wyrywa mnie pukanie do drzwi. Do pokoju zagląda Annabelle. Pisze coś na tabliczce, ale nie zadaje sobie trudu, by na nią spojrzeć.

Po chwili tabliczka pojawia się tuż nad moją twarzą.

D tu jest.

W milczeniu dźwigam się do pozycji siedzącej i podciągam kolana pod brodę. Annabelle pocieszająco poklepuje mnie po dłoni i znika za drzwiami. Kilka sekund później do sypialni po cichu wchodzi Diuszesa. To dziwne, zachowuje się tak, jakby obawiała się, że mnie zdenerwuje.

- Jak się czujesz? - pyta.

- Dobrze, pani - odpowiadam przez zaciśnięte zęby. Podchodzi bliżej i siada na krawędzi łóżka.

- Wiem, że to musi być dla ciebie bardzo trudne.

- Nie - protestuję zimno, po raz kolejny niezdolna do wykonywania poleceń Luciena. - Nie wiesz.

- Bardzo cię proszę, nie siedź tutaj nadęta i nie użalaj się nad sobą, jakbyś nie wiedziała, że to się kiedyś wydarzy -mówi, unosząc brew Diuszesa. - Doktor powiedział, że zabieg przebiegł bez komplikacji.

- Tak, pani.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, poinformuj niezwłocznie mnie albo Annabelle.

- Chcę być sama. - Rzucam jej ponure spojrzenie.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - rzuca gniewnie. -Tak jakbym była największym złym tego świata. Dlaczego nie potrafisz okazać wdzięczności za wszystko to, co ci oferuję? Piękne ubrania, znakomite jedzenie, nowa wiolonczela, biżuteria, bale... Naprawdę próbuję się tobą opiekować. Próbuję cię uszczęśliwić!

- Ukradłaś moje życie i oczekujesz ode mnie wdzięczności? - Powinnam się uspokoić, ale nie umiem. Jestem na to zbyt wściekła.

- Jakie życie? Wolałabyś mieszkać w jakiejś dziurze Bagnie, nie dojadać i klepać biedę?

- Tak! - wrzeszczę. - Wolałabym! Tysiąc razy bardziej! Wolałabym być z moją rodziną, mieć własne życie, podejmować własne decyzje... Zrobiłabym wszystko, byle tylko być wolna.

- Przecież dałam ci wolność! — protestuje Diusza podniesionym tonem.

- Chodzenie po pałacu bez eskorty to nie jest wolność -krzyczę.

Przez moment patrzymy na siebie nienawistnie. Po chwili Diusza bierze głęboki wdech.

- To nie ja stworzyłam te wszystkie zasady - mówi spokojniejszym już głosem. - To nie ja zabrałam cię od twojej rodziny i nie ja stworzyłam Aukcje. W Klejnocie jest naprawdę wielu ludzi, którzy nie podarowaliby ci nawet części tego, co ja ci dałam.

Odwracam głowę, nie chcąc jej odpowiadać. Diusza wzdycha.

- Wiesz o tym, że Wybranka chce zakazać Aukcji?

- Naprawdę? - pytam, wracając do poprzedniej pozycji. Czuję nieoczekiwany przyływ nadziei.

Widząc moją minę, Diusza parska stłumionym śmiechem.

- Nie, nie, ona nie chce zaprzestać surogacji. Chce zlikwidować Aukcje, bo gardzi surogatkami.

- Dlaczego?

W jej oczach pojawia się coś, co podejrzenie przypomina litość.

- Bo ona sama nie potrzebowała surogatki. Nie pochodzi z arystokracji, pamiętasz? Była zdrowa i mogłaby urodzić dziecko własnymi siłami, ale by poślubić Hierarchę, musiała się wyrzec tej części siebie. Wszystkie szlachcianki przed

ślubem są sterylizowane, żeby uniknąć ryzyka ciąży. - Nie umiem odczytać wyrazu jej twarzy. Poprawia przez moment i tak idealnie ułożone spódnice. - Pamiętasz, jak mówiłam ci, że są dwie szkoły traktowania surogatek? Ja wierzę w to, że wasze osobowości mają ogromne znaczenie, ale wiele kobiet się ze mną nie zgadza. Wybranka też. Ma plan, żeby was... dostosować.

- W jaki sposób?

- Po co zawracać sobie głowę szkoleniem surogatek? Po co wydawać pieniądze i ryzykować niedostateczne rezultaty spowodowane tym, że surogatka ma jakąś skazę charakteru, nie stara się wystarczająco albo żywi do ciebie głęboką urazę? Tak naprawdę potrzebujemy tylko waszych ciał. Stymulanty wzmagają Augurie. Wybranka uważa, że wasze umysły zupełnie nie są nam potrzebne.

Zachłystuję się powietrzem.

- Więc czego ona chce? Zrobić nam lobotomię? - wyduszam.

- Właśnie tego.

Mam wrażenie, że za moment zwymiotuję.

- Nie może tego zrobić.

- Ależ może. Jest Wybranką. Hierarcha nie interesuje się surogacją. Tak jak wszyscy mężczyźni w Klejnocie uważa, że to „zajęcie dla kobiet”. - Diuszesa przewraca oczami. - Jeśli Wybranka będzie miała wystarczające poparcie ze strony odpowiednich ludzi, to nic nie stanie jej na przeszkodzie, by ustanowić nowe prawo.

- To co ją powstrzymuje?

- Na razie kolejne eksperymenty kończą się fiaskiem. Ale kiedy wreszcie jej się uda... - Wzrusza ramionami. - Koniec z Magazynami, koniec z kompensatą dla rodzin. W mo-

mencie, gdy dziewczyna stanie się gotowa do zapłodnienia, po prostu zniknie. - Patrzy mi prosto w twarz oczyma, w których płonie ciemny ogień. - Zdajesz sobie sprawę, że są tacy, którzy chcą zaręczyć swoje córki z przyszłym Hierarchą tylko po to, by w przyszłości kontynuowały one to, co robi Wybranka? Nie możemy na to pozwolić.

Nie podoba mi się sposób, w jaki Diuszesa podchodzi do naszej teoretycznej współpracy. Jakby naprawdę łączył nas wspólny cel. Z drugiej strony na to właśnie liczył Lucien.

- Dlaczego tak bardzo jej nienawidzisz? - pytam. - Dlatego, że to ona poślubiła Hierarchę, a nie ty?

Z twarzy Diuszesy odpływają wszystkie kolory.

- Nie masz najmniejszego pojęcia, o czym mówisz -oznajmia zimno. - Tej kobiecie nie wolno pozwolić na to, by tworzyła prawo. Nie pozwolę jej panoszyć się w kręgu, który stworzyła moja rodzina. Nie jej, nie kobiecie, w której żyłach płynie taka pospolita krew, której grubiańskie maniery przynoszą wstyd dworowi i która ubzdurała sobie, że może zmienić historię.

- Ale... - Waham się przez chwilę. - Ale jeśli nawet zaaranżujesz małżeństwo, twoja córka będzie za młoda, by cokolwiek zrobić. To będzie małe dziecko.

Usta Diuszesy wyginają się w okrutnym półuśmiechu.

- Och, tym akurat nie musisz się martwić. Twoim zadaniem jest urodzić ją najszybciej jak się da.

Ściska mnie w żołądku.

- Wiem, co jest moim zadaniem, pani.

- To dobrze. - Uśmiecha się szerzej.

- Czy naprawdę nikt tutaj nikogo nie kocha? - pytam z nutą rozpaczony w głosie. - Czy jest jakaś część ciebie, pani, która po prostu pragnie dziecka?

Diuszesa patrzy na mnie z twarzą dziwnie pozbawioną wyrazu.

- Kochałam bardziej niż możesz to sobie wyobrazić -mówi cicho.

Mrugam. Nie widziałam jej takiej, wygląda jak ktoś zupełnie inny, jak ktoś...

Po kilku sekundach orientuje się, że ujawniła zbyt dużo. Wciąż zastanawiam się, co powiedzieć, gdy wstaje i otrzepuje spódnice.

- To na razie wszystko - oznajmia sucho. - Jak zapewne wiesz, mój syn wreszcie się zaręcza. Jutro po południu jest z tej okazji przyjęcie, na którym masz się pojawić. Zaplanowałam mały koncert. - Rozgląda się po pokoju, jakby szukała właściwych słów, by zakończyć tę dziwną rozmowę. Najwyraźniej nie znajduje. - Dobranoc - rzuca, nie patrząc mi w oczy.

Gdy wychodzi, słyszę jeszcze, jak mówi do Annabelle.

- Ma wyglądać przepięknie.

ROZDZIAŁ 23

Annabelle jak zawsze staje na wysokości zadania.

Kiedy za pięć siódma, odziana w bladozieloną suknię, staje pod drzwiami sali balowej, lokaj wybałusza na mnie oczy. Punkt dla mojej dworki, naprawdę się postarała. Gorset ciasno opasuje mnie w talii, pozostawiając ramiona odkryte, spódnice zaś opadają na ziemię niczym płatki kwiatów. Materiał mieni się i połyskuje, ozdobiony na dole rozszczepiającymi światło kryształkami. Na szyi mam elegancką obróżkę z diamentów, a w uszach pasujące do niej kolczyki.

Zza drzwi dobiega mnie szum głosów oraz stłumione dźwięki muzyki. Służący kłania się i anonsuje moje przybycie.

- Surogatka Domu Jeziora - oznajmia, ale słyszą go tylko ci, którzy stoją najbliżej.

Sala pełna jest mężczyzn w smokingach i kobiet w kolorowych sukniach. Ich śmiech odbija się od ścian i od pięknie zdobionego sufitu. Garnet stoi sztywno obok dziewczyny mniej więcej w moim wieku i wygląda wyjątkowo załóżnie. Jasne włosy i błękitne oczy jego narzeczonej przypominają mi Lily. Lily... Ciekawe, dokąd trafiła. Pani i Lord Szklą składają właśnie gratulacje zaręczonej parze. Ich surogatka musi być już w kolejnym Magazynie. Nurtuje mnie, jak się ma ich dziecko.

Odnajduję wzrokiem Diuszesę odzianą w złotą kreację z małymi rękawkami i kieruję się w jej stronę. Dopiero po kilku krokach orientuję się, że rozmawia akurat z Wybranką. Muszę bardzo się pilnować, by zachować neutralny wyraz twarzy.

- Och, naprawdę... Wygląda zjawiskowo - rzuca Wybranka, obcinając mnie wzrokiem. Dziś ma na sobie suknię ze szkarłatnego aksamitu z wielkim smokiem wyhaftowanym na wierzchniej warstwie spódnicy. Jej drobna sylwetka tonie w powodzi materiału, a jaskrawoczerwone usta jeszcze bardziej upodabniają ją do lalki. Przypomina mi się Aukcja. Znow mam wrażenie, że patrzę na dziecko, które bawi się w przebieranki. Trudno sobie wyobrazić, by ta młoda kobieta była zdolna przeprowadzać mordercze eksperymenty na niewinnych dziewczynach i ciąć ich mózgi na kawałki. Z drugiej strony, przecież nie musi tego robić sama. - Kiedy zamierzasz zacząć?
- pyta Diuszesę.

- Kiedy doktor uzna, że jest gotowa, Wasza Wysokość - kłamię Diuszesa bez mrugnięcia okiem.

- Tylko nie czekaj zbyt długo. Surogatka Pani Lustra jest już w ciąży, tak samo jak surogatka Pani Gwiazdy. Chyba nie chcesz zostać gdzieś w tyle.

Diuszesa wzrusza ramionami i pociąga łyk szampana.

- Niespecjalnie się tym martwię, Wasza Wysokość, ale dziękuję za troskę.

Wybranka przygląda mi się z zaciekawieniem. Zagryzam zęby i zmuszam się do uśmiechu.

Nagle za jej ramieniem jak spod ziemi wyrasta Lucien. Serce skacze mi do gardła, gdy kiwa głową i podaje swojej pani lampkę szampana.

- Och, dziękuję, Lucienie - mówi z wdziękiem Wybranka i obraca się znów w stronę gospodyni. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? To z mojej własnej piwniczki. Ostatnio jestem strasznie wybredna, jeśli chodzi o trunki, przyniosłam więc własne.

No pewnie, sama bym tak zrobiła, gdyby ktoś otruił moją surogatkę.

- Oczywiście, Wasza Wysokość - odpowiada Diuszesa, a na jej twarzy pojawia się fałszywy uśmiech.

Słyszę, że lokaj znów kogoś zaanonsował, nie rozróżniam jednak słów.

- Och! Lapis! - wykrzykuje Wybranka i macha do kobiety z burzą kasztanowych włosów. Nieznajoma ma na sobie suknię bardzo podobną do kreacji Diuszesy. - Moje gratulacje! Dom Dolin musi być bardzo dumny z tych zaręczyn.

Pani Dolin opada we wdzięcznym dygnięciu.

- Tak, Wasza Wysokość. Moja córka nie mogłaby znaleźć lepszej partii.

Wszyscy spoglądamy na zaręczoną parę. Akurat w tym momencie Garnet uznaje za stosowne podrapać się w najmniej odpowiednim miejscu. Może cisną go spodnie? Z trudem duszę śmiech. Na policzki Pani Dolin występują krwawe rumieńce.

- O tak - zgadza się Wybranka ze złośliwym uśmiechem. - To fantastyczna partia. Ach, Carnelian.

Moje serce przyspiesza i nagle zaczyna brakować mi powietrza. Carnelian i Ash podchodzą bliżej.

Nie potrafię zdobyć się na to, by unieść głowę. Boję się, że nie umiałabym się powstrzymać i rzuciłabym się Ashowi na szyję. Nie widziałam go od tak dawna, że to aż boli. Zamiast spojrzeć na niego, wpatruję się w rubinowy naszyjnik na dekolcie Carnelian.

- Następne przyjęcie będzie dla ciebie, moja droga - mówi Wybranka.

- Tak, Wasza Wysokość. Nie mogę się doczekać. Orkiestra zaczyna grać walca i Jej Wysokość klaszcze w dłonie jak uradowane nową zabawką dziecko.

- Och, to jeden z moich ulubionych utworów. Koniecznie muszę zatańczyć. Wybaczcie mi, miłe panie, pójdę poszukać małżonka.

Przyjęcie trwa w najlepsze podlewane hojnie szampanem, którego, jak poinformowała mnie sucho Diusza, absolutnie nie wolno mi pić. Goście tańczą, a sala rozbrzmiewa rozmowami i głośnym śmiechem. Hrabina Kamienia nie została raczej zaproszona, nie mam więc nadziei na to, że znów zobaczę Raven. Większość czasu spędzam przy stole, na którym piętrzą się stosy kolorowych makaroników, starając się nie śledzić wzrokiem Asha i licząc na to, że Lucien znajdzie sposób, by porozmawiać ze mną w cztery oczy.

Po kilku godzinach Diusza prosi zebranych o ciszę. Stoi w jednym z końców sali balowej z Diukiem u jednego boku, a Garnetem i jego narzeczoną u drugiego.

- Dziękuję wszystkim za przybycie i świętowanie wraz z nami tego podniosłego wydarzenia - mówi. - Wzniesmy

toast na cześć szczęśliwej pary, Gameta z Domu Jeziora i Coral z Domu Dolin.

Wszyscy unoszą kieliszki.

- A teraz - ciągnie Diuszesa - moja surogatka zagra dla was krótki koncert. Zapraszam wszystkich do sali koncertowej.

Lokaj prowadzi mnie innym korytarzem, niż ten, z którego korzystają goście, domyślam się więc, że zmierzamy do tylnych drzwi na scenę. Nagle zastępuje nam drogę Lucien.

- Jej Wysokość życzy sobie, bym osobiście odprowadził surogatkę - oznajmia mężczyźnie. - Możesz wrócić na swoje stanowisko.

Lokaj waha się przez chwilę, po czym zgina w niskim ukłonie.

- Oczywiście.

Kiedy znika za zakrętem, Lucien uśmiecha się do mnie szeroko.

- Pozwolisz? - pyta, podając mi ramię. Unoszę lekko kąciki warg i przyjmuję je.

- Jak się czujesz? - zagaduje po chwili.

Chcę odpowiedzieć i... nie mogę. Przełykam z trudem ślinę, próbując się opanować. Widząc moją minę, Lucien przystaje i delikatnie ujmuję mnie pod brodę.

- Czy to się stało? - szepce. Kiwam głową.

- Kiedy?

- Wczoraj - chrypię.

- Więc nie wiesz, czy się im udało.

-Nie.

Lucien delikatnie gładzi mnie po twarzy opuszkami palców.
-W porządku, Violet. Jasne, sytuacja mogłaby być lepsza, ale damy sobie radę. Najdłuższa Noc już niebawem, prawda? Przygryzam wargę.

- Lucienie, czy ty... Wiesz o planach Wybranki? O tym, że chce... Że uważa, że osobowość surogatek jest niepotrzebna i... Lucien unosi brew.

- Kto ci powiedział?

- Diuszesa. Wydyma lekko wargi.

- Tak, zdaję sobie sprawę z jej planów - wyznaje. - Ale nie możemy się na tym koncentrować. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek jej się uda, więc na razie zajmijmy się wyciągnięciem cię stąd. Pamiętasz, co jest naszym celem?

- Ale inne dziewczyny, ja nie...

- Posłuchaj mnie. - Lucien zatrzymuje się tuż przed drzwiami na scenę i kładzie mi dłonie na ramionach. - Tu nie chodzi tylko o ocalenie ciebie. Stawka jest o wiele wyższa.

Po moim kręgosłupie przebiega dreszcz.

- Co masz na myśli? - szepczę.

Jego wargi wykrzywają się w tajemniczym półuśmiechu.

- Żeby spowodować lawinę, wystarczy jeden mały kamyczek. Mam zamiar pomóc innym dziewczętom. Sposoby... jest ich wiele. Ba! Nie mam na myśli tylko surogatek. Chcę pomóc wszystkim, których gnębi arystokracja. Nic z tego jednak nie wyjdzie, jeśli najpierw nie pomogę tobie.

Otwiera drzwi nim jestem w stanie zasypać go gradem pytań. Słyszę, jak goście zajmują miejsca, rozmawiając ze sobą i śmiejąc się beztrąsko. Wiolonczela i stojak na nuty czekają na mnie na scenie.

- Gotowa? - pyta Lucien.

Kiedy dociera do mnie, co mam za chwilę zrobić, wszystkie ważne pytania ulatują mi z głowy. Zaciskam kurczowo spotniałe nagle dłonie.

- Tak - mówię odważnie.

Lucien całuje mnie delikatnie w czoło.

- Powodzenia.

Biorę głęboki oddech i, witana oklaskami, wchodzę na scenę. Jest o wiele lepiej niż na balu Hierarchy. W powietrzu nie czuć złośliwej radości, nikt nie czeka na to, by się potknęła. Ludzie naprawdę chcą usłyszeć jak gram, chcą czerpać przyjemność z koncertu. Siadam na krześle i, spoglądając na zajęte fotele, ustawiam wiolonczelę między kolanami. Gości jest mnóstwo.

Oto spełnia się moje marzenie, sen staje się jawą.

Tym razem to Diusza wybierała repertuar. Otwieram nuty i odkrywam, że na początek mam zagrać preludium G-dur. Uśmiecham się kątem ust. Pewnie chce przypomnieć wszystkim mój pierwszy publiczny występ.

Kładę smyczek na strunach i zaczynam.

Prawie natychmiast orientuję się, że coś jest nie w porządku. Zazwyczaj gra sprawia, że się rozluźniam, jednak tym razem mięśnie brzucha zdają się spinać coraz bardziej. Liczę na to, że z czasem spłynie na mnie spokój, jednak z każdym kolejnym pociągnięciem smyczka czuję się coraz gorzej. Kończę preludium i przez zaciśnięte zęby uśmiecham się do publiczności. Nie było to najlepsze z moich wykonania, ale chyba nikt tego nie zauważa.

Sięgam przed siebie, by przerzucić stronę i ten niewielki ruch sprawia, że tępy ból ogarnia również dolny odcinek kręgosłupa. Mrugam, starając się zdusić jęk. Diusza wybrała kolejne preludium, tym razem w D-mol. Utwór jest podobny do nokturnu, do którego tańczyła Lukrowany Tort. Mocniej zaciskam palce na smyczku.

Gram ledwie kilka sekund, gdy ból staje się nie do wytrzymania. Skurcz w brzuchu sprawia, że mam ochotę wyć, a moje plecy płoną żywym ogniem, jednak dopiero gdy czuję między udami wilgoć, ręka zaczyna mi drżeć, fałszywe nuty zgrzytają w uszach, a smyczek upada na podłogę.

Spoglądam w dół i widzę, jak wici czerwieni suną po mojej bladozielonej sukni. Dlaczego materiał zmienia kolor? Przecież nie używam Augurii.

To krew.

Słyszając stuknięcie spadającej na deski sceny wiolonczeli, odkrywam, że ją upuściłam. Kątem oka widzę błysk bieli gdzieś za sceną. Przyciskam dłonie do brzucha, tam, gdzie rozrasta się szkarłatna plama i czuję lepkie gorąco. W uszach narasta mi szum zagłuszający dźwięki z widowni.

- Pomocy - szepczę.

I osuwam się na podłogę.

Spodziewam się, że uderzę w gładkie, chłodne drewno, ale czyjeś ręce podtrzymują moje bezwolne ciało. Znowu staję się świadoma otoczenia.

- Wezwijcie lekarza! - krzyczy Lucien.

Ludzie mówią coś podniesionymi głosami, ktoś piszczy, ale nie jestem w stanie doszukać się w tym sensu. Widzę, że tłum zbliża się do sceny, ale sylwetki są nieostre, zupełnie jakbym patrzyła przez mgłę. Kolejny skurcz sprawia, że obejmuję się ramionami.

Jęczę bezgłośnie, gdy Lucien kładzie mnie na podłodze i delikatnie dotyka mojego czoła.

Nagle pojawia się Diuszesa.

- Doktor jest w Banku - mówi dziwnie drżącym głosem. Mrugam. Jest blada, a w jej oczach dostrzegam strach. Zabawne, nigdy wcześniej nie widziałam, by się czegoś bała.

- Natychmiast kogoś przyślemy - Głos Hierarchy dochodzi gdzieś z prawej strony.

- Nie ma czasu, musimy powstrzymać krwawienie — sprzeciwia się Lucien. - Pani, gdzie jest gabinet? - Diuszesa wciąż patrzy na mnie szeroko rozwartymi oczyma. - Pani! Gabinet!

Wreszcie Diuszesa budzi się ze stuporu.

- Tędy. - Wskazuje drogę.

Lucien bierze mnie na rękę, nie spodziewałam się, że jest tak silny, i znosi mnie ze sceny, a potem rusza w stronę drzwi. Otacza nas mnóstwo zmartwionych, poważnych twarzy, ale tylko jedna z nich ma jakieś znaczenie.

Ash patrzy za mną z twarzą wykrzywioną przerażeniem.

Kolejny skurcz wstrząsa moim ciałem i tym razem nie potrafię opanować krzyku.

- Jesteśmy prawie na miejscu, słonko - szepce mi do ucha Lucien. - Prawie na miejscu.

- To boli - chrypię.

- Wiem.

Słyszę dźwięk otwieranych drzwi windy i zapadamy w mrok, który po chwili rozbłyскуje ostrym światłem. Jesteśmy w gabinecie. Kiedy Lucien kładzie mnie na łóżku, natychmiast zwijam się w pozycji embrionalnej. Dłonie mam śliskie od krwi.

- Będzie dobrze? - Diuszesa musi być gdzieś po lewej. W jej głosie słyszę ponaglenie i lęk. - Czy ona wyzdrowieje?

Tuż nade mną pojawia się zatroskana twarz Luciena. Jego palce przesuwają się po moim ręku. Czuję ukłucie igły i nagle moje powieki stają się strasznie ciężkie.

Twarz Luciena zamienia się w twarz Asha. Chciałabym unieść rękę i dotknąć jego policzka, ale kończyny nie chcą mnie słuchać.

- Wszystko już dobrze. Śpij. - Kiedy Lucien wypowiada słowa, słyszę głos Asha. - Śpij. Ogarnia mnie miłosierna ciemność.

ROZDZIAŁ 24

Coś chłodnego dotyka mojego czoła. Uczucie jest bardzo miłe.

Powoli otwieram oczy. Jestem we własnej sypialni, a nade mną pochyla się Diuszesa ze zwilżoną szmatką w dłoni.

- Doktorze! - woła, po czym siada na łóżku obok mnie. - Jak się czujesz?

Usta mam wyschnięte, a język klei mi się do podniebienia. Diuszesa napełnia szklanek wodą ze stojącego na nocnej szafce dzbanka i unosi ją do moich warg.

- Proszę bardzo - mówi łagodnie. Upijam parę łyków. Kilka kropel spływa mi po policzku. Diuszesa delikatnie je ociera. Po kilku chwilach otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi doktor Blythe.

- Obudziła się? - pyta od progu, spiesząc w moim kierunku. Diuszesa odsuwa się, robiąc mu miejsce. Kiedy lekarz bada puls na moim nadgarstku, na jego ustach pojawia się uśmiech. - Cieszę się, że znów otworzyłaś oczy - mówi.

- Co... Co się stało? - chrypię, bo gardło wciąż mam opuchnięte.

- Pierwsza próba bardzo często kończy się niepowodzeniem. Niestety, twoje ciało zareagowało wyjątkowo gwałtownie. O mało nie umarłaś. Musimy postępować z jak największą ostrożnością.

- I tak już przekroczyliśmy termin - protestuje Diuszesa. - Jeśli ją stracimy - zwraca się do niej doktor Blythe - to termin przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. Kręci mi się w głowie.

- Więc... Ja... Nie jestem w ciąży? Doktor otwiera swoją medyczną torbę.

- Już nie.

Wyciąga termometr i wsadza mi go pod język.

- To jak mamy działać? - dopytuje Diuszesa.

- Czekamy z następną próbą przynajmniej przez jeden pełny cykl. Cztery, może pięć tygodni, zobaczymy. Ona musi wyzdrowieć.

- Dobrze - oznajmia Diuszesa. - Ale pan, panie doktorze, zostaje tutaj. Pański pokój będzie gotowy dziś po południu.

- Jak sobie życzysz, pani.

Wizja doktora mieszkającego tuż za ścianą nie jest specjalnie pokrzepiająca, ale przynajmniej podarowano mi trochę czasu. Do Najdłuższej Nocy pozostało pięć i pół tygodnia. Może Lucienowi uda się dać mi serum, zanim Diuszesa zdecyduje się na kolejną próbę.

Lekarz wyciąga termometr.

- Gdzie jest Lucien? - pytam. Widząc miny doktora i Diuszesy, przypominam sobie, że najpewniej w ogóle nie powinnam go znać.

- Z powrotem w Pałacu Królewskim, a gdzie indziej miałby być? - odpowiada lekarz.

- Ocalił mi życie - mówię z nadzieją, że to usprawiedliwi moje zainteresowanie.

- Zaiste. - Doktor kiwa głową. - Miałaś ogromne szczęście, że był na miejscu. - Chowa termometr do torby. - A teraz powinnaś odpoczywać.

Przytakuje, bo wciąż odczuwam nienaturalne zmęczenie.

- Przyślę kogoś po pańskie rzeczy, doktorze - rzuca Diuszesa, po czym po raz kolejny przeciera mi czoło. Jej dotyk jest bardzo delikatny, prawie czuły. Chwilę później odkłada szmatkę, podnosi się i wychodzi z sypialni.

- Ktoś nie może się doczekać, żeby cię zobaczyć - mówi z uśmiechem doktor Blythe. Kiedy otwiera drzwi, do pokoju wpada Annabelle.

- Annabelle! - wykrzykuję słabo. Klęka koło łóżka, bierze moją dłoń w swoje i przyciska do niej policzek. Nie musi używać tabliczki, bym zrozumiała, co chce mi przekazać. Wiem, o czym myśli. - Nic mi nie jest - mówię. - Po prostu jestem zmęczona.

Przytakuje z oczyma pełnymi łez.

- Och, Annabelle, naprawdę nic mi nie jest. Muska wargami moją dłoń.

- Chyba się teraz prześpię - mruczę. - Zostaniesz ze mną? Annabelle wdrapuje się na łóżko i kładzie obok mnie.

Opieram głowę na jej ramieniu.

- Dziękuję - szepczę, czując, jak delikatnie gładzi mnie po włosach. - Dziękuję.

Przez kilka kolejnych dni nie wychodzę z łóżka.

Doktor Blythe przychodzi każdego ranka, popołudniami zaś wpada z wizytą Diuszesa, jednak przez większość czasu czytam albo gram z Annabelle w Halnę.

Każda kolejna doba przybliża mnie do wolności. Odliczam je w głowie, nie mogę się doczekać Najdłuższej Nocy. Po niej nikt już nie będzie mógł mnie skrzywdzić, ani Diuszesa, ani doktor, ani nikt z zadufanej w sobie, okrutnej arystokracji.

Ciekawi mnie, co miał na myśli Lucien, mówiąc o tym, że gra toczy się o stawkę większą niż moje życie. Czyżby planował powstanie przeciwko szlachcie? Gdyby odebrać wysoko urodzonym ich surogatki, zagroziłoby to całemu życiu Klejnotu. Bez nas nie mogą mieć dzieci. Bez nas po prostu by wymarli. Jednak, by doprowadzić do czegoś takiego, Lucien musiałby ukryć wszystkie dziewczęta przebywające obecnie w Magazynach, nie wspominając o tych, które trafiły już do Klejnotu... Jeśli jednak Lucien stara się obalić obecne rządy, jestem po jego stronie. Nie tylko dlatego, że chcę za wszelką cenę wydostać się z Klejnotu. Diuszesa zasługuje, żeby zobaczyć, jak jest na drugim końcu smyczy.

Raz po raz żegnam się w myślach z Ashem, zupełnie jakby rozgrywanie tej sceny w nieskończoność mogło sprawić, że prawda stanie się łatwiejsza do zaakceptowania. Cięża nieomal mnie zabiła - ocalałam, ale wiele innych surogatek nie ma takiego szczęścia. Jeśli mogę w jakiś sposób pomóc dziewczynom, muszę to zrobić. Jeśli Lucien jest w stanie wyciągnąć z Klejnotu mnie, da radę zrobić to z innymi. Muszę wreszcie zacząć traktować to, o czym rozmawialiśmy z należytą powagą. I muszę go słuchać. Żadnych sekretnych spotkań więcej. Żadnych pocałunków w labiryncie. Będę surogatką idealną, bo zbyt wiele jest do stracenia.

Powtarzam sobie, że tak będzie lepiej. Przecież prędzej czy później nasza szarada musiałaby się skończyć. Czy to ważne, kiedy? Udaję, że podjęłam już decyzję. Udaję, że ta decyzja mnie cieszy...

Mam nadzieję, że Raven nic nie jest. Szkoda, że nie mogliśmy się spotkać na zaręczynowym przyjęciu, choć z drugiej strony to dobrze, że nie widziała, jak upaść krwią pół sceny.

W piątek doktor Blythe oznajmia, że czuję się już na tyle dobrze, że mogę przejść się po pałacu.

- Mogłybyśmy pójść do ogrodu? - proszę Annabelle. - Mam dość zamkniętych pomieszczeń.

Annabelle opatula mnie od stóp do głów w najcieplejszy płaszcz i wyjątkowo długi szalik i opuszczamy pałac tylnymi drzwiami. Udaję, że snuję się bez celu to tu, to tam, aż wreszcie Annabelle przysiadła z książką na jednej z ławek. Wtedy spieszę do zachodniej ściany.

Kwiaty są martwe, zarówno moje jak i ten należący do Raven. Przyciskam dłoń do chropawego muru.

- Tęsknię za tobą - szepczę.

Co zrobiłaby na moim miejscu Raven? Najpewniej ciskałaby się na Luciena za to, że się tak grzebie.

Mój wzrok przyciąga błysk czegoś srebrnego. Rozgarniam gałęzie i pośród więdnących liści dostrzegam zupełnie nowy pęd, a na nim srebrny wisiołek w kształcie psa. Raven i Crow mieli w dzieciństwie teriera, którego nazwali Danger w nadziei, że to zainspiruje małego psiaka do bycia wielkim, groźnym zwierzęciem. Ich matka sprzedała go do magistratu, gdy okazało się, że nie stać ich na jego utrzymanie.

Całuję zawieszkę i wsuwam ją do kieszeni. Teraz wiem, że Raven wciąż walczy, że nadal mnie pamięta. Odrywam od

płaszczka jeden z ozdobnych guzików, owijam go winoroślą i posyłam na drugą stronę muru. Potem ruszam dalej.

Miło wreszcie znaleźć się na zewnątrz. Mam wrażenie, że chłodne powietrze działa na mnie ożywczo, oczyszczająco. Idę ścieżką, której nigdy wcześniej nie widziałam, umiarkowanie ciekawa, dokąd mnie zaprowadzi. Drzewa są tu wyższe, a zarośla gęstsze, zupełnie jakby ogrodnik omijał te rejony. Nagle dróżka kończy się i staję przed niewielką sadzawką pełną kolorowych, czerwonych, pomarańczowych i niebieskich rybek. Gwałtownie nabieram powietrza w płuca...

Po drugiej stronie zbiornika na drewnianej ławce siedzi Ash.

Podrywa się na mój widok.

-Violet?

Ma na sobie prostą brązową kurtkę i szary szalik, co sprawia, że przedziwnie wtapia się w otoczenie.

- Cześć - mówię cicho.

- Czy ty... - Mruga kilka razy i przełyka ślinę. - Jak się czujesz?

- Dobrze, dziękuję - odpowiadam absurdalnie uprzejmie. - Miło, że pytasz.

Przestrzeń między nami zdaje się kurczyć i rozciągać jednocześnie.

- Martwiłem się. Słyszałem... Mówili, że o mało nie umarłaś.

Wzruszam ramionami.

-Już mi lepiej - mamroczę, próbując zmusić nogi do posłuszeństwa. Powinnam natychmiast odwrócić się i odejść, ale nogi nie chcą mnie słuchać. Zamiast zniknąć, stoję jak skamieniała i wpatruję się w Asha.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - pyta.

-Jak? Krzywi się.

- Właśnie tak. Jakbyś się mnie bała.

- Wcale nie... - Odchrząkuję i spoglądam w stronę ścieżki, którą tu przyszedłam. - Muszę iść.

- Iść? - Głos Asha wyraża niebotyczne zdumienie. - Ostatni raz, kiedy cię widziałem, wykrwawiałaś się na śmierć, a teraz chcesz po prostu odejść?

Robię krok w tył. Byle dalej od obietnicy pocieszenia, od ciepła jego ramion. To nie dla mnie, już nie. Muszę pozwolić mu odejść.

- Violet, poczekaj!

Ciało słucha, choć mózg krzyczy, bym zerwała się do biegu. Słyszę szelest deptanych liści. Ash kładzie mi dłoń na ramieniu.

- Co się dzieje? - pyta.

Wyślizguję się z jego uścisku i staję z nim twarzą w twarz.

- Nie możemy się więcej widywać - mówię sucho. Lucien byłby ze mnie dumny. Gdybyż to jeszcze tak bardzo nie bolało...

Ash patrzy na mnie osłupiały. Przez moment sprawia wrażenie, jakby zamienił się w żywy posąg. Po chwili wraca do życia. Cofa się o krok i rozgląda wokół, jakby sadzawka, ławka albo wyniosłe drzewa mogły podpowiedzieć mu, co ma zrobić. Przymyka oczy, a kiedy znów je otwiera, jego maska pęka i wyziera spod niej ból. Trwa to tylko sekundę. Prawie natychmiast Ash się opanowuje.

- Dobrze więc - stwierdza uprzejmym, konwersacyjnym tonem.

- Ja... Przepraszam - szepczę. Teraz, gdy to wreszcie się dzieje, chciałabym cofnąć czas. Nie podoba mi się ten Ash,

nie podobają mi się gładka maska i jeszcze gładsze maniery. Ten Ash należy do szlachty. Mój jest zupełnie inny. Mój?

- Proszę o wybaczenie, ale jestem umówiony z Carnelian na lekcję etykiety.

Mija mnie. Odruchowo łapię go za ramię. -Ash, proszę... Wyrzywa się.

- Nie - warczy. Fizycznie wręcz czuję jego wściekłość. Zupełnie jakby wyrosły mu kolce. - Nie będziesz mi mówić, co mam robić. Straciłaś ten przywilej.

Czuję się tak, jakbym znalazła się pod wodą. Wszystko jest dziwnie spowolnione, śliskie i stawia opór. Trudno mi oddychać.

Nagle świadomość tego, co tak naprawdę zrobiłam, uderza we mnie z całą mocą i miejsce żalu zajmuje ślepa furia. To nie w porządku, że Ash się na mnie wścieka. Przecież tak naprawdę chcę tylko pomóc innym dziewczynom! Och! Szlag by to, że nie mogę mu o wszystkim powiedzieć!

Kładę dłonie na piersi Asha i z całej siły go odpycham.

- Myślisz, że to dla mnie łatwe? - syczę gniewnie, patrząc, jak stara się odzyskać równowagę. - Myślisz, że właśnie tego pragnę?

Unoszę dłonie, by znów go popchnąć, ale łapie mnie za nadgarstek.

- A dla mnie to niby łatwe? - pyta wzburzonym szeptem. - Nie masz pojęcia...

Przyciąga mnie mocno i nagle nasze twarze są kilka cali od siebie. Staję się boleśnie świadoma jego fizycznej przewagi.

- Nic nie wiesz, Violet - oznajmia pełnym napięcia tonem. - Nic! Mówisz do mnie jakbym świetnie znał to, co by-

ło... To, co myślałem, że między nami będzie. Seks? Och, pewnie. O nim bardzo wiele. Tak samo jak o żądzy, kłamstwach i zdradzie. Ale o tym? - Jeszcze mocniej ściska mnie za rękę. Boli. - Za każdym razem, gdy się z tobą spotykam, ryzykuję życie. Czy to w ogóle do ciebie dociera? Jeśli mnie złapią, zostanę stracony.

Nagle cały gniew ze mnie opada. Czuję się jak szmaciana lalka.

- Co takiego?

- Och, daj spokój, Violet! A myślałaś, że jak inaczej mogłoby się to skończyć? Jesteś tu od kilku tygodni, ale chyba zauważyłaś, jakie porządki panują w Klejnocie.

- Ale... Ale dlaczego... Skoro to takie ryzykowne, to... Dlaczego w ogóle mnie pocałowałaś?

- Bo nie wolno mi było tego zrobić! - krzyczy Ash. - Bo sprawiłaś, że poczułem się kimś innym. Poczułem się człowiekiem, sobą. Patrzę na ciebie i... Nie znasz mnie zbyt dobrze, Violet, ale uwierz proszę, że zanim cię poznałem, byłem wrakiem człowieka. Byłem załamany, potrzaskany na kawałki. I za nic w świecie nie chcę do tego wracać.

Nagle orientuje się, że wciąż ściska mój nadgarstek. Puszczam mnie i chowa dłonie do kieszeni. Kiedy krew napływa do zdrętwiałych palców, mam wrażenie, jakby ktoś wbijał mi w opuszki igły.

- A gdybyśmy nawet nie zostali złapani - ciągnie Ash spokojniejszym już tonem - nigdy nie będę mógł przedstawić cię mojej rodzinie. Nigdy nie będziemy się swobodnie przechaźać po ulicach Dymu i nigdy nie zabiorę cię do Komisarza Pokoju, by uczynił nas małżeństwem. Gdy tylko Carnelian się zaręczy, zniknę, a moje życie będzie biec dalej utartą ścieżką, zupełnie jakbyś mnie nigdy nie dotknęła. Ale dotknę

łaś i nie sędzę, bym mógł o tym kiedykolwiek zapomnieć.
-Mruga i rzuca okiem na mój nadgarstek. - Zraniłem cię, nie miałem zamiaru. Przepraszam.

Mury, którymi się otoczyłam coraz bardziej się kruszą. Nie wiem, kim właściwie chciałabym być, jakim człowiekiem? Zawdzięczam Lucienowi życie i będę wobec niego lojalna aż do jego końca. Ale przecież Ash nie ma z tym nic wspólnego. Ash to oddzielna część życia, ta część, która należy tylko do mnie. Och, niektóre rzeczy są większe i ważniejsze od nas dwojga. Ocalenie surogatek. Zniszczenie arystokracji. Czy miłość warta jest ryzyka?

Kiedy spoglądam w oczy Asha, dostrzegam w nich to wszystko, co tak bardzo pragnie ocalić Lucien. Czymże jest życie bez miłości? Ash i ja nie mieliśmy się poznać, a jednak, wbrew wszystkiemu, odnaleźliśmy się nawzajem i co ważniejsze, zdecydowaliśmy się być razem.

Kiedy już opuszczę to miejsce i spojrzę w przeszłość, ujrzę plątaninę emocji i uczuć, a wśród nich palący żal. Będę zadawać sobie pytanie, co by było, gdybym znalazła w sobie dość odwagi, by powiedzieć: pragnę cię, Ash i chcę cię mieć przez cały ten czas, który nam pozostał.

Ash zasługuje na kogoś równie odważnego jak on sam.

- Nie odchodź - mówię, podchodząc bliżej. - Myliłam się. Przepraszam. Zostań ze mną.

Ash stoi bez ruchu.

- Nie wiem, czy potrafię, Violet. Nie wiem, czy umiem ci jeszcze zaufać.

- Dlaczego? Dlatego, że staram się zachowywać odpowiedzialnie? Bo popełniłam błąd? No cóż, jestem tylko człowiekiem. Nie jestem doskonała. Próbowałam zrobić to, co najlepsze, ale... Wiesz co? Mam to w nosie. Nie chcę być twarda,

nie chcę być dobra, nie chcę być... Mówisz, że nie wolno ci było mnie mieć. Mnie również nie. Ale jeśli nie jesteś w stanie wybaczyć mi momentu słabości, chwili niepewności, to może rzeczywiście w ogóle cię nie znam. Nie myśl jednak, że cię nie pragnę tylko dlatego, że nie umiem o tym głośno mówić. Wiesz czego pragnę? Być z tobą na zawsze, wiem jednak, że to niemożliwe. Dobrze więc... Ten czas, który mamy, chcę spędzić z tobą. I nie zmarnuję ani jednej sekundy.

Cisza ciągnie się i ciągnie. Gapimy się na siebie, a mój mózg rozpaczliwie stara cię wymyślić, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

Nagle na usta Asha wpełza krzywy uśmiech.

- Jak na kogoś, kto nie umie głośno mówić, to przeszłaś samą siebie.

Rumienię się.

- Wkurzyłeś mnie.

- Naprawdę? Ja wkurzyłem ciebie?

- W porządku, może to ja zaczęłam, ale... Wyciąga rękę i kładzie mi palec na ustach.

- Przecież wolno ci powiedzieć, że to koniec - mówi cicho.

- Wiem, ale wcale nie chcę. Dzięki tobie ja również czuję się jak ktoś. To miejsce... Z każdym dniem jest mnie coraz mniej i mniej. Ty sprawiasz, że pamiętam o tym, kim jestem. Albo kim byłam.

Ash obejmuje mnie w talii i przyciąga mocno do siebie. Pachnie uschniętymi liśćmi i wełną. Mam wrażenie, jakbym dopiero teraz mogła naprawdę oddychać.

- Nigdy więcej tego nie rób - mruczy.

- Obiecuję - zgadzam się, ignorując kielkujące gdzieś w środku poczucie winy.

- Mówię serio, Violet. Nie zniósłbym...

- Ash — przerywam mu. Moja skóra płonie, a nerwy zwijają się w supełki. Jest tak blisko mnie, a jednak tak daleko. - Zamknij się wreszcie i mnie pocałuj.

Uśmiecha się uroczym tajemniczym uśmiechem i muska wargami moje wargi. Pocałunek jest delikatny. Nie tego w tej chwili pragnę.

Zarzucam mu ramiona na szyję, próbując przyciągnąć go jeszcze bliżej. Gdybym tylko mogła stać się jego częścią, nie wahałabym się ani chwili. Ash ściska mnie mocno, a nasze pocałunki stają się dzikie i namiętne. To mój pierwszy raz i wiem, że nigdy, przenigdy tego nie zapomnę.

Nie zapomnę tego, jak to jest pragnąć i otrzymać, jak to jest naprawdę i z własnej woli z kimś być.

ROZDZIAŁ 25

Kolejne cztery tygodnie to najszczęśliwszy okres mojego pobytu w Klejnocie. Czuję niewysłowioną radość, bo lekarz obiecał, że wstrzyma się jeszcze trochę z kolejnym zabiegiem zapłodnienia, a Diusza prawie nie zwraca na mnie uwagi, zajęta przygotowaniami do ślubu Gameta. Co tydzień odwiedzam wraz z doktorem Blythe'em prastary dąb, nigdy jednak nie udaje mi się zmusić go do posłuszeństwa. Nie bez stymulantów.

Każdej niedzieli rozmawiam z Lucieniem przez arkany. Zapewniam go, że jestem posłuszna, w czym jest wiele prawdy, bo w stosunku do Diuszesy zachowuję się nienagannie. Lucien wyraża ogromną ulgę, że ciąża musi trochę poczekać. Próbuję zmusić go, by powiedział mi coś więcej o miejscu, do które-

go mam trafić i celu, jaki mu przyświeca, jednak bezskutecznie. Mam wrażenie, że cokolwiek planuje, rozmawianie o tym w Klejnocie, nawet przez arkany, jest zbyt niebezpieczne. Mimo swej lapidarności, Lucien utwierdza mnie w przekonaniu, że wszystko jest już przygotowane i że po mnie z Klejnotu również inne surogatki. Chciałabym być w stanie bardziej mu pomóc.

Prawie każdego dnia spotykam się z Ashem. Zostawia mi informacje o czasie spotkania w „Esejach o zapyleniu krzyżowym borówek”. Z łatwością znajduję wymówki, by samotnie korzystać z biblioteki i niepilnowana przez nikogo wślizguję się za ukryte drzwi. Nie mamy wiele czasu, godzinę, czasem mniej. Kradniemy te chwile, kiedy Carnelian pobiera lekcje, a doktor Blythe zajmuje się swoimi sprawami. Rozmawiamy o przeszłości, o naszych rodzinach i przyjaciółach. Uczę Asha grać w Halnę, czasem nawzajem sobie czytamy. Niekiedy po prostu leżymy na kanapie w jego pokoju, nie odczuwając przymusu rozmowy i po prostu ciesząc się byciem razem.

Wciąż komunikuję się z Raven za pomocą winorośli. Przesyłamy sobie drobiazgi, których znaczenia nikt poza nami nie jest w stanie pojąć. Kawalek koronki, pukiel włosów, marmurowy pionek do Halmy, wydłubaną z zegarka sprężynkę. Znaczą to tyle, co: „Cześć, żyję i pamiętam”.

Pewnego pochmurnego grudniowego popołudnia leżę z Ashem na kanapie, trzymając głowę na jego piersi i rozkoszując się dotykiem jego palców wplecionych w moje włosy. Wsłuchuję się w bicie jego serca, a moja strojna spódnica okrywa nas niczym płatki kwiatów.

Do Najdłuższej Nocy został ledwie tydzień. Za siedem dni na zawsze opuszczę Klejnot. Chciałabym mu o tym powiedzieć. Nienawidzę kłamać. Za każdym razem, gdy Ash robi

wzmiankę o „przyszłym roku”, zastanawia się, jak wiele czasu nam zostało albo mówi, jak bardzo wdzięczny jest Carnelian za to, że nie nadaje się do zamążpójścia, poczucie winy uderza we mnie jak żelazna pięść. Niejednokrotnie kusi mnie, by wyznać mu, że już niebawem zniknę, ale głos Luciena szepczący mi do ucha, powstrzymuje mnie od dekonspiracji.

- Coś nie tak? - pyta Ash. Bardzo dobrze wyczuwa moje uczucia. Unoszę głowę i spoglądam na niego.

- Nie chcę żyć bez ciebie. - To najbardziej szczerą odpowiedź, na jaką mnie stać.

Delikatnie całuje mnie w czoło.

- Gdyby spojrzeć na to od jaśniejszej strony, to Carnelian dostała po południu kolejną odmowę, tym razem z Domu Liści. Wygląda na to, że jeszcze przez jakiś czas jesteś na mnie skazana.

Gdy mówi takie rzeczy, czuję się jeszcze gorzej.

- A co, jeśli doktorowi się powiedzie i zajdę w ciążę? Wtedy nie będziesz mnie już chciał.

Ash marszczy brwi. Zazwyczaj nie rozmawiamy o praktycznym aspekcie surogacji.

- Violet, nawet gdybyś miała szpotawą stopę i gdyby wyrosło ci trzecie oko, nadal bym cię chciał. Nie opowiadaj takich rzeczy, bo, jakby to ująć, nie jestem radośnie nieświadomy twojej pozycji w tym domu.

Przewracam oczyma.

- Eufemizmu nauczyli cię w szkole towarzyszy, czy taki się urodziłeś?

Parska zduszonym śmiechem.

- Chyba pół na pół.

Bawię się guzikiem jego koszuli. Kusi mnie, by go odpiąć, by dotknąć nagiej skóry. Przez ostatnie tygodnie byliś-

my bardzo blisko, a jednak jest pewna dziedzina intymności, której dotąd nie doświadczyłam. Teraz, kiedy zostało mi ledwie kilka dni, mam wrażenie, że powinnam się spieszyć.

Moglibyśmy to zrobić. Teraz, natychmiast. Mamy znakomitą sytuację, jesteśmy sami, leżymy na kanapie... Bo to się robi na leżaco, prawda? Oddech więźnie mi w gardle. Ciekawe, jakie to uczucie. Ciekawe, czy będzie bolało.

- O czym myślisz? - mruczy Ash.

Rumienię się i bardzo powoli odpinam guzik, muskając palcami ciepłą skórę. Jest gładka. Wyczuwam pod nią napięte mięśnie.

- Violet?

- Hmm... - Nie jestem w stanie powiedzieć tego głośno, więc po prostu przesuwam dłoń do kolejnego guzika. Drzę, ale to chyba naturalne. Męczę się przez chwilę, bo palce mam dziwnie sztywne, ale wreszcie kolejna przeszkoda zostaje usunięta.

Ash przytrzymuje moją dłoń.

- Co robisz? - pyta łagodnie.

- Ja... Nie domyślasz się?

- Mam pewną teorię - odpowiada, wciąż nie puszczając mojej ręki.

- I? - Serce mocno wali mi w piersi.

- Violet, nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Poczucie odrzucenia obmywa mnie jak rzeka palącej lawy. -Och...

Ash jednym płynnym ruchem siada i, przytrzymując moje przerzucone przez jego kolana nogi, drugą dłonią ujmuje mnie za podbródek. Nie chcę patrzeć mu w oczy.

- Hej - mówi cicho. - Spójrz na mnie. Z oporem unoszę wzrok.

- Robiłeś to wcześniej, prawda? - pytam.

- Tak — szepce. - To prawda.

Oczyrna wyobraźni widzę wykrzywioną brzydko twarz Carnelian.

- Po prostu nie chcesz zrobić tego ze mną.

- Violet, to nie tak... Chcę, bardzo chcę. Nie wątp w to. Wzruszam ramionami. Jak mam nie wątpić, skoro niczego nie wiem o mężczyznach?

- To wszystko jest dla mnie nowe — mamrocze. Ash uśmiecha się.

- Może zapomniałaś, ale dla mnie też.

- Więc dlaczego nie? Coś jest ze mną nie tak? Nie wiem, dlaczego naciskam.

W śmiechu Asha słysząc nutę smutku.

- Och nie, Violet. Z tobą wszystko jest w najlepszym porządku. — Patrzę na niego zdumiona. Odwraca wzrok, jakby żałował tego, co powiedział. - Nieważne.

Prawie spadam z kanapy, gdy nagle się podnosi. Zapinając koszulę, podchodzi do okna.

- Ash, cokolwiek to jest, możesz mi powiedzieć.

- Uwierz mi - odpowiada gorzko - nie chcesz wiedzieć. Siadam prosto.

- Zaufaj mi - nalegam. - Chcę.

Przez dłuższą chwilę milczymy. Mam dość taktu, by nie otwierać ust.

Kiedy Ash odwraca się w moją stronę, jego spojrzenie jest twarde.

- Towarzyszowi nie wolno sypiać z klientem, jednak często zdarza się, że pani Domu ma... dodatkowe życzenia.

- Co takiego? — wyrzucam z siebie, bo przed oczyma staje mi drobna sylwetka Diuszesy.

- Nie Diuszesa - zapewnia szybko Ash, jakby był w stanie odczytać moje myśli. - Ona pragnie... Pragnie kogoś innego.

Poczucie ulgi sprawia, że kręci mi się w głowie.

- Nie Diuszesa - powtarzam jak echo.

- Nie. Ale inne dziewczęta, którym towarzyszyłem... -Mięsień na jego szczęce pulsuje nerwowo.

- Spałeś z ich matkami? - pytam nieśmiało.

-Tak. Musiałem. Jestem ich, one... Zapłaciły za mnie. Właśnie w ten sposób wspieram moją rodzinę. Tak utrzymuję siostrę przy życiu. - Opada ciężko na fotel i ukrywa twarz w dłoniach.

- Mówiłem ci o tym tamtego dnia w ogrodzie, pamiętasz? Nie jestem dobrym człowiekiem. - Jego głos jest cichy, ledwie słyszalny. - Rozumiem, jeśli czujesz się zniesmaczona. Sam się tak czuję.

Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Myśl o tym, że Ash sypia ze starszymi przedstawicielkami arystokracji jest przerażająca. Ile z nich znam? Myślę o siwej Hrabinie Róży i jej głębokich zmarszczkach, a także o Hrabinie Kamienia o zimnych oczach i ramionach zdolnych zadusić wołu... Wzdrygam się.

Dopiero kiedy Ash wzdycha, orientuję się, że widział moją reakcję.

- Rozumiem - szepce.

- Co? Ash, nie! - Podbiegam do niego i klękam tuż obok. -To nie tak, po prostu... Daj mi chwilę, dobrze? Chyba... Chyba się tego nie spodziewałam.

Kiwa głową z twarzą wykrzywioną bólem. Biorę go za rękę i... Nic się nie zmieniło. Jest taka sama jak minutę wcześniej, zanim się dowiedziałam. To zabawne, przecież obydwoje jesteśmy zmuszani do robienia tego, czego nie chcemy. Czy to, co przeżywa Ash jest lepsze czy gorsze od tego, co przeży-

wam ja? I jedno i drugie jest na swój własny sposób obrzydliwe.

- Ash, naprawdę myślisz, że to, czego od ciebie wymagają wpływa na to, jaki jesteś naprawdę? Jesteś dobrym człowiekiem i nie pozwól na to, by ktokolwiek sprawił, że poczujesz się inaczej. - Przyciskam dłoń do jego policzka. - Właśnie tutaj jesteś prawdziwym sobą. Widzę cię, pamiętasz. Znam się. Mamy coś, czego oni nie mogą skalać, czego nie mogą nam odebrać. A to, do czego nas zmuszają... To jest zupełnie nieważne.

Przyciąga mnie do siebie i siadam mu na kolanach. Całuję go w czoło, a on przesuwa palcem po skomplikowanym hacie na sukni.

- Violet - szepce, spoglądając mi w oczy. To, co widzę w jego spojrzeniu sprawia, że serce o mało nie wyrwie mi się z piersi. - Violet, ja... Myślę, że cię kocham.

Mam wrażenie, jakbym rozpadała się na maleńkie kawałki i składała na nowo, w zupełnie inną formę. To zadziwiające, jaką moc mają proste zdawałoby się słowa.

- Myślę, że ja również cię kocham.

ROZDZIAŁ 26

Ja dę przez tunel ogłupiała ze szczęścia.

Nie chciałam wychodzić, ale Carnelian lada moment skończy lekcję etykiety, a poza tym może mnie szukać Annabelle. Przesuwam dłonią po chropawych kamieniach, a w uszach wciąż dźwięczą mi wyszeptane przez Asha słowa. Kocham go. I on mnie kocha.

Wciąż głęboko pogrążona w marzeniach otwieram drzwi do biblioteki.

- Co ty tutaj robisz? - Zadane ostrym tonem pytanie sprawia, że natychmiast przytomnieję.

Obracam się. Kawałek ode mnie, skryta w cieniu jednego z regałów, stoi Carnelian, a na jej wargach igra złośliwy pół-uśmieszek. Puka lekko palcami w grzbiet jednej z książek.

- Czyżbyś szukała jakiejś lektury na dobranoc? Serce podjeżdża mi do gardła.

- Po prostu spaceruję - odpowiadam, próbując nie dać po sobie znać, jak bardzo wstrząsnęła mną jej obecność.

- Zabawne... - Carnelian zbliża się o krok. - Jestem tu od pół godziny i jakoś cię nie widziałam.

- Myślałam, że jesteś na lekcji etykiety. - Słowa padają z moich ust nim jestem w stanie się powstrzymać.

Oczy Carnelian zamieniają się w wąskie szparki.

- Skąd o tym wiesz?

- Uhm... Chyba Annabelle coś o tym wspominała. - Im bardziej staram się wyglądać normalnie, tym bardziej się rumienię. - A tak w ogóle, to całkiem spora biblioteka, musiałaś mnie przegapić.

Carnelian podchodzi bliżej, tak że teraz dzielą nas ledwie centymetry. Z tej odległości widzę, że na lewym policzku zaczyna się jej tworzyć zapowiadający się na giganta pryszcz.

- Nie wiem, co kombinujesz - syczy - ale bądź pewna, że się dowiem.

Przełykam zgęstniałą ślinę.

- Niczego nie kombinuję, po prostu... Lubię książki. Dziewczyna prychna pogardliwie.

- Jasne. Przekonamy się.

- Jakiś problem, miłe panie? - Obydwie podskakujemy, gdy spomiędzy półek niczym duch wyłania się Garnet.

- Co za niespodzianka - warczy Carnelian. - A nie powinieneś być przypadkiem na spotkaniu z krawcem? Słyszałam coś o ślubnym smokingu.

Syn Diuszesy robi zdumioną minę.

- Naprawdę? Ojej, wyleciało mi z głowy - mówi drwiąco i obcina mnie wzrokiem od stóp do głów. - Kochana ku-

zynko, znowu dręczysz surogatkę. Lepiej, żeby matka się nie dowiedziała.

- Nie boję się jej. - Carnelian zadziera brodę.

- Ależ boisz się, boisz - odpowiada pobłażliwie Garnet.

- Hej, a gdzie towarzysz, którego ci kupiła? Słyszałem, że nie odstępujesz go na krok.

Na policzkach dziewczyny wykwitają szkarłatne plamy. Przez sekundę mam wrażenie, że zaraz się rozplącze. Nic z tego. Posyła mi nienawistne spojrzenie i odchodzi, zamiatając obszernymi spódnicami.

- Zawsze była nieco przewrażliwiona - komentuje syn Diuszesy ze wzruszeniem ramion. - Och, przy okazji, jestem Garnet.

- Wiem.

Parska śmiechem.

- Pewnie, że tak. - Składa przede mną przesadzony ukłon.

- Będziesz tak miła i pozwolisz mi się eskortować do swych komnat?

- Och... Nie trzeba.

Garnet bywa naprawdę zabawny, ale trochę mnie przeraża. Pamiętam, jak określiła go Pani Płomienia. Powiedziała, że jest nieprzewidywalny.

- Nalegam - upiera się, biorąc mnie za łokieć. Idziemy przez bibliotekę, gdy nagle zadaje mi dziwaczne pytanie. -Powiedz mi, proszę, kogo nienawidzisz bardziej, mojej matki, czy mojego ojca?

- Przepraszam? - Nie wierzę własnym uszom! Co on sobie myśli? Że udzielę mu szczerzej odpowiedzi?

- Ja wybrałbym raczej matkę - oznajmia Garnet, zupełnie ignorując moją reakcję. Gwardziści na naszej drodze stają na baczność. Czuję jak mierzy mnie zaciekawionym i oce-

niającym spojrzeniem. - Mój ojciec jest równie fascynujący, co przydrożny płot, ale przynajmniej łatwo go zignorować. Matki zignorować się nie da.

Milczenie wydaje mi się najlepszym wyjściem. Z tej konwersacji nie może wyniknąć nic dobrego.

- Zrobiła się jeszcze gorsza, kiedy zamieszkała z nami Carnelian. Biedne dziecko. Najpierw zmarł jej ojciec, a potem matka popełniła samobójstwo. Szokujące, a poza tym dla Domu Jeziora to prawdziwy skandal.

- Matka Carnelian popełniła samobójstwo? - pytam z niedowierzaniem, choć wiem, że nie powinnam się odzywać.

Garnet przytakuje.

- Moja ciotka była zaiste dziwną kobietą. Dziwną i smutną. Nigdy dobrze jej nie poznałem, bo matka szczerze nią gardziła. Myślę, że Carnelian w równym stopniu jej nienawidzi i za nią tęskni. Pewnie dlatego jest taka urocza w obyciu.

- Dlaczego miałyby nienawidzić własnej matki?

- Bo zostawiła ją samą.

Tak, teraz to dostrzegam. Carnelian jest strasznie samotna. Diuszesa jej nie znosi, szlachta się z niej naigrawa, a Ash... Nic dziwnego, że go uwielbia, skoro jest jedyną osobą, która jest dla niej miła.

Czuję ukłucie winy, co wcale mi się nie podoba. Nie chcę współczuć tej dziewczynie.

- Dlaczego Diuszesa gardzi twoją ciotką? - pytam. Garnet obrzuca mnie pytającym spojrzeniem, jakby nie był pewny, czy mówię serio.

- Bo wyjechała. Macie w Bagnie jakieś gazety, prawda? - Otwieram usta, by odpowiedzieć, ale wcale na to nie czeka. - Ciotka Opal nie bardzo przystawała do Domu Jeziora,

a kiedy wyparła się królewskiej krwi i uciekła z jakimś gaziem z Banku, zrobiło się jeszcze gorzej. - Uśmiecha się krzywo. - Matka dość ciężko to przeszła. Stuknięta siostra, zerwane zaręczyny, i to z Hierarchą, a potem ja... Och, jesteśmy na miejscu.

Rzeczywiście, nawet się nie zorientowałam. Garnet puka do drzwi i po chwili staje w nich Annabelle.

- Annabelle! - wykrzykuje Garnet, obejmując ją ramieniem. Dworka robi się cała czerwona i próbuje dygnać, co w obecnej sytuacji niezbyt jej wychodzi. - Oddaję ci twoją surogatkę całą i zdrową. - Annabelle skłania głowę w podziękowaniu. - Było mi szalenie miło cię poznać - zwraca się do mnie. - Jestem pewien, że niedługo znów się zobaczymy. Aha, postaraj się omijać Carnelian, jeśli tylko będziesz mieć taką możliwość - dodaje, puszczając do mnie oko. - Myślę, że chyba się na ciebie uwzięła.

Oszołomiona patrzę, jak oddala się korytarzem.

Tej nocy nie mogę spać.

Myślę o tym wszystkim, co wyjawiał mi Ash. O szlachcie, o cieniach życia towarzysza i o tym, jak traktują go mieszkańcy Klejnotu. Ktoś inny mógłby mieć problem ze zrozumieniem, dlaczego Ash robi to, co robi i jak może sobie z tym radzić, ale ja... Nie potrzebuję wyjaśnień. Wiem, jak to jest. Wiem, że odebrali mu część siebie i połamali ją na kawałeczki tak samo, jak zrobili to ze mną.

Znam ból bezwarunkowego posłuszeństwa atakujący zawsze wtedy, gdy każda część ciebie krzyczy, że nie chcesz wykonać rozkazu. Odnależliśmy siebie nawzajem i to daje nam siłę.

Choć nikt o tym nie wie, złamaliśmy zasady. Szlachta wciąż łudzi się, że może nas mieć na własność.

Nadal słyszę jego głos szepczący mi do ucha: *Kocham cię.*

Na decyzję potrzebuję około trzech sekund. Nie będę czekać dłużej. Kończy nam się czas, więc jeśli naprawdę tego pragnę, muszę to zrobić teraz.

Odrzucam kołdrę i na palcach wymykam się z sypialni.

Nocą pałac wygląda zupełnie inaczej, kształty wydają się obce, a cienie sprawiają, że korytarze i komnaty robią złowieszcze wrażenie. Cisza przytłacza. Na szczęście drogę do komnat Asha mogłabym pokonać na ślepo. Wślizguję się do biblioteki i przemierzam labirynt majaczących w mroku półek. Sekretne drzwi otwierają się i zamykają z cichym skrzypieniem. Przyspieszam do biegu. W salonie Asha nie ma zasłon i przez okna wpada do środka srebrzyste światło księżyca. Podchodzę do drzwi jego sypialni i naciskam kłamkę.

Nigdy wcześniej tu nie byłam.

W pomieszczeniu panuje mrok, bo ciężkie story są zaciągnięte, dostrzegam jednak zarys ciała pod błękitnym okryciem. Ash oddycha spokojnie przez sen. Wślizguję się na łóżko obok niego i kładę dłoń na okrytym kołdrą ramieniu.

- Ash - szepczę, potrząsając nim lekko. Dobiega mnie cichy dźwięk, jakby westchnienie.

- Ash - powtarzam, potrząsając mocniej.

Otwiera oczy i zachłystuje się powietrzem. Odskakuję, kiedy gwałtownie siada. Widząc jego nagą klatkę piersiową i rozczochrane włosy, czuję zarówno przyływ pożądania, jak i ukłucie strachu.

- Violet? - syczy. - Mało nie dostałem zawału! Co ty tutaj robisz?

- Ja... Ja... - jakbym nagle zupełnie utraciła zdolność mowy. Widzę jedynie skórę Asha połyskującą lekko w płynącym z salonu świetle.

Ash odrzuca kołdrę. Ma na sobie tylko luźne bawełniane spodnie od piżamy.

- Violet - mówi, kładąc mi dłonie na ramionach, jakby chciał mnie przytrzymać. Trzęsę się? Pewnie tak. Jego uścisk jest ciepły. - Wszystko w porządku? Coś się stało?

- Ko.. .kocham cię - dukam.

Przez krótki moment wygląda na zupełnie skołowanego, po chwili jednak uśmiecha się i przyciąga mnie do siebie.

- To dlatego tu jesteś? - pyta. Z ust wyrywa mi się coś dziwnego, ni to pisk, ni to szloch. Czuję i słyszę jego oddech muskający moje ucho. - Ja też cię kocham - mruczy.

Moje serce bije jak w czasie ataku paniki i lękam się, czy nie połamię żeber. Obejmuję Asha, dotykam dłońmi jego łopatek i sunę palcami po krzywiźnie kręgosłupa. Przyciskam twarz do jego piersi wciągając w nozdrza jego oszałamiający zapach. Ash chwytam mnie w tali, a drugą ręką rozplątuje moje włosy. Kolejne spinki spadają na podłogę.

Obracam twarz, by dotknąć wargami jego warg.

Na początku to zwyczajny pocałunek, ciepły, znajomy i bezpieczny. Po chwili nic nie jest bezpieczne. Usta Asha rozpalają we mnie ogień. Przesuwam dłonie z jego pleców na brzuch, a potem na klatkę piersiową i szyję, aż wreszcie dotykam palcami jego twarzy. Pożądanie buzuje we mnie tak mocno, że aż sprawia mi ból.

Nie wiem nawet, że popycham Asha, póki nie opadamy razem na łóżko. Moje włosy są jak kurtyna oddzielająca nas od świata.

- Violet - chrypi Ash. W jego głosie wyczuwam ostrzeżenie. Odgarnia kilka opadłych mu na twarz kosmyków. Nie zatrzymam się teraz, nie chcę. Chcę go całować, chcę czegoś więcej. Wreszcie i on ulega. Wsuwa dłonie w moje wło-

sy i przyciąga mnie bliżej. Wtulam się w niego, czując twarde napięte mięśnie jego ramion.

- Violet, nie - protestuje, przetaczając mnie tak, że leżę teraz na plecach.

- Ja... - Do oczu napływają mi łzy. - Przepraszam. Czuję jak delikatnie gładzi moją twarz i muska wargami włosy.

- Nie mów tak - mruczy. - Przecież wiesz, że tego chcę. Przecież wiesz...

- Więc dlaczego nie? - Nie umiem ukryć desperacji.

- Nie chcę cię zranić - wyznaje cicho. - Ja nigdy... To znaczy...

- Ale tego właśnie pragnę - szepczę. Jestem zaskoczona jak bardzo krucha się w tej chwili czuję. Wystarczy jeden gest, a roztrzaskam się jak porcelanowa figurka. - Pragnę cię.

Ash waha się. Przeciagam dłonią po jego klatce piersiowej i całuję go w ramię.

Pochyla się i dotyka wargami wrażliwego miejsca tuż pod szczęką, mojego obojczyka... Czuję w uszach łomot przyspieszającej wciąż krwi. Ash przesuwając palcami po moim ramieniu, potem zaś niżej, aż na brzuch. Chwyta w dłoń rąbek nocnej koszuli. Nagle dociera do mnie jak blisko siebie jesteśmy, dzielą nas jedynie cienkie warstwy bawełny i jedwabiu.

Jego usta pieszczą moją szyję.

- Jesteś pewna? - pyta.

Nigdy w życiu nie byłam tak bardzo pewna czegokolwiek, ale krtań mnie zawodzi i nie jestem w stanie wypowiedzieć ani słowa. Mam wrażenie, jakby moje nerwy płonęły. Wypełnia mnie energia, której dotąd nie znałam, dzika i nieposkromiona. Nic nie mówiąc, przyciągam do siebie biodra

Asha. Z jego ust wydobywa się jęk i nagle nie czuję nic poza pocałunkami i nieznośnym uczuciem gorąca.

Rzeczywiście boli. Ból jednak nie jest dla mnie niczym nowym. Znam wiele jego rodzajów.

Ten ból jest jednak inny. Ma wartość. Ma znaczenie. I tym razem nie jestem sama.

ROZDZIAŁ 27

Jestem kimś zupełnie innym.

Siadam na łóżku. Moim własnym. Nie chciałam opuszczać Asha, musiałam to jednak zrobić. Przyciskam palce do warg i uśmiecham się szeroko, pozwalając na to, by owładnęły mną wspomnienia jego dotyku, jego ciała...

Czuję się, jakbym była lekka jak piórko. Wstaję i przechodzę przez pokój, zadziwiona nagłą obcością własnego ciała. Mam wrażenie, że nie dotykam podłogi, że płynę ponad puszystym dywanem. Moja skóra zdaje mi się nienaturalnie rozgrzana, jakbym stała się małym słońcem, z którego emanuje blask. Kocham to uczucie. Kocham Asha.

Otwieram drzwi do saloniku i wzdycham, gdy wszystkie kwiaty w pokoju nagle rozkwitają. Pąki otwierają się, płatki

stają się większe i grubsze, a ich kolory bardziej intensywne. To moje dzieło. Nie wiem, jak to zrobiłam, ale innego wyjaśnienia nie ma. Niezamierzona, cudowna w swej prostocie Auguria. Przygotowuję się na ból, ale ten nie nadchodzi. Zamiast niego odczuwam tylko dziwne, wcale nie nieprzyjemne mrowienie w brzuchu i klatce piersiowej.

Drzwi otwierają się i staje w nich Annabelle z tacą. Widząc eksplozję koloru zamiera w bezruchu i otwiera szeroko oczy. Niektóre z kwiatów wciąż rosną.

- Dzień dobry - mówię radośnie.

Stawia tacę na stole i nalewa mi kawy do filiżanki. Siadam w ulubionym fotelu i upijam łyk. Gorzka.

- Annabelle, mogę prosić o więcej cukru? - pytam. To chyba pierwszy raz, gdy kawa jej nie wyszła.

Rumieni się i dosypuje kolejną łyżeczkę. Nie zwracam na nią uwagi, bo myślami wciąż jestem w ciemnej sypialni. Ash pieści moją skórę, a w uszach dźwięczy mi jego przyspieszony oddech.

Wciąż czuję nieprzyjemny posmak goryczy. Odstawiam filiżankę i potrząsam dłonią. Mam wrażenie, jakby drętwiały mi palce.

- Annabelle, ja nie... Coś... - Mam kłopot z otwarciem ust i formułowaniem słów. Coś jest nie tak. Straszliwie nie tak.

Kątem oka widzę zatroskaną i zawstydzoną twarz dworki. Nie rozumiem. Pokój wiruje. Oczy przesłania mi mgła. Podała mi coś.

Nie musi wyciągać tabliczki, bym zrozumiała, co chce mi powiedzieć.

- Przepraszam - szepce bezgłośnie.

Opadam prosto w jej wyciągnięte ramiona i odpływam.

Kiedy się budzę, nie mam pojęcia, gdzie jestem.

Gdy wreszcie odzyskuję ostrość widzenia, przekonuję się, że leżę w łóżku we własnej sypialni. Ktoś przebrał mnie w koszulę nocną.

Doktor Blythe, z głową na piersi drzemie tuż obok w fotelu. Gdy zapalam światło, budzi się i rozgląda, zaskoczony.

- Dobry wieczór - mówi, tłumiąc ziewnięcie. - Albo raczej dzień dobry.

- Co pan tu robi? - pytam ostro.

- Chciałem być blisko, gdy się obudzisz. Annabelle przesa-
dziła trochę ze środkiem, który jej dałem. Pewnie nie chciała,
żebyś jak ostatnio odzyskała przytomność w trakcie zabiegu.

Zabieg. Żołądek ściska mi się w ciasny węzeł. Macam we-
wnętrzną stronę łokcia i wyczuwam zgrubienie po wenflonie.

- Znów to zrobiliście - szepczę.

-Tak. Mam nadzieję, że tym razem obejdzie się bez kom-
plikacji, ale na wszelki wypadek chcę, żebyś pozostała w łóż-
ku, dopóki nie dowiemy się, czy nam się udało, czy nie. Przez
cały czas ktoś przy tobie będzie.

- Co takiego? - wykrztuszam. - Nie! Lekarz poklepuje mnie
po ramieniu.

- Nie przejmuj się. Diuszesa zadba o wszystkie twoje po-
trzeby. Zobaczysz, czas szybko minie.

Czas nie ma najmniejszego zamiaru szybko mijać.

Niestety, doktor dotrzymuje słowa i ani przez minutę nie
jestem sama. W dzień czy w nocy towarzyszy mi Annabelle,
Cora albo któraś z tuzina innych pokojówek. Nawet w nocy
ktoś śpi obok mnie na połowym łóżku.

Mam przeczucie, że Lucien zdaje sobie sprawę z tego, co się
wydarzyło. Ash również musiał coś słyszeć. Martwię się
jednak o Raven, bo nie jestem w stanie niczego jej wysłać.

Chciałabym przesłać Ashowi jakąś wiadomość, zapewnić go o tym, że, cokolwiek się stanie, nigdy go nie zapomnę. Kocha mnie, a ja jego.

Ta myśl pomaga mi przetrwać kolejne dni. Kocha mnie. Pamiętam wyraz oczu mamy, gdy oddawałam jej obrączkę taty i teraz lepiej ją rozumiem. Jakże ciężko musiało jej być pozbyć się tej ostatniej części ojca, która jeszcze jej pozostała. Jakże ciężko musiało jej być żyć bez niego.

Jestem w lepszej sytuacji. Kiedy odejdę, to ze świadomością, że Ash żyje. Nie będzie tak daleko jak mój tata.

Każda godzina przybliża mnie do Najdłuższej Nocy i zaczynam się martwić, że Diuszesa nie pozwoli mi wziąć udziału w Zimowym Balu. Doktor Blythe przychodzi dwa razy dziennie, rano i po obiedzie i za każdym razem pytam go o to, czy mogę już wstać. Odpowiedź się nie zmienia. Jeszcze nie.

Czasem Cora czyta mi coś na głos, czasem gram w Halmę z Annabelle, a raz Diuszesa przysłała do mnie kwartet smyczkowy, by uprzyjemnić mi wymuszony odpoczynek. Ich występ okazał się jednak bardziej irytujący niż kojący. Wiolonczelista fałszował.

Wolno mi wstać tylko po to, by skorzystać z łazienki i wziąć prysznic.

Mam coraz mniej czasu.

Na dzień przez Zimowym Balem uznaję, że albo zrobię coś szokującego, albo nigdzie nie pojedę.

— Wezwij Diuszese - proszę Annabelle. - Powiedz jej, że natychmiast chcę ją zobaczyć.

Annabelle wytrzeszcza na mnie oczy. Zwleka z wykonaniem polecenia, niepewna, jak się zachować.

- Nie interesuje mnie, czy naruszam w ten sposób protokół. Muszę się z nią zobaczyć - nalegam.

Dwadzieścia minut później Diuszesa wpada do sypialni z miną, jakby chciała mnie na miejscu zamordować. Z trzaskiem zamyka drzwi.

- Co ty sobie wyobrażasz? - warczy. - Nie wolno ci mnie wzywać, rozumiesz?

- Bardzo przepraszam, pani, ale... - głęboko nabieram tchu, wciąż nie wierząc, że mam zamiar powiedzieć, to, co chcę powiedzieć — ale jestem tą, która być może nosi w sobie przyszłą Wybrankę i pomyślałam, że może byłabyś, pani, łaskawa poświęcić mi kilka minut.

- Czego chcesz?

- Chcę wstać z tego łóżka. Czuję się dobrze i mam dość leżenia. Poza tym chcę odrobiny prywatności. No i chcę pojechać na Bal Zimowy.

- A dlaczegoż to miałabym spełnić któreś z tych życzeń - pyta Diuszesa, unosząc brew.

- Bo... Bo współpracujemy ze sobą, prawda? Chcesz, pani, bym z pokorą wzięła udział w tym, co planujesz i dołożyła wszelkich starań, by dziecko urodziło się jak najszybciej. Czy w zamian proszę o tak wiele?

Diuszesa wydyma wargi i głęboko się zastanawia.

- Dobrze - oznajmia po minucie. - Porozmawiam z doktorem na temat szczegółów twojej rekonwalescencji. Ale gdyby cokolwiek się działo, masz natychmiast o tym poinformować. Chcę wiedzieć o każdym ukłuciu bólu, każdym odstępstwie od normy. Zrozumiano?

- Oczywiście, pani.

- Annabelle zadba o to, byś miała na bal nową suknię.

- Dziękuję, pani.

Zatrzymuje się przy drzwiach z jedną dłonią na klamce i uśmiecha się kącikiem ust.

- Jesteś sprytną dziewczyną - mówi. - Mądrze zrobiłam, kupując właśnie ciebie.

„Nie byłabym tego taka pewna” - myślę.

Mówię Annabelle, że chcę wyjść z pałacu.

Ramię w ramię przemierzamy śpiący ogród i wyczuwam, że nie ma zamiaru zostawić mnie ani na chwilę samej. Muszę sprawdzić, co z Raven. Od dnia, w którym wysłałam jej wiadomość minął już tydzień. To było wtedy, kiedy dowiedziałam się, z czym nierozzerwalnie wiąże się bycie towarzyszem.

Uznaję, że to, czy Annabelle zobaczy drobiazg od Raven nie ma najmniejszego znaczenia. Nie zrozumie, a ja i tak niebawem zniknę. Prowadzę ją do zachodniej ściany, tam gdzie winorośl jest gęstsza i silniejsza od naszej Augurii. W pewnym miejscu pędy wyglądają na dziwnie skłębione, nie pamiętam jednak, czy zawsze tak było, czy ktoś przyszedł tu pod moją nieobecność. A co, jeśli ktoś zabrał dar Raven? Co, jeśli ktoś w pałacu wie?

Odnajduję miejsce, w którym powinien czekać na mnie podarek.

Jest puste.

W desperacji przeszukuję splątane pędy, część z nich odrywa się od ściany. Annabelle przygląda mi się ze zdumioną miną, ale nie dbam o to.

Nic nie ma.

Po plecach przebiega mi lodowaty dreszcz. Coś jest nie tak. Coś jest bardzo nie tak.

ROZDZIAŁ 28

Najdłuższa Noc nazywa się tak dlatego, że naprawdę jest najdłuższa w roku. Ale to nie jedyny powód. Symbolizuje ona również najmroczniejszy okres w historii, czas zaraz po powstaniu Samotnego Miasta, gdy wyspie groziło pochłonięcie przez ocean. To właśnie wtedy szlachta przeznaczyła swoje środki na budowę Wielkiego Muru. Nie było wówczas elektryczności, tradycją stało się więc wyłączanie jej w noc święta i zapalanie świec. W Bagnie nie jest to nic nadzwyczajnego, mało kto w najbiedniejszym kręgu ma prąd. Kolejna tradycja to prezenty. O północy wszyscy wymieniają się podarkami. Pamiętam, jak tata podarował mi wykończone mosiądzem organki. Mimo że nie umiałam niczego na nich zagrać, uznałam, że to najwspanialszy prezent

pod słońcem. Tata obiecał mi, że mnie nauczy, ale nie zdążył. To była ostatnia Najdłuższa Noc, którą świętowaliśmy razem. Kilka dni później już go nie było.

W tym dniu przyjęło się również nosić białe ubrania. Biel symbolizują ciemierniki, kwiaty kwitnące w długie i chłodne zimowe miesiące. Kiedy Annabelle układa mi loki, z uwagą studiuję moje odbicie w lustrze. Suknia, którą dla mnie wybrała, nie ma ramiączek. Fale szyfonu o barwie kości słoniowej spływają wdzięcznie na posadzkę. Na szyi mam wspaniałą naszyjnik z diamentów i rubinów. Ciemnoczerwone kamienie przypominają kropelki krwi. Annabelle upina mi włosy w wysoki kok, poskramiając niesforne pasma za pomocą spinek z kwiatami z drogich kamieni, i uśmiecha się szeroko.

Wyglądam inaczej. Nie jestem już tą przerażoną dziewczyną, którą Cora i Annabelle przygotowywały do pierwszej kolacji. Od dnia, w którym tu przybyłam przeżyłam dość, by obdzielić tym kilka osób. Zmieniłam się, ta Violet, na którą patrzę, jest mądrzejsza i silniejsza niż ta, która trzęsła się w ostrych światłach Aukcji. Dorosłam.

Annabelle otula mi plecy białym futrzanym płaszczem i idziemy do foyer.

Pozwalam sobie podziwiać Asha dokładnie przez trzy sekundy. Ma na sobie biały smoking z czarną kamizelką. Tęsknota jest niczym ostrze, które przesuwa się po odsłoniętych nerwach.

Ash obrzuca mnie pozornie niezainteresowanym spojrzeniem i zwraca się do Carnelian. Na jego ustach pojawia się cień uśmiechu. Siostrzenica Diuszesy czeka na mnie z rękami skrzyżowanymi na piersi. Biała koronkowa suknia okrywa ją od stóp aż po szyję. Ponure spojrzenie przypomina mi, że powinnam być ostrożna. Diuk okrywa właśnie ramiona żony

długim płaszczem. Wsparty o słup Garnet gwizdże przeciągle na mój widok. Rumienię się. Słyszając drażniący dźwięk, Diusza wyraźnie się wzdryga i przykładła dłoń do czoła. Czyżby migrena?

- Garnet, bardzo cię proszę - mruczy, przyjmując ramię Diuka. - Jedźmy już.

Na zewnątrz jest zimno, a w powietrzu wirują maleńkie płatki śniegu. Kiedy wsiadam do samochodu, przypominam sobie poprzednią podróż do Pałacu Królewskiego. Mam wrażenie, że moje życie zatacza krąg i powtarza się w nowej, obcej na razie formie.

- Byłaś już w Pałacu Królewskim? - pyta nagle Garnet. Rzucam mu zaskoczone spojrzenie, niepewna, czy przypadkiem nie żartuje.

- Tak - odpowiadam wolno. - Na Balu Hierarchy o mało mnie nie stratowałeś.

Carnelian wydaje z siebie krótkie parsknięcie.

- Naprawdę? - Garnet marszczy brwi. - No cóż. W każdym razie wystrój sal na Zimowym Balu przyćmiewa wszystko inne.

Służba w Pałacu Królewskim eskortuje nas bezpośrednio do pawilonu wykonanego w całości ze szkła. Tysiące płonących świec sprawiają, że pomieszczenie tonie w ciepłym blasku. Odziane w biel kobiety i mężczyźni w jednakowych smokingach popijają szampana i swobodnie rozmawiają. Wyszukane toalety sprawiają, że arystokratki przypominają delikatne płatki śniegu unoszące się tuż ponad taflą błękitnego szkła. Z imponujących żyrandoli zwieszają się pyszne bukiety ciemierników upstrzone tu i ówdzie czerwienią i zielenią ostrokrzewu. Wytrzeszczam oczy na widok lodowatych rzeźb. Fantazyjne zwierzęta mienią się niczym diamenty w świetle płomieni.

Rozumiem teraz, o czym mówił Garnet. Wystrój naprawdę jest niesamowity.

Głośny gong oznajmia przybycie gospodarzy. Wybranka i Hierarcha stają na kryształowym podeście w odległym końcu sali i unoszą wypełnione szampanem kielichy.

- Drodzy goście - zaczyna Hierarcha. - Witajcie na Zimowym Balu. Niech rozpocznie się celebracja Najdłuższej Nocy.

Zimowy Bal jest o wiele bardziej żywiołowy niż Bal Hierarchy. Mam wrażenie, że zaczyna się tak, jak poprzedni się kończył. Trzymam się z dala od parkietu i, ignorując widok Asha tańczącego z Carnelian, przyglądam się tłumowi w nadziei, że zauważę Raven. Muszę ujrzeć jej twarz, muszę się przekonać, że nic jej nie jest.

Zamiast przyjaciółki, spostrzegam stojącego na podium i rozmawiającego z Wybranką Luciena. Ciekawe, jakąż to wymówkę znajdzie, by przekazać mi serum. Znajduję sobie miejsce za imponujących rozmiarów rzeźbą skrzydlatego konia, w duchu ciesząc się z tego, że nikt mnie nie zauważa. Diuszesa zostawiła mnie samą sobie. Może w ten właśnie sposób chce udowodnić, że mi ufa? Dobrze, właśnie tego chciał Lucien.

Utwór za utworem, taniec za tańcem, stoję w cieniu lodowego pegaza i czekam aż odnajdzie mnie Lucien albo dojrzę wśród gości znajomą twarz Raven. Tłum faluje, grupki tworzą się i rozpadają, a rozmowy zaczynają i kończą. Nie zwracam uwagi na rozliczne, prowadzone bliżej i dalej konwersacje, póki w ucho nie wpada mi znajomy dziecięcy śmiech.

- Mówiłam, że nie pójdzie ci z nią łatwo, Ebony - mówi Wybranka. Stoi po drugiej stronie rzeźby. Widzę jej zniekształconą przez lód sylwetkę. - Sama uparłaś się na to, by kupić najbardziej krnąbrną surogatkę na Aukcji.

- Och, po cóż zaczynać od czegoś łatwego, skoro można skoczyć od razu na głęboką wodę? - Na dźwięk głosu Hrabiny Kamienia przechodzą mnie ciarki. - Jeśli uda się z nią, z innymi pójdzie łatwiej.

Muszą rozmawiać o Raven. Zastygam w bezruchu, starając się ignorować dźwięki muzyki i nie przegapić ani słowa.

- Tylko nie przesadz. Pamiętasz, co się stało z poprzednią? Dobrze zrobiłaś, że tę zostawiłaś w domu. - Wybranka wzdycha. - Gdyby tylko był jakiś łatwiejszy sposób...

- Droga do wielkości zawsze jest wyboista, Wasza Wysokość - odpowiada Hrabina. - Jeśli nam się uda, kiedy nam się uda, zostaniesz najbardziej szanowaną Wybranką od czasów Diamanty Wielkiej, która inaugurowała Aukcje. Odmienisz historię, pani.

Wybranka chichocze i żołądek podchodzi mi do gardła.

- O tak! Udowodnię temu snobistycznemu Kręgowi, że dziedzictwo krwi to nie wszystko. Nie mogę się doczekać dnia, w którym Diusza Jeziora przestanie się liczyć i będzie musiała błagać o zaproszenie na przyjęcie organizowane przez Domy trzeciej kategorii. Wiesz, że miała czelność mnie okłamać? Na przyjęciu zaręczynowym tego jej nedorobionego syna powiedziała, że nie próbowała jeszcze zapłodnienia. A potem co? Potem jej surogatka o mało nie wykrwawiła się na śmierć na scenie.

- Powoli i ostrożnie, Wasza Wysokość. Musimy działać powoli i ostrożnie. Pearl nie zrobiła niczego, co mogłoby nam zagrozić. Na razie.

- Tak, wiem. Och, chodźmy stąd. Dość tej ponurej rozmowy, w końcu mamy Najdłuższą Noc. Koniecznie muszę zatańczyć. Widziałam, że Pani Welonu znalazła pewnego towarzysza... Myślisz, że będzie chętny służyć mi ramieniem?

Znów wybucha drażniącym śmiechem. Śledzę je zza rzeźby, czekając, aż się oddalą. Czuję się mniej więcej tak jak ten lodowy koń, jak zimna, nieruchoma bryła. Nie do końca rozumiem, o czym rozmawiały, ale mam bardzo złe przeczucia. Jeśli Wybranka chce przeprowadzić lobotomię surogatek, to musi mieć obiekty testowe. A Raven... O nie, to ona jest królikiem doświadczalnym. To właśnie musiała mieć na myśli, mówiąc, że Hrabina próbuje odebrać jej wspomnienia.

Wraz z początkiem kolejnego tańca Diusza opuszcza parkiet i dołącza do Pani Szkła, Carnelian i Asha. Ruchem dłoni nakazuje mi podejść do nich, po czym zdejmuję z tacy przechodzącego kelnera lampkę szampana.

- Nie chciałabym zapeszyć, Iolite - rzuca, wciąż zarumieniona i rozbawiona tańcem - ale może niebawem będę miała dla ciebie interesujące wieści.

Wyciąga rękę i łagodnie poklepuje mnie po brzuchu. Nie reaguję, bo przed oczyma wciąż mam obraz Raven przywiązanej pasami do stołu. Pokroją jej mózg? Nie wolno im! Dlaczego akurat Raven? Ona jest taka silna, taka odważna...

- Och! - wyrzuca z siebie Pani Szkła. Jej głos przypomina pisk. - Och, Pearl, to cudownie!

- Uspokój się - prosi Diusza, śmiejąc się radośnie. - To jeszcze nic pewnego. Doktor Blythe uważa jednak, że szanse są całkiem spore. Wypoczywała przez cały poprzedni tydzień, więc mam nadzieję, że tym razem obejdzie się bez wpadki.

Mięsień na szczęce Asha zaczyna pulsować.

- O! - Diusza wskazuje kogoś palcem. - Jest i Pani Światła z synem. Chodź, Carnelian, zobaczymy, czy nie będą skorzy uwolnić mnie od ciebie. - Jej siostrzenica wyciąga rękę w stronę Asha, jednak ciotka chwyta ją za nadgarstek. -

Nie bądź głupia, dziewczyno, nie możesz zabrać ze sobą towarzysza!

Carnelian pozwala się odciągnąć. Jedyne wyrażenie jej protestu jest żalosne spojrzenie rzucone Ashowi. Stoimy ramie przy ramieniu, nie mając odwagi na siebie spojrzeć.

- Muszę się z tobą zobaczyć - szepce nagle. Podskakuję, czując jego gorący oddech na uchu. - Sam na sam. Natychmiast.

Obraca się i odchodzi, nie oglądając się za siebie. Wie, że pójdę za nim. Czekam przez chwilę, rozkoszując się uczuciem, jakie wzbudziły we mnie jego słowa, po czym ruszam przez tłum z pokornie pochyloną głową. Na wszelki wypadek trzymam się kilka metrów za Ashem. Za szklanymi drzwiami jest wyłożony miękkim dywanem cichy korytarz. Plecy Asha znikają za rogiem, przyspieszam więc, by go nie zgubić.

Ten korytarz jest węższy. Ash zatrzymuje się mniej więcej w połowie i znikają za jakimiś drzwiami. Ostrożnie naciskam klamkę i zaglądam do ciemnej komnaty. Bez słowa chwytam mnie za nadgarstek i pociąga do środka.

-Ash, ja...

Nie pozwala mi dokończyć. Czuję jego wygłodniałe usta i moje ciało reaguje instynktownie. Drżę z pragnienia, gdy dotyka dłońmi odsłoniętej skóry pleców.

- To naprawdę fatalny pomysł - wyduszam pomiędzy pocałunkami.

- Wiem - chrypi, przesuwając wargami po mojej szyi. -Ale nie mogłem...

Przyciągam go bliżej siebie. Krew śpiewa w moich żyłach, gdy przesuвам dłońmi po jego klatce piersiowej, wyczuwając ukryte pod smokingiem twarde mięśnie.

Słyszę ciche pstryknięcie i w pokoju zapala się światło. Odskakujemy od siebie w panice. Na progu stoi zszokowany Lucien, o pobladłej twarzy.

Nie mogę się ruszyć. Nie mogę myśleć.

Lucien szybko odzyskuje rezon i zamyka za sobą drzwi.

- Co tu się dzieje? - syczy, podchodząc do nas.

Patrzy to na mnie, to na Asha, to znów na mnie. Czując palący wstyd, wbijam wzrok w podłogę.

Cisza jest przygniatająca, głośniejsza od krzyku.

- Violet - cedzi Lucien lodowatym tonem i chyba po raz pierwszy nie cieszę się na dźwięk mojego imienia. Zmuszam się, by unieść głowę i spojrzeć mu w oczy. Widzę w nich złość, niedowierzanie i coś jeszcze gorszego. Rozczarowanie. - Postradałaś zmysły?

Ash patrzy na nas, niczego nie rozumiejąc.

- Wy... Wy się znacie? - pyta.

- Uhm... - nie wiem, komu mam odpowiedzieć. Lucien nie zaszczycza Asha uwagą.

- Co ci odbiło? - warczy. - To nie jest zabawa, Violet! Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, w jakim jesteś niebezpieczeństwie? On jest towarzyszem! Towarzyszem!

- Wiem, kim jest - odszczekuję. - I nic mu nie powiedziałam. Nie ma z tym nic wspólnego?

- Nic wspólnego z czym? - odzywa się Ash.

- Wyjdź stąd - rozkazuje mu Lucien.

Dociera do mnie, że jeśli Ash teraz odejdzie, już nigdy więcej nie będziemy sam na sam. Nie dostanę kolejnej szansy, by go pożegnać.

- Ja... Ja wyjeżdżam, Ash — wyrzucam z siebie.

- Violet! - krzyczy Lucien, ale jest już za późno. Powiedziałam to.

- On nas nie zdradzi - szepcę.
- Czy ktoś może mi wyjaśnić, co tu się do licha dzieje?
- Lucien pomoże mi w ucieczce z Klejnotu. Jutro... Jutro stąd znikam.

Ulga, jaką czuję, wyjawiając mu prawdę, szybko znika, gdy widzę wyraz jego twarzy. Kilka sekund temu myślałam, że nic gorszego niż rozczarowanie Luciena nie może mnie spotkać. Pomyliłam się.

- Chyba nie rozumiem - mówi powoli Ash.
- Przepraszam. Ash mruga.
- Jak? Jak można...
- Lucien przygotował serum - wyjaśniam. Lucien otwiera usta, by zaprotestować, ale unoszę dłoń. - Nie. Okłamywałam go przez ponad miesiąc. Proszę, daj mi skończyć.
- Ponad miesiąc! - wykrzykuje Lucien. Ignoruję go.
- Po zażyciu serum będę sprawiała wrażenie martwej - wyjaśniam pośpiesznie. - Lucien wydostanie moje ciało z Klejnotu i gdzieś mnie ukryje. To wszystko, co wiem.
- Właśnie tego miałaś nie robić - zauważa zgryźliwie Lucien. - No, może jeszcze paru rzeczy.

Ash wyraźnie się spina.

- Pozwoliłabyś mi myśleć, że nie żyjesz? - pyta z niedowierzaniem.

- Ja... - Łzy napływają mi do oczu. - Obiecałam.

- A co z obietnicami wobec mnie? - W głosie Asha pojawia się gniew. - Nie mają żadnego znaczenia? Jak mam wierzyć w cokolwiek, co mi powiedziałaś? A może po prostu chciałaś spełnić jakąś swoją zachciankę, zanim uciekniesz nie wiadomo dokąd?

- Oczywiście, że nie! Nie mów tak. Co innego mogłam zrobić?

- Zaufać mi!

- Ufam ci!

- Dość! - Lucien staje pomiędzy nami i piorunuje Asha wzrokiem. - Wyjdź.

Oczy Asha stają się lodowate.

- Dlaczego to robisz? Co z tego masz? I nie udawaj, że jesteś takim wielkim altruistą, bo wszyscy wiemy, że nikt w tym Kręgu nie robi niczego za darmo.

Lucien uśmiecha się szyderczo.

- Nie pozwolę, by moje motywy kwestionowała taka szumowina jak ty.

- Lucien, nie... — próbuję protestować, ale Ash nie pozwala mi dokończyć.

- Słyszałem o tobie różne ciekawe plotki. O twoim laboratorium, o twoich eksperymentach. Chcesz zrobić z Violet twojego królika doświadczalnego? O to ci chodzi?

- Ash, to nie... - Tym razem sama milknę. O czym mówi Ash? Wiedziałam, że Lucien jest wynalazcą, ale eksperymenty?

- Niczego o mnie nie wiesz - prycha Lucien. - Musimy ją chronić. Musimy ją ocalić!

- Jest silniejsza niż sądzisz — odpowiada Ash.

- O tak, i ważniejsza niż mógłbyś to sobie wyobrazić. I dlatego zostawia cię i znika. Jej los nie ma nic wspólnego z tobą, więc zrób nam przysługę i wyjdź stąd. Natychmiast.

Ash obraca się w moją stronę.

- Więc to tak? Tak wygląda koniec?

Chcę coś powiedzieć, ale nie potrafię. Zdaję sobie sprawę, że muszę wyjechać, nie wiem jednak jak znaleźć w sobie siłę, by się pożegnać.

- Chodzi o coś więcej niż o głupi romans - oświadcza ostro Lucien. - Jeśli Violet nie opuści szybko tego miejsca, to umrze. Nie ma wiele czasu.

Obydwoje z Ashem patrzymy na niego zmartwiali z przerażenia.

- Co takiego? — wyduszam. Lucien nie spuszcza wzroku z Asha.

- Chcesz wiedzieć, co naprawdę dzieje się z surogatkami po tym, jak urodzą już szlacheckie dziecko? - pyta z pozornym spokojem. Czuję dziwny chłód emanujący gdzieś z wnętrza klatki piersiowej. Boję się. - Umierają. Wszystkie. Poród je zabija.

Mam wrażenie, jakbym patrzyła na wszystko przez gęstą mgłę, jakby świat wokół nie był prawdziwy. Och, jestem tu, ale patrzę na cudze życie. Słowa Luciena mnie nie dotyczą.

Nieprawda.

- Nie - szepce Ash. Jego głos brzmi dziwnie martwo, cała złość gdzieś uleciała.

- Proszę cię - syczy Lucien. - Przecież znasz arystokrację. Naprawdę wierzysz, że wybudowałiby Magazyny dla surogatek, które nie są im już potrzebne? Jeśli Violet stąd nie ucieknie, umrze. Tego chcesz?

Ash milczy przez chwilę i wiele bym dała, by wiedzieć, o czym myśli.

- Powinienem iść — mówi wreszcie.

- Tak. Najwyższa pora.

- Nie! - wykrzykuję. - Ash, proszę... - Chcę krzyczeć i błagać, ale przecież nie istnieją takie słowa, dzięki którym mogłabym go zatrzymać.

Ash podchodzi do drzwi.

- Naprawdę chciałbym cię zapomnieć - oznajmia. - Ciebie i tych kilka tygodni, które spędziliśmy razem. Byłoby mi łatwiej, gdybym mógł cię znienawidzić. Ale nie potrafię. To smutne, ale będę cię kochał przez resztę mojego życia.

Z rozpaczą patrzę jak znika za drzwiami.

Nagle groza sytuacji dociera do mnie z pełną mocą. Panika zaciska mi gardło, a po policzkach płyną łzy. Nie ocieram ich, z wilgotną twarzą spoglądam na Luciena.

- Naprawdę umrę? - pytam łamiącym się głosem. Delikatnie kładzie mi dłonie na ramionach. - Jeśli urodzisz jej dziecko, to tak.

- Jak? Dlaczego? Wzrusza ramionami.

- Może wasze ciała reagują tak na obcy płód. Może to wina Augurii. Nikt nie wie i nikomu nie zależy na tym na tyle, by to zbadać.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Jak mogłeś?

- Ja... - Wzdycha ciężko. - Chciałem cię chronić. Myślałem, że nie potrzebujesz kolejnej rzeczy, którą będziesz się martwić.

Chciałabym usiąść, ale w pokoju nie ma żadnych mebli.

- Nie mogę uwierzyć, że miałaś romans z towarzyszem -ciągnie Lucien. - Nie mogę uwierzyć, że złamałaś dane mi słowo.

Bardzo powoli kiwam głową. Jeszcze do mnie nie dociera, że nigdy już nie zobaczę Asha, nie usłyszę jego śmiechu ani nie poczuję bicia jego serca.

- On nic nie powie - zapewniam.

- Miejmy nadzieję. Jeśli nam zagrozi, to damy sobie z nim radę. Nikt nie zwróci uwagi na zaginięcie jednej osoby.

- Nie ośmielisz się! - warczę.

- Och, młoda damo, nie będziesz wydawać mi rozkazów. Pamiętaj o tym, co przyrzekłaś. Masz wykonywać moje polecenia. Bez wahania i bez pytań.

- Dlaczego to dla mnie robisz? Ale tak naprawdę? Dlaczego chcesz mnie uratować? Nie rozumiem, Lucienie. Dlaczego ja? Dlaczego właśnie teraz? A może Ash miał rację i... Chodzi o mnie, czy o ciebie?

Lucien zaciska zęby. Takiego wyrazu twarzy jeszcze u niego nie widziałam.

- Miałem kiedyś siostrę. Nazywała się Azalea. - Wymawia jej imię z niezwykłą czułością. - Była surogatką. Próbowałem jej pomóc, próbowałem ocalić jej życie i... Przez moment myślałem, że mi się udało. Przez jakiś czas było dobrze, aż wreszcie zawiodłem. - Potrząsa smutno głową i odwraca się do mnie plecami. - Był taki czas, gdy jej bezpieczeństwo było dla mnie wszystkim, nic innego mnie nie obchodziło. Życie innych surogatek? Nie interesowało mnie to, póki Azalea była bezpieczna. Ale moja siostra widziała świat inaczej. Chciała działać, stała się buntownicza. Jej marzeniem było zakończyć Aukcje, a tym samym cierpienie tysięcy niewinnych dziewcząt. Wierzyła w to, że surogatki mają moc zdolną obalić arystokrację i że powinny ją wykorzystać. Głos, który szeptał jej do ucha, okazał się w końcu bardziej przekonujący niż braterska miłość.

Patrzę na niego z niemym zdumieniem. Użyć Augurii, by obalić władzę?

Lucien przeciąga dłonią po czole.

- Przed śmiercią zostawiła mi wiadomość. To dopiero początek, od tego wszystko się zacznie. — Te słowa z czymś mi się kojarzą, ale nie umiem ich umiejscowić. - Jej śmierć skłoniła mnie do działania. Nie mogę dłużej tolerować niesprawie-

dliwości. Kiedy tylko w murze, którym się otaczasz, pojawia się pęknięcie, zaraz rozchodzą się od niego kolejne, aż wreszcie niezniszczalna zdawałoby się konstrukcja zamienia się w proch i pył. Przeglądałem zdjęcia przeznaczonych na Aukcję dziewcząt i zobaczyłem ciebie. - Patrzy mi w oczy. - Bardzo ją przypominasz. Cóż, skoro musiałem wybrać, komu pomóc, dlaczego nie miałbym pomóc komuś, kto jest podobny do mojej siostry. To swego rodzaju przypomnienie, po co właściwie ryzykuję. .. - Uśmiecha się krzywo. - Kiedy cię poznałem, okazało się, że przypominasz ją nie tylko z wyglądu, ale również na wiele innych sposobów. Azalea była uparta, odważna i pełna współczucia dla innych. I miała dobre serce.

- Uważasz, że mogę w jakiś sposób pomóc zmienić system? - pytam z niedowierzaniem.

Lucien wzdycha.

- Zmienić? Myślę, że jestem w stanie go obalić. Ale nie jestem tą osobą, która może wyjaśnić ci, w jaki sposób. - Chwyta moją dłoń i wsuwa mi na palec pierścień z dużym owalnym topazem w otoczeniu małych diamentów. - Będziesz tego potrzebować. Serum jest w środku, pod kamieniem. - Pokazuje mi, jak otworzyć skrytkę. Zapięcie ukryte jest pod diamentami. - Zażyj je jutro o północy.

Muskam palcami bogate zdobienia.

- Dziękuję - szepczę, wciąż otępiała. Lucien całuje mnie w czoło.

- Możemy to zrobić. Zaufaj mi. A teraz... Teraz wracajmy do Diuszesy.

ROZDZIAŁ 29

Kiedy budzę się następnego ranka, mam wrażenie, jakby coś ciężkiego przygniatało mi pierś. To dzisiaj. Dzisiaj wezmę serum. Dzisiaj porzucę Asha i Raven, bo jeśli zostanę tutaj, niebawem umrę.

Gapiąc się w sufit czekam, aż Annabelle przyniesie śniadanie. Jestem zdumiona, gdy zamiast niej do sypialni wchodzi doktor Blythe.

- Dzień dobry, Violet - wita się ze mną radośnie, kładąc na nocnym stoliku swoją lekarską torbę. - Jak tam bal? Dobrze się bawiłaś?

O tak, doktorze, bawiłam się przednio...

- Cudownie - odpowiadam automatycznie.

-To bardzo ważny dzień - oznajmia, zacierając rękę. Kątem oka widzę, jak wyciąga strzykawkę, igłę i prostokątny kawałek plastiku. Na plakietce są dwa filcowe koła. Dopiero gdy bez zapowiedzi wbija mi igłę w ramię i pobiera kilka kropel krwi, zaczynam czuć niepokój. Od dawna tego nie robił.

- Jak już mówiłem, to ważny dzień - powtarza, nasączając jedno z kółek moją krwią. - Jeśli drugie zmieni kolor na zielony, to jesteś w ciąży. Jeśli pozostanie białe... Cóż, wtedy nam się nie powiodło.

Serce podjeżdża mi do gardła i przez moment mam problem z zaczerpnięciem tchu. Szeroko rozwartymi oczyma wpatruję się w kawałek plastiku.

Czas zdaje się zwalniać.

Nagle uderza mnie coś, o czym wcześniej nie pomyślałam. Coś tak oczywistego, że umknęło mojemu postrzeganiu.

Jeśli okaże się, że jestem w ciąży, to... Czy to na pewno będzie dziecko Diuszesy?

Przed oczyma staje mi pogrążona w półmroku sypialnia Asha.

A co, jeśli to dziecko jest moje? Zbiera mi się na wymioty.

- Przepraszam - rzucam spanikowanym głosem. Doktor Blythe natychmiast się odsuwa. Przepychem się koło niego i udaje mi się na czas dobiec do łazienki.

Wymiotuję do umywalki, po czym przepłukuję usta i ocieram twarz bladobłękitnym ręcznikiem. Z lustra patrzy na mnie blada, lepka od potu twarz o szeroko rozwartych oczach. Kosmyki włosów kleją mi się do wilgotnego czoła.

Wyglądam na przerażoną. Jestem przerażona.

To może być moje dziecko!

Nigdy nie chciałam zachodzić w ciążę i nigdy, przenigdy nie przyszedł mi do głowy fantastyczny scenariusz, że dziecko w moim brzuchu mogłoby należeć do mnie. Myśl o tym, że mam nosić w sobie coś należącego do Diuszesy, była na tyle obrzydliwa, że przesłoniła wszystkie inne opcje.

Przesuwam dłonią po ciele i przyciskam ją lekko do brzucha.

Nie chcę być w ciąży, ale jeśli dziecko należy do mnie i do Asha... Jak mogłabym je znienawidzić?

Za dużo bodźców, za dużo myśli. Znowu czuję mdłości.

- Violet?

Podskakuję nerwowo. Doktor Blythe stoi w drzwiach i przygląda mi się z niepokojem.

- Wszystko w porządku?

Zmuszam się, by kiwnąć głową, a wtedy unosi do góry test.

- Wynik jest negatywny - mówi ze smutkiem.

Całe powietrze ucieka mi z płuc i czuję lekkie zawroty głowy. Chyba po raz pierwszy lekarz zdaje się rozumieć, czego najbardziej potrzebuję.

- Zostawię cię na chwilę. Muszę natychmiast poinformować Jaśnie Panią.

Opadam bez gracji na puchaty dywanik.

Wynik jest negatywny. Negatywny...

Wybucham głośnym, nieposkromionym śmiechem. Negatywny! Opieram się o umywalkę i śmieję się, śmieję i śmieję aż zaczyna boleć mnie żołądek.

- Annabelle! - wołam. Po chwili słyszę dźwięk otwieranych drzwi.

- Dzień dobry. - To nie Annabelle. To Diuszesa.

Z trudem dźwigam się na nogi. Kolana wciąż mi drżą.

Diuszesa ma na sobie złocisty szlafrok, a jej włosy nie są kunsztownie upięte, tylko spływają swobodnie na plecy. Ta niedbałość dziwnie kontrastuje z gniewnym wyrazem jej twarzy.

- Nie powinnam była robić sobie nadziei - oznajmia. Nie wiem, co odpowiedzieć, więc po prostu milczę.

- Kiedy się urodziłyśmy, to znaczy ja i moja siostra, ojciec ponoć od razu wiedział, że to moim przeznaczeniem jest dokonać rzeczy wielkich — mówi. - Byłam jego oczkiem w głowie. Przez całe życie przygotowywał mnie do objęcia tronu. Był twardym i nieustępliwym człowiekiem, ale wiele mnie nauczył. Siła. Ambicja. Determinacja. Spryt. Właśnie te cechy doceniał i... Mam je. Jestem taka, jak chciał, żebym była. I co z tego? Spójrz tylko na mnie. - Uśmiecha się smutno.

- Pochodzisz z królewskiego rodu - przypominam, krzywiąc się lekko. Co za absurd, mówić jej coś takiego. - Masz wszystko, czego jeszcze pragniesz?

W oczach Diuszesy pojawia się morderczy błysk. Błyskawicznie unosi dłoń i nagle mój policzek eksploduje bólem.

-Jestem ideałem mojego ojca, ale to wciąż nie jest dość. Musisz się bardziej postarać. Postawiłam na ciebie wszystko, co mam.

Prostuję się powoli, unoszę podbródek i bez lęku patrzę jej w oczy. Prawie nie czuję bólu. Utracił wszelkie znaczenie. Diuszesa może mnie bić do nieprzytomności, ale nie da rady mnie zranić.

Gdy wreszcie dociera do niej, że nie mam zamiaru odpowiedzieć, zaciska usta w wąską linię.

- Organizuję dzisiaj lunch. Annabelle cię przygotowuje. Masz być w jadalni o drugiej.

Annabelle ubiera mnie w różową, wyszywaną koralikami suknię. Wyczuwa, że nie mam ochoty na rozmowę.

Odruchowo obracam na palcu pierścień od Luciena. Ukryłam go pomiędzy innymi, założyłam również bransoletkę. Wiem, że i tak nikt by go nie dostrzegł - biżuterią, którą posiadam, można byłoby obdarować cały Magazyn. Jest jej zbyt dużo, by można było spamiętać każdą sztukę. Jeszcze tylko dziesięć godzin i wezmę serum.

Idę do jadalni. Lokaj kłania się przede mną i otwiera drzwi.

- Surogatka Domu Jeziora - anonsuje.

Jeśli nie liczyć Hrabiny Róży i Lwicy, skład jest dokładnie ten sam, co na uroczej rodzinnej kolacji. Podchodzę do Diuszesy. Obok niej stoi Diuk, który sprawia wrażenie jakby bardzo chciał być gdzie indziej. Garnet opiera się o stolik i na mój widok unosi lekko kielich pełen bursztynowego płynu. Na ustach ma lekko drwiący uśmiech. Carnelian, sztywna jak trup, wygląda wyjątkowo markotnie.

Tuż za nią widzę Asha.

Och. Przystaję odruchowo i przetykam ślinę. Mam ochotę odwrócić się i uciec... Ash spogląda mi prosto w oczy, po czym na jego twarz powraca maska spokoju i uprzejmości. Tylko po napięciu ramion poznaję, że jest wściekły.

Otwieram usta, ale przecież nie mogę z nim rozmawiać w obecności innych.

Nigdy już z nim nie porozmawiam.

Diuszesa i Pani Szkła obracają się w moją stronę.

- Musisz być bardzo rozczarowana - mówi cicho Pani Szkła. - Przynajmniej zdrowo wygląda.

- Tak. Doktor mówi, że z kolejną próbą nie będziemy musieli tak długo czekać.

Po chwili, wspierając się ciężko na zdobionej lasce, dołącza do nich Hrabina Róży.

- Kluczem jest cierpliwość - mówi. - Acz i mnie zaczyna jej już brakować.

Spogląda w stronę okna, gdzie stoi ubrana na czarno Lwica i, z rękoma splecionymi za plecami, wpatruje się w posadzkę.

- Doktor Plume obawia się, że w ogóle nie jest kompatybilna z zarodkiem. To frustrujące. Powinni wprowadzić jakąś selekcję przed Aukcją, odsiać wadliwe egzemplarze.

Pani Szkła ze zrozumieniem kiwa głowę. Lwica nie unosi wzroku, choć jestem pewna, że musi słyszeć całą rozmowę. Wciąż pamiętam dziewczynę, którą ujrzałam w Pokoju Oczekiwania w Domu Aukcyjnym. Pamiętam jej gniewną, pełną wyższości minę i fantastyczną, zdobioną złotem fryzurę. Na pogrzebie Dahlii mówiła o tym, że surogatki mają władzę nad arystokratkami. Na Balu Hierarchy bezczelnie piła szampana. A teraz? Teraz stoi zgarbiona, jakby chciała stać się mniejsza, jakby chciała zniknąć.

Drzwi do jadalni znów się otwierają.

- Hrabina Kamienia i jej surogatka - oznajmia lokaj. Słyszę w uszach ryk krwi. Raven! Raven tu jest!

- Co takiego? - syczy Pani Szkła.

- Myślałam, że odwołałaś jej zaproszenie - mruczy pod nosem Hrabina.

- Bo odwołałam - odpowiada szeptem Diuszesa. Hrabina Kamienia jest tak wielka, że zupełnie zasłania

Raven. Ma na sobie wspaniałą futrzany płaszcz, który jeszcze dodaje jej kilogramów. Kiedy służący odbiera od niej okrycie, mam wrażenie, że aż ugina się pod jego ciężarem.

- Perl! Jak to miło, że mnie zaprosiłaś! - rzuca Hrabina, podchodząc do Diuszesy i całując powietrze w okolicach jej kolczyków.

- Och, cała przyjemność po mojej stronie - odpowiada zimno gospodyni.

Dwoje służących pospiesznie rozkłada dodatkowe nakrycie.

Hrabina Kamienia wita się z Hrabinią Róży w podobnym stylu, zupełnie ignoruje Panią Szklą, po czym spogląda na mnie, a właściwie na mój brzuch.

- Domyślałam się, że znowu nie wyszło - mówi z fałszywym współczuciem.

Diuszesa krzywi się lekko.

- Doktor Blythe jest optymistą, uważa, że kolejna...

- Lekarze to banda idiotów - przerywa jej Hrabina. — Liczy się głównie surogatka. - Pstryka serdelkowatymi palcami.

Zza jej masywnych pleców niczym duch wysuwa się Raven. Na jej widok robi mi się słabo. Głowę trzyma nisko, tam samo jak Lwica, a twarz skrywa za kurtyną dłuższych niż zazwyczaj włosów. Jest jeszcze szczuplejsza niż na Balu Hierarchy, a obcisła czarna suknia dodatkowo podkreśla nienaturalną chudość. To dlatego nie od razu dostrzegam niewielkie wyrzuszenie między jej kośćmi biodrowymi.

Zauważam je dopiero, gdy Raven ochronnym gestem kładzie na nim kościstą dłoń.

Nie wiem, jakim cudem udaje mi się nie wydać z siebie dźwięku.

Raven jest w ciąży.

To zupełnie bez sensu. Nawet jeśli zabieg zorganizowano zaraz po Aukcji, to jeszcze nie powinno być tego po niej widać. Minęły ledwie dwa miesiące.

- Musisz być bardzo podekscytowana - zauważa Pani Szklą. Hrabina Róży nie zwraca na nią uwagi.

- Udało się za pierwszym podejściem. Za pierwszym! Wyobraźcie to sobie.

- O tak, wyobrażamy sobie - komentuje sucho Diuszesa. - Szkoda, że nie przyszło ci do głowy od czasu do czasu ją nakarmić.

Hrabina wzrusza ramionami.

- Jest chuda z natury.

Nie mogę oderwać wzroku od Raven. Za kilka miesięcy moja najlepsza przyjaciółka umrze.

Wolałabym żyć dalej w nieświadomości. Wolałabym, żeby Lucien nie powiedział mi prawdy. Mrugam gwałtownie, starając się powstrzymać łzy, bo przecież nie mogę się tu rozplakać. Na dźwięk dzwonka Diuszesa klaszcze w dłonie.

- Usiądźmy - mówi.

Zajmuję moje zwyczajowe miejsce u jej boku. Raven i Lwica również siadają obok swoich pań. Próbuję nawiązać kontakt wzrokowy, ale Raven nie unosi głowy. U drugiego boku Hrabiny Róży siada blady, drobnokościsty mężczyzna, zapewne jej mąż. Jakże żałośni wydają się arystokraci w porównaniu do swoich żon. Diuk i Lord Szkła zdają się być na najlepszej drodze do utraty resztek trzeźwości, śmieją się głośno i poklepują nawzajem po plecach. Pani Szkła spogląda to na swego męża, to na Hrabinę Kamienia, jakby obawiając się, że Lord wystawia jej bardzo złe świadectwo.

Służba krąży wokół stołu, nalewa wino i wodę oraz serwuje pierwsze z dań. Ash nie spojrział na mnie od chwili, gdy weszłam do sali, a Garnet dokucza Carnelian, której twarz staje się powoli coraz bardziej czerwona. Raven wciąż patrzy w stół. Nie tknęła jedzenia. Nawet nie sięgnęła po widelec.

Kiedy wreszcie unosi głowę, na widok jej twarzy z piersi wyrywa mi się westchnienie.

Jej kości policzkowe zdają się do niemożliwości napinać poszarzałą skórę. Wygląda jak upiór, pusta, wydrążona w środku. Napotykam jej spojrzenie, ale mam wrażenie, że mnie nie rozpoznaje, zupełnie jakbym była dla niej obcą osobą. Zupełnie jakby Raven już umarła.

ROZDZIAŁ 30

Nie, to niemożliwe.

Nagle dociera do mnie, że w jadalni zapadła absolutna cisza, a oczy wszystkich są zwrócone na mnie.

- Hrabina pytała, jak się czujesz - mówi Diuszesa.

Nie jestem pewna, którą z kobiet ma na myśli, nie odpowiadam więc nikomu w szczególności.

- Czuję się dobrze, dziękuję, pani.

Na dźwięk mojego głosu Raven mruga i rozgląda się wokół, jakby budziła się z długiego snu. W jej oczach znów pojawia się promyk życia, a gdy mnie dostrzega na jej blade wargi wypływa cień uśmiechu.

Ulga, którą czuję, jest bolesna bardziej niż największe nawet nadużycie Augurii. Ona wciąż tu jest. Raven nie odeszła.

Muszę znaleźć sposób, by ją ocalić. Nie mogę pozwolić na to, by została w pałacu.

Reszta posiłku bardzo przypomina te uczyty, w których musiałam już brać udział. Nad stołem toczą się błahe rozmowy, goście wymieniają plotki i z uśmiechem wbijają sobie szpile. Desperacko staram się wymyślić, jak mogłabym się porozumieć z Raven, która przez cały lunch to traci, to znów odzyskuje kontakt z rzeczywistością. Zdarza się, że przez dłuższą chwilę patrzy bez zrozumienia na własny talerz i wtedy lękam się, że już nigdy nie wróci.

Może to dlatego, że poświęcam jej tak wiele uwagi, a może dlatego, że bardzo dobrze ją znam, wyczuwam ukłucie bólu jeszcze zanim nadchodzi.

Raven wydaje z siebie cichy okrzyk. Jedną z dłoni przyciska do brzucha, drugą zaś chwyta obrus. Od jej kurczowo zaciśniętych palców zaczynają się rozchodzić wici ciemnego granatu. Po chwili biały materiał staje się ciemny niczym nocne niebo. Carnelian podrywa się z okrzykiem, a kompletnie już pijany Lord Szkła z hukiem spada z krzesła.

Nagle wiem, co zrobić.

- Wezwijcie lekarza! - krzyczy ktoś. W zamieszaniu wstaję i udaję, że potknęłam się o nogę krzesła. Gdy opadam na podłogę przywołuję w głowie ostry obraz i po dywanie zaczyna pełznąć pęd zieleni. Kobiety krzyczą, a mężczyźni przeskakują z nogi na nogę, starając wyminąć barwne linie. Podczołguję się do Raven i ściągam ją na ziemię.

A potem zakładam jej na palec pierścień Luciena.

- Nie zdejmuj go. Zapięcie jest w diamentach - wyrzucam z siebie szybko. - W środku jest serum. Wypij je o północy.

Raven mruga z bolesną powolnością.

- Violet? - szepce.

A potem wymiotuje całą rzekę krwi.

Masywna łapa zaciska mi się na karku i w jednej chwili zostaję poderwana na nogi. Hrabina Kamienia patrzy na mnie lodowatym wzrokiem.

- Zostaw ją - warczy

- Ale ona... Ona jest chora - wyjąkuję.

Z ust i nosa Raven wciąż cieknie krew, a jej suknia jest kompletnie przemoczona.

Hrabina potrząsa mną mocno, a potem odpycha mnie jakbym była szmacianą lalką.

- Ebony! - wrzeszczy Diuszesa. - Nie waż się dotykać mojej surogatki!

Dywan jest już zupełnie zielony. Na którą chwilę wszyscy zamieramy w bezruchu. Dwie arystokratki patrzą na siebie, jakby były gotowe się pozabijać. Jedna jest wielka jak góra, druga drobna i krucha. Nie wiem, która z nich budzi większe przerażenie.

- Wyjdź. Stąd! - Rozkazuje Diuszesa lodowatym tonem. Usta Hrabiny Kamienia wykrzywiają się w brzydkim grymasie.

- Jak sobie życzysz, Pearl.

Chwyta Raven za ramię i praktycznie wywleka ją za drzwi. Udało mi się. Cokolwiek się wydarzy, udało mi się. Ma pierścień.

- No cóż - mówi powoli Diuszesa. - Wydaje mi się, że pora zakończyć ten uroczy posiłek.

Stół wygląda jak kompletne pobojuwisko. Na ciemnognatowym obrusie leżą potrzaskane kieliszki. Plamy wina i krwi zdają się być wszędzie. Twarze gości wyrażają coś pomiędzy zmieszaniem i paniką. Diuszesa odwraca się do Diuka.

- Kochanie, a może zaprowadzisz tych dżentelmenów do palarni? Gamecie, zechcesz im towarzyszyć?

Garnet rzuca serwetką, którą ścisnął dotąd w dłoni, na stół.

- Dziękuję za propozycję, matko, ale wolałbym raczej wydłubać sobie oczy.

Spojrzenie Diuszesy twardnieje.

-To znajdź sobie coś konstruktywnego do roboty. Najlepiej coś, w czym nie będzie brała udziału pomoc kuchenna.

Diuk zdążył już odholować panów do drzwi wyjściowych. Garnet kłania się nisko.

- Jak sobie życzysz, matko.

- Wszystko w porządku? - zwraca się do mnie Diuszesa.

- Tak, pani.

- Powiedz Annabelle, żeby zabrała cię na spacer do ogrodu. Świeże powietrze dobrze ci zrobi. - Dygam. - Miłe panie, przejdźmy do saloniku.

Kiedy Diuszesa wychodzi z jadalni, ciągnąc za sobą arystokratyczny ogon, słyszę, jak Hrabina Róży szepce pod nosem:

- Świetnie wyszkolona, Pearl.

Jako ostatnia pokój opuszcza Lwica. Gdy ogląda się na mnie, dostrzegam w jej oczach błysk dawnej dzikości. Przypomina mi się, jak patrzyła na Dahlię w Pokoju Oczekiwania. Jakby jej zazdrościła.

Nawet nie znam jej imienia... Ciekawe, jak wygląda jej życie w Domu Róży.

Pokój pustoszeje. Zostaliśmy tylko ja, Garnet, Carnelian i Ash. Siostrzenica Diuszesy wciąż nie może oderwać wzroku od krwawych plam.

Po chwili Garnet odchrząkuje.

- No cóż, idę poszukać pomocy kuchennej - oznajmia z typowym dla niego zblazowaniem. - Do zobaczenia na kolacji.

Wchodzą służący i zaczynają uprzątać stół. Carnelian pociąga Asha za rękaw.

- Możemy dokądś pojechać, Ash? — pyta. - Gdziekolwiek. Chciałabym choć na chwilę opuścić ten dom.

Jego uśmiech jest tak ciepły, że mogłabym się na niego nabrać, gdybym nie spędziła z Ashem tyle czasu.

- Oczywiście. Zorganizuję automobil.

Carnelian oplata ramieniem jego ramię i posyła mi pełen wyższości uśmieszek. Gdy znikają za drzwiami, zostaję zupełnie sama w zrujnowanej sali. Czuję nadzieję, że Raven zrozumiała moje instrukcje. Czuję również pustkę w miejscu, gdzie jeszcze niedawno był pierścień Luciena.

Tej nocy nie mogę zasnąć. Słucham tykania zegara i rozmyślam.

Raven powinna już była wziąć serum. Nie wiem dlaczego, ale jestem pewna, że pojęła moje słowa. Ciekawe, co pomyśli Lucien, znajdując w kostnicy jej, a nie moje ciało.

Mogę poczekać. Cokolwiek by planował, jak bardzo wierzyłby w to, że mogę pomóc zniszczyć szlachtę, wszystko to może poczekać. Nie pozwolę umrzeć Raven, nie w ten sposób, nie w pałacu, w którym ktoś przeprowadza na niej koszmarne eksperymenty i odbiera jej pamięć, by umieścić w jej łonie cudze dziecko.

Może tak naprawdę jestem taka jak Lucien. Może jestem gotowa poświęcić innych, byle tylko ocalić Raven. Ona jest moją Azaleą, a ja jestem zbyt samolubna, by zostać wybawicielką surogatek.

Nieważne. Dokonałam wyboru. Teraz muszę naprawić to, co zepsułam.

Odrzucam kołdrę, wychodzę z sypialni i ciemnymi korytarzami zmierzam wprost do biblioteki.

Pospiesznie kieruję się ku zachodnim oknom. Zamieram w bezruchu, dostrzegając taniec cieni na jednej ze ścian. Poprzez łomot serca prawie niczego nie słyszę. Cień znów się porusza i z ulgą konstatuuję, że to tylko targane zimowym wiatrem gałęzie.

Biegnę przez sekretny tunel, a potem na palcach przechodzę przez salonik i wślizguję się do sypialni Asha. Śpi z twarzą osłoniętą ramieniem, zupełnie nieświadom mojej obecności.

- Ash - szepczę, podchodząc do łóżka. Oddycha głęboko i miarowo. - Ash. - Mamrocze coś przez sen. Potrząsam nim lekko.

- Co... - budzi się w mgnieniu oka, przez moment rozglądając się wokół, jakby nie do końca wiedział, gdzie jest. Wygląda uroczo z włosami rozczochranymi od snu. Wreszcie mnie dostrzega i zamiera w bezruchu. - Violet? Co ty tu robisz?

Przysiadam na krawędzi materaca.

- Dałam je Raven - mówię. -Co?

- Serum Luciena. Dałam je Raven.

Przez moment patrzy na mnie marszcząc brwi, po czym na jego twarzy pojawia się zrozumienie. Opowiadałam mu o Raven.

- Surogatka Hrabiny Kamienia. To jest Raven? Kiwam głową.

Ash wydaje z siebie zbolące westchnienie, po czym przeciera dłońmi oczy. Czekam z nadzieją, że powie coś jeszcze, ale milczy.

- Nie wyjeżdżam - mówię nieśmiało.

- Tak, zorientowałem się. - Ukrywa twarz w dłoniach.

- Nie mogłam na to pozwolić, Ash. Nie mogłam pozwolić na to, by umarła. Nie, kiedy mogłam ją uratować.

- Jasne. To, że ty umrzesz jest w porządku? - Unosi głowę i mierzy mnie płonącym spojrzeniem.

- Nie wiemy, co się stanie.

- Ależ wiemy! Wiemy, Violet. Lucien świetnie się orientuje w tutejszych realiach. Żyje w Klejnocie od tak dawna, że jeśli mówi ci, że umrzesz w trakcie porodu, to tak właśnie będzie. - Chwyta mnie za ramiona i mocno potrząsa. — Nie możesz umrzeć, Violet, nie rozumiesz tego?

Jego palce wbijają się w moje ciało. Przygląda mi się z twarzą wykrzywioną złością i lękiem. Delikatnie gładzę go po policzku.

- Dokonałam wyboru, Ash - szepczę. - Tak samo jak wtedy, gdy postanowiłam, że chcę być z tobą.

- To nie to samo!

Przesuwam palcem po jego gładkiej, rozgrzanej snem skórze. Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś będę mogła go dotknąć.

- To moje życie. Nie możesz za mnie decydować. I Lucien też nie.

Przez sekundę myślę, że nadal będzie na mnie krzyczał, ale on rozluźnia dłonie.

- Jesteś potwornie uparta, wiesz? Uśmiecham się blado.

- Jesteś w stanie wybaczyć mi to, że cię okłamałam? Ash wzdycha.

- Jestem w stanie wybaczyć ci to, że nie powiedziałaś mi o ucieczce i o Lucieniu. Tak, to by było niebezpieczne. Ale jak mogłaś pozwolić mi myśleć, że umarłaś?

Moje dłonie ześlizgują się z jego policzków na pierś. Wyczuwam przyspieszone bicie serca.

- Przepraszam - szepczę.

- Och tak, ale to nie sprawia, że wszystko jest okej.

- Wiem - zgadzam się. Przez długą chwilę patrzymy sobie w oczy. - Mogę zostać? - Ma prawo wyrzucić mnie stąd i nigdy więcej ze mną nie rozmawiać.

Po jego minie domyślam się, że rozważa tę opcję i boję się, że tak właśnie robi. Wtedy uśmiecha się tym uśmiechem, który tak uwielbiam i potrzasa głową.

- Przysięgam, jesteś moją zgubą.

- To nie jest zabawne - protestuję.

Ash bierze mnie za rękę i opada na łóżko, pociągając mnie za sobą. Układam głowę na jego ramieniu.

- Lucien będzie wściekły - mówi. - Jak myślisz, jak zareaguje na to, że dałaś jego serum komuś innemu?

Uśmiecham się, muskając wargami jego obojczyk.

- Pewnie pęknie mu jakaś żyłka.

- Albo dwie. Albo tuzin. - Całuje moje włosy. - Tak właściwie to co się wydarzyło w trakcie lunchu?

- Pytasz o Augurie?

- Nie wiem. To właśnie są Augurie? Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem.

Unoszę głowę.

- Nie wiesz nic o Auguriach? - dziwię się. Ash przewraca oczami.

- Violet, nie mam bladego pojęcia o umiejętnościach su-rogatek ani o niczym, co się z nimi wiąże. W szkole mówią nam, żebyśmy traktowali was tak samo jak meble. Mówią również, że bywacie dziwne i jeśli zauważymy coś niepokojącego, powinniśmy to zignorować. Nie, żeby kogoś z nas specjalnie to interesowało. Kto chciałby ryzykować, pytając o surogatki. - Zaciska zęby.

Całuję go delikatnie w szyję tuż pod uchem.

- Jesteś bardzo odważny - mruczę.

Posyła mi krzywy uśmiech.

- Nie tak jak niektórzy.

Nagle słyszę ogłuszający huk i tupot ciężko obutych stóp. Drzwi do sypialni otwierają się gwałtownie i uderzają o ścianę. Krzyczę, gdy do pomieszczenia wpadają Gwardziści z wycelowaną w nas bronią. Cofamy się na łóżku. Ash próbuje osłonić mnie własnym ciałem. Mój mózg zdaje się odmawiać działania. Mięśnie mam napięte jak struny wiolonczeli, a w uszach wciąż słyszę łomot. Nie rozumiem, co się dzieje. Nie mogę spuścić wzroku z luf pistoletów.

- No, no, no... - Krew zamienia mi się w lód, gdy do pokoju wchodzi Diuszesa. - Cóż my tu mamy?

Zapada długa, pełna napięcia cisza.

- To nie jej wina - odzywa się nagle Ash. - To przeze mnie. Ja...

Diuszesa posyła spojrzenie Gwardzistom. Z prędkością błyskawicy dwóch z nich wyciąga Asha z łóżka, a trzeci unosi broń i kolbą uderza go twarz. Na kołdrę tryskają krople krwi.

- Nie! - krzyczę, gdy kolejny z mężczyzn stawia mnie na nogi i wykręca mi ramię za plecami. Wiem, że powinnam czuć ból, ale jestem zbyt otepiała. Zakrwawiony pistolet wciąż unosi się i opada. Nad brwią Asha czerwienieje otwarta rana, na policzku formuje się krwiak.

- Przestańcie! - Głos Carnelian przeszywa mnie jak ostrze noża. Dziewczyna stoi koło Diuszesy i patrzy na Asha z miną, która mogłaby być lustrzanym odbiciem mojej. - Mówiłaś, że go nie skrzywdzisz.

Lód w moich żyłach topnieje i zamienia się w lawę. To jej wina.

- Zamknij się, idiotko - warczy Diuszesa. — Myślałaś, że co się stanie? Och, Carnelian, rozczarowujesz mnie nawet wte-

dy, gdy jesteś użyteczna. - Kolejne słowa kieruje do Gwardzistów. - Zabierzcie go do lochu.

Rośli mężczyźni wywlekają nieprzytomnego Asha z komnaty.

- Ash! - krzyczę. Nie, to musi być sen. Błagam, niech to będzie sen. - Ash!

Nie ma go.

Wciąż próbuję się wyrwać Gwardziście. Nie obchodzi mnie, że mężczyzna jest o wiele silniejszy. Nie obchodzi mnie, że nie mam szans... Diusza zbliża się do nas ostrożnie, jakby bała się, że jednak wyrwę się z żelaznego uścisku.

- Zawiodłaś mnie, Violet - oświadcza.

Zamieram w bezruchu, słysząc własne imię w jej ustach. Nie mogę powstrzymać westchnienia.

- Co? - pyta miękko. - Nie sądziłaś, że wiem, jak się nazywasz? - Przez chwilę po prostu patrzymy na siebie, a potem Diusza unosi dłoń i uderza mnie z całej siły w twarz. Przed oczyma tańczą mi mroczki. - Zaufałam ci! - wrzeszczy. - I tak mi odpłacasz? Ty mała dziwko! - Uderza mnie po raz kolejny. W ustach czuję smak krwi.

- Ash - mamroczę.

- Towarzysz jest zdrajcą. Przecież wiesz, co się dzieje ze zdrajcami, Violet, nieprawdaż? - Pochyliła się. Nasze twarze dzieli od siebie ledwie kilka cali. Jej oczy płoną niczym czarny ogień. - Karą za zdradę jest śmierć.

Spogląda na Gwardzistów.

- Odstawcie ją do jej komnat i pilnujcie - rozkazuje sucho. - Obstawcie wszystkie wejścia. — Potrząsa gniewnie głową. - Zabierzcie mi ją z oczu.

Kiedy z szelestem szat wychodzi z pokoju, Carnelian ciężko opiera się o drzwi.

- Nie wiedziałam - szepce. - Przysięgam, nie wiedziałam. Powiedziała, że nie zrobi mu krzywdy.

Nagle wracają mi siły. Z dzikim okrzykiem, nie zważając na palący ból w ramieniu, wyszarpuję się z uścisku. Myślę tylko o zakrwawionej twarzy Asha i o tym, że to wszystko przez Carnelian. Wyciągam dłonie, marząc o tym, by zacisnąć je na jej chudej, bladej szyi. Dziewczyna cofa się w panice.

Jeden z Gwardzistów pojawia się tuż obok i popycha mnie na ścianę. Powietrze ucieka mi z płuc z głośnym wizgiem, a przed oczyma eksplodują tysiące świateł. Dwóch mężczyzn chwytam mnie za ramiona. Rozpaczliwie staram się zaczerpnąć tchu, mam jednak wrażenie, jakby ktoś dusił mnie poduszką. Gwardziści pociągają mnie naprzód, a kiedy nogi uginają się pode mną, po prostu wleką mnie za sobą. Kątem oka widzę białą jak ściana twarz Carnelian.

Kaszląc i dławiąc się, walczę o oddech, aż wreszcie płuca znów zaczynają funkcjonować. Powietrze jest takie słodkie...

- Ash - chrypię, a Gwardziści ciągną mnie szklanym korytarzem, tym samym, który przemierzałam w dniu, kiedy po raz pierwszy spotkałam Asha. Po policzkach płyną mi łzy. Teraz, kiedy oddycham swobodnie, w pełni dociera do mnie groza sytuacji.

- Ash - jęczę. Ona go zabije. Diuszesa go zabije.

Palce Gwardzistów mocniej zaciskają się na moich ramionach. Próbuję stanąć na nogi i dotrzymać im kroku, ale idą zbyt szybko.

- Ash! - krzyczę w nadziei, że, gdziekolwiek jest, usłyszy mój głos.

Musi wiedzieć, że go nie zostawiłam, że go kocham. Dwie zaspane dworki stoją niedaleko galerii rzeźb i przyglądają mi

się z ciekawością, przyświecając sobie małą nocną lampką. Nie obchodzi mnie to. Nie obchodzi mnie, że je obudziłam. Mogę obudzić cały pałac!

- ASH! - wrzeszczę raz po raz, a mój głos niesie się korytarzami.

Płaczę. Krzyczę. Nikt mi nie odpowiada.

Kiedy docieramy do moich komnat, w półmroku pokoju dostrzegam odzianą na biało, rudowłosą sylwetkę. Przez ułamek sekundy patrzymy sobie z Annabelle w oczy. Na jej twarzy maluje się czyste przerażenie. Otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, jednak Gwardziści odciągają mnie dalej, aż do sypialni.

Wpychają mnie brutalnie do pokoju i natychmiast zamykają drzwi. Uderzam w nie z furją, próbuję je wyważyć, skrobię paznokciami, tłukę pięściami, szarpię za klamkę i krzyczę, krzyczę, krzyczę...

Odpowiada mi tylko cisza.

Wszystko mnie boli, więc po jakimś czasie poddaję się i kładę się na podłodze. Wtulam policzek w puszysty dywan. To tylko sen, prawda? Tylko koszmarne sen. Zamykam oczy.

Błagam, niech to okaże się snem.

Ale to nie jest sen. Groza narasta we mnie i rozprzestrzenia się po moim ciele wraz z coraz wolniej płynącą krwią. Opadam w pustkę, w której nie czeka na mnie nic poza cierpieniem i śmiercią. Nigdy nie opuszczę Klejnotu. Umrę tutaj.

Nie wiem, jak długo leżę na podłodze, tonąc w ciemnościach i raz po raz obracając w głowie myśl, że to już wszystko, że nie będzie niczego więcej. W pewnym momencie poprzez mgłę i rozpacz dociera do mnie jakiś dźwięk. Ciche buczenie zdaje się dochodzić z mojej toaletki.

Siadam i nasłuchuję. Arkany.

Niezręcznie podnoszę się na nogi, otwieram klapę sekretarzyka i wyciągam szkatułkę na biżuterię z ukrytym schowkiem. Cała wibruje. Opróżniam ją pośpiesznie, wysypując bransoletki z pereł, diamentowe kolczyki, pierścionki, broszki i naszyjniki wprost na blat, po czym sięgam do skrytki i wyciągam kamerton.

- Lucien? - szepcę gorączkowo. - Lucien, to ty?

Przez chwilę nikt nie odpowiada i w ciszy pokoju słyszę tylko wibracje Arkanów.

Gdy słyszę głos dobywający się z urządzenia, niemal upuszczam je na ziemię.

- Nie martw się - mówi Garnet tonem, do którego, jak mniemałam, nie jest zdolny. Zwyczajową nonszalancję zastąpiło zdenerwowanie. - Wyciągniemy cię stąd.

Kamerton milknie, wypada mi z dłoni i z cichym kliknięciem upada na toaletkę, pomiędzy rozsypane wszędzie, migoczące w świetle księżycy klejnoty.